

CATHERYNNÉ M. VALENTE

# NIEŚMIERTELNY

*Deathless*

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ



*Dla Dimitrija,  
który wyprowadził mnie z mrocznego miejsca*

# Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>3</u>
<u>Prolog</u>	
<u>Nie oglądaj się.....</u>	<u>7</u>
<u>Część</u>	<u>pierwsza</u>
<u>Długi, wąski dom.....</u>	<u>10</u>
<u>1</u>	
<u>Trzej mężowie przybywają na ulicę Grochową.....</u>	<u>12</u>
<u>2</u>	
<u>Czerwony szalik.....</u>	<u>16</u>
<u>3</u>	
<u>Komitet Domowików.....</u>	<u>22</u>
<u>4</u>	
<u>Licho nie śpi.....</u>	<u>33</u>
<u>5</u>	
<u>Kto będzie rządził.....</u>	<u>41</u>
<u>6</u>	
<u>Uwiedzenie Marii Moriewny.....</u>	<u>46</u>
<u>Część</u>	<u>druga</u>
<u>Spij z zaciśniętymi pięściami i mów prawdę prosto w oczy.....</u>	<u>56</u>
<u>7</u>	
<u>Kraina Życia.....</u>	<u>58</u>
<u>8</u>	
<u>Prześpij się obok mnie.....</u>	<u>67</u>
<u>9</u>	
<u>Dziewczyna, która nie ma na imię Jelena.....</u>	<u>73</u>
<u>10</u>	
<u>Raskownik.....</u>	<u>85</u>
<u>11</u>	
<u>Białe złoto, czarne złoto.....</u>	<u>94</u>

<u>12</u>	
<u>Czerwień zobowiązuje.....</u>	<u>106</u>
<u>13</u>	
<u>Car Życia i Car Śmierci.....</u>	<u>119</u>
<u>Część</u>	<u>trzecia</u>
<u>Iwanuszka.....</u>	<u>126</u>
<u>14</u>	
<u>Ci wszyscy umarli.....</u>	<u>128</u>
<u>15</u>	
<u>Zwierzchnictwo.....</u>	<u>135</u>
<u>16</u>	
<u>Nieustający smutek umarłych.....</u>	<u>141</u>
<u>17</u>	
<u>Ból w miejscu po mojej śmierci.....</u>	<u>147</u>
<u>18</u>	
<u>To, co jest między nami.....</u>	<u>156</u>
<u>19</u>	
<u>Trzy siostry.....</u>	<u>165</u>
<u>Część</u>	<u>czwarta</u>
<u>W Leningradzie nie ma Żar-Ptaków.....</u>	<u>175</u>
<u>20</u>	
<u>Dwaj mężowie przybywają na ulicę Dzierżyńskiego.....</u>	<u>177</u>
<u>21</u>	
<u>W tym domu nie ma piwnicy.....</u>	<u>189</u>
<u>22</u>	
<u>A wszyscy nieuchwytni.....</u>	<u>196</u>
<u>23</u>	
<u>Historia wojenna to czarna otchłań.....</u>	<u>202</u>
<u>Część</u>	<u>piąta</u>
<u>Ptaki radości i smutku.....</u>	<u>213</u>
<u>24</u>	
<u>Dziewięć odcieni złota.....</u>	<u>215</u>
<u>25</u>	
<u>Dezercja.....</u>	<u>217</u>

<u>26</u>	
<u>Jakie nadamy jej imię?.....</u>	<u>222</u>
<u>27</u>	
<u>Odgłos pamięci.....</u>	<u>230</u>
<u>28</u>	
<u>Zobaczyłem gawrona pośród zgliszczy.....</u>	<u>235</u>
<u>Część</u>	<u>szósta</u>
<u>Ktoś powinien.....</u>	<u>244</u>
<u>29</u>	
<u>A każdy wypisany na twoim brzuchu.....</u>	<u>246</u>
<u>30</u>	
<u>Kraina Śmierci.....</u>	<u>253</u>
<u>Podziękowania.....</u>	<u>260</u>
<u>O autorce.....</u>	<u>261</u>

*Od tysiąc dziewięćset czterdziestego  
Na wszystko patrzę jak z wysokiej wieży,  
Jakbym mówiła do widzenia  
Temu, z czym dawno się rozstałam.  
Jakbym żegnała się znakiem krzyża,  
Nim zejść pod mroczne sklepienia.*

Anna Achmatowa

# Prolog

## Nie oglądaj się

Złoty dym z palonego drewna ciężko wisiał nad zżętą pszenicą, a ziemia jeżyła się rżyskiem niczym łysiejąca staruszka. Jabłoniom już dawno obcięto gałęzie na podpałkę, korzenie wiśni dawno wykopano i ugotowano z nich strawę. Zimne i blade niebo kasłało kapkami apatycznego słonecznego blasku na szare puste gospodarstwa. Ptaki odleciały, jak strzały wypuszczone w niebo podczas niewidocznych potyczek, zawsze na południe, zawsze w dal. A jednak trzy chude pierzaste stworzenia zacisnęły pazury na uschniętej gałęzi gruszy i spoglądały w dół oczami jak paciorki różańca. Siewka ze złotymi plamkami, dzierzba z ostrym dziobem oraz kościsty gawron o czarnym obliczu uchwyciły się zielonego pnia. Wzmógł się wiatr; pachniał koniczyną przebijającą się przez dach, rdzą i starym, wyschniętym szpikiem.

Chłopiec stał, pociągając nosem, a smarki i łzy skapywały mu na podbródek. Ocierał je kłykciami, aż poczerwieniał mu nos, a drugą dłońią drapał się po brzuchu. Miał bezbarwne włosy i trudno było określić jego wiek, choć na twarzy jeszcze nie pojawił się meszek, żuchwa nie nabrała kanciastości, a żebra pozostałyby wąskie, nawet gdyby było na nich nieco mięśni. Spuścił wzrok, zbyt zmęczony, by mrużyć oczy w jesiennym świetle. Słońce smagało mu źrenice, budząc w nich cienie.

- Towarzyszu Tkaczuk! - Głos młodej kobiety przecinał rześkie, popielate powietrze jak nożyczki. - Zostaliście oskarżeni o dezercję, tchórzostwo w obliczu wroga. Czy zaprzeczycie?

Chłopiec popatrzył na dwie panie oficer i wypolerowaną ławę sądową, którą przywlekły z ciężarówki na to spustoszone pole tylko po to, by go ukarać, jakby armia była straszliwą surową matką, a on dzieckiem, które mimo wołania nie przyszło na kolację. Ciekło mu z nosa.

- Czy dnia osiemnastego czerwca - kontynuowała sierżant sztabowa, skrobiąc piórem po kartce notatnika, jak kura grzebiąca pazurem w piachu - zgłosiliście się do służby, gdy generał porucznik Tereszenko rozpoczął pobór we wsi Michajłowka, aby wszyscy mogli zaznać ziemskiej chwały poprzez dar z ciała złożony Ludowi?

- N-nie... - wymamrotał chłopiec chrapliwym i niewyraźnym głosem niewykształconego chłopca, skracającego samogłoski.

Oficer zmarszczyła z niesmakiem nos.

- Dlaczego? - warknęła, a guziki na jej oliwkowym mundurze zalśniły jak oczy w blasku słońca.

- Mam... mam... jedenaście lat, proszę pani.

Sierżant zmarszczyła czoło, ale nie rozchyliła ramion, nie przygarnęła go, nie pogładziła po włosach ani nie nakarmiła chlebem. Chłopiec pośpiesznie mówił dalej.

- No i mam chorą nogę. Złamałem, kiedy miałem sześć lat. Spadłem... z wisienki. Jak przyszedł ten człowiek z wielką księgą, uciekłem i schowałem się ze świniami. Nie chcę być w wojsku. I tak lichy byłby ze mnie żołnierz.

Słuchając niepewnej przemowy chłopca, sierżant sztabowa przybrała jeszcze surowszy wyraz twarzy.

- Nie możecie swobodnie rozporządzać swoim ciałem, towarzyszu. Ono należy do Ludu, a wy okradliście nas poprzez swoją słabość. Jednakże Lud nie jest pozbawiony litości. Tak jak wcześniej wybraliście kryjówkę pośród świń, zamiast służby pośród lwów, teraz możecie sobie wybrać karę: pluton egzekucyjny, na który w pełni zasługujecie, albo służbę w karnym batalionie.

Chłopiec wpatrywał się w nią szklistymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

- Czyli na pierwszej linii frontu - dodała starsza oficer szorstkim głosem pełnym słodkiego jak miód nieskończonego miłosierdzia.

Gawron nastroszył piórka, dzierzba zaklekotała dziobem, siewka krzyknęła żałośnie i piskliwie. Nagły podmuch wiatru uderzył w żdźbła traw, nie przynosząc ani ciepła, ani słodczy. Gęste, ciemne włosy kobiety otaczały jej głowę jak aureola, a w jej spojrzeniu kryły się surowość oraz zmęczenie.

- Zapewne zginiecie, ale niekoniecznie. Jesteście mali; kiedyś wszyscy tacy byliśmy. Być może was przegapią. Takie rzeczy już się zdarzały.

Sierżant sztabowa sprawiała wrażenie znudzonej. Zapisała coś w notatniku.

- Towarzyszu Tkaczuk, co wybieracie?

Chłopiec przez chwilę nic nie mówił, przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą, szukając łaski, jak dzik próbujący wywęszyć grzyby w ziemi. Gdy niczego nie znalazł, rozplakał się. Rzadkie, suche, wygłodzone łyzy przecinały brud na jego twarzy. Drobną pierś gwałtownie się unosiła, a ramiona drżały, jakby już spadł śnieg. Rozpaczliwie wytarł nos gołą ręką. Wśród smarków pojawiła się różowawa krew.



- Chcę do domu - załkał.

Siewka wrzasnęła, jakby przebiły ją długie ciernie. Dzierzba skryła dziób. Gawron nie mógł na to patrzeć - rozpostarł czarne skrzydła.

Generał dywizji Maria Moriewna beznamyślnie patrzyła na płaczące dziecko. Sierżant sztabowa niecierpliwie stukała piórem.

- Idź - szepnęła Moriewna. - Biegnij. Nie oglądaj się.

Chłopiec popatrzył na nią tępo.

- Biegnij, chłopcze - wyszeptała pani generał.

Pobiegł. Za nim wzbijały się w powietrze drobiny martwej ziemi. Wiatr chwycił je i unosił w stronę morza.

**Część pierwsza**  
**Długi, wąski dom**

*Wtedy przybędziesz w czarnej żołnierskiej opończy  
Ze straszną zielonkawą świecą  
I nie pokażesz mi swej twarzy.  
Lecz ta zagadka nie będzie mnie długo dręczyć:  
Czyja to dłoń pod białą rękawiczką,  
Kto posłał wędrowca, który przybywa w ciemności?*

Anna Achmatowa

# 1

## Trzej mężowie przybywają na ulicę Grochową

W pewnym nadmorskim mieście, które niegdyś nazywano Petersburgiem, później Piotrogradem, następnie Leningradem, a potem, znacznie później, ponownie Petersburgiem, przy długiej, wąskiej ulicy stał długi, wąski dom. Tam przy długim, wąskim oknie, dziewczynka ubrana w bladobłękitną sukienkę i bladozielone kapcie czekała na ptaszka, który się z nią ożeni.

Większość rodziców zapewne zamknęłaby takie dziecko w jego pokoju, póki nie da sobie spokoju z niepokojącymi myślami, jednakże Maria Moriewna obserwowała przez okno mężów wszystkich trzech swoich sióstr, zanim ci zapukali do potężnych drzwi z wiśniowego drewna, dlatego była pewna swego losu, tak jak była pewna koloru księżyca.

Pierwszy mąż pojawił się, gdy Maria miała zaledwie sześć lat. Jej siostra Olga była wysoka i piękna, a złociste włosy spinała z tyłu jak belę jesiennego siana. Był srebrzysty wilgotny dzień, a długie, wąskie chmury wałkowały się po ich dachu równiutko jak papierosy. Maria patrzyła z ostatniego piętra, jak ptaki gromadzą się na dębach i chwytają pierwsze najmniejsze krople deszczu, które wszystkie skrzydlate istoty lubią najbardziej, wiedząc, że są jak malutkie winogrona pękające na języku. Ze śmiechem obserwowała gawrony walczące o deszcz, a wtedy całe stado nagle odwróciło się w jej stronę, przesywając ją spojrzeniami jak igły. Jeden z ptaków, gruby i czarny, niebezpiecznie pochylił się na zielonej gałęzi, i nie spuszczać wzroku z okna Marii, ciężko upadł - łup, trach! - na chodnik. Ptaszek odbił się, a gdy stanął na nogach, zmienił się w przystojnego młodzieńca o dużym, złowieszczym zakrzywionym nosie, ubranego w elegancki czarny mundur, którego guziki lśniły jak krople deszczu.

Młodzieniec zapukał do potężnych drzwi z wiśniowego drewna, a matka Marii Moriewny zarumieniła się pod wpływem jego spojrzenia.

- Przyszedłem po dziewczynę z okna - odezwał się urywanym, miłym głosem. - Jestem porucznik Gracz z carskiej straży przybocznej. Mam wspaniałe domy pełne nasion, wspaniałe pola pełne ziarna, i więcej sukni, niż pani córka będzie w stanie włożyć, nawet gdyby przebierała się każdego ranka, wieczoru i nocy, aż do końca życia.

- Pewnie chodzi o Olgę - odrzekła matka Marii, unosząc drżącą dłoń do gardła. - To

najstarsza i najpiękniejsza z moich córek.

I oto Olga, która rzeczywiście siedziała w oknie na pierwszym piętrze i wyglądała nie na ulicę, lecz na sad pełen opadłych jabłek, pojawiła się przy drzwiach. Widok przystojnego młodzieńca w eleganckim czarnym mundurze napełnił ją radością, tak jak wino napełnia bukłak, i ucałowała go przyzwoicie w oba policzki. Razem odeszli ulicą Grochową i żołnierz kupił dla swojej ukochanej złoty kapelusz z rondem przystrojonym długimi czarnymi piórami.

Kiedy wieczorem dotarli na miejsce, porucznik Gracz spojrział na fiołkowe niebo i westchnął.

- To nie jest dziewczyna z okna. Ale będę ją kochał tak, jakby nią była, gdyż teraz widzę, że tamta nie jest mi przeznaczona.

I tak Olga wdzięcznie podążyła do majątku porucznika Gracza, skąd pisywała do sióstr pięknie ułożone listy, w których czasowniki były strzeliste jak zamki, a celowniki rozwijały się niczym pielęgnowane róże.

Drugi mąż się pojawił, gdy Maria miała dziewięć lat. Jej siostra Tatiana była przebiegła i rumiana jak lisica, a jej bystre szare oczy łapczywie spoglądały na wszystko, co ją zaciekało. Maria Moriewna siedziała w oknie i haftowała rąbek szatki do chrztu dla drugiego synka Olgi. Była wiosna i po porannym deszczu długa, wąska ulica lśniła wilgocią, a mokre różowe płatki zdołały ją jak klejnoty. Maria patrzyła z ostatniego piętra, jak ptaki ponownie gromadzą się na potężnym dębie i chwytają przemoczone, pomarszczone kwiaty wiśni, jakie wszystkie skrzydlate istoty lubią najbardziej, wiedząc, że są niczym korzenne ciasteczka rozpuszczające się na języku.

Ze śmiechem obserwowała siewki kłócące się o kwiaty, a wtedy całe stado nagle odwróciło się w jej stronę, przeszywając ją spojrzeniami jak noże. Jeden z ptaków, mały i brązowy, niebezpiecznie pochylił się na zielonej gałęzi, i nie spuszczać wzroku z okna Marii, ciężko upadł - łup, trach! - na chodnik. Ptaszek odbił się, a gdy stanął na nogach, zmienił się w przystojnego młodzieńca o krągłych i życzliwych ustach, ubranego w elegancki brązowy mundur z długą białą szarfą, którego guziki lśniły jak słońce.

Młodzieniec zapukał do potężnych drzwi z wiśniowego drewna, a matka Marii Moriewny uśmiechnęła się pod wpływem jego spojrzenia.

- Jestem porucznik Zujok z Białej Gwardii - powiedział, ponieważ oblicze świata się zmieniło. - Przyszedłem po dziewczynę z okna. Mam wspaniałe domy pełne owoców, wspaniałe pola pełne dżdżownic, i więcej klejnotów, niż pani córka będzie w stanie włożyć, nawet gdyby zmieniała pierścionki każdego ranka, wieczoru i nocy, aż do końca życia.

- Pewnie chodzi o Tatianę - odrzekła matka Marii, przyciskając dłoń do piersi. - To

druga pod względem wieku i piękności spośród moich córek.

I oto Tatiana, która rzeczywiście siedziała w oknie na pierwszym piętrze i wyglądała nie na ulicę, lecz na sad pełen kwiatów jabłoni, pojawiła się przy drzwiach. Widok przystojnego młodzieńca w eleganckim brązowym mundurze napełnił ją ogniem, tak jak gorące powietrze napełnia jedwabny balon, i ucałowała go niezbyt przyzwoicie w same usta. Razem odeszli ulicą Grochową i żołnierz kupił dla swojej ukochanej biały kapelusz z rondem przystrojonym długimi kasztanowymi piórami.

Kiedy wieczorem dotarli na miejsce, porucznik Zujok spojrzął na turkusowe niebo i westchnął.

- To nie jest dziewczyna z okna. Ale będę ją kochał tak, jakby nią była, gdyż teraz widzę, że tamta nie jest mi przeznaczona.

I tak Tatiana z radością podążyła do majątku porucznika Zujoka, skąd pisywała do sióstr mądre listy, w których czasowniki tańczyły po kwadratach, a celowniki były pełne jak stoły zastawione do uczy.

Trzeci mąż się pojawił, gdy Maria miała dwanaście lat. Jej siostra Anna była smukła i delikatna jak łania, a rumieniec zakwitał na jej twarzy szybciej niż przemykające cienie. Maria Moriewna siedziała w oknie i haftowała kołnierzyk balowej sukienki dla pierwszej córki Tatiany. Była zima, a sterty śniegu na ulicy Grochowej piętrzyły się niczym długie zamrożone kurhany. Maria patrzyła z ostatniego piętra, jak ptaki ponownie gromadzą się na potężnym dębie i chwytają ostatnie jesienne orzechy kradzione wiewiórkom bądź wydłubywane z kory, o których wszystkie skrzydlate istoty wiedzą, że są najbardziej gorzkie, jak stare smutki ciężko osiadające na języku. Ze śmiechem obserwowała dzierzby kłócące się o żołędzie, a wtedy całe stado nagle odwróciło się w jej stronę, przesywając ją spojrzeniami jak bagnety. Jeden z ptaków, dostojny i szary, z czerwonym paskiem na policzku, niebezpiecznie pochylił się na zielonej gałęzi, i nie spuszczać wzroku z okna Marii, ciężko upadł - łup, trach! - na chodnik. Ptaszek odbił się, a gdy stanął na nogach, zmienił się w przystojnego młodzieńca o przymrużonych, diabelsko sprytnych oczach, ubranego w elegancki szary mundur z długą czerwoną szarfą, którego guziki lśniły jak latarnie.

Młodzieniec zapukał do potężnych drzwi z wiśniowego drewna, a matka Marii Moriewny zmarszczyła czoło pod wpływem jego spojrzenia.

- Jestem porucznik Żulan z Armii Czerwonej - powiedział, gdyż niezdecydowanym obliczem świata targały wtedy wewnętrzne zmagania. - Przyszedłem po dziewczynę z okna. Mam wspaniałe domy, którymi dzielę się z bliźnimi, wspaniałe rzeki pełne ryb, i dzielę się nimi ze wszystkimi, którzy mają sieci, i więcej książek, niż pani córka będzie w stanie

przeczytać, nawet gdyby sięgała po inną każdego ranka, wieczoru i nocy, aż do końca życia.

- Pewnie chodzi o Annę - odrzekła matka Marii, stanowczo opierając dłoń na biodrze.

- To trzecia pod względem wieku i urody spośród moich córek.

I oto Anna, która rzeczywiście siedziała w oknie na pierwszym piętrze i wyglądała nie na ulicę, lecz na sad pełen bezlistnych gałęzi, pojawiła się przy drzwiach. Widok przystojnego młodzieńca w eleganckim szarym mundurze nappełnił ją słodyczą, tak jak woda nappełnia wiadro, i ze straszliwym wstydem pozwoliła jedynie, by ucałował jej rękę. Razem odeszli nowo przemianowaną ulicą Komisarską, i żołnierz kupił dla swojej ukochanej prostą szarą czapkę z czerwoną gwiazdą.

Kiedy wieczorem dotarli na miejsce, porucznik Żułan spojrzął na czarne niebo i westchnął.

- To nie jest dziewczyna z okna. Ale będę ją kochał tak, jakby nią była, gdyż teraz widzę, że tamta nie jest mi przeznaczona.

I tak Anna posłusznie udała się do posiadłości porucznika Żułana, skąd pisywała do sióstr poprawnie ułożone listy, w których czasowniki były sprawiedliwie rozmieszczone między rzeczownikami, a celowniki nigdy nie prosiły o więcej niż potrzebowały.

## Czerwony szalik

W tym samym nadmorskim mieście, które teraz nazywało się Piotrogradem, i nawet pod groźbą kary nie przypominałoby sobie, że kiedyś zwało się Petersburgiem, w tym samym długim, wąskim domu przy tej samej długiej, wąskiej ulicy Maria Moriewna siedziała przy swoim oknie i robiła na drutach płaszczyk dla pierwszego synka Anny. Miała piętnaście lat, piętnaście dni i piętnaście godzin, była czwartą córką pod względem wieku i urody. Spokojnie czekała, aż ptaki zgromadzą się na letnich drzewach, czekała, aż stoczą bitwę o karmazynowe wiśnie, a jeden z nich niebezpiecznie pochylił się na swojej gałęzi. Niestety, żaden ptak się nie pojawił i Maria zaczynała się martwić o swój los.

Długie czarne włosy nosiła rozpuszczone. Chodziła bosą po drewnianej podłodze domu przy ulicy Grochowej, by oszczędzać swoje jedyne buty na długą wędrówkę do szkoły. Tak jak dziecko, którego owdowiała matka powtórnie wyszła za męża, wciąż zapominała, że długa, wąska ulica nosi nową nazwę, gdyż przez całe dzieciństwo znała ją jako Grochową. Oczywiście, obecnie w domu mieszkali też inne rodziny, ponieważ taki wspólny budynek nie mógł dłużej służyć jednemu samolubnemu rodowi.

„Takie zachowanie było ohydne”, zgodził się ojciec Marii.

„Tak z pewnością jest lepiej”, przytaknęła matka Marii. Do długiego, wąskiego domu wciśnięto dwanaście matek i dwunastu ojców, każde małżeństwo z czwórką dzieci, dzieląc pokoje starymi kobaltowosrebrnymi zasłonami, tworząc labirynt złożony z dwunastu jadalni, dwunastu salonów, dwunastu sypialni. Ktoś mógłby rzec, i rzeczywiście tak mówiono, że Maria Moriewna ma teraz dwanaście matek i dwunastu ojców, podobnie jak pozostałe dzieci mieszkające w długim, wąskim domu. Jednakże wszystkie matki Marii śmiały się z jej bezcelowych zachowań. Wszyscy jej ojcowie z niepokojem spoglądali na jej niepokorne, rozpuszczone włosy. Ich dzieci kradły jej herbatniki ze wspólnego stołu. Nie lubiły jej, i ona także ich nie lubiła. Przebywały w jej domu, pośród jej przedmiotów, i chociaż dzielenie się jest niewątpliwie rzeczą szlachetną, jej żołądek nie maszerował w pochodzie i nie rozumiał swojego patriotycznego obowiązku. A jeśli uważali jej zachowanie za bezcelowe, ją samą zaś za nieco szaloną, to trudno. Dzięki temu miała święty spokój. Zresztą, Maria wcale nie działała bez celu. Myślała.



Potrzeba bardzo dużo czasu, by przemyśleć coś tak osobliwego jak ptaki. Nie sposób pozostawić tej kwestii chaotycznej pamięci i jej zakulisowym knowaniom. Kiedy więc stało się jasne, że nie przyleci żadna dzierzba, by zabrać Marię z przeludnionego domu, od nieustającego gwaru gotujących Błodników albo Diaczenków naprawiających schody, od coraz rzadszych i bardziej kruchych włosów, coraz dłuższego wspólnego stołu, a także od spoconych natarczywych spojrzeń towarzysza Pjakowskiego, umysł dziewczyny zaczął wszystko porządkować. Nieważne, czym się akurat zajmowała - zmiataniem liści, uczeniem się historii, czy pomaganiem jednej ze swoich matek w szyciu koszul - jej serce rozważało zagadnienie ptaków, starając się odnaleźć jakieś miejsce, w którym wszystko znów mogło nabrać sensu.

Maria przyszpiliła swoje dzieciństwo jak motyla. Analizowała je tak, jak matematyk analizuje równanie. Dane: Świat jest skonstruowany w taki sposób, że ptaki mogą w każdej chwili zmienić się w mężów i nikt tego nie komentuje. Jaki można z tego wyciągnąć wniosek? Że wszyscy o tym wiedzą i jest to nietypowe jedynie dla mnie. Albo tylko ja to widziałam, a nikt inny nie wie, że świat tak wygląda. Skoro ani jej matka, ani Swietłana Tichonowna, ani Jelena Grigoriewna nigdy nie wspominały, by ich mężowie kiedyś byli ptakami, Maria odrzuciła pierwszą możliwość. Jednakże druga doprowadziła ją do jeszcze bardziej drażliwej i niepokojącej hipotezy.

Pierwszy wniosek: Być może nikt nie powinien widzieć, jak wygląda mąż, zanim się nam nie przedstawi. Być może republika mężów to dziwne i przerażające miejsce, pełne nie tylko ptaków, ale także nietoperzy, jaszczurek, niedźwiedzi, robaków i innych zwierząt, które tylko czekają, by spaść z drzewa prosto w ślubną obrączkę. Być może Maria złamała jakąś zasadę i odwiedziła ten kraj bez dokumentów. Czy tacy są wszyscy mężowie? Maria zadrzała. Czy taki był jej ojciec? Czy taki był towarzysz Pjakowski, który wodzi za nią wilczym wzrokiem? A co z żonami? Czy ona również zmieni się w coś innego, gdy wyjdzie za mąż, tak jak ptak zmienia się w przystojnego młodzieńca?

Drugi wniosek: Niezależnie od zasad, zdecydowanie lepiej widzieć te rzeczy, niż ich nie widzieć. Maria czuła, że posiadała tajemnicę, bardzo dobrą tajemnicę, która odpowiednio pielęgnowana może również o nią zadbać. Ujrzała obnażony świat, zaskoczyła go w chwili słabości. Jej siostry zostały uratowane z tego miasta, gdyż piękne dziewczęta często ratuje się przed nieprzyjemnościami, lecz nie zdają sobie sprawy, kim naprawdę są ich mężowie. Ich wiedza jest niepełna. Maria zrozumiała, że to wypacza małżeństwo, i sama chciała tego uniknąć. „Nigdy nie będzie mi brakowało wiedzy” - postanowiła. „Będę lepsza od sióstr. Jeśli jakiś ptak albo inne zwierzę przybędzie z tej niezwykłej republiki, gdzie hoduje się mężów,

zajrzę mu pod skórę, zanim przystanę na zakochanie”. Ponieważ właśnie tak Maria Moriewna postrzegala miłość: jako umowę, traktat między dwoma państwami, który można podpisać bądź odrzucić, wedle uznania.

Gdy znów zobaczy coś niezwykłego, będzie przygotowana. Będzie sprytna. Nie da się oмотać ani oszukać. Sama dopuści się oszustwa, jeśli będzie trzeba.

Przez długi czas widziała jednak tylko nadciągającą zimę, ludzi kłócących się o chleb, oraz własne coraz chudsze ręce. Wzbraniała się przed wyciągnięciem trzeciego wniosku, ale gniewił się on w jej sercu, aż w końcu nie mogła go dłużej ignorować. Ptaki nie przyleciały po nią, ponieważ jest gorsza od swoich sióstr. Czwarta pod względem urody, zbyt zagubiona we własnych myślach, by odebrać chleb straszliwym małym bliźniaczkom o identycznym, okrutnym śmiechu. Mężowie nie przylecieli do niej, ponieważ widziała ich bez kostiumów. Może małżeństwo musi być wypaczone, a ona miała zbyt wysokie wymagania, gdyż wysłedziła to, czego nie powinna. Mimo wszystko było jej przykro. Jeśli świat dzieli się na widzących i niewidzących, zawsze wybiorę widzenie, myślała.

Ale myśli to nie pokarm. Samotna i pozbawiona ptaków, Maria Moriewna płakała z powodu odejścia sióstr, pustego brzucha, i przepełnionego domu, który nocami stękał jak kobieta usiłująca wydać na świat jednocześnie dwanaścioro dzieci.

\* \* \*

Tylko raz Maria Moriewna spróbowała podzielić się swoim sekretem. Jeśli godna potępienia jest niechęć do dzielenia się domem, z pewnością to samo można powiedzieć o niechęci do dzielenia się wiedzą. Była wtedy młodsza, miała zaledwie trzynaście lat i już przestało jej zależeć na siewkach i dzierzbach. Właśnie wtedy nauczyła się dotrzymywać tajemnicy oraz zrozumiała, że sekrety są zazdrosne i nie dopuszczają spoufalania.

W tamtych dniach Maria Moriewna tak jak wszystkie dzieci chodziła do szkoły z szyją owiniętą czerwonym szalikiem. Uwielbiała go - w tym posępnym domu, z każdym dniem coraz bardziej szarym za sprawą mnóstwa ludzi, którzy szorowali tam pranie, pocili się i gotowali ziemniaki, jej szalik był jasny i olśniewający - i dzięki niemu odnalazła swoje miejsce. Szalik oznaczał, że jest członkinią komitetu młodych robotników, lojalną i prawdziwą. Oznaczał, że jest dobrą uczennicą, dzieckiem rewolucji rozdającym razem ze swoimi kolegami broszury albo kwiaty na rogach ulic. Dorośli uśmiechali się, widząc czerwony szalik i jej dobroć.

Oprócz szalika Maria kochała książki. W związku z tym uwielbiała też lekcje, gdyż podczas nich rozmawiała o książkach i wspaniałościach, które się w nich kryją. Jediną zaletą mieszkania z dwunastoma rodzinami był fakt, że każda z nich przywiozła ze sobą

przynajmniej jedną walizkę książek, a wszystkie tomy i zawarte w nich skarby stanowiły wspólną własność. Odkąd Maria Moriewna ujrzała świat obnażony, tym, co gnało ją po długich, wąskich ulicach Piotrogradu, był straszliwy głód wiedzy, chęć dowiedzenia się wszystkiego.

W szczególności Maria Moriewna upodobała sobie fantastycznego Aleksandra Siergiejewicza Puszkina, piszącego o nagim świecie, jaki poznała, w którym może się zdarzyć wszystko, a dziewczyna stale musi być gotowa, gdyż w każdej chwili wspomniane wszystko może spaść na jej chodnik. Gdy czytała dzieła wybitnego poety, szeptała: „Tak, to prawda, ponieważ widziałam to na własne oczy” albo: „Nie, gdy przychodzi magia, to wygląda zupełnie inaczej”. Zestawiała Puszkina z ptakami i ze sobą, wierząc, że biedny nieboszczyk stoi po jej stronie, że trwają niezachwianie ramię przy ramieniu.

Tamtego ranka, gdy Maria miała trzynaście lat, jak zwykle czytała Puszkina, idąc do szkoły bezkresnymi brukowanymi ulicami, zręcznie unikając mężczyzn w długich czarnych płaszczach, kobiet w ciężkich butach, i wychudłych chłopców sprzedających gazety. Nabrała wprawy w ukrywaniu twarzy za książką, nigdy nie gubiąc kroku ani nie zbaczając z obranej trasy. Poza tym, książka osłaniała ją przed wiatrem. Miedziane słowa Puszkina rozbrzmiewały w jej sercu, ciepłe i jasne, niemal tak słodkie jak chleb:

*W lochu królowna obumiera,  
A bury wilk jej wiernie służy,  
Tam z Babą Jagą moździerz duży  
Samo chcąc w drogę się wybiera;  
Tam Kościej złotem swym się krtusi.<sup>1</sup>*

Tak, myślała Maria, gdy woń palonego drewna i starego śniegu odrzucała do tyłu jej długie czarne włosy. Właśnie tak działa magia. Krtusi cię. Gdy już cię chwyci za ucho, prawdziwy świat staje się coraz cichszy, aż w końcu niemal go nie słyszysz.

Podniesiona na duchu przez swojego towarzysza Puszkina, który tak dobrze ją rozumiał, Maria niespodziewanie przerwała skupione milczenie, z jakim zawsze słuchała lekcji. Nauczycielka - młoda i ładna kobieta o dużych, rozbieganych niebieskich oczach - prowadziła dyskusję o cnotach żony towarzysza Lenina, towarzyszkii Krupskiej, która nie była ani młoda, ani ładna. Maria odezwała się, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru.

- Ciekawe, jakim ptakiem był towarzysz Lenin, zanim odbił się od chodnika i stał się

---

<sup>1</sup> Przekład Jana Brzechwy.

Leninem? Ciekawe, czy towarzyszka Krupska widziała, jak spadł z drzewa. Czy powiedziała: „Cóż za piękny sokół, pozwolę, aby wbił szpony w moje serce”. Myślę, że był czymś w rodzaju sokoła. Ptakiem, który poluje i pożera swoje ofiary.

Wszystkie dzieci wbiły wzrok w Marię. Spłonęła rumieńcem, zdając sobie sprawę, że powiedziała to wszystko na głos. Nerwowo dotknęła czerwonego szalika, jakby to mogło powstrzymać ich spojrzenia.

- No wiecie - wydukała, ale nie wyjaśniła, co powinni wiedzieć. Nie potrafiła się zmusić, by wyznać: „Kiedyś widziałam ptaka, który zmienił się w mężczyznę i ożenił z moją siostrą, a ten widok tak mocno zranił me serce, że nie mogę myśleć o niczym innym. Gdybyście wy to zobaczyli, o czym byście myśleli? Na pewno nie o praniu, ani o tym, czy będzie padać, ani o tym jak powodzi się waszej matce bądź waszemu ojcu, ani o Leninie i Krupskiej”.

Po szkole pozostałe dzieci na nią czekały. Wianuszek kolegów i koleżanek o zmrużonych oczach i rozgniewanych minach. Jedna z dziewcząt, wysoka blondynka, którą Maria uznawała za wyjątkowo piękną, podeszła do niej i mocno ją spoliczkowała.

- Ty wariatko. - wycedziła. - Jak możesz tak mówić o towarzyszu Leninie? Jakby był jakimś zwierzęciem?

Pozostali także kolejno ją policzkowali, szarpali za sukienkę, ciągnęli za włosy. Robili to w milczeniu, uroczyście i surowo, jak sąd wojenny. Kiedy Maria upadła na kolana, płacząc i krwawiąc z policzka, piękna blondynka brutalnie uniosła jej podbródek i zdarła czerwony szalik z szyi.

- Nie! - westchnęła Maria. Próbowwała chwycić szalik, ale trzymali go poza jej zasięgiem.

- Nie jesteś jedną z nas - szydziła dziewczyna. - Rewolucja nie potrzebuje wariatek. Wracaj do swojego majątku i rodziców burżujów.

- Proszę, nie - łkała Maria Moriewna. - To mój szalik, mój, to jedyne, czym nie muszę się dzielić. Błagam, już będę cicho, nie pisnę ani słowa. Już nigdy się nie odezwę. Oddajcie mi go. Jest mój.

Blondynka pociągnęła nosem.

- Należy do Ludu. A Lud to my, a nie ty.

Po czym zostawili ją bez szalika, z ciekającym nosem, płaczącą i drżącą. Wstyd palił jej skórę jak ukrop. Pluli na nią kolejno, rozchodząc się do domów na kolację. Niektórzy nazywali ją burżujką i zdrajczynią, inni jeszcze gorzej - kułaczką i dziwką, choć przecież nie mogła być tym wszystkim jednocześnie. To nie miało znaczenia. Była jednostką, ale nie

należała do Ludu. Przynajmniej według swoich kolegów. Ostatni z nich, chłopiec w okularach, sam owinięty kilkoma warstwami grubego szala, wyrwał jej z rąk tomik wierszy Puszkina i rzucił go daleko w zasy.

\* \* \*

Po tych wydarzeniach Maria Moriewna zrozumiała, że ona i jej sekret są sobie przeznaczeni. Zawarli krwawe przymierze. „Zachowuj mnie i bądź mi posłuszną” - powiedział sekret - „gdyż jestem twoim mężem i mogę cię zniszczyć”.

### 3

## Komitet Domowików

Maria zwróciła na to uwagę, ponieważ zawsze chodziła, gdy rozmyślała, czytała albo mówiła. Jej ciało nie potrafiło usiedzieć na miejscu, nie chciało być spokojne ani zrównoważone. Dlatego znakomicie znała wymiary górnych pięter domu, pomimo skurczenia się przestrzeni, którą mogła uznawać za swoją. Zaledwie miesiąc wcześniej potrzebowała pięciu kroków, by przejść od kobaltowosrebrnej do zielonozłotej zasłony, która oznaczała początek mieszkania rodziny Diaczenków z ich czterema synami o włosach jasnych jak drewno brzozy. Aż tu nagle, chociaż nikt nie wydał żadnego oświadczenia ani nie zebrał dwunastu podpisów, odległość między zasłonami wzrosła do siedmiu kroków.

Maria bardzo starannie policzyła kroki, w kapciach i bez. Powtarzała liczenie przez dwanaście dni i nocy, chociaż bliźniaczki Abramów tłukły w sufit miotłami i garnkami, domagając się ciszy, a stara Jelena Grigoriewna dwukrotnie groziła, że powiadomi władze. Dwunastej nocy, po pokonaniu czterech kroków, Maria Moriewna z nogą wyprostowaną jak żołnierz podczas parady zamarła w połowie drogi pomiędzy kobaltem a zielenią, gdyż usłyszała delikatny oddech, jak syk kranu podczas bicia piorunów, tak cichy, że musiała wyteńczyć słuch, by go wychwycić. Spuściła wzrok, a czarne włosy rozłożyły się na jej ramionach jak zaciekawiony cień. Właśnie wtedy Maria Moriewna po raz pierwszy zobaczyła domowika, i oblicze świata znów się zmieniło.

U jej stóp stał malutki człowiek, również znieruchomiący w pół kroku, z nogą sztywno uniesioną i ręką zatrzymaną podczas komicznego żołnierskiego wymachu. Miał długie, rzadkie włosy oraz długie, cienkie wąsy rozdzielone na środku i zarzucone na ramiona, gdzie przywiązał je do włosów za pomocą eleganckich czerwonych kokardek. Jego biała broda była pełna kurzu, ale nie wydawała się zaniedbana; raczej miało się wrażenie, że szary pył stanowi ozdobę. Człowieczek miał na sobie grubą czerwoną kamizelkę, która wyglądała, jakby wykonano ją z malutkich dachówek, roboczą koszulę w kolorze betonu oraz spodnie poprzecinane czarnymi paskami na podobieństwo okiennicy. Z rozcięcia na środku wystawał długi, cienki ogon, łysy jak u oposa.

Maria i domowik patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, jak dwoje dzikich zwierząt pijących z tego samego strumienia, zastanawiając się, czy powinni uciec. Stało się, pomyślała

Maria, czując, jak serce tłucze się jej w piersi. Świat znów się obnażył, widzę jego sedno i nie jestem wariatką. Teraz już będę sprytna i nie wypuszczę go z rąk.

W końcu się odezwała.

- Dokąd idziecie, towarzyszu?

- A dokąd wy idziecie, towarzyszek? - odpowiedział domowik burkliwie. Jego olbrzymie oczy lśniły czerwienią serca i złotem żarzących się węgielków.

- Mierzę dom krokami. - Maria postawiła stopę, a domowik poszedł w jej ślady, zawadiacko otrzepując kamizelkę.

- A ja właśnie szedłem na zebranie Komitetu Domowików, dlatego mam na sobie swój najwspanialszy strój, ale wydawało mi się, że odbywa się capstrzyk, więc popędziłem zająć swoje miejsce, by uniknąć reprimendy.

Maria miała ochotę pociągnąć małego domowika za wąsy i uszczypnąć w policzek. Chciała chwycić go w ramiona i poprosić, by zabrał ją do swojej ojczyzny, gdzie nikt nie będzie jej policzkował za to, co wie, i gdzie jest chleb oraz wódka, od których tak mu się zaokrąglił brzuch. Nawet jeśli jest to jej mąż, który przyszedł po nią nieprzemieniony, choć w to akurat szczerze wątpiła. Zachowywała poważne oblicze, ale jej serce gnało na wyścigi z oddechem.

- Mieliście rację - powiedziała w końcu, starając się, by jej głos zabrzmiał surowo i władczo. - Powinniście natychmiast zaprowadzić mnie do swoich przełożonych, ponieważ odkryłam nieprawidłowości w funkcjonowaniu domu.

Domowik zasalutował. Jego oczy lśniły z zachwytem.

- Doskonale! Wszystkie sprawy dotyczące domu należy natychmiast przedłożyć komitetowi! Chodź ze mną! Sporządzimy raport! Złożymy dokumenty! Oficjalne skargi! - Domowik mówił coraz bardziej piskliwie, jak czajnik z wrzącą wodą, aż w końcu jego głos zmienił się w ekstatyczny wysoki wrzask. - Za mną! Towarzysz Czajnik wskaże drogę!

Maria miała wrażenie, że zna dom przy ulicy Grochowej, bo przecież mieszkała w nim przez całe życie. Wypiła trzy tysiące siedemdziesiąt misek zupy w kuchni z czarnymi kafelkami. Zjadła dwa tysiące trzysta dwadzieścia pięć ryb przy stole z wiśniowego drewna z trzema sękami na środku. Wyśniła pięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt pięć snów w swoim łóżku pod czerwonymi kocami. Mieszkała w tym domu i do niego należała. Ale mały Czajnik poprowadził ją za kobaltowosrebrną, a następnie za zielonozłotą zasłonę, a potem w dół schodów wykoślawionych przez bawiące się na nich dzieci. Razem skradali się na palcach wzdłuż ozdobionych wizerunkami róż ścian salonu (który obecnie stanowił pokój rodziny Małaszeńków, pełen luster, szminek i grzebieni, trofeów Swietłany Tichonowny z czasów,

gdy była wielką pięknnością na kijowskich scenach) i na drugą stronę przybitego nad drzwiami poszarpanego prześcieradła, którym Błodnikowie zasłonili kuchnię, by dać swoim czterem córkom namiastkę prywatności. Choć i tak wszyscy zazdrościli dziewczętom, które mieszkały obok kuchni, gdzie posapywał rumiany i gorący żelazny piec.

Czajnik gramolił się ponad ciałami śpiących córek Błodników. Cztery dziewczynki leżały zwinięte w kłębek na dwóch materacach rzuconych na podłogę wyłożoną płytkami, pośród chaosu wypalonych świec, spodków, butów i porzuconych sukienek. Najmłodsza z sióstr ścisnęła w dłoniach ich największy skarb: żurnal z Londynu, wydany przed dziesięcioma laty. Ich długie i gęste kasztanowe włosy mieszały się i rozlewały po prześcieradle w kolorze chleba. Domowik zatrzymywał się na ramionach dziewczynek, by delikatnie pocałować każdą z nich w ucho. Maria Moriewna, wstrzymując oddech, przeszła ponad siostrami, a następnie ponad ich matką, której warkocz był mocno spleciony nawet podczas snu, oraz nad ich ojcem, który godnie spoczywał obok potężnego dobroczynnego pieca promieniującego bladym, smakowitym blaskiem. Czajnik wcisnął się za piec, po czym ze skrzypnięciem odepchnął go od ściany. Tata Błodnik chrząknął przez sen, ale się nie obudził. Czajnik ponownie pchnął - mały domowik miał krzepę jak osioł! Piec znów się poruszył. Mama Błodnik westchnęła, śniąc o dawno minionych dniach, o jarzębinie we włosach i słodkiej śmietanie na stole. Czajnik zazgrzytał żółtymi zębami i pchnął najmocniej jak potrafił, żeby zrobić dla Marii miejsce między piecem a ścianą. Dziewczyna była od niego o wiele większa, a biedny skrzat nie przywykł do torowania drogi komukolwiek poza sobą. Cztery śpiące córki kolejno przewróciły się na drugi bok, jak fala przetaczająca się po piasku.

Za piecem znajdowały się niewielkie drzwi, solidne i eleganckie, w kształcie łuku zakończonego spiczastym czubkiem, rzeźbione w radosny ogród pełen kwiatów, których pokryte pyłkiem środki wykonano z wypolerowanego mosiądzu. Dla istoty o wzroście Czajnika były wysokie jak wejście do katedry, ale Marii sięgały zaledwie do pischeli. Czajnik cicho zapukał - trzy razy, potem dwa, następnie znów trzy razy. Drzwi uchylły się ze skrzypnięciem.

- Towarzyszu Czajnik - szepnęła Maria. - Jestem za duża! Nigdy się nie zmieszczę!

- Wszyscy musimy zacisnąć pasa! - syknął domowik, po czym pociągnął ją za brzeg nocnej koszuli. Maria zawirowała jak szpulka; miała dziwne wrażenie, że jakaś olbrzymia dłoń naciska od góry jej głowę, a żebra uginają się, jakby Czajnik wtłoczył ją w jeden ze starych gorsetów jej matki. Gdy ponownie poprawiła koszulę, zauważyła, że stoi przed drzwiami, ale skurczyła się na tyle, że może przez nie wejść, jeśli się schyli. Z trudem powstrzymała śmiech - oto magia, magia Puszkina, prawdziwa magia, a ona jej doświadczyła!



- Masz strasznie uparte kości! - prychnął Czajnik. - Jakbyś wcale nie chciała się zmniejszyć! Bezczelna, dlaczego chcesz być taka wysoka?

- W przeciwnym razie nie dosięgnę do najwyższej półki z książkami - zaprotestowała Maria, a domowik wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Trudno pojąć tajemnicze zachowania dziewcząt i innych dużych ludzi”.

Przeprowadził Marię zawilgoconym korytarzem przez trzy warstwy wyściełanych ścian, a następnie kamiennym wylotem do ilastego przejścia, w którym z podłogi i ścian sterczały dżdżownice i korzenie traw. Wkrótce ich miejsce zajęły klepki oraz osobliwa tapeta: dziesiątki partyjnych broszur naklejonych na ziemistą ścianę, powstrzymujących kamienie i błoto.

„Robotnicy nie mają nic do stracenia poza krępującymi ich łańcuchami!”, krzyczał poważny mężczyzna z uniesioną pięścią.

„Strzeżcie się mienszewików, eserowców i carskich generałów! Biskupi i posiadacze ziemscy są tuż za nami!”, ostrzegało dziecko otoczone przez żołnierzy o twarzach demonów.

„Precz z kuchennym niewolnictwem! Chcemy nowego życia pod rządami socjalizmu!”, oznajmiała kobieta w czerwonej chustce z miotłą w ręku.

„Wybierajcie radzieckich robotników! Nie wybierajcie szamanów ani bogaczy!”, strofowała grupa młodych wyborców ubranych na biało.

Maria dotknęła papierowych twarzy młodych dziewcząt o różnanych policzkach. „Całe społeczeństwo musi się przekształcić w robotniczy kolektyw!”, powiedziały jej dziewczęta.

Korytarz prowadził do rozległego pomieszczenia z brzoźowymi krokwiami, wesoło huczącym paleniskiem i dywanikami na podłodze, pełnego osobliwych, cudownych rupieci poupychanych po wszystkich kątach. Były tam ciężkie lustra w złotych ramach, wypolerowane srebrne gałki do drzwi, porcelanowe talerze o krawędziach ozdobionych malutkimi fiołkami, miedziane czajniczki do herbaty, ogrodowe sekatory, grube poduchy wypchane gęsim pierzem, szmaragdowy smoking i szeroki wybór fajek, delikatne tabakierki o emaliowanych wieczkach, ciężka srebrna szczotka do włosów ze szczeciny dzika oraz grzebienie o zębach wysadzanych malutkimi szkiełkami, fonograf z dużą złotą tubą, zestaw do krykieta z jaskrawymi piłkami, czarny wachlarz z długimi niebieskim frędzlami. Wszystkie te dziwaczne skarby otaczały duży stół, przy którym siedziało dwunastu małych ludzi - wszyscy, podobnie jak Czajnik, byli w czerwonych kamizelkach i mieli rozdzielone wąsy, z tą różnicą, że niektórzy mieli czarne włosy, a inni jasne, część zaś stanowiły kobiety, domowichy, które również nosiły delikatne, cienkie wąsy, ale bez bród.

- Towarzyszu Czajnik, po co przyprowadziliście ze sobą tę olbrzymkę? Powinna leżeć

spokojnie w swoim łóżku, śniąc o truskawkach i praniu! - wykrzyknął jeden z domowików, który miał na piersi olbrzymi złoty medal, choć, gdy Maria przyjrzała się dokładniej, zobaczyła, że to tylko rozmontowany kieszonkowy zegarek, który zwisał pięknie jak medal za odwagę.

- Towarzyszu przewodniczący Wienik! - odparł urażonym tonem przewodnik Marii. - Ona chce złożyć raport! Jak mógłbym pozbawić komitet okazji do wysłuchania smakowitego zeznania, wydania sensacyjnych sądów, wprowadzenia rozporządzeń słodszych od owsianych ciasteczek!

Zgromadzeni przy stole westchnęli z ulgą i zaczęli energicznie kiwać do siebie głowami.

Jedna z domowich uniosła rękę i została dopuszczona do głosu przez Wienika.

- Nazywam się towarzyszka Zwonok - odezwała się krzykliwym, dźwięcznym głosem, pociągając się za jedwabiste blond wąsy. - Składam oficjalny wniosek, by przedstawicielka olbrzymów z Górnego Domu złożyła raport.

- Tak jest, tak jest! - wykrzyknęli pozostali członkowie komitetu, stukając kłykciami w blat.

Maria wciąż górowała nad większością z nich - gdy siedzieli, sięgali jej do pasa - dlatego przez grzeczność postanowiła usiąść, by ich nie zawstydząć.

- Przede wszystkim powinniście wiedzieć - powiedziała z nagłą nieśmiałością - że do dzisiaj w ogóle nie wierzyłam w domowiki.

Natrafiła na solidny mur milczenia.

Postanowiła czym prędzej wypełnić ciszę i udowodnić, że jest mądra i wykształcona, by nie wygnali jej tuż po przybyciu. Poczwała ciepło na policzku, w miejscu, w które kilka lat wcześniej uderzyło ją jedno z dzieci.

- To znaczy, wierzyłam, że na świecie mogą istnieć domowiki... w końcu na świecie może istnieć wszystko. Jednakże odebrałam dosyć... wyspecjalizowaną edukację, dlatego nie sądziłam, że pojawianie się ptaków, które zmieniają się w mężów, musi wskazywać na obecność domowików oraz drzwi za piecem.

- A jak myślisz, kto zeszłej jesieni stłukł twoją ulubioną filiżankę do herbaty? - parsknęła Zwonok. - Tę z wisienkami na uszku?

- Byłam niezdarna, towarzyszko Zwonok. Zostawiłam otwarte okno i wdarła się przez nie burza.

- Nieprawda! To ja ją stłukłam, ponieważ nie zostawiłaś mi śmietany ani herbatników, a kiedy twoje stare buty się zużyły, spaliłaś je, żeby się ogrzać, zamiast mi je dać!

- Tak jest, tak jest! - rozległy się ponownie wokół stołu okrzyki poparcia. - Brawo, brawo!

- Bardzo mi przykro...

- Tak jak twojej filizance.

- Towarzyszko, nie rozumiem. Czytam książki i słucham swojej babci jak każda dziewczynka, więc dobrze wiem, że w każdym domu powinien mieszkać jeden domowik. Jak to możliwe, że zawiązał się komitet domowych skrzatów?

Przewodniczący Wienik wygładził swoją brodę jak kamizelkę i otarł kamizelkę jak brodę.

- Zanim nastąpiła Partia, w każdym domu mieszkała tylko jedna rodzina. Ale wszyscy musieliśmy dostosować nasze myślenie do bardziej właściwych zasad, moje dziecko. Ja przyjechałem razem z Abramowami, gdy Biała Armia wypędziła ich z Odessy. Czy miałem porzucić bliźniaczki tylko dlatego, że nasz dom się spalił? Mają takie słodkie twarżyczki i tak bardzo wyrosły! Uratowałem lustro z korytarza i tabakierki Mariny Nikołajewny. - Wskazał otaczające ich sterty przedmiotów.

Zza stołu wstał kolejny domowik, z brodą jak szczotka do czyszczenia komina.

- Ja przyjechałem z Ofonasiewami z Moskwy. Stary Papa Kolja był mienszewikiem, więc skonfiskowali cały jego dobytek. Nic nie dało się poradzić, za wielki był z niego gaduła. W każde Boże Narodzenie dostawałem od niego ładne stare buty, a jego żona należała do Partii, za co jej nie winię. Dlatego, zanim po nich przyszli, zabrałem jej wachlarz, po czym na dachu pociągu przyjechałem do Piotrogradu.

Czajnik poklepał Marię po dłoni.

- Patrzyłem, jak dziewczynki Błodników dorastają w Sewastopolu. Były ładne już jako niemowlęta i zawsze zostawiały mi solone ciasteczka po kolacji. Czy to ich wina, że nie było pracy? Te dziewczęta nie miały co jeść, nie miały rzepy, chleba ani ryb. Pomyślały sobie, że może znajdą je w Piotrogradzie. Zabrałem ich talerze, byłem pełen nadziei. Ale przybyliśmy na miejsce i proszę! Żadnych ryb.

- Wolałbym zostać w Kijowie - sapnął skurczony domowik, którego skóra zrobiła się niemal niebieska ze starości. - Ale przeklęta Swietłana Tichonowna знаła stary rytuał. Wyszła na pole dyni w swoich najlepszych czarnych sznurowanych butach ze słodkimi obcasikami, położyła na ziemi duży krąg sera i wrzasnęła: „Dziadku domowiku! Nie zostawaj w tym miejscu, tylko chodź z naszą rodziną!”. Stara suka.

Wokół stołu rozległy się stęknienia, a zgromadzeni kiwali głowami i ocierali łzy współczucia.

Kolejno cała dwunastka domowików opowiedziała swoje historie: o utraconej fortunie Diaczenków, o tragedii dzieci Pjakowskich, które straciły starszych braci na wojnie, o hańbie Siemionowych.

- Musisz zrozumieć, że dom komunalny potrzebuje komunalnych domowików, a one potrzebują komitetu - zaświergotał przewodniczący Wienik. - Jesteśmy zadowoleni z tej roli! Nastął nowy świat, a my nie chcemy zostawać w tyle.

- Oczywiście, ja mieszkałam tutaj, kiedy jeszcze byłaś niemowlęciem - wyjaśniła towarzyszka Zwonok. - Ten dom jest moim mężem i razem karmimy się ciepłem przy piecu. - Na jej szerokiej twarzy pojawił się chytry grymas. - Ja też widziałam przybywające ptaki.

Maria drgnęła. Nie spodziewała się, że kiedyś spotka innego świadka uwiedzenia swoich sióstr.

- Złóż raport, dziewczyno! - wykrzyknął przewodniczący Wienik. - Nie możemy spędzić całej nocy na wspomnieniach!

Maria wstała z podłogi. Usiłowała uspokoić swoje serduszko. Chociaż domowiki miały wesołe wąsy i ładne kamizelki, to, gdy się odzywały, widziała w ich ustach długie żółte zęby, ostre i nierówne.

- Chciałabym... chciałabym donieść, że zbadałam... tę sprawę dokładnie i sądzę, a raczej jestem przekonana... jestem pewna, że nie może być żadnej wątpliwości, że dom jest obecnie o przynajmniej dwa kroki większy niż kilka miesięcy temu. Niestety, nie mogłam zbadać pokoju Diaczenków, który przylega do naszego.

- Pewnie, że nie mogłaś! - ryknął domowik z błyszczącymi brązowymi wąsami, które podkręcał za pomocą malutkiego żelazka. - Bo to nie twoja sprawa!

Przewodniczący Wienik uciszył domowika Diaczenków.

- Czy to wszystko, olbrzymko? Naprawdę uważasz, że w tym domu może się wydarzyć coś, o czym byśmy nie wiedzieli? Widzę, że samolubnie przypisałaś sobie nadmierną wielkość, ale zapomniałaś o odpowiednio dużym mózgu! - Dumnie potarł swój medal z zegarka. - To my poszerzamy dom! Rozprawialiśmy o tym przez pół roku i doszliśmy do wniosku, że Rewolucja wymaga od nas więcej niż tylko psot i tłuczenia filiżanek. Skoro tak wielka liczba ludzi musi mieszkać w jednym domu, to on powinien ich wszystkich pomieścić!

Czajnik klasnął w dłoń.

- Od każdego wedle zdolności, a każdemu wedle potrzeb! - zapiał.

- Dobrze powiedziane, towarzyszu! Posiadamy zdolności, które zachowywaliśmy dla siebie, ponieważ nie rozumieliśmy, że należą się one Ludowi, a my staliśmy się

dekadenckimi, leniwymi burżujami zakochanymi w bogactwie i domach, lekceważącymi wielkie obowiązki oraz wysoką filozofię! - Przewodniczący Wienik uderzył w stół małą czerwoną pięścią. - Nigdy więcej! Domowiki należą do Partii!

- Przecież, jeśli poszerzycie dom, to budynki po obu stronach zostaną zmiażdżone - zaprotestowała Maria.

- Ależ dziecko - odparła towarzysz Zwonok cierpliwym głosem. - Nie jesteśmy architektami. Jesteśmy skrzatami. Goblinami. Gdybyśmy nie potrafili zyskać nieco miejsca w środku bez naruszenia zewnętrznych ścian, nie byłibyśmy godni nosić swoich ogonów. W końcu od wieków tworzymy swoje domki w ścianach.

- Otworzymy kolejne piętra, jakbyśmy rozwiązywali stertę gazet... pyk!... właśnie tak wyskoczą! Dom przy ulicy Grochowej stanie się tajemnym krajem w samym środku Petersburga! Będą sadzić rzepę w kuchni i uprawiać jęczmień na suficie, a my będziemy się zajadać herbatnikami, aż utyjemy tak bardzo, że zaczniemy się toczyć, zamiast chodzić! - wołała jak w delirium domowicha Pjakowskich.

Cisza pomknęła wzdłuż stołu jak pęknięcia pojawiające się na lodzie.

- Teraz to jest ulica Dzierżyńskiego, towarzyszko Bania - cicho odrzekł przewodniczący. - I Piotrogród.

- Tak... oczywiście. - Bania usiadła zawstydzona. Zaczerwieniła się i zaczęła drzeć.

- Ależ nie przejmujcie się, towarzyszko! - wykrzyknęła Maria, rozpaczliwie pragnąc oszczędzić biednej istocie upokorzenia. - Ja ciągle o tym zapominam!

- Pamiętanie to nasz obowiązek - odrzekł Czajnik chłodno.

- Nie wolno ci nikomu powiedzieć, co zrobiliśmy - wtrącił przewodniczący. - Rozumiesz? W przeciwnym razie doniesiemy na ciebie do Komitetu, tego drugiego, Wielkiego Komitetu, i wywiozą cię, zanim zdążysz ziewnąć!

- Obiecuję, że tego nie zrobię - zapewniła szybko Maria. - Ale nie powinniście donosić na ludzi. To okropne, nie wypada tak traktować bliźnich.

Przewodniczący Wienik uśmiechnął się, pokazując żółte, nierówne zęby jak u drapieżnej ryby.

- Nie zrozum nas źle. Jesteśmy bardzo mili, gdy masz dla nas śmietanę, herbatniki i buty, ale kiedy nie przynosisz nam niczego, wtedy nie jesteśmy ci nic winni. Partia to cudowny, zachwycający wynalazek i nauczyła nas wielu cudownych, zachwycających rzeczy. Przede wszystkim, że możemy znacznie łatwiej komuś zaszkodzić, składając skargę, niż tłukąc filiżanki.

Maria również zaczęła drzeć i poczuła lodowaty ucisk w żołądku.

- Ależ domowik nie może złożyć skargi...

- Jaki domowik? - Towarzyszka Bania roześmiała się, pokazując zęby. - Jestem Jekaterina Pjakowska.

- A ja Piotr Abramów - dodał ze śmiechem przewodniczący Wienik.

- A ja Gordiej Błodnik - rzekł z kpiącym uśmiechem Czajnik.

- Musimy trzymać długopis we dwóch, ale jakoś dajemy sobie radę. - Domowik Małaszeńków zachichotał.

Wszystkie domowiki śmiały się z Marii, a ich zęby lśniły w blasku świec. Maria Moriewna ukryła twarz w dłoniach.

- Przestań, Wienik! - burknęła Zwonok. - Ty stara paskudo! Wystraszysz ją, a ona jest moja, więc zmykaj do komina! - Jej wąsy drżały ze złości. Wstała ze swojego miejsca, żeby pogłaskać Marię po koszuli. - No, już dobrze, droga Maszo - zagruchała, nazywając ją dawnym pieszczotliwym imieniem. - Jeśli chcesz, posklejam twoją filiżankę. Czy wtedy poczujesz się lepiej?

Jednakże przewodniczący Wienik pochylał się nad stołem, uśmiechając się coraz szerzej, aż w końcu kąciki jego ust zetknęły się gdzieś za uszami.

- Tylko poczekaj - syknął. - Tylko poczekaj. Papa Kościej nadchodzi, nadchodzi, nadchodzi, przez wzgórza, jedzie na swym czerwonym rumaku, ma dzwonki na butach, obrączkę w kieszeni i zna twoje imię, Mario Moriewno.

Maria nie mogła się powstrzymać i krzyknęła. Podmuchi zatrzepotał wąsami domowików.

Zwonok odwróciła się w stronę przewodniczącego.

- Wieniczku, ty jeżowa dupo. Miałaś nie mówić! Warto straszyć biedną dziewczynkę?

- Ależ Zwoni, ja po to żyję, żeby straszyć biedne dziewczynki! Ich łyzy pachną jak najświeższe, najcieplejsze ciastka z wiśniowym dżemem. Oczywiście, że warto!

- Przekonamy się, kiedy przyjedzie Papa - ostrzegła towarzyszka Zwonok.

Domowiki nieznacznie odsunęły się od Wienika, jakby spodziewały się, że na ich oczach obróci się w popiół.

- Sami widzieliście! - zawołała Bania drżącym głosem, podkręcając wąsa, pragnąc naprawić swój błąd. - Nie powiedziałam jej! To Wienik!

- Wszystko zostało zaprotokołowane - odparła ponuro Zwonok.

- Nie rozumiem - rzekła Maria, a łyzy zasyczały jej na policzkach. - Skąd wiecie, jak się nazywam?

- Nie martw się tym teraz, kochana - odpowiedziała wesoło Zwonok. - Już dawno

powinnaś być w łóżku. Chodź, położymy cię spać.

Wszystkie palce u rąk i nóg Marii zdrętwiały. Pozwoliła odprowadzić się od stołu, przy którym zasiadał chichoczący komitet, trzęsąc się, jakby oblano ją wiadrami lodowatej wody z Newy. Domowicha powiodła ją obok posepnego Lenina, który pytał: „A czy ty zgłosiłaś się na pierwszą linię frontu?”. Nagle Maria wpadła w panikę: A jeśli nie uda jej się ponownie urosnąć i na zawsze zostanie tu na dole z goblinami i surowym papierowym Leninem? Bardzo zapragnęła znów zobaczyć przednią stronę pieca i własne łóżko.

- Co on miał na myśli? Kim jest Kościej? - spytała cicho.

- Jesteś bardzo lekkomyślna, Maszo. Staram się na ciebie uważać, mimo że nigdy nie zostawiłaś mi butów ani śmietany, co niezbitie świadczy o mojej szlachetnej duszy, ale ty ciągle zwracasz na siebie uwagę.

- Ależ nie! Jestem taka cicha, że w zeszłym tygodniu bliźniaczki Abramów się o mnie potknęły. - Od czasu incydentu z szalikiem bardzo się starała nie rzucać nikomu w oczy.

- Mario Moriewno! Czy ty o niczym nie wiesz? Dziewczęta muszą pilnie dbać o to, by interesowały je wyłącznie kokardy, żurnale i ślubne obrączki. Muszą oczyścić swoje serca ze wszystkiego poza pocałunkami, teatrem i tańcem. Nie wolno im czytać Puszkina, nie wolno mówić mądrych rzeczy, nie wolno rzucać sprytnych spojrzeń, nosić rozpuszczonych włosów ani spacerować boso, gdyż wtedy zwrócą na siebie jego uwagę! Twoje miejsce jest w domu, u boku męża! Ale teraz już na to za późno! Głupie dziecko, ten dom i ja staraliśmy się dobrze cię wychować!

- Ale kim on jest? - nie ustępowała Maria, choć przecież znała to imię. Nie dawało jej ono spokoju i przyciągało.

Jednakże Zwonok milczała, zaciskając pięści ze strachu i złości. Kiedy przeszły przez drzwi z wyrzeźbionymi kwiatami i znalazły się w szparze pomiędzy piecem a ścianą, ponownie pociągnęła Marię za koszulę. Maria zakręciła się jak szpula i odniosła osobliwe wrażenie, że jakaś olbrzymia dłoń ciągnie ją w górę za czubek głowy, a jej kości przeciągają się, ziewając. Gdy przestała wirować, zobaczyła, że odzyskała swój normalny wzrost i stoi zwrócona twarzą w stronę pieca. Poczowała się odrobinę rozczarowana. To już koniec. Niezwykła przygoda dobiegła kresu i trwała zaledwie minuty. Maria znów była duża i nie wiedziała, jak długo będzie musiała czekać na kolejny ochłap obnażonego świata.

- Proszę - szepnęła Zwonok. - Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. - Mała domowicha sięgnęła pod czerwoną kamizelkę i wyjęła srebrną szczotkę do włosów, którą dziewczynka widziała pośród rupieci podczas zebrania komitetu. Szczotka zaczęła rosnąć, aż stała się większa od domowichy, ale idealnie dopasowana do dłoni Marii. - Należała do Swietłany

Tichonowny. Wiedziałaś, że w młodości tańczyła w balecie? Towarzysz Stolik często ją przeżywa, ale kiedy Swietłana śpi, przychodzi zwinąć się w kłębek na jej włosach i drzemie obok jej ucha. Mówi, że ona pachnie jak Kijów.

- Nie zauważy, że ją zabrałaś?

- Będę go tłukła po podeszwach stóp, dopóki nie przyzna, że od początku należała do ciebie. Ale nie pokazuj jej Swietłanie. Bardzo chciałaby ją odzyskać.

- Tylko że ja już mam szczotkę do włosów - zaprotestowała Maria.

Zwonok mrugnęła, najpierw jednym, potem drugim okiem. Następnie zakryła dłonią lewe oko i splunęła.

- Ta ci się przyda.

Po czym domowicha podskoczyła na jednej nodze, obróciła się trzy razy i zniknęła.



## Licho nie śpi

W nadmorskim mieście, które z pewnością nigdy nie nosiło tak burżuazyjnej nazwy jak Petersburg, przy długiej, wąskiej ulicy stał długi, wąski dom. Przy długim, wąskim oknie siedziała młoda kobieta w bladoniebieskiej sukience i bladozielonych kapciach i patrzyła, jak do sąsiedniego domu wprowadza się nowa sąsiadka: staruszka kurczowo ściskająca walizkę, spowita w czarną wełnianą sukienkę, niezwykle wysoka i chuda, o tak szczupłej talii, że Maria mogłaby ją objąć dłońmi. Kobieta miała zadziwiająco długie palce, ostry, spiczasty nos oraz białe włosy ściągnięte w ciasny kok. Kulała i garbiła się, ale Maria podejrzewała, że w ten sposób ukrywa swój olbrzymi wzrost.

- To towarzyszka Licho - wyjaśniła jedna z dwunastu matek Marii, cerując starą pończochę. - Bezdietna wdowa. Zapowiedziała, że zajmie się naszym praniem, kochana starowinka. Byłoby miło, gdybyś odwiedzała ją po szkole. Mogłaby cię uczyć i mieć na ciebie oko, gdy ja jestem w fabryce.

Marii to się wcale nie spodobało. W klasie mogła myśleć samodzielnie i nikt jej z tego powodu nie niepokoił - nauczyciele przestali ją wypytywać. Jednakże podczas indywidualnych zajęć nie będzie mogła ukrywać swojego zdania. Surowym wzrokiem popatrzyła na zgarbioną Licho. Starucha przystanąła i popatrzyła w okno, obracając głowę szybko i gwałtownie jak ptak. Jej oczy były czarne i olbrzymie, zupełnie jakby wypłynęły, roztopiły się i ześlizgnęły po policzkach. Miała ostre i kąśliwe spojrzenie. Skrzywiła się, gdy wiśnie obsypały jej czarną sukienkę płatkami kwiatów.

- Nie powinnaś się bać starszych pań - pouczyła Marię kolejna z matek, tak się złożyło, że ta, która ją urodziła. Maria wiedziała, że nie powinna nikogo faworyzować, ale dłonie matki były tak chude, a ich skóra tak wysuszona, że miała ochotę je chwycić i ogrzać, by znów stały się czerwone. - Ty też kiedyś będziesz jedną z nich.

Wdowa Licho popatrzyła w okno Marii. Powoli, jak lód ślizgający się po talerzu, na jej twarzy wypłynął uśmiech.

\* \* \*

Domowiki już więcej nie kontaktowały się z Marią, ona jednak jeszcze tego samego wieczoru starannie ustawiła u szczytu łóżka swoje ulubione buty, czarne, z delikatną czarną

wstążką, po czym do każdego z nich włożyła smakowitego herbatnika. Wszystkie moje najlepsze rzeczy należą do Domu, czyli w zasadzie do Ludu. Poza tym, nie mam potrzeby stroić się jak córka bogacza. Gdy obudziła się rano, butów nie było.

Na ich miejscu stała mała filiżanka w wisienki, nieudolnie posklejana. Kiedy ją podniosła, uszko odpadło.

Każdego wieczoru czesała się szczotką Swietłany Tichonowny. Kolejne pasemka sucho szeleściły, a jej włosy już nie były tak miękkie ani lśniące jak kiedyś, choć jeszcze nie zaczęły wypadać. Być może, dając jej ten prezent, Zwonok zgryźliwie skomentowała stan zużytego drewnianego grzebienia Marii. Nic na to nie poradzę, że mam takie splątane włosy. To dlatego złamały się dwa zęby, pomyślała, pociągając nosem.

Bardzo chciała wysłać wiadomość do Dolnego Domu. Nocami szeptała do rur: „Nienawidzę tego miejsca. Proszę, zabierzcie mnie, chcę stać się kimś innym niż Marią, kimś magicznym, z okrągłym brzuchem. Wystraszcicie mnie, doprowadźcie do płaczu, tylko wróćcie”.

\* \* \*

Mimo że Maria prosiła, by tego nie robiły, wszystkie dwanaście matek każdego dnia po szkole wysyłało ją na lekcje do wdowy Licho. „Weź dla niej kilka ładnych bułeczek; jest stara i nie może stać w kolejce po pieczywo”.

\* \* \*

Maria stała nieruchomo przed drzwiami sąsiadki. Czuła, że duże palce u nóg lepią się jej i sinieją w wytartych butach, a żołądek zaciska. Chciała wrócić do domu. Powinna była wejść za piec i poprosić, by Zwonok albo Czajnik do niej dołączyli. I tak by nie poszli - nigdy nie odpowiadali na jej stukanie - ale przynajmniej poczułaby się lepiej. Nie potrzebowała prywatnej nauczycielki ani opiekunki. Znała algebrę oraz historię i potrafiła wyrecytować z pamięci dwieście wersów Puszkina.

Wdowa Licho otworzyła drzwi i popatrzyła w dół na Marię jak sęp siedzący na gałęzi głogu. Maria niemal się spodziewała, że staruszka otworzy usta i zaskrzeczy jak ptak. Była tak wysoka, że przechodząc przez drzwi, musiała się schylać pod nadprożem. Długimi dłońmi kurczowo ścisnęła futrynę - miała ostre, perłowe paznokcie, które nie były ani odrobinę żółte i nie wyglądały na stare. Chociaż twarz miała pomarszczoną i ogorzałą, dłonie zdawały się młode i jędrne, z pewnością zdolne bez kłopotu pochwycić dziewczę stojące na ulicy.

Wdowa Licho nic nie powiedziała. Odwróciła się i powoli oddaliła korytarzem, a czarna sukienka ciągnęła się za nią jak plama. Odchyliła zasłonę oddzielającą jej pokój od mieszkania następnej rodziny, a Maria wślizgnęła się za nią, żałując, że nie jest niewidzialna,

oraz licząc na to, że stara wiedźma się zdrzemnie, gdy ona będzie czytać, i obudzi dopiero przed jej wyjściem. Położyła wczorajszą rację chleba owiniętą w woskowany brązowy papier na mosiężnym stoliku, którego nogi uskrzydlały rzeźby cherubinów. Wdowa Licho nie tknęła jedzenia. Przypatrywała się tylko Marii z lekko przekrzywioną głową. Splotła dłonie na podołku; były tak długie, że opuszki środkowych palców ocierały się o przedramiona.

- Matka powiedziała, że możecie mnie uczyć, ale jeśli towarzyszka jest zmęczona, to mogę wam coś poczytać do wieczora. Albo zaparzyć herbatę lub przygotować coś innego, co lubicie - wyjąkała nerwowo Maria.

Licho wykrzywiła cienkie blade usta w uśmiechu. Wyglądało na to, że sprawia jej to wysiłek.

- Ja nigdy nie śpiam - odparła, a Maria zadrżała. Głos staruszki był głęboki i szorstki, jak odgłos czarnych obcasów wleczonych po kamieniu.

- Cóż... to pewnie duża oszczędność czasu.

- Lekcje. - Jej głos ponownie powlekł się w poprzek pomieszczenia.

- Nie musicie.

- Wręcz przeciwnie. Lekcje to moja specjalność. - Wdowa Licho przekrzywiła głowę w drugą stronę. - Może zaczniemy od historii?

Starucha odwróciła się, aż zaskrzypiały i zatrzeszczały jej kości, po czym zdjęła z półki dużą czarną księgę. Była tak szeroka, że jej wypolerowane i lśniące krawędzie wystawały poza kolana wdowy. Licho wyciągnęła tom w stronę Marii.

- Czytaj - zagrzmiała. - Mój głos jest taki jak dawniej.

- Chyba chciałyście powiedzieć, że już nie jest taki jak dawniej.

Licho ponownie się uśmiechnęła - w taki sam pusty, nieobecny sposób - jakby przypomniało jej się coś zabawnego, co wydarzyło się przed stu laty.

Maria cieszyła się, że nie musi na nią patrzeć. Otworzyła potężną czarną księgę i zaczęła czytać:

*Liczne były przyczyny Wielkiej Wojny. Przede wszystkim, pilny uczeń musi zdać sobie sprawę, że gdy świat był młody, istniało na nim zaledwie siedem rzeczy: woda, życie i śmierć, sól, noc, ptaki oraz długość godziny. Każda z nich miała swojego cara bądź carycę, a najważniejszymi spośród nich byli Car Śmierci i Car Życia.*

Maria Moriewna podniosła wzrok znad książki.

- Towarzyszko Licho, to nie jest historia Wielkiej Wojny - rzekła niepewnie. - Tej

książki nie zatwierdzono w mojej szkole.

Wdowa zachichotała, co zabrzmiało jak odgłos ciężkiego głazu wpadającego do płytkiej studni.

- Czytaj, dziecko.

Dłonie Marii trzęsły się na czarnej księdze. Jeszcze nigdy nie widziała tak pięknego i bogato wydanego tomu, jednakże wcale nie sprawiał on przyjaznego wrażenia, jakie dawały książki w pokoju jej matki albo w walizkach Swietłany Tichonowny czy Jeleny Grigoriewny.

- „Świat uczy się bardzo powoli” - przeczytała Maria Moriewna.

*Dlatego potrzebował wielu wieków, aby opanować tajniki słońca, ziemi, cukru, długości roku, oraz ludzi. Carowie i caryce wycofali się w zaśnieżone góry. Powodowani wzajemnym szacunkiem, trzymali się na dystans, i nie interesowały ich te nowości, które z pewnością miały się okazać ledwie przelotnymi modami.*

*Jednakże Car Śmierci i Car Życia lękali się siebie nawzajem, gdyż Śmierć wiecznie otaczają dusze, dzięki czemu nigdy nie jest samotna, natomiast Car Życia ukrył swą śmierć w miejscu głębszym niż tajemnica i bardziej tajemnym niż głębia. Caryca Soli nie potrafiła ich pogodzić, mimo że byli braćmi, a Caryca Wody nie była w stanie znaleźć wystarczająco szerokiego oceanu, którym mogłaby ich rozdzielić.*

*Minął czas dłuższy, niżli potrzebują gwiazdy, by zaczerpnąć tchu. Car Śmierci cieszył się takim uwielbieniem swego dworu dusz, że stał się nadęty i dumny. Przyozdobił się onyksami, agatami i hematytami i podarował lodowe bagnety, kościane działa oraz rumaki stworzone z unoszących się popiołów, o oczach i nozdrzach z czerwonych iskier, wszystkim duszom, które umarły w długich, żalonych dziejach świata.*

*Ta wielka armia okryta całunami powiewającymi jak sztandary, przy wtórze szczyku dwunastu mieczy pomaszzerowała przez głębokie śniegi do samotnego królestwa Cara Życia.*

Maria przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że nie może oddychać.

- Towarzyszko Licho, przecież Wielka Wojna rozpoczęła się na skutek zastrzelenia arcyksięcia Ferdynanda, a Zachód zdeptałby szlachetne słowiańskie narody, gdybyśmy nie zareagowali.

Licho przygryzła policzek.

- Mądre z ciebie dziecko - powiedziała.

- Każdy wie, że to nieprawda.

- Skoro jesteś taka mądra i wszystko wiesz, to po co mnie wezwałaś? Maria

wyprostowała się na krześle. Czarna księga zaczęła się niebezpiecznie ześlizgiwać z kolan, ale jej nie łapała.

- Ja? Wcale was nie wezwałam! Jesteście wdową! Przydzielono wam lokal!

- Masz takie długie i zadbane włosy. - Wdowa Licho westchnęła, zupełnie jakby Maria w ogóle się nie odezwała. Jej oddech zagrzechotał jak kości w kubku. - Jak ci się udaje tak nad nimi panować?

- Mam... mam srebrną szczotkę. Kiedyś należała do pewnej baleriny...

- Taaaaak - odrzekła starucha, przeciągając to słowo coraz dłużej, aż jego koniec strzelił jak pęknięta lina. - Swietłana Tichonowna. Pamiętam ją. Była niewyobrażalnie piękna. Miała włosy koloru wody w zimie i takie delikatne kości! Prawie nie miała piersi. Gdy tańczyła, mężczyźni się zabijali, wiedząc, że nigdy więcej nie zobaczą takiego piękna. W Kijowie miała czterech kochanków, a każdy był bogatszy od poprzedniego, lecz jej serce było tak zimne, że mogłaby włożyć w usta kawałek lodu, a ten by się nie rozpuścił. Wszyscy mogliśmy się od niej uczyć. Aż pewnego dnia, w Nowy Rok, jej drugi kochanek, który posiadał fabrykę kosmetyków oraz flotę okrętów wielorybicznych zbierających ambre na perfumy i szminki, które były tak czerwone, że pozostawiały ślady w polu widzenia, podarował jej srebrną szczotkę do włosów ze szczeciny dzika. Któż wie, gdzie ją znalazł? Może kupił ją od jakiejś przygarbionej i chudej domokrażczyni, która była ubrana w czarną sukienkę i ciągnęła za sobą wózek po drodze wysadzonej modrzewiami? Swietłana była zachwycona tą szczotką; och, jak bardzo! Im więcej czasu spędzała na szczotkowaniu swych białych włosów, tym straszniejsze i piękniejsze się stawały. Dlatego pozwalała, by jej kochanek nieustannie ją czesał, a ja usłyszałam szelest pasemek ponad śnieżną granicą. Przybyłam do niej natychmiast, nie traciłam ani chwili. A gdy występowała przed córkami cara, wstążki na jej butach były nieco poluzowane - różnica była nieskończenie mała - przez co upadła i złamała piętę. Jej czterej kochankowie ją porzucili, gdyż już nie potrafiła tańczyć tak, by pragnęli umrzeć. Ale cóż za pech! Okazało się, że jest w ciąży, więc choć lód nie chciał się topić w jej ustach, pośpiesznie wyszła za mąż za pierwszego lepszego murarza, który nie dbał o taniec, po czym wydała na świat czworo dzieci, które zrujnowały jej urodę. Potem jej dom spłonął podczas czystek. To straszne, gdy podobny los spotyka tak cudowną istotę, ale cóż! Takie jest życie, czyż nie?

Maria miała ochotę wybiec z domu, ale nie mogła się ruszyć. Zaschło jej w gardle.

- Kim jesteście? - wyszeptała.

- Powiedz moje imię, córko. Wiesz, kim jestem.

- Wdowa Licho.

- Jak się nazywam, Mario Moriewno?! - ryknęła starucha, a jej czarny głos wykrzywił okna i zagrzechotał książkami na półce.

Maria skuliła się, próbując się wtopić w tło.

- Wdowa Licho! Towarzyszka Licho! Towarzyszka... och. Licho. Pech.

Staruszka się pochyliła.

- Taaaaak - powiedziała ponownie, rozciągając swój głos jak mroczny klej. - A ty masz moją szczotkę. Wezwałeś mnie.

- Nie... nie miałam zamiaru!

- Zamiary się nie liczą - warknęła Licho. Nagle wstała z szybkością, do jakiej nie byłaby zdolna żadna młoda kobieta. Sufit zmusił ją do zgięcia się w pasie, ale plecy miała wyprostowane. Górowała nad Marią, a jej olbrzymie czarne oczy skrzyły się fioletowo. - Ale nie bój się mnie, Mario Moriewno! - Jej głos stał się łagodny i syczący, oddech przypominał odgłos piły. Ujęła twarz Marii w niemożliwie długie dłonie. - Nie mogę cię dotknąć. Nie jesteś przeznaczona dla mnie. Już przygotowano dokumenty, rozłożono jedwabie i słodycze. Wszyscy wiedzą, że mają usunąć się z drogi. Ale wezwałeś mnie, więc musiałam przybyć. Jestem tutaj po to, by cię uczyć i przygotować. Nie ma lepszego nauczyciela bolesnej konieczności niż pech. Obiecuję, że ci się przydam. Zachowaj swój chleb. Zachowaj swoje łzy. One ci nie pomogą, a ty ciężką pracą nauczysz się radzić sobie bez nich. Wracaj do domu. Pogłaszcz matkę po dłoni i pocałuj ojca w policzek. Napij się z potłuczonej filiżanki. - Licho się wyszczerzyła. - Nie zapomnij wyszczotkować swoich pięknych czarnych włosów. Przyjdź do mnie, kiedy słońce się obniży. Przyjdź do mnie i zostań moją uczennicą, ulubienicą i córką.

Maria wybiegła z pokoju. Popędziła długim korytarzem, objając się ręką o ścianę, po czym wypadła na długą, wąską ulicę, ciężko dysząc i płacząc, czując, że jej serce chowa się za żebrami.

Wciąż przyciskała książkę do piersi.

\* \* \*

Każdego wieczoru, gdy słońce kapało czerwonym woskiem do Newy, wdowa Licho stawiała przed domem przy ulicy Dzierżyńskiego i spoglądała w okno Marii. Znów się garbiła i wyglądała jak zwykła staruszka, ale patrzyła w okno jak białowłosy kruk, uśmiechając się niewzruszenie i milcząco, trwając w całkowitym bezruchu.

Maria nie czytała książki. Ukryła ją pod łóżkiem. Zaciskała powieki tak mocno, że bolały ją brwi, i recytowała Puszkina, dopóki nie zasnęła. A na krawędzi snu, na skraju recytowanych strof, czekało na nią czarne przygarbione imię: „Tam Kościej złotem swym się

krztusi”.

\* \* \*

W ten sposób wiosna zmieniała się w lato, a matka Marii, nie ta, która układała ją do snu we wtorki i czwartki, ani nie ta, która gotowała kolację w piątki i środy, ale ta, która nosiła ją przez dziewięć miesięcy, zaczęła odwiedzać wdowę Licho, zawstydzona, że jej córka zachowuje się tak nieuprzejmie i lekceważąco. Maria błagała ją, by tego nie robiła, ale kobiety każdego wieczoru po powrocie matki z pracy pijały razem herbatę i raczyły się kwaśnymi wiśniami z ich drzewa. I chociaż matka Marii nigdy nie była niezdarna ani nieuważna, nagle zaczęła się potykać na schodach, kaleczyć palce drzazgami, gubić lewe buty. Praca w fabryce amunicji szła jej coraz gorzej, przegapiła wadliwe pociski na linii produkcyjnej i dwukrotnie została upomniana.

Maria podejrzewała, dlaczego tak się dzieje, ale za każdym razem, gdy wydawało się jej, że ma dosyć odwagi, by ponownie porozmawiać z wdową, straszliwa wizja pochylonej staruchy wypełniała jej serce i cierpła jej skóra. Czy wszystkie magiczne istoty mają zęby? Świat bardziej się jej podobał, gdy zsyłał słodkie ptaszki i słodkich mężczyzn. Licho ją przerastała. Umysł Marii nie potrafił dotknąć tej ciemności. Jej ciało zamierało i nie pozwalało działać, mimo że każdego dnia matka wyglądała na coraz bardziej zmęczoną. Pewnego dnia dziewczyna zebrała w sobie całą odwagę i dotarła aż do drzwi, ale gdy tylko musnęła palcami gałkę, potwornie zwymiotowała, jakby jej żołądek pozbył się wszystkiego dobrego, co kiedykolwiek zjadła i chciała zachować.

Czy to magia, czy może po prostu jestem słabą, głupią i tchórzliwą dziewczyną? Maria nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, i sztywniała ze wstydu, sprzątajac wymiociny z dywanu.

Aż wreszcie w czerwcu matka Marii potknęła się o pęknięcie w chodniku i złamała nogę w kostce. Gdy dochodziła do siebie w wielkim, wysokim domu (który powoli stawał się coraz większy i wyższy), gęste powietrze osiadło w jej płucach i zaczęła kaszleć pyłem, straszliwie hałasując w nocy. Wtedy strach Marii ustąpił jak gorączka.

\* \* \*

- Przyszłam! - wrzasnęła Maria Moriewna w głąb dziwnie pustego domu wdowy Licho. Żadna inna rodzina nie powitała jej ani nie kazała jej się uciszyć. - Słyszysz? Przyszłam! Przyniosłam książkę! Zostaw moją matkę w spokoju!

Licho dyskretnie pojawiła się w korytarzu i odwróciła głowę w stronę Marii, nie przemieszczając reszty długiego czarnego ciała.

- Niczego nie zrobiłam twojej matce, dziecko. To taka miła kobieta, wieczorami

przynosi staruszce herbatę i słodycze! Jaka szkoda, że jej córce brakuje manier.

- Jesteś Pech, znam cię! To twoja wina, że złamała stopę, że kaszle, i to będzie twoja wina, kiedy straci pracę w fabryce! - Maria dygotała. Miała wrażenie, że zaraz znów zwymiotuje, ale wściekle zagryzła wargi, zmuszając swoje ciało do posłuszeństwa.

Licho rozłożyła długie białe dłonie.

- Jestem tym, kim jestem, Mario Moriewno. Nie możesz gniewać się na piec za to, że ogrzewa dom. Po to go zbudowano.

- Przyszłam do ciebie i proszę, żebyś dała jej spokój.

- To miłe z twojej strony, że odwiedzasz starą babkę, ale naprawdę nie ma takiej potrzeby. Już za późno, czas minął.

- Za późno na co? Co się dzieje? Skąd domowiki znają moje imię? Proszę, powiedz mi!

Licho roześmiała się chrapliwie. Jej śmiech odbił się od lampy w salonie, rozsadzając żarówkę.

- Gdy świat był młody, znał tylko siedem rzeczy. Jedną z nich była długość godziny. Wielka szkoda, że mała Maria tego nie wie. Miałaś godzinę na naukę na moich kolanach, a godzina, jeśli tego zapragnę, może trwać całą wiosnę. Ale godzina już wybiła. On nadchodzi, a ja odchodzę. Staramy się nie wchodzić sobie w drogę. Rodzinne spotkania bywają krępujące.

Myśli kłębiły się w głowie Marii. Piekły ją policzki. Czarna księga grzała ją w ręce.

- Jesteś Carycą Długości Godziny.

- Pech zawsze polega na idealnym wyczuciu chwili - odparła Licho z uśmiechem.

- Kto nadchodzi? - spytała Maria Moriewna błagalnie. Czyżby car z wiersza? Ale to tylko opowieść... chociaż tak samo było z domowikami, a przecież istnieją. Nie potrafiła tego ogarnąć. Brakowało jej istotnych informacji i była wściekła z tego powodu. Czuła się lepiej, gdy wiedziała coś, z czego nie zdają sobie sprawy inni. - Powiedz mi! - Próbowała rozkazywać wdowie, grzmieć na nią i wyglądać na większą niż była w rzeczywistości.

Ale Licho tylko zadrżała i złożyła się jak walizka, a jej czarna sukienka zmieniła się w futro wysokiego charta o zapadniętych żebrach i ciemnym brzuchu. Pies szczeknął, tak głośno, że Maria zakryła uszy, po czym zniknął przy wtórze trzasku i grzmotu.



## Kto będzie rządził

W nadmorskim mieście, przy długiej, wąskiej ulicy stał długi, wąski dom, a w nim przy długim, wąskim oknie siedziała Maria Moriewna w roboczym ubraniu i płakała, wale nie patrząc na drzewa pokryte liśćmi. Zimowy księżyc zaglądał w jej okno, głaszcząc ją po włosach srebrną dłonią. Miała szesnaście lat, a cień siedemnastego roku ciążył na jej każdej łzie. Była już na tyle duża, by pracować po szkole i mieć zmęczone ciało, a także wiedzieć, że coś bezpowrotnie ją ominęło.

Gdyby wyjrzała przez okno, mogłaby zobaczyć wielką sędziwą czarną sowę siedzącą na zielono-czarnej gałęzi dębu. Mogłaby zobaczyć, jak sowa niebezpiecznie się pochyła i, nie spuszczać wzroku z okna Marii, ciężko upada - łup, trach! - na chodnik. Zobaczyłaby, jak po odbiciu się od ziemi ptak staje na nogach i zmienia się w przystojnego młodzieńca ubranego w elegancki czarny płaszcz przyprószony srebrem, krzywiącego usta w półuśmiechu, jakby oczekiwał czegoś straszliwie słodkiego.

Ale Maria Moriewna niczego nie zobaczyła. Usłyszała tylko pukanie do potężnych drzwi z wiśniowego drewna i pośpieszyła otworzyć, zanim hałas zbudzi jej matkę. Stała w progu odziana w fabryczny fartuch, z twarzą bladą od blasku księżycy, a mężczyzna w czarnym płaszczu popatrzył na nią z góry, ponieważ był dosyć wysoki, po czym powoli uklęknął, nie spuszczać z niej wzroku.

- Jestem towarzysz Kościej, zwany Bezsmiertny - odezwał się niskim, niespokojnym głosem. - Przyszedłem po dziewczynę z okna.

Dom przy ulicy Dzierżyńskiego pochylił się i wstrzymał oddech. W kątach kominków domowiki czekały, co odpowie Maria. Ona również wstrzymała oddech. Jej płuca napełniły się tak, że niemal pękały, ale nie mogła wypuścić powietrza.

Co się stanie, gdy to zrobi? Chciała uczynić kilka rzeczy jednocześnie: uciec, krzyknąć, skurczyć się i schować, zarzucić mu ręce na szyję i szepnąć: „Nareszcie, nareszcie, myślałam, że nigdy nie przyjdiesz”, błagać go, by dał jej spokój, zemdleć po kobiecemu i unikać całego zamieszania. Jej rozpalone serce drżało, gwałtownie tłukąc się w piersi, nierówno i niespokojnie. Wziął ją za rękę, a ona popatrzyła na śnieg na jego spodniach i zdziwiła się, jak duże, czarne, bezlitosne, chytre i stare są jego oczy. A jednak sam Kościej

wcale nie był stary. Starszy od niej, ale jeśli miał więcej niż dwadzieścia lat, była gotowa zjeść zasłony. Miał długie, przydymione rzęsy jak dziewczyna, a jego włosy powiewały na wietrze niczym futro dzikiego psa. Maria rzadko uznawała mężczyzn za pięknych, a już na pewno nie myślała o nich tak, jak o siostrach Błodnik czy o sobie w przyszłości.

- Wpuść mnie, Maszo - rzekł cicho towarzysz Bezsmiertelnyj. Ulica wchłonęła jego głos, wsączyła go w śnieg i rozpuściła.

Maria pokręciła głową. Nie wiedziała dlaczego. Chciała, żeby wszedł, ale wszystko było nie tak. Nie powinien nazywać jej zdrobniałym imieniem, nie powinien być klękać. Ona powinna zobaczyć, jak spada z drzewa, powinna być sprytniejsza i bardziej czujna. Powinna zobaczyć, czym był przedtem; nie tak to miało wyglądać. Przysiadając tak blisko niej, zbyt blisko się spoufalał i zachowywał nieco lubieżnie. Już wiedziała, że nie poprowadzi jej ulicą Dzierżyńskiego ani nie kupi jej kapelusza. Jego widok nie napełnił jej, jak gorące powietrze napełnia balon albo wino bukłak, tak jak w przypadku jej sióstr. Zamiast tego miała wrażenie, że Kościej osiadł ciężko w jej wnętrzu jak upadający czarny kamień. Czuła, że ucałowanie go w policzki nie jest bezpiecznym pomysłem. Maria Moriewna pokręciła głową: „Nie, nie tak, skoro nie zajrzałam ci pod skórę, skoro niczego nie wiem, skoro nie czuję się pewnie. Nie ty, którego imię znają moje wszystkie koszmary”.

- Więc zabierz swoje rzeczy i chodź - powiedział Kościej niewzruszony. Jego oczy skrzyły się na mrozie jak odległe gwiazdy zimną nocą. A serce Marii zamarło. Oni właśnie tak mówią. Kiedy przychodzą po ciebie, ponieważ nie jesteś dostatecznie dobra, ponieważ nie jesteś godna czerwonego szalika. „Zabierzcie swoje rzeczy i chodźcie”. Może on wcale nie przypomina mężów jej sióstr.

Jednakże kształt ust towarzysza Bezsmiertelnego zarazem fascynował ją i przyprawiał o mdłości, a tak działała na nią tylko magia. Jego wargi lśniły na zmianę jasno i ciemno, były miękkie i miały kształt serca. Patrząc na niego, czuła, że tak naprawdę go nie widzi, lecz dostrzega tylko te rzeczy, które odróżniają go od człowieka, wykuintność oblicza i dostojność zachowania. Mimo że ją przerażał, mimo że śpiący dom poruszał się wokół niej, niewątpliwie śniąc o tej istocie, którą domowiki nazywały Papą i której bały się, jakby miała przyjść z pasem, Maria czuła, że go zna, że Kościej już jest jej częścią i przypomina ją nawet kształtem ust i wygięciem rzęs. Gdyby w wolnym czasie robiła sobie na drutach kochanka zamiast ubranek dla synka Anny, powstałby właśnie mężczyzna, który przed nią klęczał, wliczając nawet widmowe plamki srebra we włosach. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że pragnie tych wszystkich rzeczy, że woli ciemne włosy i nieco okrutną twarz, że chce mężczyzny wysokiego, a klęczący może przyprawiać ją o dreszcze. Upodobania gromadzone

przez całą młodość w jednej chwili skryzalizowały się w jej umyśle, a Kościej Bezsmiertny o rzesach pokrytych śniegiem stał się ideałem.

Maria zadrżała, po czym, nie myśląc wiele, cofnęła rękę trzymaną przez mężczyznę w eleganckim czarnym płaszczu i wycofała się w głąb domu. Przyszedł po nią, z dobrymi lub złymi zamiarami, nie miała nic do powiedzenia. „Kiedy po ciebie przyjdą” - ostrzegła ją kiedyś matka - „będziesz musiała odejść. Twoje pragnienia się nie liczą”.

Zabrała z szafy w przedpokoju cudzą walizkę - być może był to pierwszy skromny grzech na jej sumieniu. Nie miała wielkiego dobytku, ale schowała kilka sukienek, ubranie robocze, szarą czapkę. Zamarła, niepewnie przypatrując się walizce, jakby chciała sama się do niej schować. W końcu mocno zamknęła oczy i delikatnie umieściła pod ubraniami wielką czarną księgę wdowy Licho. Zamykane zatrzaski cicho klapnęły.

Nagle na wieku walizki pojawiła się domowicha Zwonok. Miała nowe, wypolerowane buty i pięknie naoliwione wąsy.

- Nie pójdę z tobą - rzekła ponuro skrzatka. - Na pewno to rozumiesz. Jestem poślubiona domowi, a nie tobie. Nie poszłabym nawet, gdybyś wyszła na pole, podarowała mi baletki i mnie przywołała.

Maria pokiwała głową. Mówienie nagle stało się ogromnie trudne. Ale Zwonok przynajmniej знаła tego mężczyznę; był demonicznym królem domowików i zapewne czymś jeszcze, a nie oficerem, który przyszedł, by zabrać ją w nieznaną.

- Pożegnasz się chociaż z matkami?

Maria pokręciła głową. Co mogła powiedzieć? Jak mogła im to wyjaśnić? Nie potrafiła tego wytłumaczyć nawet sobie. „Matko, przez całe życie czekałam, aż coś się wydarzy, a teraz, gdy tak się stało, odchodzę, mimo że to coś wypaczonego, a ja chciałam być dużo lepsza od swoich sióstr”.

- Ależ okropną pannicę wychowałam! Ale rozumiem, że jeśli nie spytasz ich o pozwolenie, to nie będą mogły odmówić. To logika w naszym stylu. - Domowicha nakazała Marii gestem, by kucnęła, żeby mogły porozmawiać twarzą w twarz, na tym samym poziomie. - Ale jeśli nie twoja matka, to kto ci powie, jak się zachować w noc poślubną? Kto wplecie kwiaty w twój ślubny wianek?

Maria wydobyła słowa odpowiedzi z głębi swojego ciała.

- Nie wychodzę za mąż - wyszeptwała.

- Oho! Łatwo powiedzieć, dziewczeczka, ale trudniej utrzymać dom w całości, gdy wilk bębni ogonem w trawie. Posłuchaj, Maszo. Posłuchaj starej Zwonok, która cię zna. Domowiki żenią się i wychodzą za mąż tak samo jak chłopcy i dziewczęta. Ukłuj się igłą w palec i

pozwoł krwi skapnąć na swój próg, wtedy będzie mniej bolało i przyśnią ci się córki. Mężczyznom jest dużo łatwiej niż nam. Musisz przygotować dla niego miejsce, zarówno w domu, jak i w swoim ciele. Ale nie zapomnij zostawić kilku pokoi tylko dla siebie, szczelnie zamkniętych. A jeśli nie chcesz, żeby ci urósł brzuch... No cóż... - Zwonok zmarszczyła szeroki nos - ...nie sądzę, żeby dla ciebie był to tak samo duży kłopot jak dla innych. Nieśmiertelni nie potrafią grać w nasze genealogiczne gierki. Tylko pamiętaj, że najważniejszą kwestią w domu jest to, kto będzie rządził. Reszta to tylko chodzenie na palcach i unikanie tego tematu.

Zwonok poklepała Marię Moriewnę po policzku swoją małą dłonią.

- Ach! Moje serduszko! Przestrzegałam cię przed czytaniem Puszkina! Wybrałabym dla ciebie kogoś innego, gdyby to ode mnie zależało. Życzyłabym sobie dla mojej Maszy innego życia, zamiast męża, który przystawi się do twojej piersi jak niemowlę, wysysając z ciebie twój ładny głos i twoje zwyczaje, aż staniesz się wyschnięta i grzechocząca. Ale widzę, że tobie on już się spodobał. Mimo że pokazaliśmy zęby i wyraźnie daliśmy ci do zrozumienia, że jest podstępny. To nie twoja wina. On staje się pięknym, żeby zachwycać dziewczęta. Ale jeśli koniecznie chcesz być najmądrzejsza, to rzeczywiście taka bądź. Bądź też dzielna. Spij z zaciśniętymi pięściami i mów prawdę prosto w oczy. - Towarzyszka Zwonok wzruszyła ramionami i westchnęła z cichym gwizdnięciem. - Przemawia przeze mnie samolubstwo! Muszę się pogodzić ze stratą tego, co najlepsze w moim domu.

Domowicha wstała i mocno ucałowała Marię w czubek nosa. Potem wykonała krótki taniec, szorując nogami po podłodze, i dotknęła palcem własnego nosa.

- Kto będzie rządził - syknęła, po czym zniknęła.

Maria zamrugała. Łzy kapały jej z oczu jak malutkie twarde koraliki. Jej nogi, wbrew woli, chciały się wyprostować i zaprowadzić ją do drzwi, do towarzysza Bezsmierznego, który wciąż klęczał na zimnie jak rycerz. Maria wiedziała, że niczym nie rządzi. Niczym ani nikim.

\* \* \*

Maria Moriewna wybiegła na ulicę Dzierżyńskiego, która kiedyś była ulicą Komisarską, która kiedyś była ulicą Grochową, z rozpuszczonymi długimi czarnymi włosami i zaczerwienionymi policzkami, wydmuchując mgiełkę oddechu. Śnieg chrzęścił pod jej butami. Towarzysz Bezsmiertny uśmiechał się do niej, nie pokazując zębów. „Ptaki nie skrzywdziły moich sióstr”, powiedziała Maria do swojego rozszalałego serca. „Ale on nie jest ptakiem”, odpowiedziało serce. „Nie byłaś ostrożna, nie zobaczyłaś”. Otworzył drzwi długiego czarnego samochodu, smukłego i pełnego krągłości, jednego z tych, jakie Maria czasami widywała na ulicy, a które zawsze wywoływały nieprzychylnie komentarze jej

sąsiadów utyskujących na zepsucie klasy kupieckiej. Samochód warczał i parskał, a otwory wentylacyjne łypały złowrogą czerwienią. Maria z ulgą wsiadła, ciesząc się, że wreszcie znalazła się w samym środku magii, zamiast patrzeć na nią przez okno. Już nigdy nie będzie musiała słuchać, że przyjdzie po nią coś mrocznego; to coś właśnie przybyło, jest piękne i jej pragnie. Gdy zamkną się drzwi, nie będzie mogła zmienić zdania. Ach, zamknęły się, już nic nie poradzę. Drżała na tylnym siedzeniu. W samochodzie było zimno jak w lesie, a ona zapomniała swojej futrzanej czapki.

Maria lekko się wzdrygnęła, gdy towarzysz Kościej wślizgnął się do auta i usiadł obok niej. Samochód pozbawiony kierowcy ruszył ulicą z rykiem, jękiem i piskiem. Kościej odwrócił się, ujął Marię za podbródek i pocałował - nie w policzek, nie czysto ani nie lubieżnie, lecz chciwie, pełnią twardych, zimnych, szczypiących i mądrych ust. Tym pocałunkiem pochłonął jej oddech. Maria miała wrażenie, że połknie ją całą.

## 6

### Uwiedzenie Marii Moriewny

Czarny samochód znał lasy dobrze niczym dzik. Węszył pod brzoza białymi jak kości, nisko i jęklonie trąbił, jakby nawoływał inne zwierzęta kryjące się w poprzecinanych sosnami cieniach. Maria Moriewna drżała, słysząc ten dźwięk, ale wtedy Kościej mocniej ją obejmował i splatał ich dłonie.

- Będę cię trzymał - powiedział cicho głosem słodkim jak czarna herbata. - Ze mną nie zmarzniesz. - Jednakże jego skóra pokryła się szronem, a paznokcie lśniły perłowo.

- Towarzyszu, jesteście zimniejsi ode mnie - odezwała się Maria. - Boję się, że wasze ciało mnie zamrozi.

Kościej przyjrzał się jej, jakby była niezwykle osobliwym stworzeniem, skoro tak bardzo pragnęła ciepła. Jego ciemne oczy władczo błędziły po jej twarzy, ale jej nie puścił. Jego ciało stało się jeszcze zimniejsze, aż w końcu Maria miała wrażenie, że przywarł do niej słup lodu, który wysyła srebrzyste macki, by ją do siebie upodobnić.

Tej pierwszej zimnej i bezchmurnej nocy czarny samochód zarządził, parsknął i zakrzuszył się triumfalnie, gdy wjechali na polanę, na której stał niewielki domek o oknach promieniujących czerwonym blaskiem, łukowato wygiętym okapie nakrytym świeżą słomą i zapraszająco otwartych drzwiach. Była to wiejska chata, która w ogóle nie przypominała jej wysokiego, wąskiego domu, niska i sympatyczna jak babcia, z brązowym kominem, z którego unosił się dym. Kościej pomógł drżącej Marii wysiąść, po czym czule poklepał samochód po błotniku, a wtedy auto wesoło podskoczyło i odjechało w ciemność.

W domu czekała gotowa kolacja. Na grubym drewnianym stole lśniły świece i elegancka zastawa, a na niej leżały chleb, marynowana papryka i wędzona ryba, knedle, buraki w occie i kasza gryczana, grzyby i grube wołowe ozorki, a także bliny z małymi kopczykami kawioru i śmietany. Zimna wódka pociła się w kryształowej karafce. Gulasz z gęsi wrzał nad paleniskiem.

Maria chciała zachować się grzecznie, ale widok tak dużej ilości jedzenia ją oszołomił. Rzuciła się na chleb i rybę jak dzikie zwierzątko.

- Zaczekaj, *wołczica* - odezwał się Kościej, unosząc dłoń. - Ty mała wilczyco! Proszę, usiądź przy moim stole, strzepnij śnieg z włosów. Nikt ci nie odbierze posiłku.

Maria zaczęła przeproszać i wyjaśniać, że w Piotrogradzie było mało jedzenia, a jej żołądek przypomina pustą zaciśniętą pięść.

- Towarzyszu, jestem taka głodna...

- Dzisiaj nie musisz się odzywać, Mario Moriewno. Przyjdzie jeszcze na to pora, a wtedy zawisnę na twoich słowach jak skazaniec. Ale teraz mnie posłuchaj i zrób to, co mówię. Wiem, że to dla ciebie trudne, w końcu nie wybrałbym cię, gdybyś była cicha i pokorna! Ale razem dokonamy czegoś niezwykłego. Wiesz, co to takiego? Powiem ci, żebyś później nie mogła mi wyrzucać, że cię oszukałem. Usuniemy wolną wolę z twoich ust, ponieważ tam jest jej siedziba, a potem ściśniemy ją między naszymi dłońmi jak kawałek ciasta, aż stanie się tak mała, że zmieści się w uchu igły, która kryje się w jajku, które kryje się w kurze, która kryje się w gęsi, która kryje się w jeleniu. Kiedy skończymy, ofiarujesz mi swoją wolę, a ja ją dla ciebie przechowam. Mam w tym dużą wprawę. Można powiedzieć, że jestem geniuszem. Ty jednak... - Kościej nalał jej wódki. Wsączyła się do kieliszka jak muzyka. Gardło Marii było tak wyschnięte i spragnione, że jego ścianki się zlepiły - ...jesteś nowicjuską. Nawet mniej niż nowicjuską. I jak każda grzeczna nowicjuszka musisz zapomnieć o dumie.

Kościej uniósł kieliszek. Maria również, powoli i niepewnie. Lekko drżała jej ręka. Nie lubiła, gdy się jej rozkazywało. Chciała powiedzieć sto, tysiąc różnych rzeczy. Chciała się na niego rzucić i zażądać, żeby wszystko wyjaśnił: Licho, domowiki, ptaki, jej całe życie. „Muszę się dowiedzieć, muszę, w przeciwnym razie będziesz mną rządził aż do końca, ponieważ wiesz to wszystko, a ja nie”. Kościej jednak tylko się do niej uśmiechnął zachęcająco, życzliwie, szczerze jak ikona.

- Za życie - powiedział, po czym wypił wódkę jednym długim haustem. - No dobrze. Na początek polecam kawior. Wiem, że wolałabyś go zostawić na koniec i rozkoszować się oczekiwaniem, ponieważ wiele czasu minęło, odkąd kosztowałaś czegoś takiego. Ale chciałbym cię nauczyć, żebyś wszystkim się rozkoszowała i wszystko pożerała, zaczynając od rzeczy najbardziej wykwintnych, ponieważ ci się należą. Czytałaś Puszkina; co o mnie napisał stary Aleksiej? „Tam Kościej złotem swym się krztusi”. Tfu! Temu chłopcu przydałoby się strzyżenie. Ale Mario, Maruszo, ja rzeczywiście krztuszę się swoimi bogactwami! Wśród nich są jajeczka jesiotra lśniące jak sterty onyksów, ampułki z wódką migoczącą jak diamenty, buraki ciężkie i czerwone jak granaty, a także piękne dziewczęta z Piotrogradu, które siedzą w moim domu, milczące jak złoto, ponieważ je o to poprosiłem, a to najśłodszy rodzaj milczenia. W ciemności ja sam krztuszę się swoimi bogactwami, moim nieprawdopodobnym skarbem.

Piękne dziewczęta? Maria zwróciła uwagę na liczbę mnogą. Czy przed nią były inne? Na usta cisnęły się jej kolejne pytania, ale je powstrzymywała i zachowywała spokój. Jeśli mi się uda, myślała, być może zasłużyć na odpowiedzi.

Kościęj ukroił grubą kromkę chleba. Skórka chrupnęła pod nożem i kromka upadła, wilgotna i ciężka, czarna jak ziemia. Jednym pociągnięciem ostrza posmarował ją zimnym solonym masłem, po czym nałożył trochę kawioru, tworząc smugę ciemnych jajeczek na bladeżółtym tłuszczu. Podsunął kromkę Marii, lecz gdy nieśmiało po nią sięgnęła, stanowczo ją powstrzymał. I tak Maria Moriewna siedziała w milczeniu, a Kościęj karmił ją chlebem, masłem i ikrą, które w jej ustach eksplodowały smakiem soli oraz morza. Łzy napłynęły jej do oczu. Jej pusty żołądek śpiewał, wychwalając sutość i obfitość posiłku. Nagle poczuła ulgę, że nie musi się odzywać i prowadzić rozmowy, podczas gdy jej ciało trudziło się łapczywym smakowaniem soli i ciężkiego chleba.

- Teraz buraki, *wolczico*. Najpierw się im przyjrzyj, spójrz, jakie są krwawe, karmazynowe, pozostawiają za sobą ślady, niczym ranne zwierzęta. Wypij łyżeczek wódki i zagryź paprykę; czujesz, jak ocet i wódka mieszają się na języku? To coś wspaniałego. Smak zimny, gdy wszystko jest zamarynowane i zachowane pod szkłem. W tej miksturze możesz poczuć lato, ugotowane i wymoczone w solance, zmumifikowane, nafaszerowane przyprawami, odrodzone na tym stole, w tym miejscu pośród śniegów. A teraz łyżkę kaszy, by ukoić podniecone podniebienie. - Wsunął jej do ust srebrną łyżkę i otarł brodę kciukiem. Maria miała wrażenie, że dotychczas nigdy niczego nie jadła, a na pewno nie zastanawiała się nad tym, co je. Podobało jej się to bardziej niż siermiężna, twarda magia wdowy Licho. Ta magia ją napelniała, aż od sytości rozboleł ją brzuch. - Gdy będziesz połykała krowi ozór, pomyśl przez chwilę, jak dziwne i święte jest spożywanie języka innej istoty. Okradanie jej z możliwości mówienia, ryczenia do księżycy, nawoływania swojego cielęcia. Żeby być godną takiego pokarmu, musisz starannie strzec swoich słów, wypowiadać tylko te mądre i sprytne, w przeciwnym razie twój język również trafi na talerz jakiegoś bogacza. Oczywiście, Partia uczyniła bogaczy zbędnymi, ale oto druga lekcja, którą chciałbym ci dziś przekazać: W tym mieście gobliny obradują nad podziałem jednego ziemniaka, ale silni i okrutni nadal siedzą na wzgórzu, piją wódkę, noszą czarne futra i chłopcą barszcz całymi wiadrami jak krew. Dzieci zdzierają skarpetki, maszerując w szlachetnych paradach, ale Papa nigdy nie odmawia sobie wina do kolacji. Dlatego lepiej być silnym i okrutnym niż sprawiedliwym. Dzięki temu przynajmniej jada się lepiej. A moralność w większym stopniu zależy od stanu żołądka niż od stanu państwa.

W ten sposób Maria Moriewna godzinami jadła kolację. Oszołomiona blaskiem ognia,



pijana treściwym rosołem i niskim, nieubłaganym głosem Kościeja, głosem jak czarna herbata, który unosił się i opadał na podobieństwo ballady, usypiając ją, przyciągając, głaszcząc. Jej umysł trajkotał, skoro nie mogły tego robić usta: „Jaki ptak kryje się pod twoją skórą? Czy rzeczywiście jesteś Papą, o którym opowiadały domowiki? Bratem wdowy Licho? Nie dam się nabrać, że nosisz nazwisko Bezsmiertelny! Licho nauczyła mnie, że imiona są nieistotne! Kościej Nieśmiertelny, właśnie to oznacza twoje miano, i to musisz być ty. Ale co z tego wynika dla mnie? Co ze mną zrobisz?”.

Jednakże nie powiedziała nic z tego na głos. Ulegała usypiającej, łatwej rozkoszy bycia karmioną i słuchania w milczeniu. Czuła się jak dzika leśna istota, prawdziwa *wółczica*, mała wilczyca, przyprohwadzona do domu, wyszczotkowana, wygłaskana i nakarmiona, aż uznała, że najbardziej naturalną rzeczą na świecie będzie drzemka przy kominku. Wyjrzała przez małe okrągłe okno chatki i wydało jej się, że w nierzeczywistym, zadowolonym blasku widzi nie długi samochód, ale olbrzymiego czarnego konia, który pochylał się nad żłobem pełnym lśniących czerwonych węgli i przeżuwał je z namysłem. Iskry sypały się z jego aksamitnego pyska.

W końcu Kościej umieścił na jej języku łyżeczkę kwaśnej konfitury z wiśni i poleciał, by przesączyła pitą herbatę przez grudkę owoców. Kiedy przełknęła, pocałował ją, a ich usta były ciepłe i słodkie od herbaty i wiśni, po czym Maria Moriewna zasnęła w jego ramionach, wciąż złączona z nim pocałunkiem.

\* \* \*

W środku nocy obudziła się z ogniem w brzuchu, i widząc, że Kościej śpi jak kamień, pośpiesznie wyszła z chatki, by zwymiotować całą cudowną kolację na zmarzniętą ziemię. Próbowwała zrobić to po cichu, by nie dowiedział się, że zmarnowała wszystkie wspaniałości, które dla niej przygotował. To nie moja wina, myślała z wściekłością, nie mogąc się odezwać nawet teraz, gdy już spał. Żołądki przyzwyczajone do suchego chleba i solonej ryby nie zniosą tak wykwintnych potraw!

Podniosła wzrok. Wielki czarny koń obserwował ją ze spokojem, a jego oczy świeciły ogniście w ciemności.

Usta wypełnił jej wstyd, kwaśny i gęsty. Zakradła się z powrotem do chatki, cicho jak złodziejka.

\* \* \*

W ten sposób podróżowali, przemierzając po trzykroć dziewięć królestw, po trzykroć dziewięć republik, cały świat, od Piotrogradu po krainę Kościeja. Smukły samochód, który nie potrzebował kierowcy, benzyny ani map, pędził przez dzikie cierniste lasy i zaśnieżone

górskie szczyty przypominające stare kości. W aucie cały czas panował ziąb, niezależnie od tego, jak jasno świeciło słońce na zewnątrz. Marię rozboleły zęby, tak mocno nimi szczękała. Jednakże każdego wieczoru niezmiennie odkrywali nową wesoło rozświetloną chatkę w środku modrzewiowego lasu lub pośród jodeł o igłach ostrych jak brzytwa. Każdego wieczoru czekał na nich zastawiony stół, a pokarmy stawały się coraz bardziej wyszukane, im dalej przemieszczali się na wschód i im głębszy stawał się śnieg. Pieczony łabędź, pierogi nadziewane słodką wieprzowiną i jabłkami, marynowane melony, ciasta i torty z bitą śmietaną. Każdego wieczoru Kościej prosił, by nic nie mówiła, po czym karmił ją swymi długimi, zręcznymi dłońmi. Każdego wieczoru Maria wymykała się do lasu, by zwrócić posiłek, a mięśnie brzucha bolały ją od ciągłego jedzenia i wymiotowania, jedzenia i wymiotowania.

- Winnice, z których pochodzi to wino, zaopatrują także stół towarzysza Stalina - rzekł pewnego wieczoru Kościej z chytrym uśmiechem. - Pamiętasz, co powiedziałem o dzieciach i bogaczach, o tym, kto je pierwszy, a kto ostatni. - Nieśmiertelny skrzywił się, kosztując wina. - Zdecydowanie zbyt słodkie. Towarzysz Stalin boi się goryczy i ma gust jak rozpieszczona księżniczka. Ja cenię gorycz, gdyż rodzi się z doświadczenia. To przywilej tych, którzy żyją naprawdę. Ty także musisz ją polubić. W końcu, gdy zniknie wszystko inne, pozostanie ci tylko ona.

Marii nie spodobały się te słowa, ale lśniące mięso łabędzia i wódka tak czysta, że smakowała tylko lodowatą wodą, sprawiały, że wirowała coraz szybciej, a im szybciej wirowała w jego objęciach, tym więcej sensu miało to, co mówił. A skoro jej ciało nie było w stanie utrzymać tego wspaniałego jedzenia, zachowywała się jeszcze łapczywiej za każdym razem, gdy unosiła do ust łyżkę opiekanych ziemniaków.

Kładł jej na języku miód, galaretkę z gruszek, i brązowy, wilgotny cukier. Poił ją parującą herbatą. I wciąż ją całował, dzieląc się z nią słodyczą i ciepłem. Przed chatką dziwny wysoki koń każdego wieczoru grzebał nosem w żłobie z rozpalonymi węglami, bez zmrużenia oka obserwując jej potajemne cierpienia. Tylko że teraz jego sierść była czerwona, a grzywa przypominała płomienie. Gdy Maria budziła się na swym przepastnym puchowym łożu, we mgle czekał na nich samochód, wydmuchując spaliny. On również nie był już czarny, lecz szkarłatny, jak buraki, jak krew.

Jednakże Maria była tylko dziewczyną, szczupłą i młodą, więc ciągłe przechodzenie z zimnego wnętrza auta do chat rozgrzewanych trzaskającymi płomieniami zaczęło odciskać na niej piętno. Dostała kaszlu, z początku lekkiego, ale wkrótce bolesnego i ostrego. Męczyły ją gorączka i mdłości, przez które w końcu nie mogła tknąć nawet malutkich kandyzowanych

przepiórek ani chałki oblanej morelowym syropem. Musiała odpychać łyżkę od ust, w przeciwnym razie wymiotowała na eleganckie futrzane dywany.

Leżała na podłodze przy kominku w ostatniej z wesołych, usługowych chatek, przyciskając kolana do piersi, pocąc się i dygocząc jednocześnie. Nawet gdyby chciała coś powiedzieć, nie byłaby w stanie. Oczy zaszyły jej mgłą; pokój się rozmywał. Kościej patrzył na nią z góry, a ciemne włosy miał wilgotne od stopionego śniegu.

- Biedna *wolczica* - westchnął. - Tak się śpieszyłem, żeby przywieźć cię do domu. Byłem zbyt niecierpliwy, a ty jesteś tylko człowiekiem. Ale musisz się nauczyć dotrzymywać mi kroku.

Kościej Nieśmiertelny uklęknął u jej boku i rozpiął jej roboczą koszulę. Pomimo gorączki Maria na zawsze zapamiętała to, jak drżały mu palce, gdy zsuwał z niej ubranie, aż pozostała naga przy palenisku, starając się zakryć dłońmi piersi. Jednak Kościej przewrócił ją na brzuch i Maria usłyszała brzęk kieliszków. Uśmiechnęła się, wciskając twarz w miękkie futra. Jej matka to robiła, gdy Maria była malutka. Bańki. Czuła przerażająco znajome ruchy: Kościej ułożył na jej skórze ruble, po czym umieścił na monetach zapalone zapalniczki, tak aby jej nie poparzyły, a następnie zakrył je małymi kieliszkami do wódki, dzięki czemu ciało zostało wessane przez próżnię. Bańki miały wyciągnąć gorączkę, wysssać chorobę z jej piersi. Kiedy Maria była mała, jeszcze zanim przyleciały ptaki, wybuchła wojna, a ulicę przemianowano na Dzierżyńskiego, matka właśnie tak ją leczyła. Kościej szybko rozstawił na jej ciele kilka kieliszków, które brzęczały jak dzwonki na saniach, gdy się poruszała. Wyobrażała sobie, że jest potężnym zwierzęciem, które brnie przez stepy z lśniącymi szklanymi wieżami na grzbiecie, rycząc na wieśniaków, deptając łapami całe lasy. Gorączka czyniła te obrazy wyrazistymi i głośnymi, wyświetlała je przed jej oczami, jakby były rzeczywiste. Jęknęła. Tym razem Kościej się nie odzywał, nie pouczał jej ani nie instruował. Jedyne szeptał, głaszcząc ją po włosach, nazywał *wolczicą*, *miedwieżką*, *koteczką*. Wilczycą, niedźwiedzicą, dziką koteczką.

Następnego wieczoru dymiący samochód nie zatrzymał się przed wiejską chatą pełną jedzenia, tylko przed łaźnią. Nie czekał tam na nich posiłek. Na niewielkim zielonym marmurowym stole zastali czarny słój i równą stertę długich lnianych bandaży, a także butelkę wódki. Kościej ponownie rozebrał Marię, po czym posadził ją na desce. Zaczął masować jej skórę długimi, cienkimi palcami, które nagle rozgrzały się i przestały być lodowate. Szczotkował jej długie włosy setkami pociągnięć. Z każdym ruchem szczotki, suche, kruche, połamane pasma odzyskiwały miękkość i blask, jakby w jądłospisie Marii nigdy nie brakowało jajek ani mleka, i jej włosy nie stały się przez to matowe i postrzępione.

Niemal zasnęła na siedząco, uspokojona szczotkowaniem i wyśpiwywanymi przez Kościeja urywkami smutnych piosenek o kąsających wilkach i nieostrożnych dziewczętach. Gdy jej włosy nabrały blasku, zręcznie zaplótł je w warkocz, po czym położył ją na desce.

Następnie owinął ją bandażami tak szczelnie, że nie było widać ani kawałka skóry. Gdy odpieczętował czarny słoik, w podrażnione nozdrza Marii uderzyła niepokojąca, brutalna woń ostrej musztardy. Tak bardzo się tego lękała, gdy była malutka! Ukrywała każde przeziębienie i katar, ponieważ, gdyby zostały odkryte, matka zaraz wyjęłaby gorczyczniki cuchnące ostrością i chorobą. Maria Moriewna wyobrażała sobie, że właśnie tak pachnie piekło. Kościej rozsmarował musztardę na bandażach. Oczy Marii zasłyły mgłą i zaczęły łzawić, spociła się i w gorączce wołała matkę, Zwonok, Tatianę, Olgę i Annę, swój czerwony szalik, biedną Swietlanę Tichonownę, a w końcu, ciszej niż pozostałych, samego Kościeja. Słyszając swoje imię, zdjął z niej gorczyczniki i mocno ją przytulił.

- Pij, Maruszo. - Cmoknął cicho jak matka i przystawił jej kieliszek do ust. - Twoje płuca potrzebują wódki.

Posłusznie się napiła, zakaszłała, po czym znów pociągnęła łyk.

Wziął ją w ramiona i zaniósł do wanny. Nazywając ją swoim rosomakiem, swoją lwicą, szorował jej skórę szorstką solą aż poczerwieniała, po czym zanurzył ją w gorącej wodzie. Uniósł dłoń z wodą do jej nosa i kazał jej powąchać. Zakrztusiła się i zadławiła, ale go usłuchała, tak bardzo przyzwyczaiła się do jego głosu. Wreszcie Kościej kazał jej wstać i wziął do ręki długą brzożową gałązkę. Maria z zachwytem usłyszała, jak wstrzymał oddech, zanim smagnął witką jej skórę, za pierwszym razem delikatnie, potem mocniej, przerywając tylko na chwilę, by natrzeć ją olejkiem. Początkowo się kuliła, ale wkrótce zaczęła wyginać plecy, chętnie wystawiając się na uderzenia, jakby sam las rozkazywał jej ciału, by się wyleczyło.

W końcu, rozgrzana, obolała i wyczerpana, pozwoliła Kościejowi zaprowadzić się do pieca na drewno, gdzie przygotował dla niej posłanie na ciepłych ceglach. Spała i śniła o londyńskim żurnalu, który hołubiły siostry Błodnik. Gazeta stała się olbrzymia jak korytarz w muzeum. Maria wędrowała po kolejnych stronach, kuląc się obok pięknych wysokich kobiet w efektownych płaszczach i kapeluszach z piórami.

Jedna z nich odwróciła się w jej stronę. Miała na głowie jasnoniebieski turban i trzymała złoty wachlarz.

- W tym roku wszystkie dziewczęta odziały się w swoją śmierć - powiedziała modelka wyniośle. - To idealna propozycja dla prostej wieśniaczki, która chciałaby coś osiągnąć w życiu.

Kobieta wskazała swój turban. W jego zwojach spoczywało kurze jajo, białe i lśniące.

\* \* \*

Kiedy Maria się obudziła, czerwonego samochodu już nie było, a na jego miejsce podjechało białe i lśniące auto o błotnikach wygiętych z łabędzią gracją. Czuła się znacznie lepiej, chociaż bolała ją głowa, a plecy pulsowały w miejscach uderzeń brzozywymi witkami. Jej skóra wciąż promieniowała gorącem i Maria z ulgą oparła się o Kościeja, gdy za oknami przemykał skutny lodem, górzysty świat, jakby pokryty solą w oczekiwaniu na wiosnę.

Ostatniego wieczoru samochód przedarł się przez kamienie i śnieg do kolejnej małej chatki o okapach rzeźbionych jak lukier i grubych czerwonych drzwiach. Kościej wziął Marię na ręce i zaniósł do środka. Gdy sennie uniosła głowę i spojrzała ponad jego ramieniem, zobaczyła, jak biały samochód odjeżdżający ścieżką podskakuje na twardej bryle zlodowaciałego śniegu i zmienia się w olbrzymiego białego konia z grzywą targaną wiatrem. Rumak zarżał radośnie, po czym odbiegł w poszukiwaniu kolacji. Przynajmniej udało mi się zobaczyć, jak samochód się przemienia, pomyślała sennie. Przynajmniej wciąż dostrzegam obnażony świat, nawet jeśli teraz pokazuje mi zaledwie kostkę albo nadgarstek. Przywykła do ciszy, a cisza przywykła do niej. Dla wygody przystała na milczenie i nawet przestała o tym myśleć. Do tego stopnia pograżyła się w zawrotach głowy i ciepłe, że całkowicie straciła czujność.

- Mario, już prawie jesteśmy na miejscu, wkrótce dotrzemy do granic mojego kraju. Muszę cię wyleczyć, ponieważ czeka nas tam wiele pracy.

- Naprawdę czuję się dużo lepiej - zapewniła go bez namysłu.

Oczy Kościeja pociemniały jak wygaszone lampy. Położył ją mniej delikatnie niż zazwyczaj.

- Prosiłem, żebyś się nie odzywała, Maszo - powiedział, a jego głos był napięty jak lina. Zawstydzona Maria umilkła.

Na stole parowała prosta kolacja: liście rzepy, chleb, tłuczony bakłazan i solone pałki kurczaka. Miękkie, łagodne pokarmy idealne dla jej wycieńczonego ciała. Maria wciąż nie mogła dużo jeść.

- To nasza ostatnia noc na osobności, Mario - rzekł Kościej. - Jutro otoczą cię moi krewni oraz służący, i spocznie na tobie wiele różnych obowiązków. Będzie mi brakowało tych samolubnych godzin kradzionych ze wspólnej puli. Ale tak wygląda małżeństwo. Połowę czasu ofiarujemy tym, z którymi nie dzielimy łoża. Zapewne zastanawiasz się, czy tak samo było z twoimi siostrami, które poślubiły swych przystojnych ptasich mężów; czy również zachorowały oraz podróżowały tak daleko i szybko. Wszyscy ci porucznicy to moi

bracia, moi towarzysze, i chociaż nie musieli wieźć swoich żon w tak odległe strony ani nie podróżowali tak wygodnie, także spędzali z nimi czas przy barszczu, wódce i nitkach brzozowych. To taniec godowy, który znają wszystkie ptaki. Żałuję, że nie wyjrzałaś wtedy przez okno, Maszo! Byłem taką piękną sową. Tak mocno uderzyłem o chodnik. Zrobiłem to, żeby cię uspokoić, żeby wszystko potoczyło się tak, jak oczekiwałaś. Oto jak bardzo zależy mi na tym, żeby cię zadowolić. Ale sza! Zagapiłaś się! Może gdybyś mnie wtedy zobaczyła, wszystko potoczyłoby się inaczej. Może to ty kazałabyś mi milczeć. Podjąłem takie ryzyko. Przyznaję, że podniecała mnie możliwość przyłapania. A jednak zachowałem swoją tajemnicę. Musisz się pogodzić ze straconą szansą. Będę dla ciebie okrutny, Mario Moriewno. Moje okrucieństwo zaprze ci dech w piersiach. Ale przecież to rozumiesz, prawda? Masz na to wystarczająco dużo sprytu. Jestem wymagającą istotą. Jestem samolubny, okrutny i wyjątkowo nierozsądny. Ale jestem twoim sługą. Gdy będziesz głodna, nakarmię cię; gdy będziesz chora, zaopiekuję się tobą. Płaszczę się u twoich stóp, korzę się przed twoją miłością i pocałunkami. Dla ciebie jedynej będę słaby.

Maria położyła się na swoim posłaniu obok pieca, a jej nagie plecy czerwieniały jak rubin w blasku ognia. Jakby za sprawą czarów, Kościej wyjął sobie zza ucha jajko, ale nie kurze. Czarne, zdobione srebrem i wysadzone zimnymi brylantami. Maria uśmiechnęła się, ponieważ jej ojciec kiedyś zrobił to samo, gdy nie mogła zasnąć - toczył jajko po jej ciele, by żółtko wyciągnęło wszystkie koszmary z jej serca.

- Jeszcze tego nie rozumiesz. Jeszcze nie. Nie jesteś gotowa. Niewłaściwie obeszlabyś się z moim darem. Ale to nasza ostatnia noc, więc wyciągnę z ciebie wszystkie strachy i proletariackie koszmary. Musisz znaleźć miejsce na nowe lęki. Odnowię cię, uczynię własną rewolucją, nie czerwoną ani białą, ale czarną.

Kościej Nieśmiertelny potoczył jajko po skórze Marii. Poczuła, jak delikatna skorupka trzeszczy w zetknięciu z jej kośćmi, a klejnoty drapią ciało.

Kiedy skończył, gwałtownie ją posadził, przyciągnął do siebie i pocałował. Miał lodowate usta, w których nie było ani śladu aromatu gruszkowej galaretki albo wiśni, ale Maria Moriewna i tak wyczuła słodycz w jego pustym pocałunku. Nagle słodycz zniknęła i jej usta przeszył ból. Kościej ją ugryzł. Popatrzyła na niego urażona, unosząc dłoń do warg. Na palcach pozostała krew. Usta Kościeja także były nią umazane. Jego oczy iskrzyły i lśniły.

- Kiedy każę ci coś zrobić, musisz mnie słuchać. Nie ma znaczenia, czy tego chcesz. Chodzi o wolną wolę, która kryje się w twoich ustach, i o jajko na twoich plecach.

Maria znieruchomiała; świat tańczył jej przed oczami; jej wargi pulsowały gorącem w miejscu, w którym skaleczyły ją długie, cienkie zęby Kościeja. Czowała, że balansuje na czubku

igły. Jeśli pozwolę mu to zrobić, na co jeszcze się zgodzę?

Na wszystko, wszystko, wszystko.

Kościej Nieśmiertelny otarł jaskrawą czerwień z warg, po czym zerknął na swój palec. Uniósł dłoń do ust i z wahaniem posmakował krwi, nie spuszczać wzroku z Marii, jakby czekał, aż go powstrzyma.

## **Część druga**

**Spij z zaciśniętymi pięściami i mów prawdę  
prosto w oczy**



*Śmierci nie ma.*

*Każdy to wie.*

*Powtarzanie tego stało się niesmaczne.*

Anna Achmatowa

## Kraina Życia

*Gdzie leży kraina Cara Życia? Kiedy świat był młody, siedmioro carów i caryc podzieliło go między siebie. Car Ptaków wybrał powietrze, chmury i wichry. Caryca Soli wybrała miasta pełne krzątania i nieustającego pośpiechu. Car Wody wybrał morza i jeziora, zatoki i oceany. Caryca Nocy wybrała wszystkie mroczne miejsca i miejsca pomiędzy, przedśionki oraz cienie. Caryca Długości Godziny wybrała na swoje terytorium smutek i nieszczęście, więc jej kraina jest wszędzie tam, gdzie ktoś cierpi. O to, co pozostało, spierali się Car Życia z Carem Śmierci. Przez jakiś czas zadawały ich spory o pojedyncze drzewa, kamienie i strumyki, okładanie się kosą, której Śmierć używa do ścinania wszystkiego, co żyje, i młotem, który dźwierży Życie, aby budować użyteczne i piękne przedmioty, takie jak ogrodzenia, kościoły czy destylarnie. Jednakże Życie i Śmierć są braćmi i dorównują sobie ambicją.*

*Wkrótce ich rywalizacja ogarnęła całe miasta, rzeki (które nie należały do żadnego z nich, ale neutralność nie stanowiła ochrony), prowincje i morskie przyczółki, aż w końcu rozlała się na cały świat. Jeśli tylko w jakimś miasteczku stał ceglany spichlerz i znajdowało się pół główki kapusty do podziału, Car Śmierci natychmiast przybywał ze sztandarami białymi jak kości i doprowadzał to miejsce do ruiny jednym tupnięciem. Jeśli jakąś wioskę spustoszyła zaraza lub wojna, na ulicach stały włócznie z nabitymi czaszkami, a krew zatruta studnie, wtedy w rynsztokach pełnych odpadków wyrastały zielone pędy, a ostatej ocalałej kobiecie rósł brzuch. Pomiędzy carami nie mogło być zgody.*

*W końcu, gdy już podzielili między siebie każdy cal gruntu, pozostały tylko jałowe ił i glina. Wtedy góry wypchnęły na powierzchnię żelazo i miedź, a sprytna Caryca Soli nauczyła ludzi konstruowania najbardziej tajemnych mechanizmów, ponieważ to ona z całego rodzeństwa najlepiej znała się na cywilizacji, na rzeczach, które się nie rodzą, lecz są budowane. Tak powstały krosna, młockarnie, pługi i fabryki, piece, strzykawki i oddziały sanitarne, pociągi i dobre buty. Car Życia triumfował, a na świat przychodziły kolejne dzieci.*

*Jednakże Car Śmierci jest przebiegły. Wkrótce krosna zaczęły odgryzać palce tkaczek, dym odbierał oddech, a potężne fabryki wypluwały nie tylko buty, ale także materiały wybuchowe, hełmy i broń automatyczną. Mieszkańcy miast zabierali z wiosek ziarno i*

*przechowywali je w wielkich skarbcach, gdzie gniło, podczas gdy oni kłócili się o zasady jego podziału, pisząc długie książki o szlachetności tych czynów, a Car Śmierci tańczył, odziany w żelazo i miedzianą koronę.*

*Pilnemu uczniowi należy wybaczyć, jeśli uzna, że Car Śmierci jest podły, a Car Życia szlachetny. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: Cnota nie istnieje. Życie jest chytre i pozbawione skrupułów, to hultaj, lubieżny i surowy. Śmierć również stosuje niezliczone podstępny i ma posępną naturę, ale zna także miłosierdzie, wdzięk i czułość. W swojej własnej krainie Car Śmierci potrafi być serdeczny. Jednakże nie zaznamy końca ich sporu, póki nie nastanie kres wszystkiego.*

*Gdzie zatem leży kraina Cara Śmierci? Gdzie znajduje się państwo Cara Życia? Nietatwo je odszukać, a jednak każdego dnia wkraczamy do nich po stokroć. Należy do nich każdy kawałek ziemi, który dzielą między siebie aż do najmniejszego okruszka. Nawet ziarna piasku toczą ze sobą wojnę. Atomy duszą się nawzajem we śnie. Aby dotrzeć do krainy Cara Życia, która znajduje się zarazem niemożliwie blisko i beznadziejnie daleko, nie możemy pragnąć się w niej znaleźć, ale zmierzać ku niej ukradkiem, bokiem. Najlepiej zachorować, pograć się w gorączkę i delirium. Gdy trawi nas choroba, gdy zagrożone ciało zbiera siły, zaczerwienione, rozpalone i pełne płynów, wtedy najłatwiej wpaść do krainy, której szukamy.*

*Oczywiście, w ten sam sposób równie łatwo możemy dotrzeć do krainy Cara Śmierci. Z podróżą zawsze wiąże się ryzyko.*

Leszy Ziemiojad zmrużył oczy, wpatrując się w wielką czarną księgę. Jedną powykrecałą, omszałą dłonią potrząsnął za róg tomu, a wtedy z koron brzoź opadło na niego kilka liści. Blask słońca spływał między białymi gałęziami, chłodny, złoty i rześki. Grzbiet ciężkiej książki zabarwiony na kolor węgla lśnił w miejscach, w których padało na niego gęste jesienne światło. Leszy z namysłem ugryzł okładkę i zmarszczył sękaty nos. Ziemiojad wyglądał jak wydany na świat z wielkim trudem owoc namiętnej miłości głazu i skarłowaciałego, brzydkiego dębu. Poruszył brwiami z jemioly.

- Po co ona czyta te bzdury? Tu nie ma obrazków. Przecież to nuda.

Gwintowniczką Nagania przewróciła prawym okiem. Lewe bardziej przypominało lunetę karabinu sterczącą z czaszki, zbudowaną z kości i szklatego paznokcia. Mimo to, na swoim jedynym oku nosiła okulary, ponieważ czuła się naga, gdy nie patrzyła przez soczewki. Orzechowa skóra chochliczki lśniła za sprawą dokładnego polerowania, chociaż w niektórych miejscach prześwitywały przez nią pocerniałe, żelazne ścięgna: na łokciach, policzku i z tyłu kolan.

- Nie słuchałeś? Dostała ją od Licho. - Nagania ostentacyjnie pociągnęła nosem. Wyjęła szarą chustkę i starła smuzkę czarnego oleju z nosa. - Ale i tak mi się to nie podoba. Historia to narzędzie ucisku. Ludzi, którzy ją zapisują, powinno się rozstrzeliwać bez sądu.

Ziemiojad parsknął.

- Kim jest ten Car Życia? Nigdy go nie spotkałem.

- A jak ci się wydaje, kamienny mózdzku? Nie nazywa się Nieśmiertelnym bez przyczyny. - Nagania przez chwilę przypatrywała się książce, kłaskając językiem. Ten okropny dźwięk przypominał przesuwanie kurka broni. - Ale masz rację. To rzeczywiście nudy. Przerost formy nad treścią. Dziwię się, że w ogóle możesz to czytać.

- Nie da się zjeść! Psiakrew! Może ją podrzemy i zakopimy? Niech jakieś drzewo ma przekąskę, co? - Ziemiojad splunął złocistą żywicą na ich piknikowy kocyk. Nagania się skrzywiła.

- Nigdy nie zrozumiem, dlaczego carewna pozwala ci się za nią włóczyć. Jesteś odrażający. Ale jeśli chcesz niszczyć jej rzeczy, to proszę bardzo. Przynajmniej będę miała uciechę, gdy cię wypatroszy. Jak leszy wygląda w środku? Samo błoto i patyki?

- Zabieraj łapy, goblino-karabinko! Moje wnętrzności, moja własność!

- Własność to kradzież! - odburknęła Nagania, szczękając tłokami na policzkach. - Dlatego, siedząc tutaj, okradasz Lud, Ziemio! Ty bandyto! Bijcie na alarm!

Ziemiojad ponownie splunął.

- Ależ Ziemio - jęknęła Nagania. - Nudzę się! Może znów cię przesłucham? Będzie zabawnie! Tym razem się nie odbezpieczę, obiecuję.

Leszy zazgrzytał kamiennymi zębami pokrytymi błotem.

- Naszo, dlaczego nudzisz się tylko w moim towarzystwie? Ponudź się z kimś innym!

Przez kolczaste krzewy przebiły się dwa wierzchowce. Jeźdźcy przywarli do grzbietów zwierząt. Przodem jechał czarny rumak, a na nim, w zielonym szklistym siodle, siedziała młoda kobieta i piskliwie się zaśmiewała. Jej czarne włosy powiewały na wietrze, przystrojone granatami i nieoszlifowanymi bursztynami, a myśliwska peleryna przypominała czerwony żagiel. Sprawnie mknęła pomiędzy bladymi, kościstymi brzożami, schylając się pod konarami ciężkimi od żółtych liści i cienkimi brązowymi pnączami, na których wisały rubinowe jagody. Za nią gnała biała klacz, na której po damsku siedziała biała dama, równie pełna entuzjazmu i dzikości jak jej czarnowłosa towarzyszka. Z jej śnieżnobiałych włosów sypały się obłoki łabędzich piór. Kopyta galopujących koni wyrzucały w powietrze wirujące pomarańczowe liście.

- Czy przelatywał tędy?! - zawołała Maria Moriewna z płonącymi oczami,

wstrzymując ciemnego konia i niecierpliwie zataczając koła.

- Kto? - warknął leszy.

- Mój Żar-Ptak! Znów masz mech w uszach, Ziemió?

- Jesteś za wolna - westchnęła Nagania. - Przemknął tędy ponad godzinę temu. Przypalił mi włosy, spłonęła też większa część naszego obiadu. - Włosy Nagani lśniły, mokre i ciemne od smaru, cuchnące benzyną.

- No dobrze - odezwała się pani Liebiediewa, lekko zeskakując z siodła i poprawiając elegancki biały kapelusz, na którym wciąż tkwiło kilka łabędzich piór. Na jej szyi lśniła perłowa kamea z idealnym profilem właścicielki. - Nie wiem, jak wy, ale ja chętnie napiję się herbaty i nieco odpocznę. Pościg za Żar-Ptakiem to frustrująca sprawa. Już widzimy ognisty ogon i czerwone pazury, a po chwili zostaje nam tylko popiół i obolałe siedzenie. - Przywiązała klacz do modrzewia, po czym usiadła na wilgotnym kocyku, strzepując niewidzialny pył z białych bryczesów i blezera.

Maria oparła myśliwską strzelbę o ogniście ubarwiony klon i opadła na koc. Z całej siły objęła Ziemię - inaczej nie da się postępować z leszym - i pocałowała go w policzek pokryty dębową korą. Polowanie podnieciło ją i pobudziło jej apetyt; drżała z podekscytowania.

- Co mamy do jedzenia? - spytała wesoło, a jej ozdobione klejnotami włosy opadły na jedno ramię. Miała na sobie elegancki czarny kostium, coś pomiędzy mundurem a sukienką do polowania.

- Spalone tosty, spalone pierożki, marynowane cebulki, również spalone. Mam wrażenie, że nawet herbata ma charakterystyczny dymny aromat. - Gwintowniczką westchnęła.

- Nie można was zostawić samych nawet na chwilę - stwierdziła ze skrzywioną miną pani Liebiediewa.

- Na trzy godziny, wiło! - gderał Ziemiójad, drapiąc się po kolanach. - A ona znów mnie przesłuchiwała. Zobacz! - Pokazał liściaste dłonie, na których widniały równe otwory po pociskach. - Mówi, że to cena za kumoterstwo!

- Cóż, chyba nie zaprzeczysz, że kręcisz się przy nogach carskiej faworyty - odrzekła z uśmiechem pani Liebiediewa.

- A ty nie? Jaka jest twoja cena?

- Bardzo się staram nie zostawać na osobności z gorliwą Naszą. - Wiła pociągnęła nosem. - Odkryłam, że to najlepszy sposób na uniknięcie przesłuchań.

- Spokój! - Maria Moriewna roześmiała się, unosząc dłonie. Na każdym z palców

lśniła srebrna obrączka wysadzana nieoszlifowanymi malachitami i rubinami. - Jeśli nie będziecie grzeczni, nie będę wam więcej opowiadała o Piotrogradzie!

Przezroczyste oko Naganii wypełniło się tłustymi czarnymi łzami.

- Och, Maszo, to niesprawiedliwe! Jak mam dbać o interesy Partii w leśnych ostępach, jeśli nie będziesz mnie uczyła o Marksie i Papie Leninie?

Ziemia się skrzywiła; jego usta przypominały szczelinę w skalistej brodzie.

- Kim jest ten Papa Lenin? Tfu! Ziemiogad ma tylko jednego Papę, Kościeja. Nie potrzebuje żadnego paskudnego łysego Papy Lenina!

Oblicze Marii Moriewny jednocześnie rozjaśniło się i pociemniało. Obróciła obrączki na palcach. Gdy myślała o Kościeju, jej krew zarazem wrzała i zamarzała.

- Cóż, Ziem, jestem pewna, że to kończy dyskusję. Naszo?

Nagania westchnęła dramatycznie.

- Powinnam sama pojechać do Piotrogradu! - jęknęła. - Jaki pożytek z chochlika-gwintownika tutaj, gdzie mogę najwyżej oddawać się polowaniom? Chciałabym stać się prawdziwie użyteczna, polować na wrogów Ludu i dziurawić ich jak sito!

Pani Liebidiewa ziewnęła i rozprostowała długie ręce. Jej piękno było niezwykle delikatne, a zarazem dobitne, ptasie i niemal bezbarwne, nie licząc ciemnych oczu pozbawionych głębi.

- Kiedy on się z tobą ożeni, Maszeńko? To czekanie musi cię strasznie męczyć!

- Nie wiem, moja kochana łabędzico. Jest taki zajęty wojną. Całe dni i noce spędza w Czarnoświecie, studiując dokumenty i rozmieszczenie oddziałów. To nie najlepszy czas na ślub. - Prawdę mówiąc, Maria miała dosyć czekania. Mrużąc oczy pod wpływem mroźnego słonecznego blasku, marzyła, że jest carycą, że jest tutaj bezpieczna i nigdy nie będzie musiała wracać do domu, gdzie nie ma rumaka, Żar-Ptaków, na które mogłaby polować, ani takich przyjaciół.

- Może on cię już nie kocha. - Nagania wzruszyła ramionami, żując pierożki.

- Brednie! Rozdeptany ślimak ma więcej rozumu od ciebie - warknął Ziemiogad. - Papa nie może się z nikim ożenić, dopóki ona się nie zgodzi. Dopóki nie przybędzie Babuszka.

- Mogłaby się pośpieszyć! - Pani Liebidiewa westchnęła, skubiąc kawałek pocerniałej cebuli. - Tego lata chcę się ubiegać o miejsce w dacy czarodziejów. Konkurencja jest silna, a nie mogę się skupić na swoim wniosku, gdy się zamartwiam wyprawką Marii. Musicie wiedzieć, kochani, że wymagania wobec kandydatów są mordercze.

Nagania zachichotała.

- Jak wygląda wyprawka dziewczyny z Piotrogradu? Końskie łajno i pół szklanki wody z Newy?

- Na pewno nie jest to sprawa żadnego chochlika - warknęła Liebidiewa. - Zostaw to tym, którzy mają odrobinę ogłady.

- Tak jakby wiła znała się na czymkolwiek poza lokówkami i wrózeniem z sików!

Nagania zmrużyła oko przesłonięte monoklem, po czym splunęła. Z jej ust wyleciał mały pocisk, który przebił łabędzie pióra pani Liebidiewej i strącił jej kapelusz z głowy. Wiła wrzasnęła ze złością; strzał przypalił końcówki białych jak lód włosów. Schyliła się po kapelusz.

- Ty bestio! Mario! Musisz ją ukarać! Kazałaś jej obiecać, że dziś rano nie będzie do nikogo strzelała, a tu proszę, zlekceważyła twoje słowa!

Maria Moriewna przybrała poważny wyraz twarzy. Przywołała gwintowniczkę do siebie skinięciem ozdobionego klejnotami palca.

- Naszo, wiesz, że nie powinnaś mi się sprzeciwiać.

Nagania umilkła. Drżały jej ręce, a żelazne mechanizmy szczękały nerwowo w głębi policzków.

Nagle Maria błyskawicznym ruchem chwyciła Naganię za usta i nos, a drugą ręką złapała za tył głowy. Pierś gwintowniczki zafalowała, gdy usiłowała zaczerpnąć powietrza, ale Maria nie zwolniła uścisku. Pchnęła chochliczkę na ziemię, mocno trzymając ją za twarz, po czym siadła na niej okrakiem i przycisnęła do leśnego poszycia. Serce radośnie podskakiwało jej w piersi. Przypomniał jej się tomik wierszy ciśnięty w zaspę oraz rozdarty na pół czerwony szalik. Przycisnęła Naganię jeszcze mocniej. Czarne oleiste łzy powoli pociekły z oczu gwintowniczki na kłykcie Marii. Nasza wiła się, walczyła, aż w końcu znieruchomiała. Maria uśmiechnęła się; jej warkocze ocierały się o orzechowe ręce przyjaciółki. W końcu ją puściła. Chochliczka gwałtownie złapała oddech, po czym zakrztusiła się chrapliwie, ocierając łzy.

- Niech to będzie dla ciebie lekcja - powiedziała Maria Moriewna wesoło. - Ostrożnie ze spustem w towarzystwie! Kiedy każę ci coś zrobić, masz mnie słuchać. - Być może caryca to tylko piękna i zimna dziewczyna pośród śniegów, która pogardliwie spogląda na gorszych od siebie i nieposłusznych, myślała Maria, a jej oddech i puls się uspokajały. Ostatnio wyczuwała w sobie to zimno i chociaż się go obawiała, to również była nim zachwycona, gdyż czyniło ją silną.

Nagania usiadła roztrzęsiona. Łapała powietrze dużymi haustami. Żałośnie pociągała

nosem i go ocierała.

- Och, Naszo! - wykrzyknęła Maria, w której chłód nagle ustąpił miejsca zażenowaniu. Może trochę przesadziła... ale chochliki nie słuchają nikogo, kto nie może im spuścić solidnego lania. W końcu, dobra caryca przemawia językiem swoich poddanych. - Nie bądź smutna! Znajdę ci ładną rusałkę, którą będziesz mogła wyciągnąć z jeziora w środku nocy i przesłuchać! Czyż nie będzie cudownie?

Nagania uśmiechnęła się słabo, nieco udobruchana. Na jej policzki wypłynął orzechowy rumieniec i Maria zrozumiała, że gwintownicze spodobała się otrzymana kara. Odwróciła się w stronę leszego.

- A teraz, Ziemio... och, oddaj mi książkę! Pogryzłeś połowę na kawałki! Ziemio, kim jest ta Babuszka, o której mówiłeś? Myślałam, że poznałam tutaj już wszystkich!

Wtedy po lesie poniósł się wysoki, cudowny okrzyk. Pomarańczowy płomień okrążył obłoki, tak wysoko, że wyglądał jak ziarenko ognistego pyłu. Zanim Nagania zdążyła krzyknąć, Maria chwyciła strzelbę, przyklękła, i strzeliła.

Z rozdzierającym, trzeszczącym hukiem Żar-Ptak spadł z nieba.

\* \* \*

- Dlaczego nazywają to miejsce wyspą Bujan? - zdziwiła się Maria, gdy całą czwórką szli ulicą Skorohodną. Przed nimi słońce zachodziło ponad miastem, zalewając światłem ciepłe białe kopuły wyrzeźbione z gładkiej, błyszczącej kości. Pierwsza cienka warstwa śniegu lśniła na drodze, zapowiadając słodycz nadchodzącej zimy. - Z tego co wiem, to wcale nie jest wyspa.

- Kiedyś nią była - odrzekł Ziemiojad, który był z nich najstarszy. - Niepowstrzymane słońce morze. Wasze jezioro Bajkał? Phi! Zwykła kałuża! W dawnych czasach nasze morze miało pięści.

- Wciąż mnie zadziwia - odezwała się pani Liebiediewa, a jej melodyjny głos sprawił, że nawet biały wierzchowiec zaczął delikatniej stawiać kopyta - że leszy nauczyli się mówić. Ciekawe, jak wyglądał ten proces? Czy jakiś samotny jeź tłuł w kamień, póki ten nie wydał z siebie dźwięku? Z pewnością ty byłeś bardzo kiepskim uczniem, Ziemio. Masz słownictwo ubogie jak salamandra. Tak czy inaczej, Maszo, kochanie, Bujan nigdy rzeczywiście był wyspą na olbrzymim morzu, gdzie ryby wielkości galeonów pływały pośród złotych fal. Tak pięknie śpiewały o zachodzie słońca! Nawet gdybyś zebrała sto bałałajek i tysiąc gęśli, to nie udałoby ci się zagrać muzyki, która mogłaby się równać z najpośledniejszą spośród ich pieśni.

- I co się stało? - Maria Moriewna popędziła czarnego konia, który ciągnął za sobą srebrną sieć. Sterczały z niej pod różnymi kątami płomieniste pióra, które przypalały



ziemię.

Pani Liebiediewa westchnęła.

- A cóż dzieje się ze wszystkim, co piękne? Wuj to pożera. Najpierw olbrzymie ryby kolejno podwracały się brzuchami do góry, przez co same upodobniły się do wysp. Potem woda zmieniła kolor na czarno-zielony i poprzecinały ją błotniste prądy. Następnie fale zapłonęły i morze spaliło się aż do dna. Płomienie przypiekły gwiazdy, po czym zniknęły. Pozostały kłęby pary. Wszystko trafiło do skarbcza Cara Śmierci. Założę się, że teraz w jego krainie znajduje się widmowe morze pełne widmowych ryb, które wciąż śpiewają swoje pieśni, tylko w innych tonacjach i innymi słowami. A w naszej krainie, jeśli wyjdzie się odpowiednio daleko na równinę, można znaleźć olbrzymie kości sterczące z ziemi w miejscu, gdzie kiedyś było dno morza. Góry wysadzane żebrami, doliny pełne szczęk.

Maria jechała w milczeniu. Za każdym razem, gdy dowiadywała się czegoś nowego o historii krainy Kościeja i wojnie z Carem Śmierci, kochała Bujan coraz gorętszą miłością i coraz dotkliwiej bała się wojny.

- Pójdziemy dziś w nocy na grzyby? - spytała cicho Nagania, wciąż zawstydzona i podekscytowana otrzymaną karą. - Zapowiada się bezchmurne niebo, a księżyc będzie wielki jak bycze oko. Mam chętkę na kurki.

Barwna kompania weszła przez bramę miejską, palisadę zbudowaną ze splątanych, rozłożystych poroży zwieńczonych wyszczerzonymi czaszkami. Maria już nie uznawała tego za potworne ani nie drżała, gdy przechodziła pod pustymi oczodołami. Teraz miała wrażenie, że czaszki się do niej uśmiechają i mówią: „My, którzy kiedyś żyliśmy, wciąż możemy cię strzec, kochać i dbać o twoje bezpieczeństwo. Tak naprawdę nic nie umiera”.

Gdy brama się za nimi zamknęła, ujrzeli sklepy i domy o oknach rozświetlonych czerwonymi, wesołymi płomieniami. Przed nimi rozciągał się gmach Czarnoświatła, jego lśniące czarne wieże i czerwone drzwi. Tak bardzo przypominał Kreml, że Maria często myślała, że obie budowle muszą być braćmi rozdzielonymi po urodzeniu i umieszczonymi po przeciwnych stronach świata. Kościej mieszkał w najwyższej wieży, której kopułę pokrywały granaty. Jednak większość jego poddanych również zamieszkiwała Czarnoświatło, jego mniejsze cytadele, kaplice i przedsionki. Budowla rosła z każdym rokiem jak drzewo, jak dom przy ulicy Grochowej, ulicy Dzierżyńskiego. Dawne nazwy krążyły w umyśle Marii, na zmianę łączyły się i rozdzielały, aż w końcu zapomniała, która z nich była pierwsza.

Liczne domy, sale, piece i zajazdy rozlewały się jak woda po rozległej równinie u stóp czarnego Kremla. Maria już nie zauważała, że domy i sale uszyto ze skór egzotycznych i miejscowych zwierząt, dachy pokryto długimi falującymi włosami, a okapy obwieszono

złotymi warkoczami.

Fontanny tryskały gorącą czerwoną krwią do szklanych zbiorników, przyjemnie migocząc w późnopołudniowym świetle. Unosiła się z nich gęsta para, a na ich krawędziach od czasu do czasu przysiadały kruki, żeby się napić. Kiedyś Maria krzyknęła trwożliwie, gdy jedna z krwawych fontann wystrzeliła w górę podczas południowego pokazu. Innym razem zrobiło jej się niedobrze, gdy zobaczyła włoski jeźdźcę na ścianie kaplicy pod wpływem nagłego podmuchu wiatru. Ale fontanna była szczerze zażenowana swoim zachowaniem, kaplica zaś, która nosiła imię Awdotia, wkrótce została Marii przedstawiona. Teraz te wszystkie rzeczy wydawały się jej właściwe i wspaniałe, ot, żywe istoty w krainie życia, gdzie nawet fontanny oddychają i przetaczają krew. Zresztą, to wydarzyło się tak dawno, że przypominało sen z innego życia.

- Chyba jestem za bardzo zmęczona, żeby iść na grzyby, Naszo - odparła Maria. - Lepiej pójdę do Kościeja i sprawdzę, czy mnie nie potrzebuje. Ale jeśli chcesz, możesz dzisiaj u mnie spać i zjeść tartę z lukrem. - Czy bardziej podoba jej się karanie, czy nagradzanie? Nie potrafiła odpowiedzieć. Wszystko w Bujanie może sprawiać przyjemność, wystarczy nauczyć się ją odszukiwać.

Gwintowniczką rozpromieniła się i zatańczyła na długiej brukowanej ulicy. Ziemiopad stęknął, po czym uderzył omszałą pięścią w ziemię.

- Kumoterstwo! - rzekł i splunął.

## 8

### Prześpij się obok mnie

W najgłębiej ukrytej komnacie Czarnoświatła, którego skostniałe kopuły tu i ówdzie lśniły srebrnymi bańkami i stalowymi krzyżokształtami, Kościej Nieśmiertelny siedział na swoim tronie z onyksu i kości. Miał podkrążone i zaczerwienione oczy, zmęczone płaczem, pracą, albo jednym i drugim. Przed nim, na olbrzymim stole wykonanym z miednicy jakiejś nieprawdopodobnie wielkiej ryby, leżały rozrzucone mapy, plany, listy, dokumenty i pudła przyniesione przez gońców, fotografie, szkice oraz otwarte odwrócone książki o porozszczepianych grzbietach.

Maria Moriewna weszła w rozpiętym myśliwskim stroju, gdyż w pomieszczeniu panował upał. Często wydawało się jej, że czarne mury Czarnoświatła oddychają, a ich oddech bywa potwornie gorący bądź bezlitośnie zimny. Nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać. W ciszy okrążyła długi stół i upuściła pojedyncze złote pióro, które leniwie sfrunęło na blankiet zamówienia. Już nie płonęło, tylko świeciło miękkim bursztynowym blaskiem.

- Wolałbym żywego, *wolczico* - powiedział Kościej, nie podnosząc wzroku.

Maria wzruszyła ramionami.

- Dopiero co zdechł, od kuli, ale i z wyczerpania ucieczką. Kościej wstał od dokumentów i przyciągnął ją do siebie, pochylając się, by pocałować ją w mostek.

- Oczywiście jestem z Ciebie dumny, moja ukochana i złowroga. Ale zrozum, że właśnie dodałaś Żar-Ptaka do kawalerii Wij. Ofiarowałaś mu czarnego, pozbawionego płomieni stwora, którego kościste skrzydła niosą uzbrojonych po zęby widmowych pilotów.

Maria Moriewna zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego ust, tak jak kiedyś rozkoszowała się kromką czarnego chleba posmarowaną masłem i posypaną kawiozem.

- Wysiadywał jaja - westchnęła, gdy chwycił ją za włosy i przechylił jej głowę, odsłaniając bladą szyję. - Wkrótce będziemy mieli wystarczająco dużo Żar-Ptaków, żeby zburzyć wieżę oblężniczą, a jednego lub dwa będziemy mogli sobie zostawić do rozpalania w kominku. - Nacisk jego ciała przeszywał ją dreszczem i pobudzał jej skórę. Uśmiechnęła się, przywierając do jego ciemnej rękawicy. - Poza tym, tradycja wymaga, żeby zalotnik zdobył pióro Żar-Ptaka, by udowodnić, że jest godzien małżeństwa.

- Wiem, że jesteś godna.

Maria nie odpowiedziała. Nie zależało jej na rychłym małżeństwie, w odróżnieniu od jej sióstr, które pragnęły tego jak nagrody na końcu długiej i trudnej rozgrywki. Ale czuła, że dopóki Kościej ją całuje, ale się z nią nie żeni, w Bujanie wszyscy uznają ją za dziecko, rozpieszczaną carewnę, ale nie Carycę, nie miejscową. Ludzką zabawkę. Nie dbała o to, czy otrzyma od niego obrączkę, gdyż podarował jej już tuziny pierścionków wysadzanych różnymi ciemnymi i lśniącymi klejnotami, ale nie chciała wiecznie pozostawać księżniczką.

Kościej wziął do ręki nóż, którym otwierał pieczęcie na przesyłkach, i popatrzył na Marię z namysłem. Powoli odcinał guziki z jej myśliwskiego stroju.

- Jeśli dalej będziesz tak ciął, nie zostaną mi żadne ubrania.

Klejnoty w jej włosach zagrzechotały, gdy ujął głowę Marii potężną dłonią. Drugą ręką jednym ruchem odciął połę jej sukienki, jakby obierał czerwone jabłko. Dłonie Kościeja płonęły lodowato na jej skórze. Jak zwykle wyczuła pod skórą kości jego palców i bioder. Potem stwardniał, a jego skóra stała się ciepła, rzeczywista i pełna. Zawsze obejmował ją szkielet, który dopiero po chwili przypominał sobie, jak być człowiekiem. Rozumiała to, przecież jej wytłumaczył. „Być Nieśmiertelnym, znaczy w każdej chwili mieć do czynienia ze śmiercią. Powstrzymywanie śmierci nie jest odruchowe jak oddychanie, ale wymaga ciągłego napięcia, jak balansowanie szklanką na głowie”. Każdego dnia Car Życia walczył w swoim ciele, by utrzymać śmierć w ryzach jak karconego psa.

Wbił paznokcie w nagi kark Marii, na którym pojawiły się czerwone kropelki. Krzyknęła cicho i zaczęła płytko dyszeć, a Kościej uniósł kciuk do ust, po czym wysał niewielką smużkę krwi. Na jego policzkach, zawsze wychudzonych, kładły się cienie. Obserwował ją głodnymi oczami, ale już jej to nie przerażało. Jej kochanek często wyglądał na wygłodzonego i zaszczutego. Mogła usunąć to wrażenie pocałunkami i często tak robiła, dopóki jego twarz nie nabrała barw, stając się miękka i gładka jak u serafina. Każda kobieta może to uczynić ze swoim kochankiem po długim i ciężkim dniu, gdy do ukojenia jest daleko. Nie uważała, by przywracanie go do życia pocałunkami było czymś wyjątkowym. W tym miejscu wszystko było jaskrawe i pełne życia, a gdy ją kochał i jednocześnie sprawiał ból, ona także żyła, mocniej niż wydawało jej się możliwe. Tak, magia właśnie tak wygląda, gdy przychodzi, myślała. Podobnie jak fontanny krwi oraz budynki ze skóry i włosów, Kościej już dawno stał się jej domem. Dlatego Maria uśmiechała się, gdy kasał jej ramiona, czując, jak pod skórą rozkwitają niewidzialne siniaki. Jutro będę je nosiła jak ordery, pomyślała, gdy przeniósł ją na stertę wojskowych map i technicznych wykresów.

- Kościeju - szepnęła, tuląc się do jego szyi, na którą opadały pukle ciemnych kręconych włosów. - Gdzie trzymasz swoją śmierć?

Kościej Nieśmiertelny opasał się łydkami Marii Moriewny i zatonął w niej ciężarem lat. Jęknął, zatapiając twarz w jej piersiach. Maria straciła oddech, zaskoczona tym, jak bardzo Car Życia upodabnia się do dziecka, gdy jej pragnie. Zaskoczona władzą, jaką nad nim ma, i jaką sam jej ofiarowuje. „Kto będzie rządził, to najważniejsze”.

- Powiedz mi - wyszeptwała. Tego także pragnęła. Tak wielu rzeczy ostatnio pożądała, wszystkiego, na czym spoczęły jej ręce.

- Cicho, ty Dalilo! - Pchnął, uderzając kośćmi bioder jej miękki brzuch.

- Ja niczego przed tobą nie ukrywam. Przyjaźnię się z twoimi przyjaciółmi, jem to samo co ty, uczę cię dialektyki! Jeśli nie chcesz pojąć mnie za żonę, przynajmniej mi zaufaj.

Kościej zacisnął powieki. Skrzywił się pod wpływem mocy swojej tajemnicy, swojego szczytowania i swojej potrzeby. Ścisnął ją coraz mocniej, a Maria miała wrażenie, że twarz robi mu się coraz bardziej okrągła i młodsza, jakby oddychała jej własną młodością.

- Trzymam ją w szklanej skrzyni - wysapał w końcu, popychając ją szorstko na stertę bitewnych prognoz i wplątując palce w burzę włosów Marii. - Strzegą jej cztery psy: wilk taki jak ty, wygłodzony chart, wyniosły piesek kanapowy oraz tłusty pies pasterski. Ich imiona zaczynają się na tę samą literę i tylko ja ją znam. - Zamknął oczy, przyciskając twarz do jej policzka, a ona wygięła się w jego stronę jak naciągnięty łuk. - Tylko ktoś, kto zna ich imiona, może dotrzeć do skrzyni, w której ukrywam swoją śmierć.

Kościej krzyknął, jakby umierał. Oparł się o swoją ukochaną; pierś mu drżała. Przytuliła go, jakby był niemowlęciem, jej własnym dzieckiem. Nie uszło jej uwagi, że rozmowa o śmierci podnieciła Kościeja, zupełnie jakby jej bliskość, a nawet samo brzmienie tego słowa wywołały mu w mózgu elektryczne iskrzenie.

- Wygramy, Kościeju? - wyszeptwała. Nagle w pomieszczeniu zrobiło się zimno, szron osiadł na wysokich oknach. - Wygramy tę wojnę?

- Wojny nie można wygrać. - Kościej westchnął, odczytując ponad jej ramieniem trasy dostaw i plany manewrów kleszczowych. - Można ją tylko przetrwać.

\* \* \*

Tej nocy gwintownicza Nagania zwinęła się w kłębek obok Marii w jej komnacie, w której wisały aksamitne i jedwabne zasłony w kolorze czerwonego wina. Mieszkanie w pokoju Marii było jak mieszkanie wewnątrz serca. Jej samej się to podobało, ale panią Liebidiewą przyprawiało o ból głowy. Poza tym, Maria ceniła prywatność i lubiła przebywać wśród swoich rzeczy. Na jej olbrzymim łożu, wspartym na czterech czarnych słupach, które

znikały w suficie, dziewczęta tonęły w poduszkach. Nagania, zawsze ciepła w dotyku, wzdychała skryta w cieniu, a Maria Moriewna mocno ją przytulała, by Nasza wiedziała, że już się na nią nie gniewa. Tak naprawdę nigdy się nie gniewała.

- Jutro - powiedziała Nagania - będzie cudownie wyjść razem na główny plac, strzelić najdalej jak potrafimy, a potem pobiec sprawdzić, co trafiłyśmy! Kiedyś bawiłam się tak z pewnym chłopcem, a on strzelił w gardło żabie. Wtedy stało się coś bardzo dziwnego i paskudnego. Żaba zmieniła się w nagą dziewczynę, która cała pokryta błotem zaczęła płakać.

- Nagania umilkła na chwilę, by Maria miała czas się zdziwić. - Kiedy się pobierali, miała na sobie zieloną suknię i potrafiła piec ślubną chałkę, jakiej nigdy nie jadłaś. Skórka była pełna miodu, cukru i małych twardych kandyzowanych borówek. Płakała, gdy czytano zapowiedzi. To były takie same łzy, jak tamtego dnia, gdy ją postrzelił. Być może nie chciała za niego wyjść, ale któż nie chciałby zostać żoną wyborowego Strzelca? Trudno mi w to uwierzyć. Na pewno płakała z jakiegoś tajemnego płaziego powodu. Potem jej sukienka zapaliła się, gdy tańczyli i zrobił się straszny bałagan, ale to już inna historia.

- Jeśli będziemy strzelały w mieście, możemy trafić kogoś, kto nie bawi się w naszą grę - odparła Maria sennie. Kark wciąż przyjemnie ją palił od ukłuc paznokci Kościeja.

Gwintowniczką uderzyła w poduszkę orzechową pięścią.

- Na tym polega zabawa! No cóż, jeśli chcesz się zachowywać jak dziecko, możemy iść do lasu. Pewnie nie trafimy niczego poza wiewiórkami, a żadna z nich raczej nie zmieni się w dziewczynę.

- W porządku, Naszo. Jeśli wceluję w żabę, będzie twoja.

Chochliczka jeszcze bardziej się w nią wtuliła.

- A więc wciąż mnie kochasz, Maszeńko?

- Oczywiście, Naszeńko. Kara nie oznacza, że nie jesteś kochana. Wręcz przeciwnie. Naprawdę można ukarać tylko kogoś, kogo się kocha.

Nagania wesoło zastukała mechanizmami.

Maria otworzyła oczy w ciemności i zapatrzyła się na rzeźbiony sufit, który przedstawiał smoka otoczonego przez bojarów.

- Czy opowiadałam ci o tym, jak Kościej ukarał mnie po raz pierwszy?

- Kościej cię ukarał?

- Och tak, wielokrotnie. Jednakże za pierwszym razem zrobił to, ponieważ nakazał mi milczenie, a ja się odezwałam. Nie powiedziałam wiele; tylko wspomniałam, że czuję się lepiej. Ale nie chodziło o to, co powiedziałam, tylko o to, że złamałam dane słowo. Nawet jeśli uznamy, że to okrutne z jego strony zakazać mi mówić, to jednak złożyłam obietnicę.

Nagania poruszyła się niespokojnie. Mimo że kara już dawno minęła, wciąż martwiła się o swoją przyjaciółkę.

- Kiedy więc przybyłam do Bujanu, nie pozwolił mi wejść ze sobą do Czarnoświatła, zjeść z nim kolacji ani spotkać pięknych chochlików-karabinników o imionach podobnych do mojego. Zostawił mnie w stajni, żebym się zaopiekowała jego koniem, ponieważ złamałam dane słowo.

- Cóż, przynajmniej mogłaś oddychać. - Nagania nie mogła się powstrzymać od przytyków, taka była jej natura.

- Są gorsze rzeczy od nieoddychania - odpowiedziała łagodnie Maria. - Na przykład, kiedy jesteś daleko od domu, boisz się, od dawna jesteś chora, nikt cię nie zna, tęsknisz za swoją matką i starym domem, nie wiesz, czy masz wyjść za mąż, czy zginąć, a ktoś bez słowa zostawił cię samą w stajni. Mimo wszystko chwyciłam łopatę, chociaż jej ostrze sięgało mi do połowy ciała, i wyczyściłam zagrodę konia. A ten zwierzak potrafi nabrudzić, daje słowo. Wszędzie gnój, spaliny i popękane tłumiki! Wkrótce przestałam płakać, chociaż ręce śmiertelnie mnie rozboleły. Wyszczotkowałam i nasmarowałam mu sierść, a on cały czas parskął i świecił oczami. Był kremowobiały, tak jak podczas mojej choroby.

- „Dlaczego tak często zmieniasz kolory? Trudno wybrać właściwy smar!”, zapytałam, nie oczekując odpowiedzi. A on zagrział: „Nie jestem koniem, który zabrał cię z Piotrogradu. To była moja siostra, Nocna Szkap. Potem jeździłaś na moim bracie, Północnym Przyplwywie, który jest czerwony jak wschód słońca. A my dopiero się poznaliśmy. Jestem Wiałchem Świtu, a żeby tutaj dotrzeć, trzeba dosiąść nas wszystkich. Mam na imię Wilcza Jagoda”.

- „Nazwał cię jedzeniem dla wilków?”, spytałam, ponieważ wtedy jeszcze nie znałam poczucia humoru Kościeja. Wilcza Jagoda ponownie parsknął i iskry posypały mu się z nozdrzy. „Czyż nie wszyscy nim jesteśmy?”, odpowiedział.

- Zaczęłam szczotkować jego straszliwie splątaną grzywę. Za każdym razem, gdy go szarpałam, on mnie szczypał, a musisz wiedzieć, że uszczypnięcia Wilczej Jagody są jak ukłucia szpady. Pamiętam, że bardzo płakałam. A gdy jest zimno, nawet płacz sprawia ból. Człowiekiem wstrząsają wtedy drgawki, a łyzy przymarzają do twarzy. Wtedy jeszcze nie umiałam powstrzymać się od płaczu. Gdy skończyłam, jego sierść lśniła czerwono od mojej krwi, a on przypominał swojego brata. Na dworze noc stała się tłusta i czarna, a miasto mnie przerażało. Gdzie mieszka Kościej? Gdzie mogę zdobyć coś do jedzenia? Gdzie mogę się czegoś napić i przespać? Żeby odwlec decyzję, na nowo podkułam Wilczą Jagodę. Usunęłam stare, zniszczone podkowy i przybiłam nowe. Wiedziałam, jak to się robi,

ponieważ gdy jeszcze byłam młoda i nosiłam czerwony szalik, po szkole uczyliśmy się oporządzać konie milicjantów. Wszystko na wypadek nowej wojny. Dlatego przesunęłam dłonią wzdłuż jego pęciny, która była niezwykle miękka i rozgrzana, a on położył mi na dłoni prawą nogę. Kiedy skończyłam, Wilcza Jagoda popatrzył na mnie olbrzymimi ognistymi oczami, po czym położył się w czystej zagrodzie. - „Chodź”, powiedział. „Prześpij się obok mnie, a on przyjdzie po ciebie rano. Możesz skorzystać z mojego żłobu z wodą i worka z obrokiem”.

- Tak więc napiłam się i najadłam, mimo że obrok był suchy i pozbawiony smaku. W worku znalazłam kostkę cukru, a Wilcza Jagoda pozwolił mi ją zatrzymać. Położyłam się obok jego dużego białego brzucha i zamknęłam oczy. To było jak spanie przy piecu w moim starym domu. Ponieważ, Naszo, nawet jeśli jesteś bardzo zła, gdzieś czeka na ciebie ciepłe łóżko i ciepły przyjaciel, jeśli tylko wiesz, gdzie ich szukać. Dowiedziałam się tego od Wilczej Jagody, chociaż wątpię, czy właśnie tego miałam się od niego nauczyć. A gdy już odpływałam w sen, obolała i wyczerpana, wciąż lekko krwawiąc po otrzymanych uszczypleniach, Wilcza Jagoda wyszeptał mi do ucha: „Śpij dobrze, Mario Moriewno. Ty najbardziej mi się spodobałaś. Żadna z pozostałych dziewcząt nie podarowała mi nowych butów”.

- I co, przyszedł po ciebie rano?

- O tak, i wszystko mi przebaczył. W końcu nie można kogoś karać, jeśli się nie zamierza mu przebaczyć. To by było bez sensu. Przekazałam mu, co usłyszałam od Wilczej Jagody.

- Co na to Papa?

- Powiedział: „Na pewno się przesłyszałaś. Nie było innych dziewcząt”.

W ciemności gwintowniczką Nagania zmarszczyła czoło i klasnęła językiem.

Maria Moriewna zasnęła, unosząc mocno zaciśnięte pięści do podbródka.



## Dziewczyna, która nie ma na imię Jelena

Pani Liebiediewa wydmuchnęła cienką, delikatną smugę dymu z papierosa, którego trzymała w ustniku z kości słoniowej, i usadowiła się na fotelu pokrytym niebieskim pluszem. Kościste ciało skrywała pod pozbawioną rękawów suknią z łabędzich piór wysadzaną malutkimi szklanymi koralikami. Z namaszczeniem unikała jedzenia swojej zupy ogórkowej. W zielonym wywarze pływały kawałki trybuli i estragonu, samotne i lekceważone. Liebiediewa nachyliła się do ucha Marii, choć nie było to konieczne, gdyż w zatłoczonej kawiarni panował gwar, który mógł ukryć wszelkie sekrety.

- Nie posiadam się z podniecenia, że mogłam cię tutaj przyprowadzić, moja droga Maszo.

Maria ponownie jej podziękowała. Pani Liebiediewa specjalnie umalowała oczy z myślą o ich wspólnym obiedzie, a raczej z myślą o komitecie, który decydował o wpuszczaniu klientów do ekskluzywnej restauracji dla czarodziejów. Jej powieki lśniły, pokryte delikatnym pudrem w kolorze zielonej cebulki. Wybrała go, by pasował do zupy, którą postanowiła zamówić już kilka tygodni wcześniej. Oczywiście, Maria mogła jadać w tej drewnianej chatce kiedy tylko chciała, gdyż miała dostęp do wszystkich zakamarków Bujanu, jednakże Liebiediewa ciężko zapracowała na ten przywilej i teraz rozkoszowała się swoim statusem w towarzystwie przyjaciółki.

- Jestem wprost nieprzytomna z zachwytu, daję słowo. Oczywiście, wszystko to dlatego, że udało mi się wyhodować ciekawaca. Zresztą, to drobiazg. Dla kogoś o moim wdzięku ukrywanie jajka pod pachą przez czterdzieści dni i unikanie spowiedzi to drobiazg! Cóż za kochane stworzonko. Tylko te recenzje! Och, Maszo, są druzgocące!

- Druzgocące?

Liebiediewa strzepnęła papierosa; popiół poszybował w powietrzu.

- Druzgocące. Napisali, że powinien wyglądać jak papużka, a nie „absurdalny miniaturowy pelikan”. Najwyraźniej nie powinnam była obcinać paznokci w ciągu tych czterdziestu dni. Teraz mój ciekawac rozumie mowę zwierząt, ale nie spełnia życzeń. Poza tym, sprzedając go wodnikowi wykazałam się ewidentnym merkantylizmem, w związku z czym powinnam zostać przesłuchana. Krytycy, moja droga, nie są zadowoleni, dopóki kogoś

nie zdepczą. Pelikan! Powinnam zjeść jego oczy.

Kelner w wykrochmalonej białej koszuli pojawił się bezszelestnie u ich boku. Ukłonił się z dystygowaną troską.

- Jeszcze zupy, proszę pani? - Jego łysina lśniła w blasku lampy, nie licząc paska potarganych białych włosów, które płynęły przez środek czaszki jak końska grzywa. Liebiediewa się rozpromieniła.

- Jak cudownie spotkać inną wiłę! Widok rodaków zawsze dodaje mi otuchy. Nie, mój drogi. - Pani Liebiediewa uśmiechnęła się z idealnym, dojrzałym, chłodnym wdziękiem. Ćwiczyła taki wyraz twarzy przed lustrem przez wiele dni. - Mam delikatny żołądek. Ale Maria z pewnością zje jeszcze jeden talerz waszej pysznej uchy! Ludzie są tacy pełni życia! Czyżbym wyczuwała mięso jesiotra w wywarze?

- Jest pani bardzo spostrzegawcza. Szef kuchni przesyła pochwały dla pani wtorkowego przedstawienia. Pelikany z pewnością będą stanowiły przebój w następnym sezonie.

Liebiediewa się skrzywiła. Kelner przeniósł uwagę na Marię; jego jasne oczy zwilgotniały ze zniecierpliwienia. Maria nie miała ochoty na dokładkę zupy rybnej, mimo że rozgrzała ją delikatnym, słonawym, koperkowym aromatem. Czuła się najedzona, ale uwielbiała sprawiać pani Liebiediewej przyjemność, a wiedziała, że przyjaciółka niczego tak nie lubi, jak rozkazywać innym.

Kelner nachylił się, by porozmawiać z kobietami bardziej poufnie. Jego skóra pachniała jak zamrożona sosnowa żywica.

- Jeśli to interesuje towarzyszkę Moriewnę, to ja również pracuję nad małym czarem, który może się wam spodobać. To nic wielkiego - zapewnił, zanim Maria zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Ale jeśli przypadnie wam do gustu, może mogłybyście szepnąć słówko carowi?

- Cóż... nie mnie to oceniać. Nie znam się na sprawach czarodziejów.

- Mario - szepnęła Liebiediewa - z pewnością wiesz, jak to działa. Robiliśmy wiele notatek podczas naszych wizyt w Moskwie.

- Tak, ale w Moskwie w takich kawiarniach spotykają się pisarze.

Liebiediewa i kelner sprawiali wrażenie przyjemnie zakłopotanych, bojąc się upokorzenia, ale zarazem szczęśliwych, ponieważ wiedzieli, że otrzymają naukę z samego źródła.

- No wiecie, pisarze - rzekła Maria zachęcająco. Rozmawianie z mieszkańcami Bujanu przypominało chodzenie po lodzie; w jednej chwili toczyło się swobodną pogawędkę, po czym nagle wpadało się otchłań nieznanymi ideami i z szokiem odkrywało, jak wielu rzeczy nie

wiedzą. - Powieściopisarze? Poeci? Dramatopisarze?

Liebediewa zaciągała się papierosem, który w ogóle nie malał, niezależnie od tego, jak wiele popiołu opadało z niego niczym śnieg.

- To z pewnością fascynujące, moja droga. Kim oni są? Sztukmistrzami?

- Ależ nie, opowiadają historie. To znaczy je zapisują. - Maria chwyciła miseczkę z zupą, żeby zyskać chwilę do namysłu. Mieszkańców Bujanu charakteryzował niezaspokojony głód wiedzy o świecie ludzi, ale wszystko, co Maria im mówiła, natychmiast stawało się najnowszym krzykiem mody i rozprzestrzeniało się jak plotka. Musiała zachowywać ostrożność. - Dramatopisarz pisze opowieść, którą inni ludzie odgrywają. Zapamiętują treść, a potem udają, że są opisanymi bohaterami i złoczyńcami. Z kolei poeta pisze teksty, które się rymują, jak piosenki. - Nagle Maria szeroko się uśmiechnęła. Zamknęła oczy i wyrecytowała słowa, które powróciły do niej jak starzy przyjaciele:

*W lochu królowna obumiera,  
A bury wilk jej wiernie służy,  
Tam z Babą Jagą móździerz duży  
Samochcąc w drogę się wybiera;  
Tam Kościej złotem swym się krztusi.*

Kelner schował szmatę pod pachę i zaczął energicznie bić brawo. Liebediewa klasnęła w dłoń.

- Och, wspaniale! Przecież to o nas! Cóż za satysfakcja, gdy ktoś tak cię docenia.

Zachęcona Maria mówiła dalej.

- Powieściopisarz tworzy długie opowieści, w których... zawiera się wiele krótszych historii, motywów i symboli. Czasami opisywane wydarzenia rzeczywiście się wydarzyły, a czasami nie.

Kelner zmarszczył zgrabny nos.

- Po co opowiadać o czymś, co się nie wydarzyło? Poezja przynajmniej jest bezpośrednia, męska. Nie zajmuje się próżnymi bzdurami, ale jest jak spis ludności.

Maria z namysłem wypła łyk zupy.

- Myślę, że to nudne, wciąż opowiadać historie, w których ludzie po prostu rodzą się, dorastają, biorą ślub i umierają. Dlatego dodaje się różne dziwaczne elementy, żeby narodziny bohatera stały się ciekawsze, jego ślub bardziej ekscytujący, a śmierć smutniejsza.

Liebediewa pstryknęła palcami.

- To jak z kłamaniem! - wykrzyknęła. - Oczywiście, że to rozumiemy! Im większe kłamstwo, tym szczęśliwszy kłamca.

- Tak, to trochę przypomina kłamanie. Ale... - Maria nachyliła się w jej stronę z konspiracyjnym wyrazem twarzy. Nie mogła się powstrzymać, lubiła pełnić rolę specjalistki, uznanego autorytetu, widzieć, jak jej opinie stają się faktami. A im dłużej mieszkała, jadała i sypiała w Bujanie, tym skuteczniej potrafiła objaśniać swój świat w taki sposób, by jej towarzysze to zrozumieli. - Ale czarownik z czarnymi włosami i gęstym wąsem przeklął Moskwę i Piotrogród, tak że nikt tam nie potrafi rozpoznać prawdy bez pomocy kłamstw. Gdyby powieściopisarz opublikował prawdziwą opowieść, nikt by mu nie uwierzył, a nawet mogliby go ukarać za szerzenie propagandy. Jeśli jednak napisze książkę pełną kłamstw o rzeczach, które nigdy się nie wydarzyły, i ukryje w niej kilka prawdziwych informacji, wtedy zostanie okrzyknięty bohaterem Ludu, otrzyma wstęp do kawiarni dla pisarzy, gdzie poczęstuje się go winem i ucha, za które nie będzie musiał płacić. Latem spędzi płatny urlop na dacy i będzie sławny. Nawet otrzyma order od czarodzieja z gęstym wąsem.

Kelner zagwizdał.

- To dobra kłątwa. Chciałbym uścisnąć dłoń tego czarodzieja i postawić mu wódkę albo dwie.

- Ktoś powinien napisać powieść o mnie - stwierdziła Liebidiewa podniośle. - Nie dbam o to, czy skłamię, żeby uczynić opowieść ciekawszą, jeśli tylko będą to dobre kłamstwa, pełne pocałunków, śmiałych ucieczek i okazjonalnych aktów barbarzyństwa. Nie znoszę tylko kiepskich łgarzy.

- Przez pewien czas zastanawiałam się, czy nie zostać pisarką - rzekła Maria Moriewna. - Rano chodziłam pieszo do szkoły, po drodze czytając poezję, i zastanawiałam się, czy mogłabym być taka jak mężczyźni i kobiety w zamkniętych herbaciarniach. Czy gdzieś głęboko we mnie śpi jakaś opowieść, która tylko czeka, żeby się obudzić.

- Wątpię - odparła pani Liebidiewa. - Musisz jeszcze popracować nad swoimi kłamstwami. Może to dlatego, że jesteś tak daleko od Piotrogradu. Kłątwy źle znoszą rozłąkę, a szczerłość to paskudny nawyk, moja droga. Jak obgryzanie paznokci.

Nagle okrągłe okno kawiarni wykonane z soczewki wielorybiego oka zatrzęsło się bezgłośnie.

- Możliwe, że wybrałaś niewłaściwy wiersz, kochana - rzekła pani Liebidiewa, wreszcie pozwalając sobie na pojedynczy dekadenski łyk bladozielonej zupy. Zamknęła oczy z wyrazem wykwintnego zadowolenia na twarzy.

Kelner pośpiesznie się oddalił, nagle zaciekawiony stolikiem po przeciwległej stronie

pomieszczenia.

Przed kawiarnię zajechał czarny samochód. Miał długi garbaty przód, który przypominał bezlitosny ptasi dziób, i wypukłe błotniki okrągłe jak jajka. Okna zwężały się niczym chytre oczka. Przypominał, a zarazem nie przypominał Wilczej Jagody, auta, które przywiozło Marię do Bujanu. Był znacznie większy, ostrożniejszy, bardziej luksusowy i poważny.

Pod spodem, w miejscu kół, znajdowały się cztery żółte kurze nóżki, które z gracją pędziły po drodze, drapiąc twardy śnieg czarnymi pazurami.

Pani Liebiediewa odłożyła srebrną łyżkę, po czym zgasiła papierosa na talerzu, a następnie podniosła go zamasyście, całego i niewypalonego, i wetknęła w kapelusz.

- Wiesz, że cię uwielbiam, *diewoczka*, ale zrobiło się tutaj zbyt niespokojnie jak na moje biedne serduszko. Lepiej przeniosę się do palarni i łyknę trochę starej krwi jaka, żeby uspokoić żołądek.

Wyszła otoczona chmurą piór i bladych, rozwianych włosów. Wszystko robiła z rozmachem. Maria Moriewna dwukrotnie zamruwała i nerwowo zerknęła na samochód, który przestępował z jednej kurzej nóżki na drugą na lodowatym bruku. Ona również poczuła ucisk w żołądku; jej ciało nauczyło się reagować w ten sposób, gdy miało się wydarzyć coś dziwnego. Było to użyteczne, ale niezbyt przyjemne. Maria powstrzymała drżenie rąk.

Nagle w kawiarni zapadła cisza, całkowita i dojmująca, której nie zakłócało brzękanie talerzy ani trzask upuszczonej filiżanki. Ściany pokryły się gęsią skórką, gdy do kawiarni wkroczyła szeroka kobieta o nosie jak ostrze topora, z szyją ukrytą pod czarnym futrzanym kołnierzem i białymi włosami ściągniętymi w piekielnie ciasny kok. Popatrzyła w lewo, potem w prawo, aż wreszcie zatrzymała wzrok na Marii Moriewnie, jak tłusty kruk usadowiony na gałęzi. Usiadła z pewnością siebie przynależną gospodyni, a trzech kelnerzy natychmiast przynieśli jej herbatę, wódkę i słój złocistego kwasu chlebowego. Po chwili pojawiła się czwarta kelnerka, rusałka o włosach ociekających wodą, która niosła gęś na złotej tacy. Kobieta oderwała udko i wgryzła się w nie, zlizując tłuszcz z pokrytego meszkiem podbródka. Kelnerka musiała stać obok niej, jak mebel podtrzymujący potrawę do dalszej konsumpcji.

- A więc to ty - warknęła staruszka, uśmiechając się z pełnymi ustami. Miała komplet zębów, ostrych i żółtych, jak u lwicy.

- Obawiam się, że nie wiem, o co chodzi - cicho odrzekła Maria Moriewna.

Kobieta emanowała siłą, a Maria miała wrażenie, że jej żołądek za chwilę wybuchnie. Starucha postukała w blat gęsią kostką.

- Dziecko, darujmy sobie udawanie, że nie gżisz się z moim bratem w tej jego koślawej wieży! Czy wszystko tam musi być czarne? To afektowany staruch, tyle mogą ci zdradzić za darmo. Zresztą nie mam cierpliwości do niewinnych dziewcząt, chyba że trzymają jabłka w zębach i mają zamiar zaprzyjaźnić się z moim kotłem.

Maria usiłowała się grzecznie uśmiechać, jakby rozmawiały o pogodzie, ale tak mocno ścisnęła filiżankę z herbatą, że uszko pozostawiło na jej dłoniach czerwone półksiężycy. Spłonęła rumieńcem, a staruszka przewróciła zażółconymi oczami.

- Och, daj spokój, Jeleno! Rumienią się tylko dziewice i chrześcijanki!

- Nie mam na imię Jelena.

Staruszka na chwilę umilkła i uniosła jedną postrzępioną brew, która była tak bujna, że kobieta zaplotła ją w warkoczyk, który zwisał równo wzdłuż policzka. Tembr jej głosu uległ zmianie, przechodząc w zaciekawiony tenor.

- Wybacz. Wyciągnęłam pochopne wnioski. Dla mojego brata... - zamieszała herbatę tłustym końcem kości - ...dziewczeta o imieniu Jelena to fetysz. Niemal monomania. Tylko od czasu do czasu pojawia się jakaś Wasylisa, ot, dla podgrzania atmosfery. Dlatego łatwo o pomyłkę. Jak masz na imię, moje dziecko?

- Maria Moriewna. I nie ma żadnych innych. Nigdy nie było.

Starucha rzuciła kość przez ramię. Kelner, wciąż milczący i usłużny, zręcznie ją złapał. Kobieta pochyliła się nad stołem, zanurzając futrzany płaszcz w wódce, po czym skryła twarz w dłoniach.

- Czyż to nie fascynujące? - Westchnęła. - Do diabła z obiadem! Baba zabierze cię na... wyprawę. To ci dobrze zrobi! Wzmocni cię moralnie, jak zerknięcie na cmentarz. Ciało potrzebuje dobrego *memento mori*, żeby wyplukać humory.

Starucha chwyciła Marię Moriewną za rękę i wypchnęła ją z lokalu. Za nic nie zapłaciła.

Maria nie była głupia. Wiedziała, że dwa i dwa i dwa to sześć. Gdy dodała staruszkę, kurze nóżki i przerażonych kelnerów, wynik mógł być tylko jeden - Baba Jaga. Żaden czarodziej nie stał od niej wyżej w hierarchii. Jej miejsce w kawiarni było święte.

Na dworze padał śnieg jak koronki, tak gęsty, że przesłaniał nawet Czarnoświatło, którego mroczny i nieprzenikniony maszyn przycupnął na wzgórzu. Baba Jaga krzyknęła jęklonie i wyskoczyła w powietrze, przebijając chudymi nogami. Wylądowała na ramionach Marii, wbijając obcasy pod jej pachy.

- No, jazda, dziewczyno! Jazda! - wrzasnęła. - Żonę trzeba dosiadać, czyż nie?

Marii zatrzęsły się kolana, ale gdy poczuła na plecach uderzenie bicia z kozłej skóry,

chwajnie ruszyła przez śnieg. Samochód Baby Jagi zbudził się z parsknięciem i popędził za nią, szczypiąc ją w pięty przednim zderzakiem.

- Tędy, nie-Jelena! - ryknęła Baba Jaga pośród śnieżycy. Maria stęknęła jak stara szkapa i pobiegła.

\* \* \*

Toczyła pianę z ust jak przepracowany koń. Skręciła za zasypany śniegiem róg budynku w osłoniętą uliczkę, dysząc płytko i chrapliwie. Baba Jaga szarpnęła ją za włosy, zmuszając do zatrzymania się przed drzwiami, po czym zeskoczyła z jej grzbietu. Maria westchnęła z ulgą, gdy wreszcie pozbyła się rozgrzanego ciężaru. Stała pochyłona, serce rzeziło jej w piersi, pot lał się strumieniami, a skóra głowy drętwiała. W ścianie brunatnego jak krew budynku ze skóry dzika tkwiły drzwi z końskich kości. Wąską ulicę pokrywały śmieci i rozbite szkło. Samochód wesoło zatęczał, przebijając kurzymi nóżkami.

- Do środka, do środka - wysapała Baba Jaga, ciężko dysząc. - I trzymaj się blisko; chcę widzieć, czy płaczesz.

Razem weszły przez drzwi z końskich ud, które nad nimi górowały. W środku, pod żelaznym balkonem, rozciągała się przepastna sala fabryczna. Gdy zerknęły ponad balustradą, śruby i sworznie zajęczały pod ciężarem Baby Jagi. W dole dziesiątki dziewcząt pracowały przy krosnach wielkości wojskowych ciężarówek, ich palce przemykały między lnianymi nitkami, a czółenka ściagały się z dłońmi. Większość kobiet miała jasne włosy splecione w warkocz schludnie upięty wokół głowy jak korona. W morzu bladego złota pływało tylko kilka ciemnych głów, podobnych do Marii. Wszystkie dziewczęta miały na sobie identyczne mundurki w jeżynowym kolorze. Staruszka rozpromieniła się jak świąteczny poranek.

- Każda z tych małych ślicznotek ma na imię Jelena. Och, przepraszam, tamta to Wasylisa. I jeszcze tamta. No i ta pulchna w rogu... i ta wysoka, z lalczką w kieszeni. Jakie to słodkie.

Maria otarła mokre czoło. Jej łydki promieniowały bólem.

- Co one robią? - wysapała.

- Och, to wojskowa fabryka. Nie wiedziałaś o tym? Twój kochanek nie mówi ci wszystkiego? One tkają armię. W południe i o północy, bez przerw za dobre zachowanie. Widzisz? Jeden właśnie schodzi z linii produkcyjnej.

Bezpośrednio pod nimi jedna z Jelen kończyła hełm żołnierza na swoim krośnie. Żołnierz był płaski jak kartka, ale idealny, w gładkim mundurze, z błogo zamkniętymi oczami i karabinem trzymanym w gotowości. Czółenka krążyło tam i z powrotem, tkając szpikulec na hełmie. Gdy Jelena skończyła, otworzyła nogawkę spodni i mocno w nią dmuchnęła,

najpierw w prawą, potem w lewą. Żołnierz napęczniał, jego nos nabrał kształtu, mięśnie wybrzuszyły się na udach. Usiadł sztywno, po czym, skrzypiąc świeżymi szwami, pomaszerował w głąb sali, gdzie czekały kadzie do utrwalania.

- Oni nie są żywi - wyjaśniła Baba Jaga. - Przynajmniej nie w normalnym znaczeniu tego słowa. Nie tak jak zaba albo mój samochód. Wszystko po to, żeby Wij nie mógł zastosować swojej starej sztuczki i pozabijać naszych ludzi, a potem wciągnąć ich do własnej armii. Kiedy przebijesz któregoś z tych biedaków, on po prostu się pruje. Niezła sztuczka, prawda? Nie mogę powiedzieć, żeby mojemu bratu brakowało sprytu.

- Towarzyszko Jago...

Baba Jaga odwróciła się gwałtownie, powiewając połami futrzanego płaszcza.

- Nie nazywaj mnie „towarzyszką”, dziewczynko. Nie jesteśmy sobie równe i nie jesteśmy przyjaciółkami. Jestem „przewodnicząca” Jaga. Te bzdury z tytułowaniem się towarzyszami to hak, za którego pomocą ludzie ze społecznych nizin ciągną w dół lepszych od siebie. Co z tego wynika? Wszyscy tarzają się w tym samym gównie, jak świnie.

Maria starała się, żeby jej głos zabrzmiał mocno i głęboko. Nie zamierzała okazać strachu przed tą wilczycą.

- Zatem, po co przewodnicząca mnie tutaj przyprowadziła?

Baba Jaga uśmiechnęła się, ukazując wszystkie zęby. Maria zauważyła, że na jej futrzanym płaszczu znajdują się trzy głowy nerek o oczach jak szparki i wściekle wyszczerzonych pyszczkach.

- Żeby pokazać wam waszą przyszłość, towarzyszko Moriewna! Kościej, mój nienasycony brat, uprowadził te wszystkie dziewczęta: z Moskwy, Piotrogradu, Nowogrodu, Mińska. Porwał je z ich przytulnych domków i powiózł przez śniegi, mówiąc im, co mają jeść, jak mają całować, kiedy mogą się odezwać, kąpiąc je, gdy zachorowały, tak żeby go pokochały i potrzebowały... och, mój brat tak bardzo pragnie być potrzebny! On sam również wiele potrzebuje. A potem, no cóż, jak to mężowie. Kilkoma się znudził, kilka go zdradziło i skradło mu śmierć albo uciekło z bohaterami o potężnych karkach, by później wspólnie z nimi dokonać kradzieży. Cóż za bezwstydną jędze! Zresztą, to bez znaczenia. Mój brat zawsze kończy jako trup. Och, w iluż pogrzebach musiałam uczestniczyć! Za każdym razem kupowałam kwiaty i podarki! Niemal zbankrutowałam przez te szopki. Ale to nigdy nie trwa długo. Dlatego nazywają go nieśmiertelnym. Umiera tylko jego śmierć, a sam Kościej trwa. Żadna z tych siusiumajtek tam w dole tego nie pojmuje, mimo że on praktycznie nosi na piersi list intencyjny. Zagarniają jego śmierć, rozłupują ją i depczą jak przystało na parszywe suki, ale cóż począć? Suka zawsze pozostanie suką. Potrafi tylko gryźć i żreć. Jednak dla



większości z nich, Mario... cóż za czarne, miękkie imię, mogłabym się w nim nurzać przez cały dzień... dla większości z nich stanowią przeszkodę nie do pokonania. Rodzina to ciernista i bezwzględna sprawa, a Kościej nie może się ożenić bez mojej zgody. Te durne krowy nie były godne zamiatać mojej podłogi! Nie potrafiłyby nawet strzelić z łuku przez ucho igielne! Po co komu żona, która tego nie umie? Wyświadczyłam mu tysiąc przysług. - Baba Jaga sięgnęła pod pazuchę i wyjęła cygaretkę. Zaciśnęła zęby na końcówce i splunęła, obracając ją w ustach. - Dlatego tutaj siedzą. Nie starzeją się, gdyż starzy ludzie nie nadają się do pracy, coś o tym wiem. Osobiście uważam, że nie warto wykonywać tylko połowy pracy, jeśli można nic nie robić. Poza tym nie umierają. Tamta Jelena... ta z pieprzykiem na szyi... jest tutaj od czasów kniazia Olega. Lenoczka! - Przewodnicząca Jaga zawołała w dół i posłała tkaczce spowity dymem pocałunek. Dziewczyna nie podniosła wzroku znad tkanego karabinu. - Na pewno dla ciebie także znajdzie się tutaj miejsce, Mario! W końcu, jaka byłaby ze mnie babuszka, gdybym pozostawiła na mrozie chociaż jedno ze swoich dzieciątek?

Oczy Marii zaszyły łzami. Kręciło jej się w głowie; jeszcze jeden krok i spadnie z krawędzi balkonu. Wszystkie? Wszystkie one kochały Kościeja? Sypiały w jego chatkach? Tuliły się do gwintowniczek? Uczyły się, jak być oziębłymi?

- Powiedział, że nigdy nie było innych. Powiedział, że źle zrozumiałam Wilczą Jagodę i że jestem jego jedyną miłością. - Ale bardziej niż kłamstwo Marię zabolął ohydny fakt, że jej kochanek od lat trzyma te dziewczęta w niewoli niczym swój tajemny skarb.

- Mężowie kłamią, Maszo. Wiem coś o tym; niejednego zjadłam. To pierwsza lekcja. A oto druga: sprawami, na których temat mąż najczęściej kłamie, są pieniądze, picie, czarne oczy, polityczne przekonania oraz kobiety, które siedziały mu na kolanach przed tobą i po tobie.

Maria ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła patrzeć na te wszystkie Jeleny i Wasylisy, myśleć o tym, jak dawały się owijać gorczycznikami albo otwierały usta, by jeść chleb z kawiozem. A tym bardziej o tym, że nigdy nie wrócą do domów i nie podniosą wzroku znad pracy, która nigdy się nie kończy.

- Na charty i chałupy, dziewczyno, nie słyszałaś opowieści o Kościeju? Jest tylko jedna. Akt pierwszy, scena pierwsza: ładna dziewczyna. Akt pierwszy, scena druga: piękna dziewczyna znika!

- Nie sądziłam, że to coś znaczy. - Myślałam, że te opowieści dotyczą mnie. Że to ja jestem ich bohaterką. Że to dla mnie jest ta magia. - Oni tutaj nawet nie wiedzą, kim są pisarze!

Baba Jaga zmiękła, w stopniu, w jakim to było możliwe. Jej zaplecione brwi

delikatnie się zmarszczyły.

- Ale to nie znaczy, że nie wiemy, czym są opowieści. To nie znaczy, że nie uczestniczymy w nich w każdej chwili naszego życia. Czarty - to właśnie my, demony i diabły, małe i duże - są porywcze. Targają nami obsesje. Taka już nasza natura. Krążymy w kółko, maszerujemy w równym rytmie, odgrywamy wciąż te same historie, powtarzamy te same ruchy, podczas gdy czas piętrzy się jak włóczka pod kołowrotkiem. Lubimy schematy, one dodają nam otuchy. Czasami jakiś drobiazg się zmienia - samochód zastępuje dom, pojawia się dziewczyna, która nie ma na imię Jelena. Ale tak naprawdę wszystko zostaje takie samo. Zawsze. - Baba Jaga przycisnęła wierzch pomarszczonej dłoni do policzka Marii. - Właśnie tak można się stać nieśmiertelnym, *wolczico*. Powtarzając wciąż tę samą opowieść, dopóki nie wyłobi się trwałego śladu w świecie, tak że po twoim zniknięciu historia trwa dalej, jak muzyka dobiegająca z fonografu, a ty musisz wstać, nawet jeśli dostałaś kulkę w oko, i odegrać swoją rolę, wypowiedzieć swoje kwestie.

Łzy ściekały po policzkach Marii i skapywały z balkonu. Jedna z nich spadła na rude włosy Wasyliśy. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Och, coś z tym zrobię, pomyślała Maria z gorączkową furią. Kiedy zostanę carycą, rozbiję te maszyny i wszystkich uwolnię.

- Skoro przybyłaś po to, by postanowić, czy mogę wyjść za mąż, to dlaczego czekałaś tak długo? Jestem tutaj prawie od roku. Od roku mu ufam!

Baba Jaga cofnęła rękę. Zgasiła cygaretkę na balustradzie, po czym wyprostowała plecy.

- Lenin zmarł - odparła krótko. - Jest w tym lepszy od mojego brata. Śmierć z nim pozostała. Co miałam zrobić? Poszłam zatańczyć na jego trumnie. Przynajmniej tyle byłam mu winna. Oczywiście, nikt mnie nie widział. Po tych wszystkich latach jestem na tyle zwinna, żeby zachować dyskrecję. Grano na rogach i śpiewano żałobne pieśni, a ja tańczyłam na jego brzydkiej szklanej trumnie. Łysy diabeł wygląda w niej jak Królowna Śnieżka! Ciekawe, czy obudziłby się, gdybym go pocałowała?

\* \* \*

- Jeśli chcesz, mogę przygotować nakaz - powiedziała przewodnicząca Jaga, maszerując ulicą Skorohodną na własnych nogach. Nagle zatrzymała się i zaczęła węszyć, hałaśliwie wciągając powietrze jak chart. Przekradła się za róg pogrążonej w mroku i ciemności gorzelni. - Aha! Myślałaś, że uda ci się schować, prawda?! - wykrzyknęła, kopiąc potężną beczkę ze świeżą wódką. Śnieg pokrywał żelazne obręcze. Baba Jaga z czułością pogłaskała naczynie. - Mam ładną mosiężną pieczęć, wystarczająco dużą, żeby rozbijać nią głowy. Ale myślę, że załatwimy to standardowo. Trzy zadania wykonane w terminie, i

będziesz mogła włożyć śliczną białą sukienkę i rumienić się do woli. Chociaż wątpię, żeby pozwolił ci się ubrać na biało. Ale wiesz, o co mi chodzi. A jeśli zawiedziesz, zmiążdżę twoje zielone kości między zębami - chrup, chrup!

- Myślałam, że karzesz dziewczęta, zmuszając je do pracy w fabryce.

Baba Jaga postukała w beczkę z wódką jak kasiarz.

- To przywilej każdej Jeleny. Ciebie chcę zjeść. Rodzina powinna się dzielić ze sobą. Mój brat mógł cię posmakować, dlaczego ja miałabym sobie tego odmówić? Jadałaś jak carewna przez cały rok! Popatrz na te pośladki, na te mięsiste ręce! Wystarczyłabyś mi na ucztę wielkopostną i na połowę noworocznej pieczeni.

Maria Moriewna stała na zimnie, trzymając dłonie głęboko w wełnianych kieszeniach. Wiatr targał jej futrzaną czapkę.

- Czy to nie pan młody powinien przynieść pióra Żar-Ptaka i pierścionki z dna morza, by udowodnić, że jest godzien swojej wybranki?

Baba Jaga przekrzywiła głowę, jakby się zastanawiała, jaka odpowiedź będzie najzabawniejsza.

- Kobiety muszą zrzucić łańcuchy ucisku, moje małe cielątko. Poza tym, coś takiego jest możliwe tylko wtedy, gdy się postarasz, żeby pan młody przez rok przed ślubem nie dobrał się do twojego łona. Jeśli na to pozwolisz, nie będziesz mu mogła rozkazać, by wyniósł popiół z paleniska, a co dopiero mówić o łapaniu Żar-Ptaków. Zresztą, to paskudne stworzenia. Nerwowe worki pełne płonących ekskrementów. A próbowałaś kiedyś jakiegoś zjeść? Mnóstwo zachodu, a można najwyżej nabawić się odcisków i dostać kopniaka w usta. To dotyczy zarówno mężów, jak i Żar-Ptaków.

Maria pozwoliła sobie na chytry uśmiech. Jej Żar-Ptak nawet jej nie zadrasnął.

- Ale Jeleny... - wyszeptała. - Nie mogę o nich spokojnie myśleć. To na pewno jakaś pomyłka. Muszę z nim porozmawiać. Muszę... - Może to wszystko nieistotne albo stara wiedźma kłamała, żeby ją zaniepokoić, a rano z Kościejem będą się z tego śmiali.

- Wysłuchać jego wyjaśnień? Popatrzeć, jak się korzy? Potrafię to zrozumieć. Z pewnością ciebie wielokrotnie do tego zmuszał, i to z jakiego powodu? Ponieważ masz ładne piersi i zapamiętałaś kilka fragmentów poezji? Posłuchaj, *diewoczka*. Baba wie, o czym mówi. Możesz wymyślić historię, która cię uspokoi, i udawać, że to on ją opowiedział. Zaoszczędzisz sobie masę kłopotów.

- Myślałam, że nie chcesz, żeby się ożenił.

- Mało mnie obchodzi, czy to robi. Ale nie pozwolę, żeby wprowadził do rodziny bezmózgie bachory. - Przewodnicząca Jaga dotknęła dębowej beczki zakrzywionym palcem.

Jej długi, zakrzywiony paznokieć lśnił, gdy wycinała malutki, równy otwór. Przekrzywiła głowę i napiła się tryskającej wódki. Trunek rozchlapał się po jej suchym języku, gdy łąpczywie chleptała. W końcu otarła usta rękawem, po czym przesunęła palcem w przeciwną stronę, zamykając dziurkę. - Sama musisz przyznać, że zawsze mam rację. Która z tych dziewczuch nie rzuciła się na pierwszego tępego wieśniaka, jaki się jej napatoczył? Która nie spiskowała przeciwko Kościejowi? Mój brat tak wiele razy został zraniony. Po prostu pragnę dla niego tego, co najlepsze. Powtarzaj to sobie, a może nauczysz się uśmiechać, gdy będzie cię całował. A lepiej, żebyś się uśmiechała. Byłam mężatką siedemnaście razy, Mario Moriewno. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele wiem o mężczyznach? I o kobietach! Nie rób takiej zaskoczonej miny; po kilku eonach spędzonych z mężczyznami, ty też poszukasz sobie żony. To diabelnie przydatne istoty. Lepsze niż krowy. Kochają cię za to, że je bijesz, i harują aż do śmierci.

- Ja taka nie jestem.

- Przekonamy się. Zresztą, tym, co wiem o małżeństwie, można by zapełnić niebo w bezgwiezdną noc. Nie przeprowadzam tych prób dlatego, że przekupiłam odpowiedniego komisarza. Robię to dlatego, że znam się na rzeczy. Żona musi przerażać, musi mieć rękę silniejszą niż bojar i musi potrafić rządzić. Ostatecznie tylko to ma znaczenie. Kto będzie rządził. A jeśli tego nie umiesz, to trudno. Nie zasługujesz na obrączkę.

Maria uniosła podbródek.

- A jeśli jej nie chcę?

- Jeszcze rano chciałaś. Co się zmieniło? Dowiedziałaś się, że przed tobą miał całe stado innych dziewcząt? Chyba nie myślałaś, że jeśli ktoś nie umiera, to mu również nie staje. To bardzo miłe dziewczyny! Odmowa dzielenia się dziewictwem to przestępstwo, takie samo jak odmowa dzielenia się jedzeniem. Poza tym, nie zapominaj, że jeśli zawiedziesz, zjem twoje kości. Lepiej wyjść za mąż niż skończyć jako rosół z dziewicy i panińskie kotlety.

## Raskownik

- Jak on wygląda? - spytała Nagania, polerując długie orzechowe nogi lepkiem olejem. Wylewała sobie złocistą substancję na skórę i chichotała, gdy ta wpływała do metalowych mechanizmów w jej kolanach i ją łaskotała. Poprawiła kostny wizjer na prawym oku.

- Skąd mam wiedzieć? Nigdy o nim nie słyszałam. - Masza z niezadowoleniem opadła na niewielkie obite aksamitem krzesło stojące obok toaletki. Słońce pukało do okien, upodabniając czerwone zasłony do płomieni. Nigdy nie używała kosmetyków, mimo że Liebiediewa wciąż namawiała ją, by zgłębiła tajniki pudru i różu do policzków. A jednak je przechowywała, małe czarne słoiczki przypominające mazidła do sierści, nietknięte, ale cierpliwie oczekujące.

Nagania wzruszyła ramionami.

- Cóż, ja o nim słyszałam. Mała włochata roślina, która podobno otwiera wszystkie zamki. Ale nie to jest najciekawsze. Otóż raskownika można znaleźć, zakuwając staruszkę w żelazne kajdany i zmuszając ją do przejścia przez pole w bezksiężycową noc. Tam, gdzie spadną pęta... puf!... rośnie raskownik. Ale nigdy go nie widziałam. Bardzo szybko więdnie, trwalsze są nawet lilie w wazonie pełnym piachu.

- Do jutra muszę go dostarczyć przewodniczącej Jadze, w przeciwnym razie zrobi ze mnie zupę. Już szuka przepisów w swoich kredensach. - Przewodnicząca Jaga zadbała o to, by Maria nie mogła się spotykać z Kościejem, tylko w pełni skupiła na spełnianiu zachcianek złośliwej starej wiedźmy. - Myślisz, że mogłybyśmy poprosić o pomoc Liebiediewą? Jest dosyć stara.

Gwintowniczką się roześmiała, a naoliwiony metalowy mechanizm szczęki zastukał jak pistolet próbujący strzelać bez naboju.

- Przekażę jej, że tak powiedziałaś, kiedy następnym razem uszczypnie mnie w policzek i wytarga za włosy. Ale nic z tego, staruszka musi być człowiekiem. W końcu niedobór wzbudza pragnienie. Od lat nie mieliśmy tutaj prawdziwej babci.

- Więc co mam zrobić? Nie chcę skończyć w zupie. - A jeśli nie zdobędę korony, nie uwolnię Jeleni.

- I ty chcesz wyjść za Kościeja? Musisz być tego godna.

Maria Moriewna opuściła głowę i zmarszczyła brwi.

- Powinam sponiewierać te jego kundle i zrzucić jego śmierć z urwiska, ot co. Naszo, nie widziałaś tamtych kobiet! To on powinien się przede mną płaszczyć, żeby udowodnić, że jest mnie godzien!

Nasza się skrzywiła.

- Ależ oczywiście, że je widziałam. Kiedy mieszkały w tym pokoju. Kiedy spotykały się z przewodniczącą Jagą. Poznałam również mężczyzn.

- Jakich mężczyzn?

- Iwanów. Tam gdzie jest Jelena albo Wasylisa, musi być także Iwan. Na pewno Babuszka ci o nich powiedziała. O bohaterach? Zazwyczaj nie są zbyt bystry, ale przystojne z nich bestie. Każdy jest najmłodszym z trzech synów. Uczciwym, tępym jak kołek, ale hojnie obdarzonym przez naturę. A Jeleny zawsze się w nich zakochują i z nimi uciekają. Pamiętam, że jeden z Iwanów przyprowadził ze sobą wilka, potężnego potwora. Wilk wszystkim się zajął, podstępem skłonił Kościeja, by zdradził, gdzie ukrywa swoją śmierć, i poradził Iwanowi, co ma powiedzieć, żeby Promienna Jelena zemdląła na jego widok, mimo że był najmłodszym synem, bez spadku i z brudem za paznokciami. Gdy było po wszystkim, razem odjechali na grzbiecie wilka, zostawiając Kościeja krwawiącego na śniegu. Kiedy zniknęli, Kościej wstał i zmył krew. Długo patrzył na drogę, jakby czekał, że Jelena wróci. Ale cóż począć? Przepadła na dobre. Całymi tygodniami nie wychodził z Czarnoświatła. Przewodnicząca Jaga już nawet nie wymawia imienia Iwan, tak bardzo ich nienawidzi. Jeśli spotyka jakiegoś na ulicy - ciach, ciach! Zjada go na miejscu, po czym beka jak komisarz, żeby wszyscy wiedzieli, że nie żałuje.

- Znałaś je? Spałaś obok nich i wiesz, gdzie się znajdują? Dlaczego nie próbujesz ich uratować?

Nagania się skrzywiła.

- Czarty nie zajmują się ratowaniem. Jeśli zjesz zepsutą rybę, to się rozchorujesz. Jeśli będziesz niewierną jędzą, skończysz w fabryce. To logiczne. Poza tym, cierpienie jest dla ludzi naturalne, tak jak dla chochlików naturalne jest radowanie się ich nieszczęściem. Taki układ idealnie się sprawdza.

Maria zaczęła skubać paznokcie. Znała odpowiedź, zanim zadała pytanie.

- A jeśli tam trafię, to też po mnie nie przyjdiesz?

Gwintowniczką Nagania odwróciła wzrok, a tłuste włosy zsunęły się jej na twarz.

- Cóż - odezwała się cicho Maria. - Jeśli kiedyś spotkam mężczyznę imieniem Iwan, to zjem jego serce, zanim zdąży się ze mną przywitać.

Nasza się wyszczerzyła, chętnie zmieniając niewygodny temat.

- To dowodzi, że jesteś jedną z nas, Maszeńko! Ciałem i umysłem, aż do szpiku kości. A teraz musimy wykopać raskownika, czasu coraz mniej.

- Skoro potrzebujemy człowieka, to jak nam się uda wrócić do miasta bez Wilczej Jagody i wolnych kilku tygodni?

- Istnieją miejsca graniczne, w których brzozy są cieńsze od papieru i można się przez nie przedrzeć. Miejsca, w których Car Życia i Car Śmierci toczyli tak ciężkie walki, że ich spustoszone terytoria się mieszają, zajmują przeciwne strony tego samego kamyka, liścia, korzenia rzepy, kociego ogona i języka.

- Powinnam spróbować się z nim spotkać, zanim wyruszymy. Baba Jaga mnie nie powstrzyma, jeśli on usłyszy mój głos. Z pewnością obejmie mnie i powie...

- Nie rób tego, Maszo. - Nagania wierciła się na miejscu. - Wojna toczy się nie po naszej myśli.

- Wojna zawsze toczy się nie po naszej myśli.

\* \* \*

Maria i Nagania wybrały młodego konia, zielonego, rączego i głodnego, po czym pokłusowały ulicą Skorohodną w wieczornym świetle.

Gwintowniczką siedziała przed Marią, ściskając łęk siodła drewnianymi rękami. Nadciągał leniwy półmrok, nieśpiesznie wypełniając niebo fioletoworóżową poświatą. Ostatnie promienie słońca padały na uszy ich rumaka.

- Konie denerwują się w mojej obecności - zaniepokoiła się Nagania. Bezpiecznik w jej policzku głośno przeskoczył, a echo tego odgłosu poniosło się drogą. - Na pewno ten wierzchowiec zaraz stanie dęba i mnie zrzuci! A potem przetoczy się po nas obu!

- Wybrałam młodego ogiera, który jeszcze nie słyszał, że czasami strzelasz do ludzi. Wszystko będzie dobrze.

Koń parsknął, zrzucając śnieg z pyska.

Nagania obróciła się w siodle, gdy zostawiły za sobą drogę i wjechały w las, mroczny i pobudzony, złodowaciały i szeleszczący. Chwyliła przyjaciółkę za podbródek.

- Mario, posłuchaj uważnie, jakby twoje uszy nie miały dna! Miejsca graniczne są niebezpieczne. Żyją tam bardzo podejrzane istoty. Musisz być ostrożna, w przeciwnym razie Kościej mnie przetopi za to, że cię straciłam. Jeśli zobaczysz kogoś znajomego albo kogoś ze srebrną gwiazdą na piersi, nie wolno ci z nim rozmawiać, a nawet go przeklinać ani pytać o imię. Nie wolno ci zsiadać z konia. Jeśli dotkniesz stopą ziemi, nie będę ci mogła pomóc. Na terenie wroga nawet kamyki gryzą i są niebezpieczne. Znajdę dla ciebie staruszkę i przegonię

ją przez pole.

- Czy to nie będzie oszustwo?

- Tfu! Przecież ona oczekuje, że będziesz oszukiwała! Maszo kochana, te zadania nie mają na celu sprawdzenia twojej siły ani determinacji, tylko umiejętność oszukiwania, która najlepiej świadczy o każdym diable. Nie da się ich wykonać uczciwie. Co niby miałybyś zrobić? Wkroczyć bez ochrony na ziemię niczyją i zniknąć na zawsze?

- Czy tak samo robiły inne dziewczęta? Mówiłaś to wszystko Jelenom?

- Tak! A one nie mnie słuchały, ponieważ były niewinnymi pannami o sercach wolnych od kłamstwa i duszach bez zmayı. Nie bądź niewinna, Mario. Niewinność to głupota. Podążaj za swoją przyjaciółką, która jest goblinem i lepiej się na tym zna, a przed świtem zjemy sałatkę z raskownika.

Ale skoro nie jestem niewinna, to czy w moim sercu są kłamstwa? Zmayı na mojej duszy? Czy jestem diabłem? Co to oznacza, być jednym z nich? Maria postanowiła rozważyć to wszystko w wolnej chwili, gdy kocioł Baby Jagi nie będzie wisiał jej nad głową.

Las stał się gęstszy, brzozy zarościły się od kruków, a wśród poszycia rozbłysły czerwone, przenikliwe oczy jeży. Ponad nimi fiolet spływał z nieba, wypierany przez czerni, aż w końcu przez noc przebijały się tylko ostre światła gwiazd. Nagania grzała się o ciało Marii, delikatnie poruszając spustem w gardle, by uchronić oleje przed zamarznięciem. Wreszcie wyjechały na rozległą polanę, którą płynął śnieg, równy i gładki jak woda. Tuzin domów świecił, dymił i robił inne rzeczy, których można się spodziewać po wiejskich chatkach zimową nocą. Nagania krzyknęła z radości, a jej głos odbił się echem, dołączając do pohukiwań sów. Z jednego z najmniejszych domów wyszła na śnieg stara kobieta. Gdy opuściła krąg światła padającego z okien, przykucnęła na polu, a wieczorną ciszę zakłócił głośny syk oddawanego moczu.

- Mamy dziś szczęście niczym grzybiarze, Mario! Tylko na nią popatrz, jaka tłusta i soczysta! - Nagania lekko zeskoczyła z konia, nie zapadając się w śniegu ani nie zostawiając na nim śladów, ale tańcząc po powierzchni jak jętka po jeziorze.

- Dlaczego dla ciebie to bezpieczne, a dla mnie nie? - wyszeptała Maria Moriewna.

- Ponieważ wciąż jesteś dziewczyną. - Gwintowniczką uśmiechnęła się szeroko. - Dziewczęta muszą przestrzegać zasad. Czarty je łamią.

Chochliczka-karabinniczka ruszyła po śniegu, a Maria popędziła konia, żeby nie tracić przyjaciółki z oczu.

- Psst, babuszko! - syknęła Nasza. - Stara leniwa flejo! Ile dzieciaków urodziłaś swojemu chłopu? Spędzasz życie z rozłożonymi nogami, prawda? Dzięki temu diabeł może



się łatwo wślizgnąć!

Staruszka drgnęła i obejrzała się w stronę Naganii, ale niczego nie zobaczyła.

- Wstydz się, babo! Nie masz nawet tyle przyzwoitości, żeby na starość zająć się czarami! Tylko się wylegujesz i drzesz na bachory połowy swoich sąsiadów. „Poprawcie mi poduszkę! Nakarmcie mnie wiśniami!”.

Staruszka zadrzała, wbijając wzrok w ciemność.

- Babuszko! Choć raz złącz nogi! A jeśli dziś w nocy przyjdzie Chrystus i pierwszym, co zobaczy, będzie stara obwisła baba sikająca na śniegu jak koń? Od razu wróci do raj, ot co!

Kobieta poderwała się, łącząc kolana z suchym stuknięciem. Nagania pochyliła się i z chichotem zatrzasnęła kajdany na nogach staruszki.

- Mario - odezwał się ktoś cicho.

Maria pamiętała, by z nikim nie rozmawiać, i patrzyła przed siebie.

- Marsz, towarzyszo Leniuszko! - zawołała gwintownicza. Szarpnęła się za ucho, tupnęła, po czym wystrzeliła z ust trzy pociski przy wtórze cichych pyknięć tłumika. Pociski uderzyły w ziemię wokół babci, ale nie zrobiły jej krzywdy, jedynie sprawiły, że ruszyła z miejsca jak wystraszona krowa. - Szybciej! Szybciej! Milicja cię ściga! Biegiem! Chyba pamiętasz, jak się podwija spódnice!

Kobieta wrzasnęła i zatoczyła się, gdy jej kostki zaplątały się w łańcuch.

- Tylko nie upadnij, bo cię zaaresztuję za to, że zmarnowałaś życie na bachory i barszcz!

- Mario - ponownie usłyszała głos.

Maria zacisnęła powieki. Nie odpowiem, pomyślała rozpaczliwie.

Nagania deptała kobiecie po piętach, plując pociskami i okładając ją po palcach stóp bagnetami, które ku zaskoczeniu Marii skrywała pod pachami.

- Nie becz, ty pomarszczona stara wielbłądzico! Pomyśl, jaką opowieść przyniesiesz pozostałym zapłutym zwierzacom! Diabeł przegonił cię po śniegu! Zostaniesz Wielbłądzią Królową, pierwszą pośród zaszczalców!

- Mario Moriewno, popatrz na mnie.

Maria nie mogła się powstrzymać. Zerknęła w dół. Obok jej konia stała piękna młoda kobieta o blond włosach zebranych w elegancki kok baleriny. Miała na sobie grube białe futro, jakie mężczyzna daje w prezencie kochance. Na jej piersi migotała plama światła, zupełnie jakby ktoś wylał tam wiadro stopionego srebra. Lśniła jak wodnista gwiazda.

- Swietłana Tichonowna! - westchnęła Maria.

- Tak, to ja - odpowiedziała kobieta. - Zsiądź i mnie obejmij, kochana. W końcu byłam jedną z twoich dwunastu matek.

Swietłana wyciągnęła rękę. Gwiazda na jej piersi falowała.

- Nie wolno mi. - Maria czuła, że łyzy napływają jej do oczu. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie zobaczyć ludzką, matczyną twarz.

- Maria, którą znałam, nigdy nie przejmowała się tym, czego jej nie wolno. Ukradłaś moją szczotkę i uciekłaś w środku nocy jak niewdzięczny bachor. Ale nie mam do ciebie żalu, jak na matkę przystało.

- Co tutaj robisz, Swietłano? Jesteśmy po drugiej stronie świata. - Marię świerzbiły palce, by pogłaskać lodowaty policzek i powiedzieć: „A co z moją rodzoną matką? Co z moim ojcem? Masz jakieś wieści od moich sióstr? Nie jestem bachorem”.

- To prawda, to prawda. Tak się złożyło, że zmarłam kilka miesięcy po twoim odejściu. Nic nie mogłam na to poradzić, byłam taka głodna. Kiedy milicja przyszła przesłuchać mojego męża w sprawie członkostwa w klubie, naplułam na nich i powiedziałam, że to wstyd, iż hodują swoje wielkie brzuchy w olbrzymich mieszkaniach, podczas gdy moje dzieci i ja nie pamiętamy, jak smakuje mięso! Wiedziałam, że nie wolno tak mówić. Chyba po prostu zmęczyło mnie życie. Teraz już nie warto być żywym.

- Ja to lubię - szepnęła Maria.

- Ponieważ nie mieszkasz w Leningradzie. Dasz wiarę? Przemianowali miasto na Leningrad po śmierci tego starego smoka. Wciąż zmieniają nazwę. Daję słowo, że za dwadzieścia lat nazwą je Cytrynowym Lizakiem i będą strzelali do każdego, kogo to rozbawi. Życie jest przyjemne, gdy ma się zupę ogórkową i puder w kolorze zielonej cebulki, a na każdym stoliku paruje samowar. Już o tym zapomniałam, dopóki nie przybyłam do Krainy Śmierci, gdzie carem jest Wij, a szpizarnie pękają w szwach od duchów posiłków, które jedzą żyjący. Zsiądź z konia, Maszo. Dam ci cukierka.

- Boję się. Nie chcę wracać. Nie chcę być głodna. Nie chcę być zwyczajna i lekceważona. A już na pewno nie chcę umrzeć. Mój dom jest w Bujanie, w Krainie Życia.

- Twój dom jest w Leningradzie - warknęła Swietłana Tichonowna. - Po prostu o tym zapomniałaś.

- Wcale nie zapomniałam! Ale można opuścić swój dom i znaleźć dla siebie nowe miejsce. Ludzie wciąż to robią. Dlaczego ja nie mogę?

Swietłana Tichonowna wzruszyła ramionami, jakby nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia.

- Chodź i ucałuj mnie w policzki, *diewoczka*, a ja powiem ci, jak pięknie wyrosłaś.

Dlaczego żywi mieliby się obawiać umarłych?

Nagania krzyknęła radośnie po przeciwnej stronie pola, gdzie zatrzymała się staruszka. Kajdany opadły z brzękiem. Babcia ruszyła biegiem w stronę swojego domu, a gwintowniczką zatańczyła, wymachując łańcuchami.

Maria pokręciła głową. Miała wrażenie, że otacza ją srebrzysta mgła, która wywołuje ośpienie i zawroty głowy.

- Święta, ty wcale nie chcesz mnie pocałować.

Swietłana Tichonowna zachichotała, po czym skoczyła na Marię i kurczowo chwyciła ją za nogę. Ze śniegu wyłonili się mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy ze srebrnymi plamami śmierci na piersi, wygłodniali i wyszczerzeni.

- Zsiądź, zsiądź! - łkali. - Chcemy tylko cię pokochać i przytulić! Jesteś taka ciepła! Dlaczego nasz wróg ma dostać wszystkie twoje pocałunki?

Setka lodowatych palców szarpała Marię, a żaden jeździec nie utrzyma się w siodle, gdy chwytają go takie dłonie. Maria spadła w sam środek tłumu, otoczona śniegiem i unoszącą się parą. Rzucili się na nią jak jeden mąż, nie przestając płakać. Nie gryźli jej ani nie drapali, ale całowali, raz za razem, tak że wciąż czuła ich usta na swoim ciele. Z każdym pocałunkiem robiło jej się coraz zimniej i miała wrażenie, że staje się coraz chudsza. Bała się, że porwie ją zimowy wiatr. Swietłana Tichonowna leżała obok niej, zamykając jej usta pełnymi, zmrożonymi wargami.

- Chodź. - Balerina szeptała jej do przemarzniętego ucha. - Nauczę cię tańczyć tak wspaniale, że każdy twój krok zatrzyma setkę serc.

Maria jęczała, przygnieciona cieniami. Usiłowała wypełnić serce myślami o tym, co żywe i gorące, pamiętać, że wciąż żyje, i nie zapaść się pod ziemię pod ciężarem duchów.

- Herbata - szepnęła słabo. - Jeżynowy dżem w garnku, zupa z kiszonych ogórków na kuchni. - Cienie cofnęły się, srebrny blask księżyca odbijał się od ich zębów. Maria z trudem uniosła głowę. - Papryczki na talerzu, bieganie na zimnie, pierogi gotujące się w żelaznym garnku, puder Liebidewej, przekleństwa Ziemi i gęśle grające tak szybko, na ile pozwalają palce! - ciągnęła, a jej głos stawał się coraz mocniejszy, niższy, przypominał warczenie. Duchy patrzyły na nią z niechęcią.

Swietłana Tichonowna się skrzywiła.

- Zawsze byłeś wrednym dzieckiem - parsknęła.

- Żar-Ptak w mojej sieci! Strzelba w moich dłoniach! Gorczyczniki, brzoźowe witki i bliny rumieniące się w rondlu! - wykrzyknęła Maria, a mieszkańcy krainy Wija machnęli rękami, po czym wrócili do lasu.

Maria, drżąc, wspięła się z powrotem na grzbiet młodego konia, który na szczęście nie wystraszył się i nie uciekł, tylko spokojnie skubał rośliny zakopane pod śniegiem, nie zwracając uwagi na całe zamieszanie. Nagania stała po drugiej stronie jego pękatego brzucha, spoglądając na Marię spod przymrużonych powiek.

- Nie bądź taka zadowolona z siebie - powiedziała. - Lepiej pomyśl! Mogłaś po prostu mnie posłuchać. Ale to by było coś nowego! Pierwszy taki przypadek w annałach Bujanu!

Podniosła ciemną rękę. Na jej dłoni leżał kwiat o jaskrawopomarańczowych płatkach grubych jak krowie jęzory, pokrytych białym sterczącym futerkiem. Liście miał ostre i postrzępione, a łodygę najeżoną zdradliwymi cierniami.

- Nie zapomnij o tym, kiedy zostaniesz królową - rzekła uroczyście gwintowniczką. - Dla ciebie weszłam w ciemność i wystraszyłam staruszkę niemal na śmierć.

\* \* \*

Przewodnicząca Jaga siedziała w głębi kawiarni czarodziejów, przy swoim olbrzymim biurku z czarnego, lśniącego drewna, które wyglądało jak polakierowane. Obracała w dłoniach raskownika, oglądając go pod jubilerską lupą.

- Niewydarzony okaz - stwierdziła.

- Nie prosiłaś o bukiet - odburknęła Maria. Wokół oczu miała ciemne kręgi; z białych palców odpłynęła krew. Każdy cal jej ciała był obolały, zużyty, wymęczony, wyczerpany.

- To prawda. Będę o tym pamiętała przy następnej dziewczynie.

Maria nie odpowiedziała, tylko zapatrzyła się w dal, ale jej policzki zapłonęły.

- Co mówiłyśmy o rumienieniu się, *diawoczka*? - Baba Jaga zmarszczyła gruby nos. - Gazy i gangrena, dziewczyno, nie mogę znieść smrodu twojej młodości!

- Więc zaczekaj. Ona przeminie.

- Oho! Widzę, że zaczynamy się odgryzać lepszym od siebie. W małżeństwie największą cnotą jest pokora. Jeśli będziesz pokorna, każdego zaskoczysz! - Baba Jaga klepnęła dłonią w blat, żeby podkreślić swoje słowa. Niby przypadkiem jej palce natrafiły na butelkę wódki i starucha opróżniła ją jednym łykiem. - Zawsze kiedy wychodzę za mąż, mam na sobie czepak zdarty z bliźniaczych cieląt. Dzięki niemu jestem młoda, piękna jak kupka masła, rumienię się, ciągnę za warkocze, modłę w kościołach i kłaniam, pokorna jak gnój. Chłopcy nie mogą mi się oprzeć! Przychodzą zdyszani, z fiutami na jedwabnych smyczach i z jajami pomalowanymi na złoto dla mojej przyjemności. Daję im jedną noc na kolanach, tak jak lubią. Jestem słodka i posłuszna, tępą jak but, oszołomiona ich tajemniczymi ciałami, przy których czuję się taka słaba! Potem się budzą i... ha! W ich łóżku leży Baba Jaga, z kurzajkami i zębami jak kolce, a nad paleniskiem grzeje się kocioł. To dobra sztuczka.

Powinnaś zobaczyć ich miny!

- Ja jestem inna.

- Przekonamy się. Nie ma czegoś takiego jak dobra żona ani dobry mąż. Każdy tylko gra na zwłokę.

## Białe złoto, czarne złoto

- Rozumiesz, dlaczego cię potrzebuję - powiedziała Maria Moriewna, siadając na mchu obok Ziemiojada, który sprawiał wrażenie niezainteresowanego i skupiał się na wyplataniu korony z fiołków i gałązek głogu obwieszonych pulchnymi owocami. Wyprostował kciuk i popatrzył na niego spod przymrużonych powiek, wysuwając z ust kamienny język z wściekłym skupieniem. W końcu nawlekł na koronę trzy szkarłatne grzyby i ponownie się jej przyjrzał.

- Nie rób tego - odparł oschle.

- Żmij Gorynycz - powtórzyła. - To smok. Zdecydowanie wyższe progi w porównaniu z tamtym zielskiem. Nie mam pojęcia, jak walczyć ze smokiem, a co dopiero dostarczyć jego skarb przewodniczącej Jadze, pozostając przy tym Marią Moriewną, córką dwunastu matek, a nie Upieczoną, córką Spalonej. Ona chce zdobyć jego białe i czarne złoto, ale ja, szczerze mówiąc, niczego nie chcę. Pragnę tylko się przespać.

- Zastrzel go - mruknął Ziemiojad. - Pif-paf, między oczy. Przegryź stekiem ze smoka i bądź szczęśliwa. Poproś o pomoc Naganię. - Leszy zerwał pasek kory z pobliskiej brzozy i oplótł nim fiołki, zaskakująco zręcznie jak na swoje grube, chropowate dłonie.

- Gniewasz się na mnie, Ziemio?

Leszy rozłupał żołądź granitowymi zębami i wypluł skorupkę na trawę.

Maria ponowiła próbę.

- Nagania nie jest na tyle silna, by walczyć ze smokiem, a zastrzelenie go tylko pozornie wydaje się wygodne, ponieważ, zabijając taką bestię, podarowalibyśmy Wijowi trójgłowy bombowiec.

- Jest wystarczająco silna. Sypia obok ciebie.

Maria spuściła wzrok. Mrówki wędrowały po mchu ku jakiejś odległej bitwie bądź uczcie z nasion jęczmienia. Leszy byli niezwykle taktowni. Maria wątpiła, by Ziemiojada interesowało, kto sypia w jej łóżku, w końcu leszy rozmnażają się przez zapylenie krzyżowe, jednak Ziemia uważał, że w nocy powinien nad Marią czuwać najsilniejszy z czartów, a skoro Maria wybrała Naganię, to zapewne sądziła - całkowicie błędnie - że gwintowniczką mogłaby go pokonać w pojedynku na pięści i zapasach. Ziemiojad wydał wargi i wetknął w koronę gałązkę jaskrawej jarzębiny.

- Nagania jest mocna w gębie - ostrożnie powiedziała Maria - ale ma młodą rękę. Dlatego wybieram twoje stare i twarde ramię. - Poza tym, gwintowniczką nigdy nie przepadała za zapasami.

Ziemiojad uśmiechnął się szeroko. Jego skaliste oczy zwilgotniały, jak zroszone deszczem.

- Moriewna wybrała! - zawołał wesoło. - I wybrała najlepiej. Ziemiojad wie, gdzie znajduje się leże Żmija Gorynycza. Nasza potrafi tylko robić dziury. Gorynycz sypia na kościach. Na złocie. Ziemia też chciałaby takie łożo, ale zadowala się tym, co ma.

Leszy podniósł swój leśny diadem, kołysząc przy tym kilkoma zielonymi omszałymi warkoczami. Sięgnął w dół i na oślep złapał pęczek zimowych cebulek, które następnie przyczepił do korony, tak że szczypior opadał z tyłu jak całun. Ziemiojad umieścił koronę na głowie Marii. Pasowała do jej różanych spodni i czarno-fioletowych butów.

- Ziemia pomoże ci, jeśli coś mu obiecasz.

- Co tylko zechcesz.

Leszy uśmiechnął się chytrze, podkreślając węża z jodłowych igieł.

- Pocałunek prosto w usta. Ziemiojad nikomu nie powie.

Maria Moriewna się roześmiała. Najwyraźniej nawet zwolennicy zapyłania krzyżowego bywają ciekawscy. To równie nieszkodliwe jak całowanie drzewa albo kamienia. Poza tym, Kościej całował te wszystkie Jeleny. A może tego nie robił? Kto zna prawdę? Maria poczuła, że wzbiera w niej bunt. Było jej wszystko jedno. Może się całować z kim tylko ma ochotę.

- Dobrze, Ziem. Pocałunek.

Leszy bez ostrzeżenia wyskoczył w powietrze, zrobił salto, po czym ciężko wylądował na omszonym ilastym gruncie i zaczął zapamiętale kopać. Jego pięści uderzały w ziemię, zęby zgrzytały i szarpały, stopy wierzgały jak u nurka schodzącego w głębinę. W powietrze wylatywały grudy ziemi, aż Ziemiojad zniknął w wykopanej dziurze. Po chwili jednak na powierzchnię znów wyskoczyły jego palce i kłykcie pokryte koronkowymi grzybami.

- Moriewno! Prędko! Nawet gdybyś przyspieszyła, byłabyś zbyt wolna.

Maria chwyciła leszego za szorstką dłoń, a on wciągnął ją pod ziemię głową naprzód.

\* \* \*

Maria obróciła się w powietrzu i z gracją wylądowała na nogach w zupełnie innym lesie, pełnym pękających karłowatych drzew i wysokich lilaków, otoczonym ze wszystkich stron przez złocistopomarańczowe góry. Ziemiojad wisiał na gałęzi jednego z wyższych

drzew, radośnie przebierając krótkimi nogami. Uwolnił czubek głowy ze szpary w konarze i spadł - łup, trach! - na ziemię zasypaną igłami.

Lesny chochlik odbił się, a gdy stanął na nogach, zmienił się w przystojnego młodzieńca o poskręcanej, kłującej czarnej brodzie i muskularnych ramionach jak pnie sosen, ubranego w ciemnozielony mundur z czerwonymi lamówkami i złociście lśniącą czapkę. Ziemiogad przyłożył sobie palec do nosa.

- Nikomu nie mów - rzekł zmienionym głosem. - Nie mogą się dowiedzieć.

Maria Moriewna patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami. Nie była w stanie zamknąć ust. Przez cały ten czas jej przyjacieli byli... kim? Nawet nie była pewna. W każdym razie mężczyzną. I to pięknym.

- Dlaczego nie? Ziem! Nawet Liebiediewa musiałaby przyznać, że jesteś przystojny!

- Lasy kryją tajemnice - odpowiedział uprzejmie. - Właściwie taka jest ich główna rola. Mają ukrywać rzeczy. Oddzielać jeden świat od drugiego. Może tego nie widzisz, ale kocham Liebiediewą i Naszę z całego błotnistej serca. Lecz póki myślą, że jestem głupcem, mogą niepostrzeżenie je okradać. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że mógłbym potrzebować kremu na noc Liebiediewej albo bluzki-kabury Naganii. A jednak je zabrałem i teraz są moje, nigdy ich nie oddam.

- Ale po co ci one?

Ziemiogad wzruszył ramionami.

- Taka już moja natura. Gromadzę skarby. One też to robią, dlatego Liebiediewa ma więcej kremów niż przeżytych nocy, a Nasza zbiera blaszane puszki. Żmij Gorynycz również taki jest. Zresztą podejrzewam, że to także część twojej natury.

Maria zamrugła.

- Nie sądzę. Co takiego zbieram?

Ziemiogad uśmiechnął się koślawo, jakby nie do końca potrafił korzystać ze swojej nowej twarzy.

- Nas.

\* \* \*

Leszy poprowadził ją przez pole spiczastych żółtych kwiatów pokrytych pyłkiem, otoczonych przez bzyczące pszczoły. Puszyste białe kłaczki bawełny falowały wokół nich jak malutkie obłoki. Słońce napierało im na ramiona, przynaglając do marszu. Dookoła wznosiły się dziwne, cienkie góry naznaczone smugami śniegu. Zupełnie jakby pod ziemią zasnął wygłodzony człowiek, a jego żebra sterczały spod kamienia. Wędrowali wzdłuż ciemnoniebieskiej rzeki, która wiła się szaleńczo po łące. Ryby beztrudno pluskały się w



wodzie, jakby wiedziały, że nad brzegiem nie pojawi się myśliwy z włócznią. Gdy zmęczone słońce poczerwieniało, Maria ujrzała w oddali olbrzymią włochatą jurkę stojącą na suchej trawie. Gruba, pofałdowana wełna pokrywała dach budowli otoczonej łukiem z długich, ciasno ustawionych żerdzi. Drzwi zakrywała barania skóra.

Ziemiojad nie zapukał. Odsunął skórę i precyzyjnie przycisnął imponujące ciało przez drzwi. Maria podążyła za nim, zagłębiając się w ciepłych cieniach wewnątrz jurty, gdzie przy biurku siedział łysy mężczyzna w okrągłych okularach otoczony stertami papierów.

- Czy byliście umówieni?! - ryknął, a rumieniec popłynął od jego włosów aż do brwi, jak czerwona fala.

- Szukamy Żmija Gorynycza - powiedziała Maria stanowczo.

- Jesteście maluczcy - stwierdził mężczyzna. - Żmij Gorynycz nie marnuje czasu na maluczki. Zauważa tylko potężnych! Tych, którzy dorównują mu wielkością!

- Ja jestem duży. - Ziemiojad wzruszył ramionami.

- Nieszczerze, w porównaniu ze Żmijem Gorynyczem! - wrzasnął mężczyzna, ponownie czerwieniejąc.

- Nie przybyliśmy po to, by się z nim porównywać - odparła Maria słodkim głosem, badając nastrój okularnika. Mężczyzna chwycił plik papierów leżący na spodzie sterty i zręcznie go wyszarpnął, nie naruszając pozostałych dokumentów. Zaczął coś bazgrać na jednym z arkuszy. - Jak moglibyśmy się równać z trzema głowami, ogonem jak górskie pasmo i oddechem, który spopiela całe imperia?

Okularnik podniósł rozdrażniony wzrok.

- Posłuchajcie, kryminaliści, nie mam i nigdy nie miałem trzech głów! Oto, co się dzieje, gdy pozwalamy pisarzom na swobodę, zamiast zaprzęgać ich do szlachetnej służby Partii, gdy tylko nauczą się klecić akty oskarżenia. Jestem towarzysz Gorynycz i mam jedną głowę.

- Nie jestem kryminalistką - odparła Maria Moriewna.

Ziemiojad nie bronił swojego dobrego imienia, gdyż, jako goblin, w duchu czuł się przestępcą, mimo że nie wydano na niego nakazu aresztowania.

- Oczywiście, że jesteście - odburknął towarzysz Gorynycz. - Każdy jest kryminalistą! Ze wszystkich stron otaczają nas wrogowie rewolucji. Ludzie w naturalny sposób dzielą się na trzy kategorie: kryminaliści, jeszcze-nie-kryminaliści i jeszcze-nie-złapani. - Towarzysz Gorynycz wycelował w ich stronę olbrzymie wieczne pióro. - Nawet człowiek, który przez całe życie zachowuje czujność i utrzymuje umysł oraz ciało w takiej czystości, że nigdy nie przytrafia mu się ani jedna antyrewolucyjna myśl, jest przestępcą! Powinien zachowywać

czystość bez żadnego wysiłku! Jeśli musi ciężko walczyć, by podporządkować się wizji towarzysza Stalina, to najpewniej od samego początku jest kryminalistą!

- Myślałam, że jesteście smokiem. - Maria westchnęła, siadając na niewielkim krześle. Wciąż marzyła o wyżynach magii, chciała oglądać smoki i syreny, ujrzeć obnażony świat. Tymczasem przypomniał jej się dom i widmo nakazu aresztowania za ucieczkę. Ziemiajad spokojnie stał za jej plecami, trwając w gotowości.

Towarzysz Gorynycz uderzył obiema pięściami w swoje akta.

- Jestem smokiem! Rozejrzyjcie się! Co widzicie? To moje leże z kości! Patrzcie, jak je miażdżę!

Maria uniosła jedną brew, co jeszcze bardziej rozwścieczyło okularnika. Wydawało się, że jego głowa za chwilę wystrzeli w powietrze. Dziewczyna wrzuciła ramionami.

- Nie widzę żadnych kości.

- Zaślepia was wasza przestępcza natura! Patrzcie! - Chwycił jedną z teczek. - Towarzysz Jewgienij Leonidowicz Kriukow! Skazany za członkostwo w antystalinowskiej organizacji we wtorek dwudziestego czwartego! Kazałem go rozstrzelać podczas swojej przerwy obiadowej! Kości! Towarzyszka Nadieżda Aleksandrowna Roginska! Skazana za ukrywanie zbiegów, swoich kuzynów przestępców! Aresztowana w czwartek, rozstrzelana w piątek przed kolacją! Kości! - Podniósł nad głowę olbrzymią teczkę. - Wioska Bandura na Ukrainie! Mieszkańcy odmówili kolektywizacji! Szkoda, tak czy inaczej czeka ich śmierć z głodu! Kości! - Łysy mężczyzna pochylił się nad biurkiem, pieszcząc swoje dokumenty. - Trzystu sześćdziesięciu siedmiu antybolszewickich szpiegów skazanych za morderstwo Siergieja Mironowicza Kirowa! Ale to dopiero, gdy uda nam się zastrzelić Kirowa w Leningradzie! Kości! Kości! Kości! - Gorynycz ścisnął dokumenty w dłoniach, nie posiadając się z wściekłości. - Śpię z wyrokami śmierci pod materacem. To mi dobrze robi na plecy!

Maria patrzyła na niego, czując, jak ogarnia ją kwaśne i lodowate przerażenie.

- Dlaczego to robicie, towarzyszu Gorynycz? - spytała cicho.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić! W takich dziurach zabitych dechami Partia nie ma łatwo. Ludzie są zbyt przywiązani do swoich jaków i dzieci. Ale ja rozumiem wschód. Jestem tutaj dłużej niż ten piach! Moją matką była potężna smoczyca, która żyła w jeziorze Bajkał. Gdy parskąła, rozpętywały się burze, gdy pluła, nadchodziły powodzie, nurkowała na dno jeziora, by podgryzać podstawy świata. Moim ojcem... wiem, że w to nie uwierzycie!... moim ojcem był Czyngis-chan, który miał tak wielkie serce, że jako jedyna istota w niebie i na ziemi był wystarczająco silny, by spółkować z moją matką, śmiejąc się przy tym pełną pierśią. Moje jajo wiozła Złota Orda. Wychowywałem się w wioskach, które palili, wśród ciał

najeżonych strzałami! Wypełniają mnie ludzie wschodu! Poznałem ich od stóp do głów. Oni też mnie poznali. Wiedzą, że jeśli sprzeciwią się Partii, to wystąpią przeciwko towarzyszowi Gorynychowi, a ten zawsze był ich towarzyszem, kochankiem, gościem na kolacji i mistrzem ceremonii pogrzebowych. - Poprawił okulary i otarł czoło czerwoną chustką. - Jestem kanałem przerzutowym. Moskwa przesyła mi mięso i kości, a ja odsyłam szlachetną, delikatną bawełnę i szlachetną, delikatną ropę naftową. Jako daninę. To odwieczny, honorowy układ.

- Jakie to ma dla was znaczenie, czy Partia interesuje się sytuacją na wschodzie? - zdziwiła się Maria, starając się zachować spokój, ponieważ wyglądało na to, że w ten sposób drażni Gorynych, a rozdrażniona bestia jest nieostrożna. - Po prostu jestem ciekawa. O ile się nie mylę, w dawnych czasach Gorynych nie pracował dla carów.

- Phi! A niby po co? Jestem potomkiem chana! Carowie nie mogli mi zaproponować niczego, czego bym nie miał. Banda dyletantów. Ale teraz Partia działa na skalę przemysłową. Są tacy jak ja. Łakomi. Gromadzą skarby. Partia wyściela moje łoża luksusowymi kośćmi udowymi, mostkami i żebrami! Gdyby nie powtarzała ludziom, że to wszystko dla ich własnego dobra, nie sypiałbym tak wygodnie.

Nagle towarzysz Gorynych zakrył dłonią jedno oko i wyciągnął w ich stronę szyję jak żółw.

- Mówiliście, że jak się nazywacie, kryminalistko? - spytał ostro.

- Maria Moriewna. - Uciekinierka. Tylko tyle może mi zarzucić. Od czasu do czasu niedelikatnie obchodzę się z przyjaciółmi, ale tylko dlatego, że mi pozwalają.

Gorynych zaczął kartkować dokumenty i przerzucać akta, a jego język błyskawicznie wysuwał się i chował.

- Co my tu mamy?! - wykrzyknął triumfalnie. - Wiedziałem! Niczego ani nikogo nie zapominam! Towarzyszka Maria Moriewna! Skazana za dezercję w Leningradzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim! Kości! Kości! Jesteście moimi kośćmi i moją daniną. Może od razu was rozstrzelam? Po co zwlekać? Czas to wspólne dobro, Mario Moriewno, najbardziej wspólne ze wszystkich. Należy do każdego, więc nie wolno zatrzymywać go dla siebie.

Maria wyprostowała ramiona i założyła nogę na nogę. Nie wolno okazać smokowi, nawet okularnikowi, że się go boimy. Jeśli ktoś zdoła wystraszyć konia, wystraszy też węża. Chan uznaje tylko siłę. Mimo wszystko chciała już wrócić do swojej czerwonej komnaty, gdzie jest ciepło i gdzie czeka kolacja.

Zmierzyła Żmija wzrokiem.

- Jeśli należy do każdego, to ja chętnie porozkoszuję się swoim przydziałem.

Gorynych parsknął, upuszczając czarną teczkę z powrotem na biurko. Coś w niej nabazgrał.

- Tylko skonsumujecie mój dzień i wysracie kolejne papiery. Teraz muszę odnotować, że tutaj byliście, odmówiłyście rozstrzelania, zużyłyście szklankę powietrza, naruszyłyście łyżkę stołową kurzu. W zamian zostawiłyście kawałeczki skóry i trzy pasemka włosów. Naprawdę jestem bardzo zajęty.

- Jeżeli dasz nam to, po co przyszliśmy, chętnie odejdziemy - odezwał się Ziemiojad.

- A cóż to takiego?

- Wasze złoto - odparła Maria. - Nie potrzebuję wiele. Wystarczą dwie monety. Jedna biała i jedna czarna.

Towarzysz Gorynych odchylił się na krześle, zakładając potężne, mięsiste czerwone dłonie za łusą głowę.

- Jesteście idiotką, moja młoda kryminalistko.

Ziemiojad zdjął oficerską czapkę i przytrzymał ją muskularnymi rękami przypominającymi korzenie dębu. Potargane kosmyki jego czarnych włosów sterczały na wszystkie strony jak śrubokręty.

- Gorycznik - rzekł z uśmiechem. - Powiedz nie. Zrób mi przyjemność i odmów.

- Nie mówię nie. Nie mówię tak. Mówię, że jesteś idiotą z jajami zamiast mózgu, ty wielka kupo kamieni. Widzę mech na twoich kościach! Kto może okpić Żmija Gorynychza? Nic i nikt! Co ty tutaj robisz? Ty i ja, chłopcze, możemy się przebrać za ludzi, możemy idealnie odmieniać wszystkie czasowniki, ale oni i tak nas nie pokochają. Ona nigdy nie zechce, żebyś usmarował jej cycki błotem i wcisnął w nią mokre liście. Mój ojciec, który przypominał nas bardziej niż jakikolwiek człowiek po nim, dobrze to ujął: Jeśli masz na nich ochotę, nie odmawiaj sobie, zatrzymuj dzieci i pożywiaj się światem do woli. Najlepsze, co ludzie mają nam do zaoferowania, to daniny. Spytaj Kościeja. On wie o tym lepiej niż ktokolwiek. To oni nie mają dusz ani serc. Kto ściele łoże Żmija Gorynychza? Przecież nie on sam!

- Ja mam duszę - powiedziała Maria Moriewna, a złote twarze Jelen zaroily się w jej umyśle. - Mam serce. Nie sypiam na niczyich kościach.

Towarzysz Gorynych uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Jesteście jeszcze młoda, towarzyszeko. Zaczekajcie.

- Ogryzaliście kości na długo, zanim Partia zaczęła je wam posyłać - odburknęła Maria. - Nie twórzcie sztucznych podziałów między czartami a ludźmi. Wy jesteście głodni;

my jesteśmy głodni. Co za różnica?

- Różnica polega na tym, że do was należy cały świat, a jednak wciąż próbujecie nas wypchnąć! Nie wystarczą wam miasta i kościoły, musicie mieć także wsie. Nie wystarczą wam wsie, musicie mieć lasy. Nie wystarczą wam lasy, musicie mieć śnieg, każdy płatek, każdy kryształek! A teraz przychodźcie i domagacie się mojego złota, jakbyście mieli jakiegokolwiek pojęcie, czym jest smoczy skarb, co on oznacza. Pokonałem was, Mario Moriewno. Już jesteście martwa. A ja? Żmij Gorynycz wszystko przetrzyma. Jeśli trzeba, mogę się stać Mongołem. Mogę być Chińczykiem, jeśli to konieczne. Mogę także bez żadnego wysiłku zostać lojalnym członkiem Partii. A gdy wszystko dobiegnie końca, Gorynycz wciąż będzie pływał w popiołach i opalał sobie brzuch, wylegując się na waszych czaszkach!

Ziemiojad włożył czapkę i poprawił ją na głowie. Potem spokojnie wyszedł z jurty, zasuważąc za sobą baranią skórę.

- Co on robi?

- Idźcie i sami sprawdźcie - odpowiedziała Maria, chociaż nie miała pojęcia.

- Nie mogę, idiotko. Myślicie, że smok może się zmienić w człowieka? Jestem na to za duży. Ciało człowieka jest dla mnie jak skarpetka. Znajdujecie się tak głęboko w moich splotach, że już czuję wasz smak. To krzesło, na którym siedzicie, to także ja. Podobnie jak biurko, podłoga, cała jurta. Nawet te kilka kwiatów na zewnątrz. To moje łuski, język, grzebień, żołądek. Nie mogę wyjść.

Towarzysz Gorynycz zdjął okulary i delikatnie je złożył. Następnie otworzył usta tak straszliwie szeroko, że Maria ujrzała wszystkie jego płaskie zęby. Rozdziawiał wargi coraz bardziej, aż w końcu zsunęły się z jego czaszki jak kaptur. Dziewczyna rzuciła się do drzwi, ale wtedy powietrze w jurcie stężało i pociemniało. Dookoła pojawiły się migotliwe sploty, wyższe od ścian, i zaczęły miażdżyć Marię. Próbowwała tłuc pięściami w jaszczurze cielsko, ale smok unieruchomił jej ręce. Śmierdział gnijącym mięsem i starym szpikiem. Z trudem łapała płytkie, rozpaczliwe oddechy; tylko jej głowa wystawała z gniazda węzowych pętli w kolorze podziemnych jaskiń, czarnych, błękitnych i srebrnych. Nie widziała twarzy Żmija Gorynycza, jeśli w ogóle ją posiadał, tylko jego nieustannie zaciskające się ciało, które zdusiło nawet jej łyżę.

- Towarzyszu Gorynycz - wyszeptała chrapliwie, gdyż smok wycisnął z niej głos. Bicie serca dzwoniło jej w uszach. - Wkrótce mnie dostaniecie. Tak napisano w aktach, a akta nie kłamią. Ale przecież nie przeczytaliście tam: „Towarzyszka Maria Moriewna, zjedzona przez kazachskiego smoka w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku”! Pojawią się

nieścistości, Żmiju Gorynczu! Dodatkowa robota papierkowa! Wypuście mnie. Nie będziecie musieli długo czekać. - Potem Maria Moriewna zamknęła oczy. Wychyliła się do przodu najdalej jak potrafiła i bardzo delikatnie pocałowała węzowe ciało, które zaciskało się wokół jej twarzy.

Nagle sploty stały się gorące jak ogień i Maria uwierzyła, że umrze. Na jej policzku, tuż pod okiem, pojawił się malutki płomyk. Jej rzęsy zaczęły się tlić. A potem sploty zniknęły. Maria stała na polu bawełny przed jurta, zgięta w pół, łapczywie chwytając powietrze. Zgasiała płomyk dłonią.

- Maszo! - wykrzyknął Ziemiojad, który stał na łące nad brzegiem rzeki. - Nic ci nie jest?

- Jest gorzka i niewarta zjedzenia! - zagrział głos w jurcie.

Maria podbiegła do leszego, który zdjął oliwkową bluzę od munduru i pocił się w podkoszulku.

- Dokąd odszedłeś, Ziemio? Mógł mnie udusić. Mógł mnie zabić.

Ziemiojad otarł czoło potężną pięścią.

- Zmieniam bieg rzeki, Mario Moriewno. Kieruję ją na tę paskudną jurte, żeby go zmyć. Kiedy zniknie, będziemy mogli przetrząsnąć jego zbiór białych i czarnych monet. Jego paplanie o chanach podsunęło mi ten pomysł. Zrobiliśmy coś takiego, gdy oni platali nam się pod nogami.

Ziemia pochylił się nad brzegiem, a jego olbrzymie kolana strzeliły hałaśliwie w błękitne niebo. Zagarnął kupę ziemi, w której tkwiły długie kości i potężne głazy, tak dużą, że nie było go zza niej widać, po czym odrzucił ją od siebie. Uderzyła o wzgórek, wyrzucając w powietrze fontannę pyłu i strzaskanych skał. Ziemiojad mrugnął do Marii i wskoczył do powstałej dziury, która już się wypełniała wodą z rzeki. Oparł się ramieniem o jedną ścianę i pchnął, a mięśnie jego szyi napięły się jak struny gitary. Przebił się przez glebę i brnął dalej, tak szybko i daleko, że Maria natychmiast straciła go z oczu wśród czarnego błota i wody bystro wypełniającej koryto, jakie dla niej stworzył. Gdy dotarł do jurty, rzeki już nie dało się powstrzymać. Wskoczył z piany i huczącego nurtu, który zalał towarzysza Goryncza i uniósł go do kolejnego strumienia w dole wzgórza. Jazgotliwy wrzask Żmija odbijał się echem w dolinie, a wtórował mu śmiech Ziemiojada, który splunął w ślad za smokiem.

Maria wróciła na miejsce, w którym stała jurta. Włosy miała przemoczone od pryskającej wody, a jej poparzona twarz pulsowała bólem. Gdy dotarła do celu, rzeka już się nieco uspokoiła, a Ziemia grzebał w trawie, szukając złota.

- Tutaj niczego nie ma, Ziemio - westchnęła Maria. - Nawet kości. Popatrz, wszędzie

tylko bawełna!

Przekrzywiła głowę. Podeszła chwiejnie do jednego ze skupisk bawełny, której blade kosmyki lekko powiewały na gorącym wietrze. Zerwała jedną z puchatych białych główek. Już знаła rozwiązanie zagadki i z radości poczuła mrowienie na skórze głowy.

- Och, Ziemi! Już rozumiem. A ty? Białe złoto. Towarzysz Gorynycz słusznie nas wyśmiał, gdy poprosiliśmy o monety. - Obracała kwiat w dłoni. - A czarne złoto to pewnie...

- Ropa - dokończył Ziemi.

Maria zmarszczyła czoło.

- Ale nie mam sprzętu, żeby wydobyć ją spod ziemi. Może gdzieś stoją beczki. Albo na wzgórzach znajduje się wiertło.

Ziemi ponownie się wyszczerzył, a jego broda zalśniła od potu i wody. Z namaszczeniem uniósł jedną rękę, po czym wrzasnął i uderzył nią o grunt, zagłębiając ją aż po ramię. Zmarszczył twarz, jakby na oślep szukał ślady w beczce. Wreszcie z okrzykiem wysiłku wyszarpnął pięść. Ociekała czarną mazią, gęstą i cuchnącą. Ziemia usiadł, ciężko dysząc; pyłki krążyły mu wokół głowy.

W słabnącym, wykrwawiającym się świetle Maria Moriewna uklękła u jego boku, oparła dłonie o jego szeroką pierś i pocałowała leżącego w chwili, gdy na niebie rozbłysła pierwsza gwiazda. To był prawdziwy pocałunek, głęboki i szczery.

Gdy się odsunęła, pobrużdżona twarz Ziemi była mokra od łez.

- Nie zapomnij o tym, kiedy zostaniesz królową - wyszeptał chrapliwie. - Dla ciebie poruszyłem ziemię i wodę.

\* \* \*

Przewodnicząca Jaga zmarszczyła zaplecioną brew, patrząc na bryłę czarnej mazi i kwiat bawełny, leżące na jej biurku. Zza drzwi gabinetu dobiegał gwar kawiarni czarodziejów. Wetknęła palec w ropę i na próbę go oblizała.

- Niskiej jakości - parsknęła.

Maria nic nie odpowiedziała. Jaga musiała zaakceptować dary.

- Popatrzcie tylko, jaka napuszona. Myślisz, że jesteś kimś, bo wykonałaś dwa zadania z trzech! Phi, wciąż jesteś nikim. Ostatnie jest najtrudniejsze... taka obowiązuje zasada... i nigdy mu nie podołasz.

- A jednak.

- Zatem postanowiłaś, że przebacysz Kościejowi jego dziewczęta?

Maria przygryzła wnętrze policzka.

- Lepiej zgromadzić wszystkie atuty, zanim wykona się ruch - odparła powoli, zdając

sobie sprawę, że mówi prawdę. - Zyskam wasze błogosławieństwo, zanim odezwę się do niego choćby słowem.

Jaga zapaliła cygaretkę i wydmuchnęła grube kółko z dymu w stronę półki z książkami.

- Widzę, że moje niezwykle kosztowne gry nie idą na marne. A ta elegancka blizna sprawia, że wreszcie jesteś choć trochę interesująca. - Pałaca skóra towarzysza Gorynycza zostawiła pod okiem Marii ślad w kształcie diamentu, który niemal przecinał jej dolną powiekę na pół. Nawet gdy oparzenie się wygoi, Maria będzie wyglądała, jakby płakała prochem strzelniczym i ranami. - Ale to bez znaczenia. Z mózgiem jak ziemniak i słodką grzeczną cipką, która dba o swoje interesy, nie masz szans na wykonanie ostatniego zadania.

Przewodnicząca Jaga wskazała cygaretką okno.

- Widzisz mojego przyjaciela?

Maria wyjrzała, spodziewając się samochodu na kurzych nóżkach trąbiącego na bezdomne koty. Jednakże na dworze, w gęstym śniegu i cieniach bezkresnego zimowego wieczoru, stał olbrzymi marmurowy moździerz, czerwony jak rzeź, większy niż koń, a jego tłuczek powoli obracał się w naczyniu.

- Poleć nim aż do północnych granic Bujanu, do miejsca, w którym rosną kwiaty paproci. Tam ujrzysz jaskinię w ścianie urwiska, a w niej skrzynię. Przynieś mi to, co w niej znajdziesz. Mój moździerz nie ułatwi ci zadania, ale w końcu nauczysz się nad nim panować, złamiesz jego opór i zmusisz go do posłuszeństwa. - Jaga westchnęła, wydmuchując dym. - Albo i nie. Nie potrafię cię nauczyć sztuki panowania nad innymi, dziecko, gdyż z tą zdolnością trzeba się urodzić. Jeśli jej nie posiadasz, równie dobrze od razu możesz wejść do pieca, bo twój mąż i tak wcześniej czy później spali cię, żeby się ogrzać. - Baba Jaga przywołała Marię i poklepała się po kolanie. Pod czarnym futrem nosiła skórzany fartuch, jak rzeźnik albo kowal.

Maria się wzdrygnęła.

- Nie chcę wam siadać na kolanach. Nie jestem dzieckiem.

- Najmniejsza mucha na kawałku koziego gówna interesuje mnie bardziej niż to, czego ty chcesz.

Maria skrzywiła się, przeszła na drugą stronę pokoju, po czym, zaciskając zęby, ostrożnie przysiadła na kolanach przewodniczącej Jagi. Starucha otoczyła dłonią jej buzię jak rodzona babcia.

- Jeśli uważasz, że mój brat jest inny, dziewczyno, to nie ma dla ciebie ratunku. Stopi cię jak wosk, jeżeli mu na to pozwolisz. Będziesz myślała, że to miłość, podczas gdy on pożre



twoje serce. I może będziesz miała rację. Ale on jest taki głodny, że zje cię całą za jednym posiedzeniem. Co zrobisz, gdy już znajdziesz się w jego brzuchu? Wysłuchaj mnie, bo znam odpowiedź. Zjadłam wszystkich swoich mężów. Najpierw pochłonełam ich miłość, potem ich wolę, potem ich rozpacz, a na koniec upiekłam ciasto z ich ciał, które były mi tak drogie! Jednak małżeństwo to wojna, podczas której trzeba robić wszystko, co konieczne, by przetrwać, ponieważ przeżyje tylko jedno z was.

Maria przełknęła ślinę.

- Ja jestem inna - wyszeptała.

- Przekonamy się. Kiedy polecisz w moim mózdzierzu z tłuczkiem, a księżyc będzie ci krzyczał do ucha i staniesz się tak podobna do mnie, że nikt nas nie rozróżni, wtedy przekonamy się, jaka naprawdę jesteś. Liczy się tylko jedno, moja prawie-zupo: Kto będzie rządził.

## Czerwień zobowiązuje

- Nie - powiedziała pani Liebiediewa, zanurzając palec w słoiczku z pudrem w kolorze bursztynu, który pasował zarówno do jej dzbanuszka, jak i do znajdującej się w nim herbaty. Zręcznym ruchem rozproszyla go po jednej powiece, po czym przejrzała się w wysokim, oprawionym w żelazne ramy lustrze nad toaletką. Przezroczysta biała spódniczka powiewała wokół jej kostek, a surowa bluzka otaczała szyję koronkami spiętymi kameą. Śnieżnobiałe włosy falowały gładkimi lokami ściągniętymi w opadającą kaskadę piór i pereł. Postać na kamei miała takie same loki, pióra i perły.

- Co to znaczy „nie”? - spytała Maria. Odmowa przyjaciółki ją zabolala. Mimo swojej wyniosłości Liebiediewa prawie zawsze ulegała jej prośbom.

- To znaczy, że nie robię takich rzeczy.

- Jakich rzeczy?

Liebiediewa westchnęła i odstawiła pudełko z różem przypominającym lukier. Metal głośno stuknął o emaliowany blat.

- A jak ci się wydaje, Maszo? Przychodzisz do mnie z niemożliwym zadaniem dziwnie dopasowanym do moich talentów, które koniecznie musi zostać wykonane, i biadolisz: „Och, moja kochana łabędzico, poratuj mnie w potrzebie!”. Nie robię takich rzeczy. Nie wypiję oceanu po to, żebyś mogła zabrać pierścień leżący na dnie. Nie będę czuwała przez trzy dni, żeby zobaczyć, jak smarkata carewna znika nie wiadomo gdzie. A już na pewno nie zamierzam się zadawać z mózdzierzem, który w niczym mi nie zawinił.

Pani Liebiediewa uważnie przyjrzała się swojemu arsenałowi szminek, po czym zdecydowanym ruchem chwyciła jedną z nich, w kolorze piwonii oglądanych przez warstwę lodu.

- O co ci chodzi? Nagania i Ziemiogad dołączyli do mnie i mi pomogli. Jeśli zawiodę, przewodnicząca Jaga wrzuci mnie do garnka.

- Nagania i Ziemiogad są twoimi kompanami, Mario.

Maria poczuła zażenowanie. Miała wrażenie, że zachowała się niewłaściwie.

- A ty kim jesteś?

Błada dama z niedowierzaniem odwróciła się od lustra.

- Jestem Inna Affanasiewna Liebiediewa! Jestem wiłą i czarodziejką, a nie twoją służącą, Mario Moriewno! Co takiego dla mnie zrobiłaś poza odrzucaniem moich zalotów i kpieniem z moich trosk, ponieważ nie są twoimi troskami, ponieważ uważasz kosmetyki, modę i życie towarzyskie za frywolne? Czy okazałaś mi chociaż odrobinę szacunku, czy tylko lekceważyłaś moje rady, których bardzo potrzebowałam, pozwalając, by twoi pozostali przyjaciele deptali moją dumę? Nie przypominam sobie, abym ja do ciebie przysła, prosząc: „Maszo, pomóż mi rzucić klątwę na bydło, pomóż mi uwieść dla zabawy tamtego pastuszka”. Sama dbam o swoje sprawy, które nie są twoimi sprawami.

Maria Moriewna już nie miała wątpliwości, że zachowała się niewłaściwie, i zrobiło jej się śmiertelnie przykro. Nie mogła znieść krytyki z ust pięknej blondynki; bolało ją gardło, które niegdyś otulał czerwony szalik.

- Ależ nie miałam zamiaru cię obrazić!

Wiła westchnęła, szczypiąc się w policzki, aż stały się różowe i błyszczące.

- Taka jest twoja natura. Może nie jesteś Jeleną, ale istnieje między wami pokrewieństwo. A tacy jak ty nie traktują dobrze takich jak my. Dlatego nie pomogę ci pokierować móżdżkiem. Oczywiście nie chcę, żebyś została zjedzona, kochanie, nie o to chodzi. Ale mam swoją dumę. Pewnego dnia, Maszo, gdy nie uda mi się wyhodować ciekawca i nie wpuszczą mnie do kawiarni, gdy pasterze będą wrzeszczeli i zegnali się na mój widok, gdy Nagania będzie spała w twoim łóżku, a mój kochanek porzuci mnie dla jakiejś zdziry rusalki, która go utopi, na co sobie w pełni zasłuży, tylko ona mi pozostanie. A ty kpisz ze mnie, ponieważ chcę cię nauczyć korzystania ze szminki.

- Ale musisz przyznać, że w porównaniu z groźbą trafienia do zupy, szminka wydaje się błahostką.

Pani Liebiediewa wbiła wzrok w Marię, aż ta poczuła, że jej policzki płoną, a czarne oparzenie boleśnie pulsuje.

- Masz mnie za kretynkę, Maszo? Nadal mówisz do mnie jak do kapryśnej dziewczuchy. Jestem czarodziejką! Czy choć raz pomyślałaś, że kocham szminkę i róż nie tylko ze względu na ich kolor? Badam ich tajemną i hermetyczną mądrość, o której nie śniło się alchemikom. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, po co podarowałam ci tyle słoiczków, kremów i perfum? - Oczy Liebiediewej lśniły. - Posłuchaj mnie, Maszo. Kosmetyki są przedłużeniem woli. Niby dlaczego wszyscy mężczyźni malują się przed walką? Maluję oczy, by pasowały do koloru zupy, nie dlatego, że nie mam nic lepszego do roboty niż zajmować się głupstwami. W ten sposób mówię: „Tutaj jest moje miejsce i będziecie mi posłuszni”. Kiedy maluję usta, tak że są czerwone jak naparstnice, mówię: „Chodź do mnie, mężczyzno. Jestem twoją partnerką i

będziesz mi posłuszny”. Kiedy szczypię się w policzki i pudruję je masą perłową, mówię: „Trzymaj się z daleka, śmierci, jestem twoim wrogiem i będziesz mi posłuszna”. Mówię te wszystkie rzeczy, a świat słucha, Maszo. Ponieważ moja magia jest równie silna jak moje ramię. Wszyscy są mi posłuszni.

Zaskoczona Maria rozchyliła nieumalowane usta.

- Nie wiedziałam.

- Nigdy nie pytałaś.

- Proszę, pomóż mi, Inno Affanasiewno. - Maria chwyciła blade dłonie wiły. - Proszę.

- Od czasu do czasu, moja kochana siostrze, musisz coś zrobić sama.

Maria popatrzyła na panią Liebiediewą - na jej bursztynowe powieki, blade usta, matowe policzki. Uroda przyjaciółki ją oszałamiała. Wiedziała, że będzie jej posłuszna.

- Więc może umalujesz mnie przed tym zadaniem? Ozdobisz mi twarz, tak jak wielokrotnie proponowałaś?

Pani Liebiediewa zmarszczyła czoło. Kąciki jej perłowych ust opadły i nagle wydało się, że jest o wiele starsza.

- Nie, Maszeńko. Nie zrobię tego. Taki makijaż byłby przedłużeniem mojej woli, a tutaj chodzi o ciebie. Ale poradzę ci, że błękit oznacza okrutne interesy, zieleń śmiałe sięganie po to, po co nie powinnaś, a fioleto brutalną siłę. Powiem też, że koral nęci, róż nalega, a czerwień zobowiązuje. Powiem, że jesteś mi droga jak olejek różany. Nie daj się zjeść.

Pani Liebiediewa pochyliła się na swoim złotym stołeczku i ucałowała Marię w oba policzki, muskając rzęsami skronie przyjaciółki. Pachniała jak fuksje zroszone deszczem, a gdy się odsunęła, jej pocałunki pozostały na skórze Marii niczym małe bliźniacze różowe okręgi, niemal niewidoczne.

- Nie zapomnij o tym, kiedy zostaniesz królową. - Westchnęła. - Zdradziłam ci swoje tajemnice.

\* \* \*

Wstydlive zimowe południe obnażyło zaledwie swą kostkę, po czym ponownie skryło się w ciemności. Maria szła ulicą Skorohodną, kopiąc grudy lodu. Panowanie nad innymi, pomyślała. Nie znam się na tym. Kto był panem, gdy Kościej mnie karmił i uciszał? Nie ja. Wybuch wesołości wylał się z tawerny krytej czarnymi warkoczami, które zwisały na rogach jak sznury od dzwonów. Maria zatrzymała się i pogłaskała ścianę: białą skórę, gładką i dziewczęco bezwłosą. Obdarzony względami budynek zadrżał. A jednak postanowiłam milczeć, jeść to, czym mnie karmił. A on dygotał, gdy mnie dotykał. Pod moim wpływem stał się aż tak słaby. Co to wszystko znaczy?

Maria zatrzymała się i uniosła twarz ku gwiazdom, które lśniły jak czubki noży. Wyprostowała kołnierz długiego płaszcza; rana pod okiem zapulsowała pod wpływem zimna. Pomyślała o roku, który upłynął od jej przybycia do Bujanu, o tym, jak drżała, gdy po raz pierwszy ujrzała Czarnoświatło, fontanny z ciepłą krwią, które nawet w tej chwili bulgotały za jej plecami, i gdy usłyszała groźny trzaskający śmiech Naganii. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, pomyślała. W Leningradzie. Przynajmniej umrę w domu. Ale czy on naprawdę powiedział, że umrę? Wspomnił o dezercji. Będę dezercerką. To to samo co uciekinierka. Poza tym, gdzie jest mój prawdziwy dom? W Bujanie. Leningrad jest tak daleko, a do tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego jeszcze tyle czasu. Dlaczego miałabym tam wracać?

- Wilcza Jagodo - szepnęła, szukając pośród wiatru czegoś znajomego, olbrzymiego i serdecznego.

- Tak, Mario - odezwał się koń tuż obok niej, jakby przez cały czas tam był, dysząc jej w ramię. Lśnił mlecznobiało w ciemności.

- Zastanawiałam się, czy przyjdiesz, jeśli będę cię potrzebowała.

- Nie nazwałbym tego regułą. Ale mam bardzo dobry słuch i jestem szybki.

Maria odwróciła się i objęła długą szyję konia. Nie pachniał zwierzęciem, ale spalinami i metalem.

- Obiecaj mi, Wilcza Jagodo. Obiecaj, że nigdy nie odwieziesz mnie do Leningradu. Jeśli nie wrócę, nie będę mogła tam umrzeć.

- Czy ktoś ci powiedział, że umrzesz?

Maria zmarszczyła brwi.

- Cóż, nie wprost. Powiedział o skazaniu. Ale skazanie zazwyczaj oznacza śmierć.

- Może nie będzie tak źle.

- Wilcza Jagodo, musisz obiecać. Na co przyrzekają konie?

- Na nic. - Wilcza Jagodo mówił z dziwnym akcentem, a jego ostry, głęboki głos był zniekształcony i zdradzał napięcie. - Konie nie wierzą w bogów. Liczą się dla nas tylko jeździec i bicz. Ale obiecuję.

- Zawieź mnie do domu.

Biały jak kość wierzchowiec przysiadł na ziemi, po czym zaczął się wiercić w objęciach Marii, tak że, zanim zdążyła dwa razy odetchnąć, już znalazła się na jego grzbiecie. Pod sobą czuła oleistą i gorącą krew burzącą się w żyłach zwierzęcia. Koń skręcił w stronę Czarnoświatła, ciemnej plamy na tle ciemnego nieba. Zarysy jego kości poruszały się w świetle pochodni pod cienką skórą.

- Dlaczego pozwalasz, żebym cię dosiadała? Jesteś łagodniejszy od moździerza przewodniczącej Jagi?

Wilcza Jagoda parsknęła.

- To jest naczynie. Nie ma pyska ani zębów. Nie możesz powiedzieć, że coś żyje, jeśli nie ma ust. W Bujanie jest wiele dziwactw - mówiące omszałe kamienie i pistolety, ptaki, które zmieniają się w ludzi, budynki jak młode dziewczęta - ale zauważ, że wszystko, co żyje, ma usta. One gryzą i przełykają; mówią; smakują. Całują. Usta to główne narzędzie życia. Moździerz przypomina złośliwego spaniela. W pewnym sensie jest żywy, ale nie posadziłabyś go przy stole. - Tętent kopyt odbijał się echem w ciemności. - Co zaś dotyczy pytania, dlaczego pozwalam ci się dosiadać... ach, cóż za skomplikowana kwestia, dosiadanie i bycie dosiadanym! Kto jest sługą: ten, kto wiezie swoją panią, czy ten, kto czesze i szczotkuje swojego wierzchowca? To proste, Mario Moriewno. Usłużyłaś mi, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Wyczyściłaś mi sierść i dałaś nowe buty. Spałaś przy moim boku. Służba stanowi zapłatę za służbę. W moich czterech sercach to jedyny możliwy wyraz miłości. Służę Kościejowi. Ale gdybyś nie przesunęła dłonią po mojej pęcinie, nigdy bym ci nie pomógł. - Wilcza Jagoda odwrócił chudą głowę i uszczypnął Marię. Poczowała ból, ale zgodnie z intencją odebrała ten gest jako przejaw sympatii. - Jednakże to nie skutkuje w przypadku moździerza. To kuchenna bestia. Nie byłabyś w stanie aż tak się unżyć, by stać się dla niego sługą, nawet gdybyś pełzała na brzuchu. A zadania Jagi nigdy nie sprawdzają poziomu twojej pokory. Moździerz pragnie siły, Mario. Chce, żebyś stała się większa od niego. Pragnie mieć panią i przywykł, że kieruje nim ktoś stary i potężny, kto potrafi go zmiażdżyć udami i poskromić żelaznymi biodrami. Ty temu nie podołasz.

- Każdy wydaje się pewny, że nie dam rady.

- Och, Mario, oczywiście, że nie dasz rady! Mimo roku spędzonego z nami, wciąż jesteś delikatna i miła! Może odrobinę bardziej szalona, bardziej skłonna do gryzienia i bycia gryzioną, do kradzieży i walki, ale nadal niezwykle ciepła. Chętnie robisz to, co ci każą. Taka dziewczyna nie poskromi moździerza. Nie masz w sobie tego, czego potrzeba. Chodź, zawiozę cię do północnej ściany. Zgarniesz jej świecidełko i nikt o niczym się nie dowie.

Maria pokręciła głową.

- Wystarczy, że zapyta moździerz, a wszystko się wyda.

- Już ci mówiłem, że on nie ma ust, więc cię nie zdradzi.

Maria zmarszczyła czoło. Chciała, żeby to było takie proste. Chciała, żeby ktoś jej pomógł. Tak było znacznie milej. Ale w jej głowie rozbrzmiewał głos pani Liebiediewej: „Od czasu do czasu, moja kochana siostrze, musisz coś zrobić sama”.

- Sednem zadania nie jest świecidełko, tylko mózdzierz. - Westchnęła w końcu. - Zabierz mnie do mojej wieży, Wilcza Jagodo. To wystarczy. Muszę sama znaleźć sposób.

Długo jechali w milczeniu. Ulica Skorohodna ciągnęła się jak czarna wstążka, a nad jej środkiem opuszczało się wielkie wahadło księżyca.

- Wilcza Jagodo, czy mogę cię spytać o coś jeszcze?

Olbrzymi koń westchnął.

- Chcesz dostać wszystkie odpowiedzi jak owies w worku, Mario.

- Rozmawiałam z domownikami, leszym, a nawet samym Żmijem Gorynyczem i każdy z nich uznaje się za lojalnego; kochają Partię jak własną matkę. Recytują slogany, które znam z dzieciństwa, a w ich oczach lśni pasja. A jednak Kościej mieszka w wielkim pałacu, a Liebidiewa kolekcjonuje nocne kremy i kamee oraz chlubi się swoim nazwiskiem rodowym. Maluczcy za wszelką cenę pragną nosić na piersi odznaki przynależności, agitować i przyłączać się do rewolucji, ale wielcy żyją jak zawsze, jak smoki, jak carowie. Jak to możliwe?

Wilcza Jagoda przez chwilę się namyślał.

- Czy w twoim świecie nie jest tak samo?

- Chyba tak. Ale takie rzeczy nie podobają się ludziom. Gdy odkrywamy nierówności, organizujemy demonstracje i wszczynamy wojny domowe.

Rumak parsknął, a obłok jego oddechu zawirował w zimnym powietrzu.

- Mario Moriewno, jesteśmy w tym lepsi od was. Potrafimy jednocześnie nosić w sercach dwie idee. Twoi ludzie jeszcze nigdy tak bardzo nas nie zachwycali i nie byli nam tak bliscy. Dla diabłów hipokryzja to zabawa, szarada. Sprawia nam radość, a wieczorem wszyscy będziemy się trzymać za brzuchy, żeby nie popękały ze śmiechu.

\* \* \*

Maria nie zapaliła lamp. Z przyjemnością wodziła wzrokiem po czerwonym pokoju, który księżyc i cienie pomalowały na czarno. Przesuwała dłońmi po swoich przedmiotach: krzesła z wypukłym wzorem, łóżku z baldachimem, które przykrywały jedwabiste, nastroszone futra, srebrnym biurku i ognistym piórze Żar-Ptaka, które płonęło jasno przez sen. Gdzieś znajdowało się zwierzę, któremu je wyrwała. Nagle pożałowała, że nigdy niczego nie napisała przy tym biurku, nawet krótkiego listu do domu, do swoich sióstr w ich domowych pieleszach. Ani jednego wiersza. Palce Marii krążyły z determinacją jak drapieżniki na łowach, choć z jej serca uciekła nadzieja. Wymacała swoją toaletkę z wysokim lustrem oraz słoiczki, pudełka i pędzelki, które Liebidiewa dawała jej we wszystkie święta wraz z wykaligrafowanymi kartami zachęcającymi ją, by wkroczyła do świata dorosłych

kobiet i ich tajemnych przywilejów.

Maria Moriewna usiadła przed lustrem, lekko jak sen. Jej dłonie zatrzepotały nad kolekcją kosmetyków, jakby grała na klawesynie. Słoiczki były po brzegi pełne barw, na których widok jej serce przepęniała błogość, dziewiczych mieszanin w kolorach brunatnokrwistym, indygo albo różowym jak kocia łapka.

Stanę się czerwona jak rzeź, jak kamień mózdzierza, pomyślała. Gromadziła w sercu wspomnienia o makijażu Liebiediewej: jak to robiła, jakie ruchy wykonywały białe dłonie wiły, w jakiej kolejności dopełniała kolejne czynności. Najpierw puder, jak śnieg, rozprowadzony po policzkach i brwiach ciężkim płatkim z baraniej wełny. Potem oczy. Maria wybrała malutki rzeźbiony słoiczek ze złotym barwnikiem, jak na ikonie, na oczach świętego. Pomalowała każdą rzęsę na srebrno, czując na skórze chłodną i śliską wilgoć. Potem wzięła cienki pędzelek z włosia dzika i zanurzyła go w karmazynowym sproszkowanym krwawniku. Narysowała długą czerwoną kreskę pod brwią, a na powieki nałożyła ciemniejszy szkarłat, jak krew, która zbiera się na dnie serca. Czerwień zobowiązuje. Uszczypnęła się w policzki, po czym wtarła w nie błyszczący rubinowo brązowy krem. Na koniec zostawiła usta, o których Wilcza Jagoda powiedział, że są narzędziem żyjących. Wśród lasu szminek znalazła groźny jesienny odcień, jak ogień, jak umierające liście.

Przejrzała się w lustrze. Wciąż była sobą, ale przystrojoną, straszniejszą, starszą. Nie wszystko udało się tak idealnie, jak zrobiłaby to Liebiediewa. Twarz Marii sprawiała nieco dzikie i nieokrzesane wrażenie, kreski wokół oczu były nierówne, kolory zbyt jaskrawe, nieharmonijne, niesubtelne, jakby nakładała je staruszka o słabych oczach i drżących palcach. Spięła długie czarne włosy we wściekle ciasny kok, tak ciasny, że od przytrzymujących go szpilek na skórze pojawiły się małe kropki krwi. Gdy żartowała z Naganią w świetle dnia, coś takiego nigdy nie przyszłoby jej do głowy. Ale teraz, kiedy księżyc wisiał wysoko na niebie, a wokół panowała cisza, Maria przypomniała sobie wszystkie kroki, jak recytowany wiersz. Noc, która otaczała ją swoim ciężarem, pokierowała jej krokami i wyborami. Maria podeszła do szafy i wyjęła skórzany fartuch, który dostała latem, gdy Ziemia uznał, że dziewczyna ma za chude ręce, i nauczył ją wykuwać pogrzebaczę z wrzącego żelaza. Był taki ciężki, a jego paski wrzynały się jej w szyję i talię. Och, pożałuję tego, pomyślała, wkładając swoje najgrubsze, najczarniejsze futro, i zapinając je na fartuchu. Do kieszeni schowała wysuszone kości kaczki, którą zjadła na kolację, zabierając je z tacy z kości słoniowej. Do gardła wlała nieco żywicznej mirry i pociągnęła łyk wódki z kryształowej butelki.

Nie chciała ponownie zerkać w lustro. Bała się tego, co czeka w głębi szkła. Uśpiła jednak swoją czujność i uniosła wzrok. Ależ stała się szeroka, ależ mroczna i barczysta!



Spójrzcie, jak futro ociera się o jej bład podbródek, jak surowe są jej włosy i ciemne usta!

- Jestem Maria Moriewna, córka dwunastu matek i wszyscy będą mi posłuszni - wyszeptała do dziewczyny w lustrze.

\* \* \*

Daleko w dole, na zaśnieżonej ulicy, czerwony móździerz czekał niecierpliwie, parując pośród zimowej nocy.

Wciągał czarne powietrze i dziwacznie mruczał: Czarny tłuczek z zadowoleniem krążył powoli wokół naczynia. „Ach! Oto woń starych kości i ziół do balsamowania, po której rozpoznaję moją panią!”. Podskoczył, podekscytowany jej bliskością, pozostawiając głębokie kręgi w śniegu. „Ach! Oto czarny płaszcz i łopoczący skórzany fartuch, po których rozpoznaję moją panią!”. Moździerz zaczął wirować ze zniecierpliwienia. „Ach! Oto zakrwawione usta, które dopiero co kosztowały męża, a to niechybny znak, że przyszła moja pani!”.

Jednakże móździerz skakał lekliwie w tył i w przód, cały czas trzymając się poza zasięgiem. Pod starymi kośćmi i rozlanym trunkiem wyczuwał młodość, a nadchodząca postać wydawała mu się zbyt drobna, i zamiast białych miała czarne włosy.

Mroczna postać odziana w futro podeszła do niepewnego móździerza. Bez chwili wahania warknęła i mocno klepnęła go w bok.

- Wpuść mnie, ty ohydna filiżanko! - ryknęła nisko i chrapliwie.

Moździerz się uradował. „Oto szorstka ręka i okrutne słowa, z których słynie moja pani!”. Pochylił się służalczo, aby jego ukochana wiedźma Jaga mogła wejść do środka.

Ale gdy tylko ją wpuścił, od razu zrozumiał, że przyjął oszustkę. „Moja pani waży więcej niż trzech piekarzy, którzy objadają się własnym chlebem! Wynocha, wynocha, malutka kłamczucho!”.

\* \* \*

Stopy Marii ślizgały się we wklęsłym naczyniu, szukając oparcia. Moździerz kręcił się i szarpał, próbując ją wyrzucić. Skakał i stawał dęba. Wzleciał w powietrze, odwrócił się, po czym trzykrotnie mocno uderzył o śnieg, Maria jednak wciąż kurczowo trzymała się tłuczka, zaciskając zęby, wczepiając się w gładki kamień paznokciami, które łamały się i krwawiły. Gdy móździerz ponownie się odwrócił, dosiadła tłuczka jak miotły, a jej kolana delikatnie dopasowały się do gładkich wyźłobień, w których opierała nogi Baba Jaga. Kamień rozgrzał się jak dno pieca i pulsował, jakby płynęła przez niego krew. Maria Moriewna ścisnęła go nogami, czując ból w kościach, ale móździerz wciąż protestował, miotając się na wszystkie strony, próbując zmiażdżyć jej głowę o ściany.

Maria objęła tłuczek jedną ręką i ścisnęła go udami, po czym sięgnęła do kieszeni. Wyjęła wysuszone kacze udko i poturlała nim po wnętrzu naczynia, by bestia poczuła aromat tłustego drobiu, a następnie z całej siły cisnęła mięso w głąb ulicy Skorohodnej. Wyglodniały mózdzierz skoczył w ślad za nim, na zmianę wnosząc się i opadając, pozostawiając na śniegu szlak szerokich, głębokich śladów, niczym niekończący się wielokropek.

Między jej nogami tłuczek grzechotał i drżał, miotając nią po wnętrzu naczynia. Gdy uderzała o kamień, oślepiały ją białe i czarne błyski bólu, wciąż nowe, gdy obijała już posiniaczone ciało.

- Na północ, kupo śmieci! - syknęła do mózdzierza, tym razem donośniej i bardziej szorstko. Mozdzierz na chwilę znieruchomiał, ponownie zbity z tropu za sprawą głosu Marii, który nie był tak donośny i szorstki jak głos jego pani. Maria Moriewna wzięła głęboki oddech, czując przeszywające ją zimno. „Nie jestem taka głupia, żeby cię nie słuchać, przewodnicząca Jago! Wiem, na czym to polega!”. Napała na tłuczek, pozwalając, by lubieżnie do niej przywarł, czując pulsujące gorąco przenikające jej nogi i brzuch. Szorowała o niego kośćmi, kręciła biodrami, nęciła. Szerzej rozłożyła nogi, aż poczuła, że tłuczek stał się częścią niej, kamienną Marią niewygodnie sterczącą z jej ciała, napęczniałą i dziką. Obróciła się, tak że tłuczek wskazywał północ, i pchnęła do przodu. Mozdzierz jeszcze raz się obrócił, uradowany i podniecony jej dotykiem - to jest to, właśnie do tego przywykł! - po czym ruszył na północ przez ciemność i lód.

Wiatr przenikał ją, unosząc jej pierś ku rozgwieżdżonym drzewom. Czowała ostre uderzenia straszliwej rozkoszy: sosnowe powietrze i mroźny blask księżyca, ciepły, skaczący tłuczek pod nią, ciche stuknięcia mózdzierza odbijającego się od śniegu. Wszystkie małe leśne zwierzęta uciekały z drogi przed donośnym śmiechem Marii Moriewny, którą światło gwiazd chlostało po zaczerwienionych policzkach. Ujeżdżała mózdzierz i tłuczek jak dziką bestię, gnając przez noc.

\* \* \*

Północna granica Bujanu przepływa przez górzystą, zaśnieżoną krainę. Tamtejsza ziemia nigdy nie widziała słońca. Przez cały rok lód osacza kilka ziarenek trawy, które zawzięcie modlą się o nadejście światła. Kiedyś leszy zbudowali mur przegradzający zimę, by północne morze wiedziało, że ma zakaz wstępu. Jednakże, podobnie jak wszystkie kamienie dotknięte przez leszych, mur wzdychał, śnił i marzył o czymś więcej, cały czas cicho rosnąc. Teraz tylko archeolog mógłby odgadnąć, że fioletowo-czarne urwisko, na którego szczycie tuzin kóz skubał trawę, kiedyś było murem, dostrzec u jego podnóża niewyraźne zarysy cegieł i wypatrzeć pęknięcie jaskini, w której niegdyś znajdowała się strażnica, skąd jakaś omszała,

ciężka jak granit dusza biła na alarm, wypełniając dzwonieniem doliny.

Moździerz, który co prawda nie był archeologiem, ale czuł sympatię do starego muru, jako że sam był z kamienia, przywiózł Marię Moriewnę do samego wlotu jaskini, który był zaledwie szparą w skale, wąskim trójkątem ciemności pomiędzy kartkami otwartej książki pozostawionej okładką do góry na białym blacie. Moździerz uderzył trzykrotnie o śnieg, po czym przechylił się do przodu, wyrzucając Marię na krąg ubitego śniegu pośród miękkich, cichych zasp. Tłuczek przetoczył się wokół naczynia, mruczając i prosząc o uznanie. Maria miała ochotę go pocałować, ale wiedziała, że przewodnicząca Jaga nigdy nie obdarzyłaby stwora taką łaską. Zamiast tego ponownie mocno go uderzyła. Moździerz wyprostował się, wirując z uniesienia.

Płatki śniegu wpadały do szczeliny, niesione przez trzy wiatry, które wyły głucho i chrapliwie. Czarne futro Marii Moriewny lśniło, niemal białe od grudek śniegu. Dziewczyna weszła do jaskini, wciąż zaczerwieniona po podróży, wydmuchując kłęby pary. Z obniżającego się sufitu zwisały stalaktyty przypominające krople śliny chwiejące się nad jej głową. Podłoże stopniowo opadało w ciemność. Jak mam znaleźć skrzynię w takim mroku? - rozpaczła Maria, idąc na oślep z wyciągniętymi dłońmi, chwytając cienie.

- Grrr, Babciu! - warknął ktoś niewidoczny, kto znajdował się poza zasięgiem Marii. - Dlaczego tak się zataczasz? Znów się upiłeś?

- Auuu! - rozległ się kolejny chrapliwy głos. - Pewnego dnia wyhodujesz skrzela i nauczysz się oddychać wódką. A wtedy za tobą zatęsknimy!

- Uff, uff - usłyszała trzeci głos. - Zapalę dla ciebie zapalną o zęby. - Rozbłysło widmowe światło, barwiąc ściany jaskini na zielono i białą.

Przed Marią siedziały i dyszały cztery przyjaźnie wyglądające psy o olbrzymich łapach: dumna wilczyca powoli uderzająca grubym ogonem o podłoże, wychudzony chart oblizujący wargi, hardy piesek kanapowy o kręconej sierści, która okalała jego pysk jak mała grzywa, oraz tłusta łaciata suka owczarka, której podbródek wspierał się na dwóch kolumnach z zastygłej śliny, przypominających długie, grube zęby. Maria wstrzymała oddech. Za psami stała szklana skrzynia, pokryta szronem i połyskująca.

- Hau, hau! - zajazgotał piesek kanapowy. - Świetnie dziś wyglądasz, Babciu! Prawie nie masz kurzajek! Pewnie znów się kapiesz we krwi. Tym razem to dziewice czy kapitaliści?

Maria czuła, że makijaż wokół jej rzęs stał się lepki, a włosy do połowy uwolniły się z koka. Na pewno wyglądam strasznie, ale przecież właśnie tego oczekują. Tego pragną.

- Dziewice - odburknęła. Tłusta suka owczarka pochyliła się na kolumnach ze śliny, które dygotały jak galareta.

- Uff, uff! Masz taki silny i donośny głos, Babciu! - zaskowytała. - Kiedy ostatnio nas odwiedziłaś, wydawało się, że połknęłaś sześć noży! Jak to możliwe, że teraz brzmisz tak słodko?

Maria przygryzła wargę.

- Cóż... wypiłam duszę śpiewającego ptaka - rzuciła. - Rozłupałam mu małą pierś i wysłałam pieśń jak szpik z kości! - Po chwili dodała: - Ale to nie wasza sprawa!

- Grrr, Babciu - warknęła wilczyca, zerkając okrągłymi, sprytnymi oczami. - Masz taką miękką i gładką skórę! Kiedy ostatnio nas odwiedziłaś, przypominała zmiętą kartkę! Miała więcej plam niż muchomor! Jak to możliwe, że teraz jest taka jędrna?

- Żona towarzysza Stalina ma pokarm! - syknęła Maria, coraz pewniej czując się w swojej pantomimie. Dla lepszego efektu splunęła na ziemię. - Nocą zakradłam się do jej pokoju i wycisnęłam jej piersi do wanny, a potem wymoczyłam się w jej mleku i natarłam nim skórę jak nocnym kremem! Tak zmęczyłam tę starą krowę, że rano ledwie mogła chodzić! - Po chwili dodała: - Ty wyliniała suko!

- Auuu! - zawył chart, którego wystające żebra przypominały struny bałałajki. - Tak smakowicie pachniesz, Babciu! Kiedy ostatnio nas odwiedziłaś, cuchnęłaś jak śmierć i zgniłe zęby! - Chart wziął głęboki wdech. - Teraz czuję kwiaty pomarańczy i świeżą krew pod bukietem ze starych kości kaczki i mirry. Jak to możliwe, że jesteś taka czysta?

Maria mocno zacisnęła pięści w kieszeniach. Snuła swoje kłamstwo jak nić.

- Znalazłam starego handlarza perfumami, który jechał swoim wozem do Odessy. Przeprowadziłam go przez las, po czym chwyciłam wszystkie jego buteleczki i roztrzaskałam sobie na czole, popijając każdą łykiem wódki z jego zapasów! - Po chwili dodała: - Umarł! Zabiłam go!

Psy sprawiały wrażenie niepewnych. Kolumny ze śliny zadygotały, gdy kapnęła na nie woda z kamiennego sufitu. Wreszcie wilczyca wzruszyła futrzastymi ramionami.

- Grrr, Babciu. Co cię dziś w nocy sprowadza do naszego domu? Jeśli jesteś głodna, właśnie gotujemy polewkę z krwi, chyba że Posmak już wszystko wychłęptał.

Chart podniósł głowę i ugryzł wilczycę w ucho.

- Mówiłem ci, żebyś nie używała mojego imienia. Nikt nie powinien wiedzieć!

Wilczyca przewróciła żółtymi oczami, które w fosforyzującym świetle stały się białe jak kość.

- To nasza babcia, Posmaku. Zna nasze imiona. Poza tym, nigdy nie skrzywdziłyby naszego Papy! No, chyba że sobie na to zasłuży.

- To nic, Przykra - gderał chart. - Skoro nie mówimy, to nie mówimy. Każdy

szczeniak to wie.

- Hau, hau! Ja nigdy nie podam swojego imienia - zajazgotał piesek kanapowy, oblizując łapki. - Kiedy Papa wróci, żeby nas pochwalić, zobaczy, że byłem dobry, a wy wszyscy jesteście niegrzecznymi, zepsutymi kundlami. Pogłaszczcie mnie po głowie i da mi ciasteczko.

Suka owczarka się roześmiała, a dudnienie dobiegające z jej obszernej piersi wstrząsnęło kolumnami śliny. Jej policzki jeszcze bardziej obwisły.

- To nasza babuszka, Przymrozku, ty niewdzięczny, lizusowaty pudlu! Zobaczymy, czy przyniesie ci noworoczne prezenty!

Piesek kanapowy pisnął ze złości, słysząc swoje imię. Suka popatrzyła na Marię ze szczerym psim uwielbieniem.

- Czy w tym roku pozwolisz mi ponownie ze sobą pojechać? Wciąż pamiętam pęd powietrza na moich policzkach!

- Grrr, Posoko, nie płaszcz się! Jeszcze tydzień temu nazywała cię zapijaczoną staruchą, Babciu, sama słyszałam - rzekła wilczyca poufnym tonem.

- A ja powiedziałam, że się nie pogniewasz! Prawda, Babciu? Po prostu śpiewałam obiadową pieśń ku twojej czci! „Zapijaczona starucha” rymuje się z „zielona rzeżucha!”.

- Ty i twoje piosenki! - Piesek kanapowy, Przymrozek, zachichotał. - Prawdziwa z ciebie gwiazda moskiewskich scen!

Posoka zeskoczyła ze swoich kolumn ze śliny i z warknięciem rzuciła się na Przymrozka.

Maria patrzyła, jak walczą. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście - wszystkie imiona same wpadły jej w ręce. Ale jeśli to są psy Kościeja, to w lśniącej szklanej skrzyni spoczywa jego śmierć. Przewodnicząca Jaga najwyraźniej chce, żeby Maria ją wykradła i triumfalnie powróciła do Czarnoświatła, tylko po to, by zostać uznaną za niewierną Jelenę, która pragnie zguby swego ukochanego. Jeśli jednak tego nie zrobi, Jaga ją pożre i niewinność Marii nie będzie miała żadnego znaczenia. Poczowała ucisk w żołądku. Psy kotłowały się u jej stóp, krew kapiała z ich gardeł.

- Przymrozku - szepnęła, wyciągając ręce. - Posoko, spokój.

Oba psy zamarły, migając białkami oczu. Odwróciły się w jej stronę, a w ich spojrzeniu zamigotało poczucie zdrady, po czym padły martwe, Przymrozek zwinięty i zeszywniały na olbrzymiej, łaciatej piersi Posoki.

Wilczyca skoczyła na Marię, tocząc pianę z pyska.

- Ty nie jesteś Babcią! - wyrzuciła z siebie.

- Przykra, Posmak! - Maria zawołała ze strachem, a wilczyca padła martwa, uderzając o ziemię z trzaskiem kości; chart zdechł po cichu, zwinięty w kulkę, zajęty swoimi sprawami, jakby zawsze spodziewał się takiego końca.

Skrzynia lśniła łagodnie, otoczona martwymi psami. Maria uklękła i otworzyła śliskie zatrzaski. Wieko odskoczyło z brzękiem pękającego lodu.

W środku leżało jajo owinięte w czarny jedwab. Zwykłe kurze jajo, brązowe i okrągłe, z czubkiem usianym plamkami.

## Car Życia i Car Śmierci

Marta Moriewna chciała pobiec przez salę tronową do Kościeja, położyć głowę na jego kolanach, opowiedzieć mu o wszystkim, co wycierpiała, i usłyszeć, jak ją uspokaja jakimś banalnym wyjaśnieniem dotyczącym dziewcząt w fabryce, nie wymieniając przy tym imienia Jelena. Ale on tylko siedział ciężko na tronie z onyksu i kości, opierając podbródek na dłoniach. Nie patrzył na nią. Po olbrzymim stole wały się wciąż te same mapy i dokumenty, a twarz Kościeja znaczył tak wściekły grymas, że ściany wykrzywiały się, rozpaczliwie usiłując uciec przed jego niezadowoleniem. Car Życia nawet nie mrugnął, gdy wysokie czarne drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wkroczyła Baba Jaga, pozostawiając za sobą niebieskie smugi dymu z cygaretki, podobne do bitewnych sztandarów. Podeszła z rozwianymi połami płaszcza do tronu, po czym złożyła na wargach Kościeja wilgotny pocałunek, łapczywie pożerając go szerokimi ustami. Kościej podniósł głowę i odwzajemnił pocałunek. Maria była zbyt zdruzgotana, by westchnąć albo krzyknąć. Do jej oczu napłynęły łzy i miała ochotę zniknąć.

- Coś taka zdziwiona, zupo? - Przewodnicząca Jaga roześmiała się, głośno mlaskając.

- Był moim mężem, wiele wieków temu! Chyba dziewiątym z kolei. Mam prawo trochę poczochnąć twojego rumaka, w końcu mój mózdzierz ledwo żyje po tym, jak go ujeżdżałaś. Natarłaś mu tłuczek obcym zapachem, aż biedakowi wszystko się pomieszało!

- Mówiłyście, że jest waszym bratem - odparła drętwo Maria, czując, że jej twarz płonie. Opuściły ją siły, gdy zobaczyła ich razem.

- Jesteśmy czartami, dziecko. Demonami. Co nas to wszystko obchodzi? Jeśli żyjesz wiecznie, wcześniej czy później spróbujesz wszystkiego, z czystej ciekawości. Ale i tak nam nie wyszło. - Jaga czule pogłaskała Kościeja po policzku wierzchem dłoni. - Jedyny, którego nie mogłam zjeść. - Kościej uśmiechnął się blado. Starucha zeskoczyła z czarnego podestu i zbliżyła się do Marii, dmuchając jej w twarz starczym wilgotnym oddechem. Przyjrzała się płaszczowi, skórzanemu fartuchowi i makijażowi dziewczyny. - Mam prawo dawać innym zadania do wykonania, ponieważ rozumiem, co to znaczy być żoną węża. Wiem, o czym mówię. - Zacisnęła popękane usta. - Bardzo mi się podoba twój płaszcz, Mario.

- Przeszłam pomyślnie wszystkie próby.

- Czyżby? A więc zobaczmy!

Maria wyjęła jajko z ciepłej i bezpiecznej kryjówki przy piersi. Kościej syknął, wciągając powietrze przez zęby.

- Mówiłam ci, braciszku. Jest taka sama jak pozostałe. Doprowadzi cię do zguby.

Przewodnicząca Jaga obróciła jajko w dłoni pokrytej odciskami, po czym rozłupała skorupkę i wypięła zawartość, a żółtko zalśniło jej na zębach.

Maria krzyknęła z rozpacz. Czy to była jego śmierć? Wyglądała jak zwykłe jajko.

- Nie! Nie możecie! Zrobiłam wszystko, czego żądałyście!

Baba Jaga mlasnęła językiem.

- Ma rację! Weź ją sobie, Kostia, jeśli wciąż masz na nią ochotę. Błogosławię wam obiema rękami. To podstępna, kłamliwa złodziejka, morderczyni psów, która wygląda jak ja! Mogę nawet dać tej suce posag. - Staruszka z zadowoleniem klapnęła na krzesło obok biurka zawalonego mapami i położyła cygaretkę na szkicu przedstawiającym wiejską okolicę.

Po twarzy Marii popłynęły gorące łzy.

- Nie wiedziałam, dokąd ona mnie posyła. Nie wiedziałam, że będą tam psy...

- Ale, gdy już była na miejscu, zabiła je wszystkie i zabrała jajko - zauważyła Baba Jaga. - Mimo że dokładnie wiedziała, co zrobiłeś. Mój biedny osierocony brat wychował te psiaki od szczeniaka.

- Kościeju, powiedz coś! - błagała Maria. - Dlaczego się do mnie nie odzywasz?

- Co mam powiedzieć? - odrzekł cicho Kościej mrocznym i miażdżącym głosem. - To chyba jasne, że to jajko nie jest moją śmiercią, skoro moja siostra zrobiła sobie z niego obiad. Po co miałbym ci mówić, gdzie ukryłem prawdziwą śmierć? Wiedziałem, że byś po nią wyruszyła. Tego nie da się uniknąć. Jeśli zdradzi się dziewczynie jakiś sekret, nic jej nie powstrzyma przed jego wyjawieniem.

- Okłamałeś mnie. - Chodziło jej o wszystko. O jajko, Jeleny, obrazę jej dziewczęcej natury. Wszystko bez wyjątku.

Twarz Kościeja nie zdradzała żadnych emocji.

- Jak widzisz, miałem dobry powód.

- Nie możesz mnie potępiać za zdradę, którą ona zaplanowała i uknuła, skoro sam mnie okłamałeś, i to nie tylko w sprawie jajka!

Kościej z zaciekawieniem przekrzywił głowę jak czarny ptak. Wstał i podszedł do Marii, po czym mocno ścisnął jej żuchwę długimi palcami.

- Czy cię potępiłem, Mario Moriewno? Nazwałem niewierną?

Maria gorzko zapłakała. Był to brzydki, wstrząsający szloch, który wykrzywił jej



twarz. Łzy spływały na bliznę pod okiem i boleśnie zaskwierzały.

- Zostawiłeś mnie samą, żebym robiła te wszystkie straszne rzeczy, nie mogąc się z tobą spotkać ani porozmawiać. Widziałam fabrykę, ale nie miałam okazji spytać cię, jak możesz przetrzymywać te wszystkie dziewczęta i co ze mną zrobisz, jeśli ci się sprzeciwię.

Kościej uważnie wodził wzrokiem po jej twarzy.

- Oczywiście, że zostawiłem cię samą. Przygotowania do ślubu to domena panny młodej. Czy miałem się tobą opiekować jak ojciec, aby wszystko, co robisz, było wyłącznie moją zasługą? Nie muszę sam przed sobą udowadniać swojej wartości.

Maria szarpnięciem uwolniła podbródek.

- A dlaczego ja mam cokolwiek udowadniać? To ty powinienes dusić się w węzowych splotach Żmija Gorynycza, żeby wykazać, że nie jesteś potworem i na mnie zasłużyłeś!

- Czyż jeszcze tego nie dowiodłem? Zabrałem cię z głodującego miasta, wykarmiłem, ubrałem w piękne stroje, nauczyłem, jak słuchać i mówić, przywiozłem do miejsca, w którym jesteś wielką damą, carewną, którą się uwielbia, czci i kocha, o skórze obsypanej klejnotami. Czyż nie ofiarowałem siebie samego w darze? Czyż nie przyszedłem na kolanach z królestwem w dłoni? Jeśli zaś chodzi o tamte dziewczęta, rzeczywiście do mnie należą i powinno cię to przerażać. Powinnaś się bać i bełkotać u moich stóp jak zbity pies, który wie, co go czeka. A jednak wciąż na mnie krzyczysz, wrywasz się i nazywasz mnie niegodnym. Przychodzisz do mnie ubrana jak moja siostra, niosąc moją śmierć za pazuchą. Nieważne, że to nie jest moja prawdziwa śmierć, gdyż myślałaś, że jest inaczej. Dlaczego robisz to wszystko, chociaż wiesz, że tamte dziewczęta tkają dla mnie wojsko? - Kościej objął ją i przyciągnął do siebie. Maria zamknęła oczy, wtulając się w swojego kochanka, swoją śmierć, swoje życie, ale bała się tego wszystkiego, czym car może się stać. - Powiem ci, dlaczego. Ponieważ jesteś demonem, tak jak ja. Wcale cię nie obchodzi, czy tamte dziewczęta cierpią, gdyż zależy ci tylko na tym, czego pragniesz. Jesteś gotowa zabijać psy, dręczyć staruszki w lesie i zdradzić każdego, byle tylko dostać to, czego pożądasz i co czyni cię niegodziwą, co czyni cię grzesznicą i moją żoną.

Nieprawda. Obchodzi mnie. Wykorzystam wszystkie sztuczki, by zdobyć to, czego pragnę i czego pragną dziewczęta w fabryce. Prawie masz rację, ukochany. A jednak się mylisz. Nie mogła powiedzieć tego na głos, ale zachowała te słowa w swojej piersi, gdzie nie musiały zostać wypowiedziane.

Baba Jaga odgryzła czubek paznokcia i splunęła nim w ich stronę.

- Pocałowała leszego. I to nie był grzeczny pocałunek. Użyła języka i posmakowała jego błota.

Kościej odepchnął od siebie Marię i popatrzył na nią lodowatym wzrokiem.

- Czy to prawda?

- Tak. - Nie czuła wstydu.

Kościej się uśmiechnął. Jego blade usta poszukały jej warg i zdusiły je w pocałunku przypominającym śmierć. Poczła słodycz, jakby znów miał na języku miód i cukier. Gdy się odsunął, lśniły mu oczy.

- Nie dbam o to, Mario Moriewno. Całuj go. Możesz nawet wziąć go do swojego łóżka, razem z wiłą. Rozumiesz mnie, żono? Między nami nie muszą obowiązywać żadne zasady. Bądźmy chciwi, gromadźmy skarby. Chłószcmy się brzoźowymi gałązkami i zamykajmy w lochu, pijmy nawzajem swoją krew nocami i zdradzajmy się za dnia. Kłammy, požądajmy i bierzmy sobie setki kochanków, tańczmy, aż stopi się pod nami śnieg. Kradnijmy i objadajmy się, aż oboje utyjemy, pławiąc się w rozkoszach życia, kurczowo się obejmując. Tylko pozostaw mi moją śmierć. Pozwól, aby ta jedna rzecz pozostała święta, nienaruszona i tajemna, a ja przygotuję dla ciebie posiłek z samego siebie, podany na tacy ze wszystkich skarbów świata. Tylko mnie nie zostawiaj, przyrzeknij, że nigdy mnie nie opuścisz, a staniesz się potężniejsza od wszystkich cesarzowych. Zapomnij o dziewczętach w fabryce. Bądź samolubna i okrutna, nie przejmuj się nimi. Ja jestem samolubny. Jestem okrutny. Moja partnerka nie może być gorsza. Uczynię cię swoim skarbem, Mario Moriewno, swoim czarnym zwierciadłem.

Maria zadrżała. Poczła, że coś w jej wnętrzu odrywa się i ulatuje jak popiół. Chwyliła Kościeja za szczękę, wbijając paznokcie w zimne ciało. Postanowiła zaryzykować, tylko to jej pozostało.

- Jeśli mnie chcesz, Kościeju Bezsmiertelnyj, powiedz mi, gdzie ukrywasz swoją śmierć. Między nami nie może być kłamstw. Możemy oszukiwać i rozrywać pazurami cały świat, ale nie siebie nawzajem. Tego wymaga uczciwość: Ty wiesz, gdzie jest moja śmierć, na czubku twojego noża, między duszącymi palcami albo w kieliszku z trucizną. Pokaż mi, że jesteś gotów spocząć na mojej dłoni jak kurczątko, małe i słabe, wiedząc, że mogę cię zmiażdżyć, jeśli tylko zapragnę, chociaż przenigdy tego nie zrobię. Jesteś mi to winien, ze względu na ciała tych wszystkich Jelen i Wasylis. Zresztą, ich ciała także mi się należą.

Kościej długo milczał. Jego twarz unosiła się nad nią, obojętna i nieporuszona.

- Nie rób tego, bracie - westchnęła Baba Jaga.

- Mojej śmierci strzeże pewien rzeźnik w Taszkencie - rzekł w końcu. - Zostawiłem mu ją, gdy po ciebie pojechałem. Tkwi w uchu igły, która kryje się w jajku, które kryje się w kurze, która kryje się w kocie, który kryje się w gęsi, która kryje się w psie, który kryje się w

łani, która kryje się w krowie, ta zaś żyje u rzeźnika i jest bardzo kochana przez niego i jego dzieci. Jego synowie jeżdżą na krowie, w której tkwi moja śmierć, i klepią ją po zadzie.

Maria pocałowała go z całej siły, jakby chciała wyciągnąć z niego prawdę, a krawędź jej czarnego płaszcza otarła mu się o podbródek.

Przewodnicząca Jaga rozparła się na swoim krześle. Zapaliła nową cygaretkę i splunęła.

- Pewnie niektórzy uznaliby to za przysięgę ślubną - mruknęła, po czym uśmiechnęła się, ukazując brązowe zęby, wciąż poplamione złotym żółtkiem. - Od ślubów mam gazy.

Nagle zimny wiatr wypełnił pokój bez okien. Wiał coraz szybciej, krążąc jak koń wyścigowy, wirując, przerzucając mapy i dokumenty, wywołując mrowienie na skórze, aż w końcu z jękiem przemknął obok Marii Moriewny, Kościeja i Baby Jagi, targając ich ubrania i włosy, odbierając oddech. Kościej uniósł ręce, by osłonić swoją nową żonę. Baba Jaga przewróciła oczami.

- Cholera - powiedziała krótko, a wicher ustał, pozostawiając tylko białą ciszę.

W pomieszczeniu stał ktoś, kogo wcześniej tutaj nie było. Czarne włosy mężczyzny opadały aż do podłogi. Miał na sobie szarą sutannę, a na jego piersi lśniło srebrzyste światło przypominające gwiazdę. Powieki miał tak długie, że zakrywały ciało niczym stuła, a rzęsami zamiatał podłogę. Wyciągnął dłonie i wyprostował długie, bezbarwne palce.

- Gratulacje z okazji zaślubin, bracie - rzekł chrapliwie. Wydawało się, że jego głos dobiega z oddali, jakby słyszeli go przez trzy warstwy szkła. - Przywiózłbym prezenty, gdybym został zaproszony. Bydło. No i zawieszenie broni. - Wygładził powieki jak poły płaszcza.

- Ale nie zostałeś zaproszony, Wiju - odburknęła Baba Jaga. - Ponieważ uciążliwy z ciebie gość. Gasisz wszystkie ognie i zmieniasz tańczące dziewczęta w szkielety, podczas gdy inni próbują się dobrze zabawić. Po co ktokolwiek miałby cię zapraszać?

- Ponieważ biorę udział we wszystkich ślubach, Caryco Nocy - zamruczał Wij. - Śmierć stoi za plecami każdej panny młodej i pana młodego. Podczas gdy wypowiadają słowa przysięgi, kwiaty gniją w jej wianku, a jego zęby gniją w szczęce. Rak, o którym dowiedzą się za trzydzieści lat, powoli rośnie w ich żołądkach. Jej piękno brązowieje na krawędziach, gdy obrączka wślizguje się na jej palec. On niezauważalnie słabnie, gdy ją całuje. Jeśli bacznie nadstawicie ucha w kościele, usłyszycie ciche cykanie mojego zegara, który odmierza ich wspólną drogę do grobu. Trzymam ich dłonie, gdy dumnie kroczą ku niedalekiej starości i śmierci. To wszystko jest takie słodkie, że chce mi się płakać. Pozwól, że ucałuję twoją żonę w oba policzki, Carze Życia. Chcę poczuć, jak jej gorąca krew powoli stygnie w zetknięciu z

moimi powiekami.

- Ona nie jest dla ciebie, mój bracie - odparł Kościej.

- Czyżby? A więc jej także odebrałeś śmierć? Pamiętam, jak zrobiłeś to sobie... fuj, co za paskudny widok! - Maria zobaczyła, że Wij skierował w jej stronę oczy skryte pod powiekami. - Oczywiście, że tego nie zrobił, prawda, dziecko? Widzę twoją śmierć, która kwitnie na twojej piersi jak grzyb.

Maria uniosła dłoń do piersi, chwytając niewidzialną trupią główkę. Gdy Wij wyciągnął w jej stronę palce, powoli, jakby poruszał się w wodzie, poczuła ukłucie między piersiami. Nie było bolesne, ale osadziło ją na miejscu, i zrozumiała, że Wij może ją przesunąć gdziekolwiek zechce. Złapał ją za serce albo za śmierć, lub za jedno i drugie, a Maria chwiała się, gdy poruszał upiornymi palcami w mrocznym powietrzu. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by prosić o usunięcie własnej śmierci. Jak widać, postąpiła nieroztropnie. Starła się stać nieruchomo i opierać atakom Wija, ale cała skręcała się i dygotała. W końcu Car Śmierci opuścił dłoń i z namysłem pokręcił głową. Klucie ustało.

- Nie bierz tego do siebie, dziewczyno. Nasz brat nie dobywa skalpela dla nikogo innego. Tylko on żyje wiecznie. Wszyscy inni należą do mnie. Nie mają innego wyjścia. A Życie, ten stary tyran, dobrze wie, że moja kraina jest teraz wyjątkowo żyzna. Tyle białych kwiatów. Tak wielu umarłych od siedemnastego roku. Jest nas dużo więcej niż was. Wkrótce, dokądkolwiek pójdziecie, moi ludzie będą was otaczać, spijać wasz pot, połykać ciepło. Może jednak przyjdę na twój ślub, co? Może to ja stanę obok twojego widma przy srebrnym ołtarzu, włożę kamienną obrączkę na cień twojego palca, wysysając ducha twojego dziewictwa. Mógłbym zawalczyć z nim na bitewnym froncie twojego brzucha. Moglibyśmy podzielić się tobą jak prowincją.

Baba Jaga podrapała się po zaplecionej brwi.

- Jak ci się udało złamać warunki traktatu, Wiju? Dobrze wiesz, że nie masz wstępu do Bujanu. Oddzielają nas drzwi i psy. Te rodzinne spotkania są takie niezręczne! Nasza trójka w jednym pomieszczeniu! To się nie zdarzyło od czasu... hmm, chyba od upadku Konstantynopola. Zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby trzymać twoje ścierwo z dala od naszych bram. Sprawiasz nam przykrość, lekceważąc w taki sposób nasze prośby. Ale najstarsze dzieci zawsze są krnąbrne.

Wij popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Maria miała wrażenie, że dostrzega w jego oczach miłość i troskę.

- A co z twoim ścierwem, Caryco Nocy? Zdobędę je, zanim ten wiek dobiegnie końca. Wszyscy będziemy razem, jedna rodzina z jedną głową. - Kąciki uśmiechniętych ust Wija

zniknęły pod jego powiekami. - Raskownik otwiera wszystkie zamki - syknął z jadowitą satysfakcją. - Jak to mądrze ze strony twojej Marii, że go dla nas zdobyła! Nie na darmo baśnie głoszą, że nie ma nikogo głupszego od panny młodej. Nie było trudno posłać moich żołnierzy śladem jej śmierdzącego, bijącego, rozwrzeszczanego serca na drugą stronę granicy, a następnie ściągnąć ją z konia, żeby nie zobaczyła, że weszliśmy tam, gdzie jej gwintowniczką. Bramy Krainy Życia stoją otworem, a moi towarzysze wlewają się przez nie jak woda, by świętować twój ślub i zostawić podarunki na progu. Mam nadzieję, że ci się spodobają. W końcu, Mario Moriewno, teraz jesteśmy rodziną.

Wij ukłonił się grzecznie, marszcząc długie powieki. Zanim ktokolwiek zdążył odetchnąć, zgiął się w pasie i złożył w olbrzymiego białego albatrosa, po czym, machając skrzydłami, powoli opuścił pomieszczenie i poleciał w dół czarnych schodów. Maria oderwała się od swojego męża i ruszyła za Carem Śmierci, ścigając blade, lśniące pióra ogonowe ptaka, który wypadł przez potężną, rzeźbioną bramę Czarnoświatła. Zataczając kręgi, wzbił się w szare poranne niebo i wydał z siebie pojedynczy żalony okrzyk.

Przed Marią rozciągała się ulica Skorohodna naznaczona srebrem jak rozlaną farbą. Srebro poruszało się, wżerając się w kamień i wrząc. Żołnierze piechoty ze srebrnymi plamami na piersiach maszerowali wzdłuż domów, rozbijając szyby kolbami karabinów, nawołując odległymi głosami, dźgając bagnietami gospody, których ściany krwawiły. Zewsząd dobiegał odgłos tłuczonego szkła.

Pod ścianą zaś, na tyłach kawiarni czarodziejów, gdzie piętrzyły się blade kwiaty i kokardy, które wyglądały jak prezenty, leżeli Ziemiojad z błotem ciekącym z rany na kamiennej głowie, Nagania z wgniecioną żelazną szczęką oraz pani Liebiediewa z dziurą po kuli rozkwitającą ponad sercem. Oczywiście, wcześniej pomalowała oczy na czerwono, by kolorem pasowały do rany. Kierowali mroczne spojrzenia ku wschodowi słońca, ale niczego nie widzieli.

**Część trzecia**

**Iwanuszka**

*Przychodzisz w hełmie i wojskowym płaszczu,  
Goniąc jej śladem, bez maski.  
Mój Iwanuszek z dawnych opowieści,  
Cóż cię dzisiaj trapi?  
Tyle goryczy w twoich słowach,  
Tyle ciemności w twoim kochaniu.  
Dlaczego ten strumień krwi  
Kala policzków twoich płatki?*

Anna Achmatowa

## Ci wszyscy umarli

Jesienią, gdy w powietrzu wisiał złoty, gęsty dym z palonego drewna, a śnieg badawczo dotykał wiatru białymi palcami, samotny młody żołnierz szedł długą, wąską drogą, paląc długiego, wąskiego papierosa. Rozkoszował się nim, nieśpiesznie wciągając dym. Wyśmienity tytoń był jednym z nielicznych przywilejów oficera. Przypominał złoto. Delikatne dreszcze zachwyty przebiegały po plecach młodzieńca, gdy zimne słońce padało na obłoki dymu, rozszczepiając się na rajskie promienie. Buty chrzęściły na zmrożonej ziemi, co także sprawiało mu radość. Cieszył się rześkim, pogodnym odgłosem własnych kroków wśród szerokolistnych drzew, ciepłem wełnianego płaszcza i futrzanej czapki oraz spotkaniem papierosa, zmrożonego piasku, żółtych liści i Iwana Nikołajewicza, dla którego ten poranek przebiegał coraz bardziej udanie.

Tego ranka Iwan posmakował nie tylko tytoniu, ale i masła. Wspomnienie noża, który skrobał smażyony chleb, pozostawiając na nim ślad lśniącej solonej kremowej masy, wciąż przyprawiało go o dreszcz podniecenia. Do niedawna uważał masło za mityczny skarb, niczym pióro Żar-Ptaka. Ale teraz krew szybciej krążyła mu w żyłach, gdy przypominał sobie pasek tłuszczu na pieczywie. Czuł, że jego kości są mocne, a nogi na tyle potężne, by jednym krokiem pokonać trzy rzeki. Ostatniej soboty, podczas obowiązkowego czynu społecznego, zebrał więcej jabłek niż którykolwiek z miastowych chłopaków, rozczochranych mądrali w okularach. Przyjemne mrowienie w mięśniach i smak ukradzionego jabłka, twardego, słodkiego i kwaśnego, wciąż towarzyszyły mu jak sympatyczny piwny rausz. Co zrobić z nadmiarem dobrego nastroju i silnymi nogami? Iwan Nikołajewicz postanowił wykorzystać przerwę obiadową i wybrać się na spacer do brzoźowego lasu rosnącego poza ogrodzeniem obozu.

Teraz wędrował swobodnie pośród pierwszych opadających liści, lekko zaciągając się papierosem, by na dłużej mu wystarczył. Ale jedną z najslodszych cech papierosów jest to, że tak szybko się wypalają. Młody oficer z żalem, ale jednocześnie z piersią pełną bogatego aromatu, zgasił ostatnią iskrę na zmrożonej ziemi.

W odległości kilku stóp, pod jasnym rusztowaniem ze złocistych liści, Iwan Nikołajewicz zobaczył ludzką dłoń. Jej palce poszarzały i posiniały. Dłoń wciąż ścisnęła



odrobinę śniegu, który spadł w nocy. Iwan nie poruszył się, tylko powiódł wzrokiem wzdłuż dłoni, do nadgarstka, przedramienia, ramienia, aż w końcu do twarzy martwego mężczyzny, który leżał w lesie, z pustymi wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami, jakby zapomniał, co chce powiedzieć. Nie był Rosjaninem, tego Iwan był pewien. Miał głowę owiniętą mieniącym się szkarłatnym szalem i szereg stalowych kolczyków w lewym uchu, które zostało do połowy odcięte. Jego strój lśnił od ozdób; buty zrobione z dziwnej tłustej zielonej skóry błyszcząły w słońcu. Nawet po śmierci wciąż ścisnął karabin, a Iwan doskonale wiedział, że martwi Rosjanie błyskawicznie tracą broń. Zdawał sobie sprawę, że powinien natychmiast wrócić do obozu i zgłosić odnalezienie zabitego cudzoziemca w lesie. Ale zamiast to uczynić, zbliżył się o kilka kroków i trącił zwłoki czubkiem wytartego buta.

Może te buty będą na mnie pasowały, pomyślał Iwan Nikołajewicz. Już czuł ich miękki dotyk na swoich obolałych stopach. Zmarli Rosjanie szybko żegnają się także z obuwiem. Ależ mam dzisiaj szczęście. Masło, dobry papieros, a teraz nowe buty! Jednakże za trupem zauważył jeszcze jedną odwróconą dłoń, tym razem kobiecą, zachlapaną krwią. Zadrżał i wepchnął ręce głęboko do kieszeni. Lepiej je zostawić. Jego towarzysze i tak podejrzliwie patrzyliby na ich kolor. Mimo wszystko przysunął się do przodu i wyglądając zza smukłej brzozy, popatrzył na twarz martwej dziewczyny, której ptaki poraniły policzek i wydziobały oko. Ona również miała na szyi szal, żółty jak liście, a na czole dwa małe zakręcone rogi, jak u kózki. Iwan syknął przez zęby, po czym się przeżegnał. To zły nawyk, podobny do obgryzania paznokci, ale trudno z nim zerwać.

Podążył śladem zabitych w głąb lasu, niczym po szlaku z rozsypanych okruchów. Czasami napotykał większe grupy zabitych zwróconych do siebie plecami, jakby zginęli, broniąc się przed kimś. Czasami mijał pojedyncze trupy. Niektóre miały różki, jak kobieta w żółtym szaliku. Niektóre miały ogony. Inne nie różniły się zbyt od Iwana. Tu i ówdzie zmrożona ziemia lśniła, jakby zbryzgano ją srebrną farbą. Zmarłych było tak wielu! Iwanowi zrobiło się niedobrze i żałował, że objadł się masłem. Ale nie zamierzał się zatrzymywać. Jak to możliwe, by w pobliżu jego obozu doszło do takiej bitwy i żaden z wartowników nie usłyszał wymiany ognia? Wiatr szarpał go za poły szarego płaszcza. Miał ochotę na kolejnego papierosa, który by go uspokoił.

Wreszcie wyszedł z lasu i znalazł się na skraju głębokiej, kamienistej doliny okrytej brązowymi liśćmi. Tutaj Iwan Nikołajewicz krzyknął z przerażenia i padł na kolana. Na ziemi leżały tysiące zabitych, wszyscy z odwróconymi dłońmi, pustymi i ślepymi oczami, pięknymi strojami powiewającymi na wietrze. W górze gorzko pokrzykiwała dzierzba, która od czasu do czasu nurkowała, by wyrwać czyjaś powiekę, potrząsając przy tym czarną główką. Na

ziemi lśniły potężne kałuże srebrnej farby. Były nią ochlapane także piersi wielu walczących. Nie miała zapachu. Żaden z trupów nie cuchnął. Na szczycie przeciwległego zbocza doliny stał czarny namiot, a pod nisko wiszącymi chmurami sztywno łopotały czerwono-biało-złote długie, wąskie flagi.

- Jeśli ktoś ocalał, niech się odezwie! - wykrzyknął Iwan pośród wiejącego wiatru. - Kto pokonał tę potężną armię?

Jeden z żołnierzy leżących obok niego zakaszłał, a w kącikach ust wykwitwały mu krwawe pęcherzyki. Iwan Nikołajewicz doskoczył do rannego i napił go wodą ze swojej manierki. Jednakże woda tylko spłynęła po twarzy mężczyzny, pozostawiając na niej ciemny mokry ślad przypominający jedwab. Żołnierz chrapliwie wciągnął powietrze, a z kącików jego ust wyskoczyły nitki. Iwan się wzdrygnął.

- Ci wszyscy umarli należą do Marii Moriewny, zamorskiej królowej.

Po czym żołnierz umarł z tym imieniem na zniszczonych ustach.

Iwan z trudem ruszył w stronę czarnego namiotu, potykając się o ciała, kurczowo przytrzymując czapkę na głowie. Ocierał kłykciami łyzy, wspinając się jak alpinista po szalikach, błyszczących ozdobach, idealnych butach. Nie patrz w dół. Nie patrz w dół.

Wokół namiotu nie było strażników. Iwan Nikołajewicz drgnął, gdy kątem oka dostrzegł ruch czegoś srebrno-białego, ale kiedy się odwrócił, zobaczył tylko kolejne trupy i liście. Namiot zadrżał.

- Skrzeeek - odezwało się coś, co nie było ani namiotem, ani żołnierzem.

Iwan obrócił się na pięcie. Jakaś istota sunęła przez pobojuwisko, od czasu do czasu chwiejnie przechodząc nad wykrzywionym łokciem albo wykręconą nogą. Iwan nie wiedział, czy to kobieta, czy mężczyzna. Postać garbiła włochate ramiona, skrywając między nimi głowę, i skrzypiała przy każdym ruchu jak metalowa chorągiewka na dachu. Iwan rozpaczliwie pragnął uciec, poruszyć silnymi nogami, pokonać jednym krokiem trzy rzeki, ale tylko czekał z ledwie bijącym sercem, aż wreszcie istota przeszła nad kolejnym kościstym trupem i wydobyła głowę z głębi klatki piersiowej.

Miała kobiecą twarz, tak idealnie młodą i piękną, że Iwan Nikołajewicz poczuł ból pod wpływem siły jej spojrzenia, a jego skóra ścierpła i obudziła się do życia. Spod łuków jej eleganckich brwi patrzyły dzikie niebieskofiołkowe oczy, a usta rozchyłały się jak u panny młodej czekającej na pocałunek. Ale jej ciemne włosy były potargane i matowe jak u niedźwiedzicy i miała na sobie tylko zabrudzone pióra przypominające futro, zwisające w posklejanych pękach z potężnych kanciastych, kościstych ramion aż do złotych trójpalczastych stóp, ptasich szponów drapiących zamarzniętą ziemię.

- Ależ mam dzisiaj szczęście - szczeęknęła, posyłając w powietrze krople śliny. - Masło, dobry papieros, a teraz nowe buty! - Kobieta-ptak zachichotała, jakby opowiedziała znakomity dowcip. Gdy otworzyła piękne usta, okazało się, że ma tylko trzy zęby tkwiące w rozchwianych białych dziąsłach. Wygięła grzbiet, a nad jej ramionami otworzyły się na wpół obnażone skrzydła. Machnęła nimi trzykrotnie, po czym ponownie złożyła je na plecach.

Iwan znów się przeżegnał.

- Ależ chłopcze. Co to ma być? Już dawno powinienesz być dać sobie spokój z Bogiem. Wiele razy wymachiwałeś rękami i Go wyzywałeś, czyż nie? Rzucałeś cegłami w Jego okna! Osobiście nie mam nic przeciwko opium dla mas, ale ty miałeś z nim poważne porachunki. - Kobieta-ptak szeroko otworzyła usta i ponownie zaskrzeczała.

- Jesteś diabłem! - wykrzyknął Iwan Nikołajewicz.

- Brawo za spostrzegawczość.

Iwan próbował uspokoić oddech. Mróz szczypał go w usta.

- Bóg nie istnieje tylko wtedy, gdy nie istnieją diabły - wyszeptał. - W przeciwnym razie gra skończona.

Podniosła jedną nogę, postawiła ją, po czym podniosła drugą, kołysząc się w tył i przód.

- A zatem gra skończona, Iwanie Nikołajewiczu.

- Skąd wiesz, jak mam na imię?

- Czy wiesz, że słyszę to pytanie za każdym razem, gdy rozmawiam z człowiekiem? Ono mnie uspokaja. Poza tym, to niemal urocze, że tak mi się przypatrujesz z wytrzeszczonymi oczami. Jestem Gamajun, chłopcze. Znam imiona wszystkich. Oczywiście, nawet gdyby tak nie było, tacy jak ty zawsze nazywają się Iwan Nikołajewicz. Przyznaję, że to oszustwo. Niewiele lepsze niż wyciągnięcie jajka z twojego ucha.

Iwan nie wierzył w Boga. A przynajmniej nie tak, jak wierzył w śniadanie, masło czy papierosy. Miał tego pecha, że przyszedł na świat przed Rewolucją, więc został ochrzczony i zdarzały mu się takie niefortunne wpadki jak wykonywanie znaku krzyża. Wiedział jednak, że religijne dogmaty służą jedynie uciskowi klasy robotniczej. Był dumny ze swojego czystego umysłu i nowoczesnego sposobu myślenia, wolnego od tych wszystkich świętych, pustych obietnic.

Iwan Nikołajewicz nie wierzył w Boga, ale wierzył w Gamajun. Jego rodzicielka przestała mu czytać Biblię, jak przystało na dobrą matkę, ale nigdy nie przestała snuć opowieści przy piecu, gdy tylko zima rozsiadała się w ciemnościach. Iwan nie pamiętał z jej ust słów „Ojczy nasz, któryś jest w Niebie”, ale z przeszywającą wyrazistością przypominał

sobie jej twarz oświetloną blaskiem płonącej smolnej szczapy, gdy szeptała: „Gamajun jada z miski przeszłości i przyszłości, miski, w której mój Iwanuszek jest niemowlęciem, silnym chłopcem i staruszką otoczoną wnukami. Oto nadchodzi, na podobieństwo ptaka, ale nim nie jest: skrzyp, skrzyp, skrzyp!”.

- Słyszałeś o mnie, prawda? - Gamajun się wyszczerzyła. - To dobrze. Widzisz, znam ludzi na wysokich stanowiskach. Mam rządowe gwarancje. Gdyby Chrystus powrócił na złotym obłoku, aresztowaliby go na miejscu, ale mnie zostawiają w spokoju. Rewolucja ma swoje ograniczenia.

Zaciśnięte dłonie Iwana były lepkie i zimne. Jak o tym napisze w swoim dziennym raporcie?

- Kto jest w namiocie?

- Wejdz i się przekonaj. I tak w końcu to zrobisz. To musi się stać, a wtedy wszystko ruszy jak silnik, rozpędzając się, aż nie pozostanie już nic więcej do spalania.

- Nie rozumiem - szepnął Iwan.

Gamajun poczęła w jego stronę, kołysząc głową nad potężnymi uskrzydłonymi ramionami. Przykucnęła na brzuchu martwego żołnierza, którego żebra trzasnęły pod jej ciężarem, po czym zaczęła rozrywać pazurami jego koszulę w kolorze wina.

- Siadaj, Iwanie Nikołajewiczu. Opowiem ci wszystko, co ci się przydarzy. No, dalej, przypomnij sobie, że masz kolana... o proszę, właśnie tak się zginają. - Piękna twarz Gamajun wynurzała się z ruiny ptasiego ciała. Długa i kręta szyja wyciągała się jak u łabędzia, była jednak grubsza i pokrywała ją węzłowate ścięgna.

Iwan usiadł na trawie, ostrożnie unikając zbezczeszczenia jakiejś biednej martwej istoty.

- Dlaczego miałabyś zrobić coś tak potwornego? - spytał.

- Ponieważ muszę dbać o to, by wszystko toczyło się swoim torem.

- Przecież to nieuniknione, czyż nie?

Gamajun przechyliła głowę. Jej oczy zalsniły.

- Och, Iwanuszek, oczywiście, że nic się samo nie wydarzy. Przypomnij sobie, jak twoja matka opowiadała ci historie przy piecu. Słyszałeś je setki razy. Jaś zawsze wspinał się na łądę fasoli, Dobrynia Nikiticz udawał się w Góry Saraceńskie, a sokół Finist żenił się z córką kupca. Znałeś zakończenie, ale chciałeś, żeby matka ci je opowiadała, mówiąc delikatnym głosem albo groźnie naśladowując warczenie wilka. Jeśli coś zmieniała, wydarzenia nie toczyły się tak jak wcześniej. Ale i tak musiała opowiadać, by historie trwały. Żeby toczyły się tak jak zawsze. Ze mną jest podobnie. Znam wszystkie opowieści. Bojarowie

zawsze gołą brody. Kościół zawsze się rozpada. Ukrainę zawsze pustoszy trujący wiatr. Ale i tak chcę usłyszeć, jak świat je opowiada, gdyż tylko on potrafi to zrobić dobrze. Chcę drzeć, gdy świat naśladuje wilka. To wszystko musi się wydarzyć. Już wszedłeś do tego namiotu. Już z nią odszedłeś. Już ją utraciłeś. Zapewne tym razem możesz opowiedzieć swoją historię inaczej. Ale tak się nie stanie. Zawsze będziesz miał na imię Iwan Nikołajewicz. Zawsze wejdiesz do namiotu. Zobaczysz bliźnię pod jej okiem i będziesz się zastanawiał, skąd ją ma. Zawsze będziesz zaskoczony tym, że jedna kobieta może mieć tak dużo czarnych włosów. Zawsze się w niej zakochasz i nastąpi to błyskawicznie, jak poderżnięcie gardła. Zawsze ją stracisz. Zawsze będziesz głupcem. Zawsze umrzesz w mieście lodu, a śnieg będzie ci padał do ucha. Już to wszystko zrobiłeś i zrobisz to ponownie. Moja rola polega na tym, by mieć pewność, że to się wydarzy.

- Przerażasz mnie. - Rzeczywiście dygotał na całym ciele, każda jego komórka drżała w obecności Gamajun, pod wpływem siły słów ciężkich jak nadchodząca burza, którą czuł w kolanach i piersi.

- Tak - odpowiedziała krótko.

- Nie rozumiem. Chcę zrozumieć.

- Tak się stanie. Zanim nastanie koniec. Zrozumiesz. Jak zawsze.

- Więc dlaczego wszystko toczy się właśnie tak? Jeśli coś rozumiem, mogę to zmienić. Czy to twoja wina? Powstrzymujesz mnie przed zmianą biegu wydarzeń? - Gamajun nie może kłamać. Iwan o tym wiedział, pamiętał to z każdej baśni. Dlatego nie potrafił nie wierzyć.

- Dlatego że Życie wszystko pochłania, Śmierć nigdy nie śpi, a świat porusza się pomiędzy nimi. Zima staje się wiosną. A od czasu do czasu oboje odgrywają dziwną, ponurą pantomimę, by sprawdzić, czy ktoś już zwyciężył i czy świat nadal porusza się tak jak dotychczas. - Gamajun nastroszyła potargane pióra i zerknęła na Iwana spod rzęs. - Jak w widowisku pasyjnym. Jak podczas ofiary. To z pewnością nie moja wina.

Iwan popatrzył w stronę czarnego namiotu.

- Mógłbym uciec do domu, do swojego obozu. Mógłbym wrócić na wartę i nigdy o tym nie wspomnieć.

Gamajun uniosła idealną brew.

- Więc idź, Iwanuszek. Biegnij. Uwierz mi, że ona nie jest tego warta.

Chmury przeczesywały włosy Iwana Nikołajewicza. Zmarszczył czoło i pomyślał o tym, jak bardzo smakował mu poranny papieros. O swoim szczęściu. Jeśli ucieknie, i tak pewnego dnia umrze. Jest tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty rok. Ludzie giną na

każdym kroku. Umrze, nie wiedząc, kto jest w czarnym namiocie. Będzie się nad tym stale zastanawiał. Będzie go to dręczyło, jak skaleczenie w ustach, którego nie sposób nie drażnić językiem. Kiedykolwiek i gdziekolwiek umrze, poświęci temu swoją ostatnią myśl: łopotaniu czarnego jedwabiu, które przypomina szept.

Tkwiał w miejscu.

- Dobrynia Nikiticz zawsze udaje się w Góry Saraceńskie - powiedziała cicho Gamajun. Potem schowała głowę w ramionach i zniknęła w mgnieniu oka.

## Zwierzchnictwo

Maria Moriewna, z głową oplecioną warkoczem i marszałkowskim mundurem sztywnym od błota, pochyliła się nad swoim biurkiem.

Wojna toczy się nie po naszej myśli.

Wojna zawsze toczy się nie po naszej myśli.

Przesunęła dłonią przed oczami. Już od ponad roku potrzebowała okularów. „Zobacz” - mówiły okulary leżące na blacie. „Zobacz, jak bardzo różnisz się od innych. Starzejesz się i twoje oczy się zużywają. A wszystko po to, żebyś nigdy nie uwierzyła, że tutaj jest twoje miejsce”. Maria podejrzewała, że właśnie dlatego nikt nie pyta o porwane dziewczęta w bajkach. Ponieważ zawsze okazują się rozczarowaniem. Mają humory, wstępują do wojska, potrzebują okularów. Komu to potrzebne?

Postukała w srebrny telegraf. Telefony nie podobały się jej krajanom. Nie wiedziała dlaczego i oni też nie wiedzieli, ale krwawili z nosa, gdy tylko próbowali mówić do słuchawki. Także z uszu, chociaż nie tak mocno. Tap-tap-tik-tap. To koniec. Nikt nie został. Wracam do domu.

Nagle poczuła w namiocie obecność mężczyzny, jak boleć zasuwki wślizgujący się na miejsce. Jego złociste i niewinne ciepło promieniowało na jej plecy. Pachniał papierosami, gorącym chlebem i męską skórą. Przez lata węch Marii się wyostrzył; teraz miała nos czuły jak wilczyca. Nie odwróciła się w stronę przybysza, ale go poznała i wiedziała, jak potężny się wydaje wewnątrz namiotu, olbrzymi jak słońce. Nie teraz, och, tylko nie teraz. Prawie zwymiotowała i po tym poznała, jak daleko zaszła. Kiedyś to magia sprawiała, że robiło się jej gorąco i niedobrze. Teraz taki skutek wywoływali w niej ludzie, a jej żołądek tak się skręcał, że miała ochotę go wyrwać i pozbyć się całego ciała.

- Zakładam - odezwała się przez zaciśnięte gardło - że masz na imię Iwan Nikołajewicz. - Chciała go oskarżyć, aresztować i skazać za bycie Iwanem, zobaczyć, jak go za to wieszają. Jakże często Kościej i Jaga opowiadali jej, że ten dzień nadejdzie, ostrzegali ją przed nim jak przed epidemią cholery w sąsiedniej wiosce, sławili jego nieuniknioność. A ona zawsze się śmiała.

- Tak. - Po raz pierwszy usłyszała jego głos, miękki i głęboki jak letnie błoto.

Usłyszała go uszami wilczycy.

- I oczywiście jesteś najmłodszym z trzech synów.

- Tak... jestem.

- Tym uczciwym? Twoi bracia są podstępni i fałszywi, a twój biedny ojciec nigdy nie potrafił tego zauważyć? - Maria smakowała gorycz w swoim głosie, która była jak wykrzywająca usta garbnikowa herbata zaparzona ze wszystkiego, co niesprawiedliwe.

- Moi bracia umarli. Na Ukrainie, podczas głodu. Nie wiem, czy wyrosliby na podstępnych i fałszywych ludzi.

Maria znieruchomiła z dłonią zawieszoną nad mapą, która przedstawiała pokrzywioną i krętą granicę pomiędzy Bujanem a syberyjskim miastem Irkuck.

- Mogłabym wezwać swoich ludzi. Mogłabym kazać cię stracić. Wyłącznie z tego powodu, że masz na imię Iwan, a ja czuję taką zachciankę. Sama powinnam cię zabić. Śmierć od kuli nie jest taka zła.

Jego głos, głęboki i pełen życia, rosyjski i znajomy, ponownie się po niej przetoczył.

- Proszę tego nie robić.

- Powiedziała, że przyjdiesz, a ja obiecałam pożreć twoje serce. Nie wolno łamać obietnic danych zmarłym.

- Kto powiedział? - spytał Iwan Nikołajewicz.

- Stara przyjaciółka. Zresztą, nieważne.

- Kim są tamci żołnierze? Jak zginęli?

- Na wojnie. W moim imieniu. Nie wiem.

- Jakiej wojnie? Podpisaliśmy traktat pokojowy. Niemcy nam nie zagrażają.

Maria roześmiała się chrapliwie. Ponownie potarła bolące oczy. Usłyszeć takie słowo w tym miejscu!

- Zapomniałam, że istnieje coś takiego jak Niemcy. Walczymy dla Kościeja przeciwko Wijowi. Dla Życia przeciwko Śmierci. Niektórzy z tych żołnierzy to nasi ludzie. Gdy umierają, zostają wcieleni do armii Wija. Krwawimy duszami na jego stronę. Ci ze srebrnymi znakami na piersi to martwi żołnierze Wija, jego duchy, które zabiliśmy. Nie wiemy jednak, dokąd idą po śmierci. Na pewno nie wracają na naszą stronę. Zostają po nich trupy, jak po żyjących, ale po prostu odchodzą. Może istnieje inne wojsko, niewidzialne, jeszcze bardziej niewidoczne od duchów, walczące o coś, czego nie znamy i nie dostrzegamy, a oni zasilają jego szeregi. Tego nie wiemy. Ale cóż można począć? Śmierć to śmierć. Nawet dla nich.

- Jak można zabić ducha? I czy moglibyście wreszcie na mnie spojrzeć? - Maria usłyszała to w jego głosie. „Wariatka. Jesteś wariatką”. Uszy jej zapłonęły.



- Tak samo, jak zabija się wszystko inne. Wystarczy kula. Albo bagnet. Można też się pokusić o uduszenie. I nie, nie zamierzam na ciebie spoglądać. Nigdy. - Poza tym nie jestem wariatką. Jak śmiesz tak myśleć, jak śmiesz tutaj przychodzić, jak śmiesz żyć?!

- Jesteście Maria Moriewna - rzekł Iwan. - Zamorska królowa.

- Wciąż mnie tak nazywają? To takie dziwne. Jestem zbyt młoda, by pamiętać czasy, gdy tutaj było morze.

- Jesteście demonem? Macie rogi? Skrzydła?

Maria długo się zastanawiała. Do kogo należysz, dziewczynko? Dlaczego jesteś tutaj, w głębokim, ciemnym lesie?

- Jestem żoną Kościeja - odpowiedziała w końcu. - I jestem kobietą. Nie mam rogów.

Czuła oddech Iwana, zupełnie jakby namiot na zmianę rozszerzał się i kurczył, aby go wypełnić, opróżnić i znów wypełnić.

- Mam wrażenie, że przeszkadzam - powiedział cicho. - Chciałem tylko zapalić papierosa i trochę się przespacerować. Nie rozumiem, co się tutaj dzieje. Rozumiem swój obóz, swoich towarzyszy i to, że wieczorem każdy z nas dostanie rosół i rzepę. Nie mogę się tego doczekać. Lubię rzepę. Ma nieco maślany smak i jest taka gorąca, gdy wyjmuje się ją z garnka. Myślę, że mógłbym się nią żywić aż do śmierci. Nie muszę się niczego dowiadywać o dziewczynie, która wyszła za mąż za Kościeja Nieśmiertelnego.

Marię bolały kolana. Czy kiedykolwiek byłam taka zmęczona? Zużyta jak stare siodło. Zdała sobie sprawę, że wciąż obsługuje telegraf zimnymi palcami. Tap-tap-tik-tap. Automatycznie, jak medium kontaktujące się z małym zaginionym carewiczem.

- Wiesz, że opowiadamy o tobie historie? - zapytała, wpatrując się w gałkę telegrafu pod swoją dłonią. - Jesteś potworem, ogrem. Śmiejemy się z ciebie. „Bądź dobry dla swojej dziewczyny, Kościeju, albo przyjdzie Iwan i ci ją zabierze!”. Właśnie w tym lubuje się każdy Iwan. W uwodzeniu żon Kościeja. To ich ulubiona rozrywka. Z jakiegoś powodu zapomniałam, że naprawdę istnieją chłopcy noszący to imię.

- Ja was wcale nie uwodzę!

- A jednak - odparła Maria i usłyszała, jak w jej głosie pobrzmiwają poufałość i tęsknota. Prawie się odwróciła. Prawie nazwała go Wanią, Iwanuszką, jakby już byli kochankami. Delikatnie poruszyła biodrem w jego stronę, jakby całe jej ciało zamierzało go udobruchać i przebaczyć mu już na początku, by nie musiała tego robić później. Nie potrafiła wyjaśnić tego przyciągania, podobnego do ukłucia, które poczuła, gdy martwy car Wij pochwyił jej śmierć i nią zakręcił. Ale Iwan samym swoim głosem pochwyił jej życie. - Robisz to. Wystarczy, że uniosłeś klapę mojego namiotu. Wystarczy, że jesteś ciepły, żywy i

blisko mnie. Po tym długim dniu, podczas którego kawaleria Wija przetoczyła się po moim batalionie jak woda. Straciłam dzisiaj dwóch pułkowników. Dwóch pułkowników, majora i mnóstwo koni. Mnóstwo dziewcząt. A jutro się obudzę, zapnę mundur i znów popatrzę im wszystkim w oczy, moim towarzyszom, tym samym co wcześniej, tylko że teraz będą mieli srebrne gwiazdy na piersi i spróbują wyrwać mi wątrobę. A w środku tego wszystkiego pojawia się ty, gorący, młody i niewinny. Pachniesz jak człowiek. Czuję twoje serce. Jest jak wykwintny posiłek przygotowany tylko dla mnie. A ja powinnam już to wiedzieć: wykwintne posiłki pojawiające się niespodziewanie w środku lasu jak za sprawą czarów to elementy uwodzenia. Chociaż wiem, że jesteś Iwanem i istniejesz po to, bym zdradziła swojego męża, i tak pragnę cię pocałować. Poczuć, jak wypełniające cię życie chwyta życie, które jest we mnie. Surowe, świeże i nowe. A ty... nawet nie widziałeś mojej twarzy, ale czuję na plecach twoje pożądanie. Oszałamiają cię moje kształty, mój rozmiar... już wiesz, że nie wyjdiesz beze mnie z tego namiotu.

- Tak - westchnął Iwan.

- A jednak twierdzisz, że jesteś niewinny.

- Odnalazłem was przypadkiem. Szedłem za szlakiem z ciał.

- Więc może ja także cię uwodzę.

- To byłby potworny prezent ślubny - odrzekł Iwan poważnie.

- Może każdy z żołnierzy, których zabiłam, upadł w taki sposób, by wyprowadzić cię z twojego świata i skierować do mnie. Może moje ciało robiło to bezwiednie, gdy zadawało ciosy szablą i strzelało. - Czy tak było? Maria miała wrażenie, że wszystkie jej kończyny są połączone cienkimi nitkami i wiatr może ją rozerwać. Skąd ma wiedzieć, czego pragną jej rozdzielone członki i co robią, gdy ona nie patrzy? - Ale nie jest tak źle, jak myślisz. Większość z tych żołnierzy to tylko tkanina napełniona odrobiną oddechu i naporstkiem krwi. Nikogo nie martwi, że są rozdzierani. Cóż, przynajmniej nikogo ważnego. Ale w przypadku niektórych, owszem, to jest potworne. Niektórzy byli żywi.

Maria westchnęła, gdy Iwan położył dłoń na jej biodrze. Nie słyszała, jak się do niej zbliżył. Nie była czujna. Jak on wyglądał, zanim wszedł do jej namiotu? Czy spadł z drzewa? Czy był wroną, gilem, wróblem? Nie. Nie on. Był mężczyzną, zarówno tam, jak i tutaj. Nie było w nim nic z ptaka. Iwan nie objął jej w pasie, nie był zaborczy. Po prostu ostrożnie oparł dłoń na krzywiźnie jej ciała. Jego bliskość ją przygniatała, jakby obejmowało ją słońce. Siła jego przyciągania szarpała ją za uszy, a jego oddech wykwitał na jej szyi. Zaczął mówić szeptem, niewidoczny i bliski jak duch, a ona początkowo nie rozumiała, dlaczego opowiada jej coś takiego. Ale dźwięk jego mowy, wibracje słów na dnie jej czaszki maszerowały jak

żołnierze, zajmując kolejne terytoria.

- Kiedy byłem mały, umarł mój dziadek. Matka była z nim bardzo blisko związana i przez rok codziennie odwiedzaliśmy jego grób. Ale byłem niespokojnym chłopcem, więc się od niej oddalałem. Jej smutek był zamkniętym domem, którego się bałem. Nauczyłem się czytać z nagrobków, wypowiadając na głos każdą literę kryjącą się w wysokiej trawie. Jeden napis zrobił na mnie szczególne wrażenie. Był mały, nie większy od szkolnego podręcznika. „Dorszma Wieliczko. 1891-1900”. A pod spodem: „Gdyż śmierć nie ma nad nią zwierzchnictwa”. Nie wiedziałem, co znaczy „zwierzchnictwo”, ale wciąż na nowo wyobrażałem sobie Dorszme, z czarnymi albo jasnymi włosami, wyższą albo niższą ode mnie. Z długim warkoczem albo krótką chłopięcą fryzurą. Była moją przyjaciółką i razem ze mną czytała nagrobki. Była wyniosła i pogardzała mną, ale i tak ją kochałem. Dyskretnie ujawniałem jej swoją lojalność albo deklarowałem miłość w głośnych pieśniach i obietnicach. Myślałem bez przerwy o niej i o tych słowach: „Śmierć nie ma nad nią zwierzchnictwa”. Aż pewnego dnia, gdy matka poszła zobaczyć się z dziadkiem, a ja z Dorszma, niedaleko jej grobu zobaczyłem staruszkę z brązowym szalem na głowie. Opadła jej jedna z pończoch. Staruszka umieściła stolik pomiędzy nagrobkami i ustawiała na nim jedzenie: pieczywo, marynaty, kluski, duże zielone winogrona, małe czekoladki i stary samowar pełen herbaty. Nakryła do stołu, jakby ktoś miał do niej dołączyć, ale nie jadła. Odwróciła się, jakby wiedziała, że tam jestem, i wyciągnęła do mnie rękę. „Jedz”, powiedziała. „Jedz”. Zawstydzilem się. W końcu jej nie znałem. „Proszę. Mój syn zginął na wojnie. Tylko jego miałam na tym świecie. To on tam leży. Witalij. Mój Witalij. Już nigdy go nie zobaczę. Noszę w sobie dziurę jak po kuli. Chcę nakarmić każdego, kto nie jest moim synem, by utrzymać was przy życiu. Nie chcę, by ktokolwiek inny nosił w sobie taką dziurę. Nie mam nikogo innego, dla kogo mogłabym być matką. Jedz, jedz. Tutaj masz bliny, mój słodki chłopczyku. A tutaj sernik. Jedz. Bądź grubiotki. Bądź żywy”. Więc jadłem, podczas gdy niebo zasnuwało się deszczowymi chmurami. Nigdy nie miałem w ustach niczego słodsze. Zostawiłem winogrona na grobie Dorszmy i nigdy tam nie wróciłem. Następnego dnia po tym, jak zjadłem chleb i ser od staruszki, moja matka zakończyła żałobę i zamiast na cmentarz zabrała mnie do parku. Nigdy nie wróciłem.

Maria zamknęła oczy. Pomyślała o chatce w ciemnym lesie, o uginającym się stole.

- Dlaczego mi to opowiadasz?

Iwan Nikołajewicz oparł głowę na jej włosach.

- Na tym cmentarzysku to ja chciałbym cię nakarmić, abyś nie musiała nosić w sobie dziur jak po kulach. Usiądź przy moim stole, Mario Moriewno. Pozwól, abym stał się dla

ciebie matką. Bądź gruba. Bądź żywa.

Maria się odwróciła. Zobaczyła młodego, ale nie bardzo młodego mężczyznę o szerokiej twarzy zaczerwienionej od słońca i ciemnozłotych włosach wyglądających jak moneta, która często przechodziła z rąk do rąk. Miał oczy w kolorze herbaty, a wokół nich zmarszczki, które nadawały mu serdeczny wygląd. Maria zacisnęła zęby, aby pokazać mu, że ona nie jest i nigdy nie będzie serdeczna.

Na rękę nosił czerwoną opaskę ze starego szalika zawiązanego na supeł jak chusta na lancy rycerza. Maria delikatnie dotknęła tej absurdalnej ozdoby opuszkami palców. Przez chwilę myślała, że ta stanie w płomieniach i raczej zniknie niż pozwoli się dotknąć. „Jestem osobą, ale nie z Ludu”. Jednakże opaska pozostała miękka i jaskrawa w jej dłoni.

- Jesteś taka twarda, Mario Moriewno. Mogłabyś mnie skaleczyć. Dlaczego jesteś taka twarda?

- Ponieważ wstąpiłam do armii i wszyscy moi przyjaciele zginęli.

Nagle wybuchła płaczem, po raz pierwszy od czasu tamtych okropnych nocnych zaślubin. Potem przez krótką chwilę odpoczywała wsparta rozpalonym czołem o pierś Iwana Nikołajewicza.

## Nieustający smutek umarłych

*Podczas Wielkiej Wojny Car Śmierci najbardziej zbliżył się do wygranej. Jego siła zawsze polegała na liczebności wojsk i na cierpliwości. Śmierć może sobie pozwolić na czekanie.*

*To właśnie w tamtych pozbawionych światła latach zabito Carycę Soli.*

*W Krainie Śmierci Wij obrastał w bogactwa. Jego skarbcze wypełniały się spalonym ziarnem i jabłkami, zagłodzonym bydłem i ziemniakami dotkniętymi zarazą. W kawiarniach umarłych gromadzili się klienci pijący rozlaną kawę i czytający zakazane książki. Dusze z ulgą wkraczały do krainy Wija, ponieważ tutaj nikt do nich nie strzelał, nie chorowały na czerwonkę, a ich przyjaciele nie cierpieli. Wij postarał się jak najbardziej upodobnić swoją krainę do świata żyjących. Nawet wybudował kina, w których na srebrnym ekranie wyświetlano obrazy nakręcone na wojennym froncie, żeby umarli byli wdzięczni, że nie muszą wracać do życia. Na tym polega nieustający smutek umarłych: że chociaż piją, jedzą i marzą tak samo jak dawniej, wiedzą, że są martwi, i rozpaczliwie pragną ponownie żyć, czuć krew krążącą w żyłach oraz pamiętać, kim byli. Mają krótką pamięć i z każdą kolejną myślą coraz bardziej tracą kontakt ze swoim poprzednim życiem, aż w końcu zaczynają snuć się z pustymi oczami jak cienie i wierzyć, że żyją naprawdę.*

*Wij postął swoich bojarów między ludzi, by ogłosić, że każdy, kto zgodzi się walczyć w jego armii, po zakończeniu służby zostanie odesłany do domu. Do domu, do Życia, do ognia, krwi i pracy. Wszyscy wiedzieli, że kłamie, lecz umarli mogą długo karmić się złudzeniami. Carowi Śmierci już nie wystarczało, że kukurydza usycha na łąkach, a ludzie powoli gniją toczeni chorobami. Chciał zaatakować źródło wszystkiego, czego nienawidził, Cara Życia. W końcu, dlaczego miałby żywić się popiołami z uczt żyjących? Czemu miałby się cieszyć mniejszym szacunkiem niż jego brat? Dlaczego Imperium Śmierci nie miałoby przewyższać potęgą wszystkich ziemskich państw?*

*I tak, kawałek po kawałku, rozdzielali ulice Bujanu. Każdego dnia terytorium Śmierci powiększało się o cal, a terytorium Życia kurczyło. Jednakże następnego dnia to Życie napierało, a Śmierć się wycofywała. Do armii Wija dołączali ludzie zabici na francuskim froncie i na niemieckich nizinach, a on sam także nie zamierzał trwać bezczynnie. Wędrówka ulicą Skorohodną przypominała niebezpieczny bieg przez szachownicę światła i ciemności.*

*Każdy kamień mógł należeć do wroga, a dotknięcie go palcem przyzywało psy. Wkrótce Bujan zmienił się w krainę tancerzy, którzy skakali, obracali się i czołgali, by pozostać we własnym kraju, a nie ześlizgnąć się na terytorium Wija, do czego wystarczyło jedno dotknięcie paznokcia albo kosmyka włosów.*

*W tamtych czasach Caryca Soli uznawała się za neutralną. Nie zamierzała się angażować. Zamartwiała się i płakała nad miastami w świecie ludzi, gdzie urządziła sobie dom, oglądała moralitety i bawiła się z gołębiami w swoim białym salonie. Ale nawet tam widać było ślady Krainy Śmierci: mężczyźni i kobiety padali martwi na ulicach, nieświadomie postawiwszy stopy w tym niewidocznym i bezdennym świecie. Caryca Soli broniła miast najlepiej jak potrafiła, pokrywając niewyczerpaną solą swojego ciała śnieżne otwory, przez które wlewała się Śmierć. Za każdym razem, gdy widziała, jak jakaś staruszka chwieje się i przewraca oczami, rzucała się, by złapać babuszkę, poczęstować ją solonym chlebem i postawić na nogi. Wkrótce Car Śmierci znenawidził ją jeszcze bardziej niż Cara Życia, dlatego posłał swoich bojarów z krokodylimi paszczami i skrzydłami z pobrzękującymi noży, by pocięli ją na kawałki i rozrzućli je po całej Rosji, żeby nigdy nie wróciła do sił.*

*Nie jest łatwo zabić carycę, ale Wij nie cofał się przed niczym, a jego bojarzy poćwiartowali ją, po czym zrzucili jej kryształową solniczkę z dużej wysokości, tak że się rozbiła. Bez niej miasta zaczęły głodować i masowo dołączać do krainy Wija, nie tylko dusze, ale także opery rozbite pociskami, mieszkania wysadzone w powietrze i fabryki spalone benzyną.*

*Powiada się, że Wij, chcąc ostatecznie uciszyć Carycę Soli, ożenił się z jej lewą ręką, która spoczywa z palcami sztywnymi ze smutku i wściekłości na tronie z kosteczek w samym sercu Krainy Śmierci.*

- Teraz rozumiesz? - Maria uniosła wzrok znad czarnej księgi wdowy Licho i z naciskiem popatrzyła na Iwana, szukając w nim oznak niedowierzania. Gdyby je odnalazła, nie mogłaby go pokochać. Wariatka. Jesteś wariatką. Jak możesz tak mówić? Milcząc, pragnęła, by jej nie uwierzył, gdyż wtedy wszystko byłoby prostsze.

- Kościej jest Carem Życia, a ty jego żoną. Dlatego dowodzisz jego wojskiem.

- Tak, ale powinieneś się skupić na fragmencie dotyczącym otworów prowadzących do krainy Wija. Jeśli mam cię zabrać do domu, musisz mnie słuchać i robić dokładnie to, co ci każe.

Iwan ją pocałował. Nie przeżyję tego, pomyślała Maria. Dlaczego mężczyźni pukają do moich drzwi? Dlaczego zdejmują czapki, patrzą na mnie wielkimi sarnimi oczami i

obnażają szyje? Gdyby zostali w domu i zachowali te spojrzenia dla swoich kuchennych stołów, może miałabym odrobinę spokoju.

- Musimy przekroczyć krainę Wija, by wrócić do Bujanu. To niedaleko, ale musisz stawiać kroki tam gdzie ja, oddychać tak jak ja, i mówić tylko wtedy, gdy ja się odzywam. Walka toczy się o każdy skrawek ziemi. Jeśli podniesiesz liść leżący w lesie, okaże się, że ma on żywą i martwą stronę. Możesz zobaczyć ludzi, których kiedyś znałeś i kochałeś. Nie wolno ci z nimi rozmawiać, w przeciwnym razie przyciągną cię do siebie i już nigdy nie wypuszczą. Nie możesz nawet na nich patrzeć. Jeśli będą mieli na piersi srebrzystą plamę, musisz odwrócić twarz.

- A co z moim obozem? Będą się o mnie martwili. Uznają mnie za zaginionego albo zmarłego.

Maria posłała mu druzgocące spojrzenie. Nic jej nie obchodził jego marny obóz. Leningrad znajduje się wystarczająco daleko. Wojna jeszcze tam nie dotarła. Na pewno jest tam pięknie, właśnie kwitną lipy. Skrzypkowie grają coś słodkiego i nostalgicznego w kawiarni, którą Maria ledwie pamięta. Mogłaby to przerwać. Po prostu się zatrzymać i zasnąć. Zabierz mnie od tej wojny, człowieku. Dlaczego tak się grzebiesz?

- Kiedy byłam na twoim miejscu, Kościej po prostu powiedział: „Zabierz swoje rzeczy i chodź ze mną”, a ja nie robiłam z tego takiego problemu.

Iwan lekko poblądł i zakaszłał.

- Cóż, Mario, jeśli dzisiaj ktoś tak do ciebie mówi, nie jest to uznawane za miłe. Zazwyczaj... zazwyczaj oznacza to „idziesz do mojego obozu”.

- Zatem powinienes być szczęśliwy, że opuściłeś swój obóz, skoro to takie okropne miejsce.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, Mario, a pójdę z tobą wszędzie.

Tak zrobiła. Czuła się podobnie jak wtedy, gdy wypaliła ze strzelby i patrzyła na Żar-Ptaka spadającego z nieba. Kim bym się stała, gdybym nigdy nie zobaczyła ptaków? - pomyślała, gdy usta Iwana rozgrzewały jej wargi. Gdybym nigdy nie zachorowała od magii? Czy pokochałabym takiego mężczyznę, prostego, swobodnego i młodego?

\* \* \*

Po dziesięciu latach Maria Moriewna zaczęła dostrzegać ślady Krainy Śmierci. Odciskała ona swoje piętno, niczym pieczęć urzędnika celnego, na każdej części świata, której dotykała. Czasami taki ślad wyglądał jak cień naznaczony srebrnymi punkcikami podobnymi do gwiazd. Czasami przypominał fale odbite na spodzie molo. Czasami, gdy Maria musiała przechodzić przez twierdze wroga, wyglądał jak cesarska pieczęć z

trzygłowym niedźwiedziem wściekle unoszącym sześć łap. Zawsze jednak lepiej było odwracać wzrok i patrzeć tylko na Krainę Życia, która wiła się cienką ścieżką przez terytorium Wija, zwracać uwagę na ślady Bujanu przypominające słaby blask zimowego słońca, na zapachy roślinności i pieczonych potraw.

- Mario - syknął Iwan, gdy wędrowali w stronę jej domu i męża. - Ktoś za nami idzie.

- Mówiłam, żebyś się nie odzywał. Oni... oni ciągle za mną chodzą, Iwanie. Ciągle.

Nie musiała się odwracać. Z pewnością się do niej uśmiechali, ich oczy lśniły nadzieją jak gazowe lampy, a srebrzyste piersi płonęły jak ogień. Człowieczek z głową przypominającą kamień, dziewczyna z lunetą karabinu w miejscu oka oraz dama z łabędzimi piórami we włosach. Bez przerwy. Czują perfumy Liebiedewej, fiołki i wodę pomarańczową.

- Mówiłam ci. Możesz zobaczyć ludzi, których kiedyś kochałeś. Nie wolno ci z nimi rozmawiać, w przeciwnym razie przyciągną cię do siebie i nigdy nie wypuszczą. To by było jak skok na obie nogi do Krainy Śmierci. Mnie też nie wolno z nimi rozmawiać. - Marii kręciło się w głowie. Nigdy nie opowiadała o swoich zmarłych przyjaciółach, o tym, że ją prześladowają i wciąż jej pragną. Kościej nie potrafił jej współczuć. „Kocham cię. Nie umarłem. Czy to nie wystarczy? Nie możesz zaprzyjaźnić się z jakąś inną duszą w Bujanie?”. - Nie mogę ich dotknąć. Nikt nie twierdzi, że wojskowa służba jest łatwa.

Maria prześliznęła się prawą stopą po trzech dużych płaskich kamieniach. Następnie przeniosła nad nimi lewą stopę i złączyła nogi. Iwan ją naśladował. Kroczyła ścieżką, którą знаła, stawiając nogi tylko na co siódmej piaszczystej łacie i na co trzecim opadłym liściu. Położyła się na brzuchu, żeby prześlizgnąć się pod starym zagrzebionym pniem, zamiast przechodzić górą. Nie oglądała się ani nie spoglądała na boki. Poruszała się jak wąż i ostrożnie wypuszczała z płuc tylko co drugi oddech. Jednakże w końcu dotarli do miejsca, którego Maria się obawiała, gdzie żadne cienie, fale ani pieczęcie nie znaczyły bezpiecznego szlaku. Był tylko czarny obszar w górach, całkowicie pozbawiony światła. W oddali, niczym na obrazie, wieczorne wzgórza ponownie się rozstępowały, fioletowe od mgły i ostatnich łyżeczek słonecznego blasku. Maria Moriewna sięgnęła za siebie. Gdy Iwan mocno ujął jej dłoń, poczuła jego strach jak pot. Dodało jej to siły; potrafiła być odważna za nich oboje. Razem wkroczyli na czarne pole.

Ich kroki odbijały się echem, jakby szli niewidzialną ulicą, mimo że pod stopami czuli tylko miękką glinę. Obok nich rozlegały się urywki dźwięków: szorstkie knajpiane śmiechy, trzask rozbijanych ciężkich przedmiotów, garnków i drewna, szybkie melodie wygrywane na skrzypkach. Oczy Marii rozszerzyły się w ciemności. „Jestem bezpieczna”, powtarzała w myślach. „Znam przejście. Zawsze znam przejście. Nie sięgną po mnie”.



- Iwanie Nikołajewiczu - rozległ się cichy głos, pełen radosnego zaskoczenia.

- Nie odwracaj głowy - syknęła Maria. - Idź dalej. Trzymaj się blisko mnie.

- Iwanie Nikołajewiczu, to ja! - ponownie zabrzmiał głos.

- Jeśli spojrzysz, umrzesz i nigdy więcej mnie nie pocałujesz, nie zapalisz papierosa ani nie skosztujesz masła - ostrzegła Maria przez zaciśnięte zęby. Od tego zaciskania rozboleła ją szczęka, a każda część jej ciała była przykurczona i napięta.

- Iwanuszek, to ja, Dorszma. Chodź i przytul mnie wreszcie!

Maria poczuła, że Iwan się obraca i ciągnie ją za sobą.

Głos należał do młodej dziewczyny ze staroświecko zaplecionymi bladymi warkoczami, które przypominały dwie łzy zwieszające się z głowy. Dziewczyna miała na sobie koronkową sukienkę, a jej uśmiech wyglądał jak na fotografii: był nieskazitelny, wyćwiczony, nieruchomy. Wyciągnęła rękę.

- Och, Iwanuszek, tak długo czekałam! Jaki byłeś lojalny nad moim grobem. Jakie słodkie były winogrona, które mi zostawiłeś! Iwanie, podejdź i pocałuj mnie! Marzyłam o tym, że mnie całujesz, gdy robaki pukały do mojej trumny.

Szeroka twarz Iwana rozpromieniła się jak latarnia.

- Dorszma! Och, więc jednak jesteś blondynką! I jesteś taka serdeczna.

- Bardzo serdeczna! - zgodziła się srebrzysta dziewczyna, a jej warkocze podskoczyły, gdy pokiwała głową. - Wszyscy tutaj tak mówią. Zawsze dzielę się popiołami!

Iwan Nikołajewicz lekko się cofnął. Maria usiłowała go odciągnąć, ale był potężny, uparty, i zamierzał doprowadzić to do końca. „Tym głupiej z twojej strony”. Maria się poddała. „Ostrzegałam cię”.

- Co masz na myśli? - spytał niepewnie.

Dorszma Wieliczko wyjęła papierosa z szarfy na sukience i włożyła go do ust. Był wypalony. Pozostała z niego tylko długa kolumna popiołu. Ale dziewczyna z radością się zaciągnęła i popiół powoli zbiegał, aż w końcu trzymała w zębach całego papierosa. Wyciągnęła go w stronę Iwana.

- Teraz możesz zapalić. Wiem, że je lubisz. Zachowałam go dla ciebie.

- Ani się waż - burknęła Maria.

Iwan nie sięgnął po papierosa. Dorszma wzruszyła ramionami, po czym upuściła go i zgmiotła delikatną stopą.

- Mnie się do niczego nie przyda. Cały zużyty. Ale ty nie jesteś zużyty, Iwanie! Jesteś taki ciepły i jasny, że z trudem na ciebie patrzę! Pękaty i pełen soków, otóż to! Jak zielone winogrono! Chodź i dziel ze mną łożę, jak zawsze pragnąłeś. Dobrze wiem, że tego chciałeś,

nawet wtedy, ty paskudo.

Iwan bacznie się jej przypatrywał. Jego dłoń trzymana przez Marię sflaczała i zaczął płynąć w stronę dziewczyny jak woda przelewająca się z jednej szklanki do drugiej.

- Dorszmo - odezwała się Maria, nie podnosząc głosu. Miała nadzieję, że Iwan sam okaże się wystarczająco silny i nie będzie musiała korzystać ze swojej władzy, ale w razie czego była gotowa jej użyć. - On jest pod moją ochroną.

Dziewczyna w koronkowej sukience na chwilę przeniosła wzrok z Iwana na Marię.

- Obawiam się, że twoja ochrona nie rozciąga się na zabawki, mała caryco. Pozwól mi go zabrać. Do rana przewiezie mnie do Gruzji i z powrotem. Będzie krwawił pod moimi ostrogami. Potem możesz go sobie wziąć.

Maria sięgnęła po białą, kunsztownie rzeźbioną strzelbę, którą nosiła na plecach. Uwielbiała ją. Nie było drugiej takiej na całym świecie. Dawno temu znalazła ją w domu Nagani. Gwintowniczką wyciosała ją z kości Żar-Ptaka, którego razem zabiły podczas ich ostatniego wspólnego polowania, i zamierzała dać ją przyjaciółce w prezencie ślubnym. Maria Moriewna wymierzyła w ducha i ustawiła celownik.

- Nie rób tego! - krzyknął Iwan.

- Och! - westchnęła Dorszma. - Jest taka piękna! Wciąż widzę płomienie! Mario Moriewno, nie masz prawa nosić takiej broni! Daj mi ją! Widzisz, ptak otwiera dziób na mój widok; chce należeć do mnie!

Maria wystrzeliła. Jeden z warkoczy w kształcie łez spadł na ziemię.

- Nienawidzę cię. - Dorszma splunęła. - Ja miałam go pierwsza. To niesprawiedliwe!

Z nasady warkocza sączyła się krew, żółtawa i gęsta. Nagle duch zaskrzeczał ze złością, gdy bryła czarnej, mokrej ziemi uderzyła go między oczy. Iwan okręcił się na pięcie, żeby sprawdzić, kto ją rzucił.

- Nie patrz, Iwanie! Mówiłam ci, żebyś był posłuszny! Nie wolno ci na nich patrzeć! - Ale, nie chcąc, by zgubił się w ciemności, także musiała się obejrzeć, a wtedy zobaczyła, jak człowieczek z brodą z jasnego, zmrożonego mchu, o rękach jak popękane kamienie, podnosi kolejną garść błota i waży je w dłoni. Na piersi miał srebrną plamę. Tylko raz zerknął na Marię, a wtedy duże łzy napłynęły mu do oczu, po czym spadły jak deszcz.

- Uciekaj, Iwanie - wyszeptała Maria.

Posłuchał jej. Ciemnością za ich plecami wstrząsnął spazm smutku.

\* \* \*

Gdy wydostali się na światło, Maria przyciągnęła Iwana do siebie, trzykrotnie się obróciła, położyła palec na jego nosie i zniknęła.

## Ból w miejscu po mojej śmierci

- Jesteśmy w domu - westchnęła Maria. - Oto mój dom.

Iwan pobladł i zadrżał pomimo długiego szarego płaszcza. Patrzył na bulgoczące fontanny tryskające krwią, na warkocze zwieszające się z okapów, na kaplice z drzwiami ze skóry i krzyżami z kości, na bramę z poroża i czaszek. Patrzył na mroczne kopuły Czarnoświatła, które wznosiły się przed nimi, pogrążone w cieniu.

- To piekło - szepnął, a Maria zobaczyła, że poruszył ręką, gotów się przeżegnać, ale powstrzymał się przez wzgląd na nią. Spodobało się jej, że pomimo przerażenia chce ją zadowolić.

- Nie, nie, to nie tak. Jesteśmy w Krainie Życia. Tutaj wszystko żyje, rozumiesz? Krew, skóra, kości i futro. Wszystko żyje. Nic tutaj nie jest martwe. To piękne.

Iwan tylko pokręcił złotą głową.

- W Leningradzie przynajmniej budujemy *na* kościach.

Maria Moriewna się roześmiała. Miała ochotę odgarnąć mu włosy z oczu.

- Oczywiście, że jesteś z Leningradu. - Pokusa nie byłaby prawdziwa, gdyby pochodził z Moskwy, Mińska albo Irkucka. Tylko chłopiec z jej rodzinnych stron mógł przyjść ze starym czerwonym szalikiem i podrażnić jej serce. Stworzony specjalnie dla niej, jak idealna maszyna.

- Nie chcę tutaj zostać! - wykrzyknął. - To kraina diabła!

- Oczywiście, że tak - usłyszeli donośny głos, który Maria знаła dobrze jak własne łóżko. - Powinieneś natychmiast wracać do domu.

Kościej Nieśmiertelny porwał Marię w ramiona. Na jej twarzy pojawił się uśmiech - szczery, swobodny, beztroski i jasny jak zima. Pocałowała go, a ich ciała tak silnie się zespoliły, że na złączone usta natychmiast wypłynęły kropelki krwi.

- Przyprowadziłaś zabawkę? - spytał z zaciekawieniem Kościej, stawiając żonę na ziemi. Jego długa czarna sutanna powiewała na silnym bujańskim wietrze. - Ja też mogę się nim pobawić?

Maria uważnie obserwowała jego twarz. Jeśli dobrze to rozegra i zapanuje nad sytuacją, nikt nie ucierpi.

- Odnalazł mnie w Irkucku po bitwie. Pochodzi z Leningradu.

Kościej Nieśmiertelny uśmiechnął się szeroko. Jego czarne włosy lekko uniosły się na wietrze.

- Och, moja Maria dorosła i zaczęła porywać ludzi! Jestem z ciebie dumny.

- To nie tak. - Ale czy na pewno? Czyż nie pojawiła się przed nim znikąd jak ptasi mąż i nie wyciągnęła go ze świata?

Kościej odwrócił się w stronę młodego oficera.

- A jak tobie się wydaje, młody człowieku? Jak było naprawdę?

Iwan wyglądał na wytrąconego z równowagi. Nie mógł przestać wpatrywać się w fontannę krwi, zafascynowany tym, że słońce zmienia jej kolor na niemal czarny.

- Czy to niemowa? Ma jakieś imię?

Maria spieszyła się i spuściła wzrok. Nie potrafiła odpowiedzieć, nie mogła się zmusić, żeby wypowiedzieć to imię w obecności męża. Ale on odgadł prawdę. Zobaczył, jak uwięzło w jej ustach niczym haczyk na ryby. Byli małżeństwem od dawna. W czarnych oczach Kościeja zapłonęła wściekłość; podobnie jak Maria, mocno zacisnął zęby. Jesteśmy jak lustra ustawione naprzeciw siebie, odbijające pragnienie.

- Nie zrobiłabyś mi tego, prawda, Maszo? Powiedz, że ma na imię Dimitrij Grigorowicz. Powiedz, że to Leonid Bieljajew. Powiedz, że ma na imię Priap i nie mogłaś mu się oprzeć. Moja żona nie sprowadziłaby do domu Iwana; nie wbiłaby mi ostrza w szyję.

- Myślałam, że nie obowiązują nas żadne zasady - odrzekła Maria cicho, nieco zażenowana, że musi o tym rozmawiać w towarzystwie młodzieńca, który nie jest częścią ich małżeństwa i nie powinien słuchać o ich osobistych ustaleniach.

Kościej dwukrotnie mrugnął i przestał się garbić z niezadowoleniem.

- Oczywiście masz rację, żono. Zapomniałem się. W końcu, czym jest imię? Niczym i nikim. Jestem starym głupcem. - Uśmiech zastygł na jego idealnej twarzy o młodzieńczych rysach i oczach, wokół których nie było ani śladu zmarszczek. Kościej wciąż był tym samym mężczyzną, który pojawił się na progu domu Marii z gwiazdami we włosach. - Zaproś swojego przyjaciela na kolację, a wtedy omówimy dalsze plany wojenne.

Car Życia obrócił się na błyszczącym czarnym obcasie i ruszył w stronę pałacu.

- Och, tylko uważajcie, żeby nie chodzić prawą stroną ulicy - rzucił przez ramię. - Straciliśmy ją, kiedy cię nie było.

Maria zakryła usta dłonią. Niczego nie zauważyła. Jak mogła to przeoczyć? Wzdłuż ulicy Skorohodnej ciągnął się długi czarny pas. W ciemności srebrne punkciki świeciły jak gwiazdy.

\* \* \*

Kościęj sam podał do stołu: bażant na czarnym półmisku, brylantowe kielichy z bezbarwnym winem, dwa bochenki chleba, jeden ciemny i jeden jasny, gruszki gotowane w aromatycznym sosie, którego Maria nie знаła. Przed Iwanem piętrzyła się góra lśniącego masła, w którą wbito złoty nożyk. Maria miała na sobie długą czarną suknię z dopasowaną górą z jedwabiu, o głębokim dekolcie ozdobionym połyskującymi klejnotami. Kościęj lubił ją wyjątkowo, a Maria chciała go udobruchać. „Wyglądasz jak zimowa noc” - powiedział, gdy wręczył jej suknię w prezencie. „Mógłbym spać w twoim chłodzie”. Starła się nie patrzeć na żadnego z mężczyzn.

- Jedz - odezwał się Kościęj bezbarwnym głosem. - Będziesz potrzebował sił w drodze powrotnej.

Iwan złożył dłonie na kolanach.

- Chyba... chyba nie powinienem kosztować waszego jedzenia, towarzyszu - powiedział niepewnie.

Kościęj uśmiechnął się szyderczo.

- Dlaczego? Już ucztwołeś przy moim stole, posmakowałeś mojej żony. Czuć to od was obojga, jak zapach perfum, tak słodkich, że aż mdlą.

Maria odłożyła widelec.

- Czemu to robisz, Kościęju? Przecież już miewałam kochanków. Ty także. Pamiętasz Marinę? Tamtą rusałkę? Pływałyśmy razem każdego ranka. Goniliśmy łososie. Nazywałeś nas swoimi małymi rekinami.

Car Życia tak mocno ścisnął nóż, że kłykcie wybrzuszyły się pod skórą jego dłoni.

- Czy któryś z nich miał na imię Iwan? Czy to byli ludzie, młodzi chłopcy, lepcy od niewinności? Znam cię. Znam cię, ponieważ jesteś taka jak ja, pasujemy do siebie jak dwie ułożone łyżeczki. - Nachylił się w stronę żony, a blask świec załśnił na jego ciemnych, potarganych włosach. - Kiedy ich porywasz, stają się znacznie ważniejsi, Maruszo. Zaufaj mi, wiem coś o tym. Co zrobiłem źle? Czy cię znudziłem? Ignorowałem? Czy nie podarowałem ci wielu pięknych sukni? Szmaragdów? Jestem pewien, że gdzieś mam ich więcej.

Maria uniosła dłoń i położyła ją na policzku męża. W mgnieniu oka wbiła mu paznokcie głęboko w twarz.

- Nie waż się tak do mnie mówić. Przez lata nie nosiłam niczego poza krwią i śmiercią. Toczyłam za ciebie wszystkie bitwy, tak jak mnie prosiłeś. Nauczyłam się wszystkich sztuczek, które uznałeś za konieczne. Nauczyłam się nie płakać, gdy duszę ludzi. Nauczyłam się kłaść palec na nosie i zniknąć. Nauczyłam się patrzeć, jak wszystko umiera. Już

nie jestem małą dziewczynką oszołomioną przez twoje czary. Teraz to także moje czary. A skoro patrzyłam, jak umierają moi żołnierze, skoro ocalałam tylko dzięki strzelbie i własnym dłoniom, skoro przez ostatnie tygodnie wypilałam więcej krwi niż wody, to mam prawo wziąć chłopca, który zabłąkał się do mojego namiotu, i trzymać go między nogami dopóki nie przestanę krzyczeć, a ty nie możesz mnie za to karać. Czyż nie jesteśmy czartami? Diabłami? Nie mam zamiaru słuchać, jaką karę dla mnie przygotowałeś, starcze.

Kościej chwycił ją za nadgarstek i pociągnął na swoje kolana. Zabrzęczały naczynia, gruszki spadły na podłogę. Zadrapał ją paznokciami, aż na jej dłoni pojawiła się krew, a wtedy scałował ją z kciuka i palca wskazującego, płamiąc sobie brodę na czerwono.

- Ależ ja cię uwielbiam, Mario. Widzę, że doskonale wybrałem. Dalej, besztaj mnie i mi się sprzeciwiaj. Mów, czego pragniesz, i przeklinaj mnie na zawsze. Tylko mnie nie opuszczaj.

Maria przyglądała się jego twarzy, tak uroczej, niezmiennej, niezdolnej do zmiany Iwan wyciągnął do niej rękę pod stołem, ale całkowicie o nim zapomniała. Jego palce były jej równie obojętne jak dotyk złożonej serwetki. Kościej górował nad nią, spowity cieniami. Wypełniał ją, wypełniał cały jej świat, jak księżyc przesłaniający światło gwiazd. Wpłótł palce w jego włosy przypominające baranie runo.

- Zabierz moją śmierć - poprosiła. - Odetnij ją, pokrój, zamknij w oku kaczuki. Postaw na straży cztery psy. Upodobnij mnie do siebie, jakbyśmy byli dwiema łyżeczkami. Wtedy cię nie opuszczę.

Kościej delikatnie odsunął dłoń Marii od ust i położył na jej kolanach.

- Czyż nie byłoby lepiej, gdyby twoja wojowniczką była nieśmiertelna tak jak ty? Żaden traktat nie czyni mnie bezpieczną. Strach Wija przed tobą nie stanowi prawdziwej osłony. Przez większość roku jestem naga i daleko od ciebie. Otwórz moje kości i wybierz z nich śmierć. Pogrzeb ją w środku ziemi. Zasluguję na tak wiele. Wiesz, na co zasługuję.

- Już mnie o to prosiłaś. Nie mogę.

- Odebrałaś mi wolę.

- Na tym polega uwiedzenie. Na ofiarowaniu drugiej osobie swojej woli przewiązanej kokardą. Pytanie tylko, kto daje, a kto bierze. Ja wziąłem jako pierwszy, ty zrobisz to jako ostatnia. Znam się na tych grach lepiej od ciebie, ale każdy uczeń pomnaża swój talent. Nie możesz mi ofiarować swojej śmierci, otwierając śliczne usta i smakując kawior. A ja jej nie przyjmę.

- Mimo to, domagasz się ode mnie lojalności, całego serca, szpiku.

- One należą do mnie. Nic nie rozumiesz, Maszo. Nigdy nie rozumiałaś. Jesteś moim

skarbem, moim całym złotem, sercem mojego serca. Tkwisz w samym środku mojej istoty i podgryzasz moje korzenie. Ale nie jesteś jedną z nas. Niezależnie od tego, jak bardzo się do nas upodobnisz. Nie byłeś z nami, gdy świat był młody i łatwowierny. Gdy na niebie świeciła tylko jedna gwiazda. Nie wiesz tego co my. Nie jesteś zbudowana tak jak my. Owszem, wiele się nauczyłaś i jestem z ciebie dumny. Ale... - Kościej położył dłoń na czarnym jedwabiu zakrywającym jej mostek. - Wciąż składasz się z mięsa, chrząstek i kości.

Poszukała wzrokiem jego oczu, pozbawionych głębi i bezkresnych. Mimo wszystko tak bardzo go kochała! Był źródłem tej gorącej, cudownej magii, która wpędzała ją w chorobę i którą wlewał w nią jak wino.

- A ty z czego się składasz? - spytała, czując, że gorycz i gniew ustępują. „Może uda mi się jeszcze przez chwilę wytrzymać dla ciebie tę wojnę. Jeśli zatrzymam przy sobie ciebie i Iwana. Żadnych zasad, nigdy”.

- Nie z mięsa - odrzekł Kościej delikatnie. - A nawet nie z krwi. - Ponownie ujął ją za palce i przesunął nimi po swoich ustach, pozostawiając na nich krwawe smugi. - Dla ciebie przyozdabiam się krwią jak kosmetykami, zakładam tę twarz oraz smukłe i giętkie ciało. Wszystko po to, by cię zadowolić, moja ludzka dziewczyno, moja *wolczico*. Nie wiedziałaś o tym? Nie odgadłaś? Ale to na nic, Maszo. Nosisz swoją śmierć w każdej komórce ciała. Jego każda drobinka umiera, cały czas, w każdej sekundzie. Jak mógłbym ci to odebrać? Moja śmierć nie jest tak rozproszona. Jest jedyna, ty masz ich miliony. Nawet moja ukochana siostra Jaga, którą tak dobrze znasz, nie prosiła, żebym zabrał jej śmierć. Wiesz dlaczego?

Maria Moriewna milczała. Kurczowo uchwyciła się jednej myśli: „Jak wyglądasz bez twarzy? Kim jesteś, mężu? W końcu cię zobaczę. Zobaczę”.

- Ponieważ wie, w jaki sposób zrobiłem to sobie. Nie podejrzewałaś jej o taką delikatność. Ale byliśmy wtedy tacy młodzi, a między braćmi i siostrami istnieje szczególne porozumienie. Łączy ich wspólna historia. Nie powiem ci, ukochana. Znam cię, więc podejrzewam, że mogłabyś spróbować, tylko po to, by mi pokazać, że potrafisz. Mogę tylko zdradzić, że to było jak twoje przybycie tutaj ze mną, jakby wilk pożerał moją wątrobę każdego dnia przez tysiąc lat, jakby ktoś powoli dusił się od gazu w kolorze żółtaczk, jak umieranie w każdej sekundzie, by na zawsze uniknąć umierania. Wciąż pozostaje we mnie puste miejsce po mojej śmierci, Maszo. Czuję w nim ból, tak jak niektórzy ludzie czują swoje nogi na długo po tym, jak zostały odcięte w kolanach. To mój ból i nie mogę się nim podzielić. Nie chciałbym tego zrobić, nawet gdybym mógł. Zestarzeję się z tobą, jeśli to sprawi ci przyjemność. Dopasuję się do ciebie, każdą zmarszczką, każdym siwym włosem, każdym skrzypnięciem, każdym guzem. Będiesz taka piękna jako staruszka.

- Śmierć nie ma zwierzchnictwa - rzekł Iwan, a Maria i Kościej popatrzyli na niego, jakby pojawił się znikąd.

Maria była czujna jak kotka. To, czego najbardziej pragnęła, zawsze w pełni pochłaniało jej uwagę, tak że zapominała o całym świecie. A gdy tylko zafascynowało ją coś nowego, natychmiast skupiała na tym nieprzenikniony wzrok. Znała siebie i widziała, jak przez lata powoli zmienia się w kotkę, wilczycę, węża, wszystko, tylko nie dziewczynę. Usunęła swoją dziewczęcość jak śmierć. Obok niej siedział Iwan, który skrupulatnie unikał jedzenia chleba grubo posmarowanego masłem, czekając na jej względy i uznanie, ona jednak wiedziała, że natychmiast o nim zapomni, jeśli Kościej przyciągnie ją ku sobie jak mały księżyc, i czuła się rozdarta między oboma mężczyznami, między sercem człowieka i demona.

- Dobrze powiedziane - przyznał Kościej, pokrywając swoje słowa warstwą wielkoduszności. - Proszę, chłopcze, jedz. Obiecuję, że nikt się nie pojawi i nie zachichocze, że odtąd będziesz musiał tutaj spędzać sześć miesięcy w roku. Z pewnością masz ochotę na kawałek błyszczącego mięsa.

Iwan popatrzył na lśniące masło.

- Powiedzieliście, że to kraina diabła.

- Owszem. W takim razie ja zapewne jestem diabłem, a ona diabelską oblubienicą. Masz wielkie szczęście, że spotkałeś takich intrygujących ludzi.

Maria próbowała pomóc młodzieńcowi, wspominając własne trudne początki.

- On się tylko z tobą drażni, Iwanie.

Nagle Kościej warknął, obnażając ostre, dziwnie żółtawe i poczerniałe zęby. Rzucił o ścianę kielichem, który nie rozbił się, tylko z hukiem spadł na podłogę.

- Nie wypowiadaj tego imienia! - ryknął. - Nie w moim domu. Nazywaj go jakoś inaczej, jeśli już koniecznie musisz sprowadzać tutaj włóczęgów.

Maria wstała z jego kolan, a jej rozpuszczone włosy opadły ku jego twarzy jak smycz. Wiedziała, że i tak jej odmówi, ale już nie czuła z tego powodu bólu. Prawdę mówiąc, Maria nie czuła już niczego poza bezkresnym pragnieniem, które się w niej wiło i rozpaczliwie wyciągało ręce po Kościeja, wino, gęsie mięso, melony i rękojeść kościanej strzelby. To pragnienie mogło przetrwać każdą walkę na pięści lub strzelaninę. Było nieustępliwe jak wilk. Połknęło Iwana Nikołajewicza. Maria już nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się szczęśliwa bądź smutna. Znała tylko głód. Tylko pustkę, chciwość i nienasycenie. Zupełnie jakby nigdy nie pozbyła się tamtego skórzanego fartucha, czarnego futrzanego płaszcza i straszliwej czerwonej farby.



Kościej mocno zacisnął zimną pięść na jej dłoni.

- Nie opuszczaj mnie - powiedział żałośnie. - Żadnych zasad poza tą jedną. Nie opuszczaj mnie.

\* \* \*

Kościej Nieśmiertelny pozwolił Iwanowi spać w domu Marii. Lubił okazywać wielkoduszność. Lubił być wylewny, pod warunkiem, że ostatecznie nie musiał się z nikim dzielić. Dlatego Maria nie zdziwiła się, gdy chwycił ją za włosy i przyciągnął z powrotem do siebie, kiedy tylko złocista głowa Iwana zniknęła w głębi korytarza Czarnoświatła. Owinął sobie dłoń jej włosami i przesunął po nich kciukiem.

- Wszystkie moje onyksy, agaty i obsydiany. Wszystkie moje czarne skarby w tym jednym puklu - mruknął. - Ależ długie urosły ci włosy. Mogłabyś nimi kogoś udusić Maria wyszarpnęła ciężkie włosy z jego dłoni, po czym uniosła je i owinęła nimi szyję męża, przyciągając jego twarz do swojej. Kościej pachniał jak jęczmień i stare drzewa. A może pachniał tak tylko po to, by zrobić jej przyjemność? Maria Moriewna zadrżała w jego ramionach, a on przycisnął czoło do jej czoła, zamykając powieki o długich rzęsach.

- Powinnaś z nim odejść, gdy o to poprosi - wyszeptał szorstkim głosem. - Powinnaś odejść, urodzić mu dzieci, całować je, gdy się zrania, i nauczyć je czytać.

- Nie mówisz tego poważnie. - Powietrze między nimi było gęste i węzłowate.

- Masz rację. - Odepchnął ją od czarnego stołu pod długą, szeroką ścianę w całości pokrytą srebrnymi gobelinami przedstawiającymi pawie, jabłka i archanioły o długich zębach. Z oczek na ogonie jednego z pawi zwieszały się długie łańcuchy. - Nie mówię tego poważnie. Zostań ze mną na zawsze, aż do śmierci, a gdy umrzesz, zachowam twoje kości i będę je tulił do piersi. - Podniósł jej rękę i przypiął do łańcucha. Maria знаła te więzy. Należały do niej i sama je ujarzmiła. Chciała spokojnie do niego przemówić, ale serce podskoczyło jej w piersi, gdy szcęknęły zamki. W końcu odzyskała oddech i schyliła głowę, żeby odszukać spojrzenie męża.

- Kościeju, to ja. Twoja Masza, twoja Marusza. Po co mi jakieś ranne dzieci?

Przymocował jej drugą rękę do łańcucha wystającego ze srebrnej tkaniny i Maria zawisła bezbronna. Kościej już wielokrotnie przykuwał ją do ściany, tym razem jednak Masza poczuła przypływ krwi i pragnienia, i wiedziała, że wcale nie jest bezsilna. Widziała strach wypisany na każdej znajomej krzywiznie jego twarzy.

- Ale jeśli z nim odejdziesz, nie będziesz bezpieczna. Wuj nie będzie wiecznie respektował naszych traktatów. Porozumienie, które zawarliśmy, ma cię zachować przy życiu, ale nie gwarantuje, że będziesz szczęśliwa, cała i zdrowa, a ci, których kochasz, nie

muszą się niczego obawiać. Negocjowałem tylko w twoim imieniu. Jeśli mnie opuścisz, on pewnego dnia przyjdzie po ciebie ze srebrnymi nożycami, a wtedy upadniesz. Gdyby nie był tchórzem i nie musiał być mi posłuszny, już dawno by to zrobił.

- Nie musisz mnie odsyłać dla mojego własnego dobra jak dziecko. Wybrałam walkę i nadal nie zmieniłam zdania. - Jednakże, mówiąc te słowa, Maria Moriewna zrozumiała, że kłamie. Chciała, żeby nastął koniec wojny. Koniec zimna, ciemności i srebrzystej śmierci pokrywającej połowę ulicy.

Kościej podszedł do szafy i wyjął z niej długą brzożową gałązkę, białą i cienką.

- Zamierzałem dać ci życie pełne chciwości i obfitości - powiedział, przesuując gałązkę po jej piersiach. - Chciałem, żebyś pozostała niewinna, abym zawsze mógł się żywić twoją czystością, na każde śniadanie i kolację. Możesz znów taka być. To nieprawda, co powiadają, że niewinności nie da się odzyskać. Da się. Po prostu większości ludzi szkoda na to zachodu. - Kościej Nieśmiertelny zaczeplił palcami o lśniący dekolt jej sukni i rozdarł ją aż do rąbka. Malutkie klejnoty zagrzechotały o podłogę. Maria zamknęła oczy, a jej ciało, które zmieniło się w ciało małego pasiastego zwierzątka, wygięło się w stronę męża, zdesperowane i wygłodzone. Właśnie to ją tutaj trzymało. Żywą i płonąca. Po zakończeniu walki ta ściana, ten mężczyzna i te łańcuchy ponownie rozbudzały jej serce.

- Powinnaś z nim odejść. Myślę, że dziś o to poprosi. Ja bym tak zrobił. Nie bez powodu one wszystkie zostawiają mnie dla Iwanów. Nigdy nie będę Iwanem. Nie będę turlał się z nimi na słońcu jak bezmyślny złoty psiak. Jestem na to za stary, na ciepło i prostotę. Płonę, zamarzam; nigdy nie jestem ciepły. Jestem sztywny; zapomniałem o miękkości, ponieważ mi nie służyła. - Uderzył gałązką w jej piersi, a Maria wrzasnęła. Poczula, że na jej skórze wykwita szkarłatna opuchnięta pręga towarzysząca bólowi przypominającemu płynny ogień. Tak, wciąż żyję, pomyślała. - Kiedy mówię „na zawsze” - szepnął Kościej - mam na myśli „aż do czarnej śmierci świata”. Iwan to chwila obecna, ulotne światło na zielonym polu, usta na twoich ustach. Jest tylko przedłużeniem tej chwili. Ale wieczność nie jest jasna. Jest zimna, twarda i ostateczna. - Uderzył ją ponownie, tym razem w brzuch, a ona się uśmiechnęła, wyginając plecy, by przyjąć następny cios na biodro, czując gwałtowny, nieznośny ból. Przez chwilę pamiętała, jak to jest być szczęśliwą i smutną, pamiętała rozkosz kawioru i marynowanych melonów, noc w łaźni, gdy była bardzo chora. Kościej raz za razem chłostał ją gałązką po brzuchu, aż zrozumiała. Ten brzuch, który może dać dzieci Iwanowi, ale nie jemu, odróżnia ją od niego, czyni ją człowiekiem, a nie czartem.

Łzy popłynęły po twarzy Marii Moriewny. Spróbowała złapać oddech, a gdy jej się udało, uspokoiła go. Wtedy Kościej przerwał, zwieszając głowę jak stary wilk.

- Kościeju, Kościeju - wyszeptwała. - Czym bym była, gdybym nigdy nie ujrzała ptaków? Jestem nikim, niczym. Jestem pustą kartką, na której ty i twoja magia opisaliście dziewczynę. Taką, jakiej pragnąłeś, głodną, zranioną i potrzebującą. Maszynką do kochania. Nie ma we mnie niczego, co nie zostałoby stworzone przez ciebie. Miałam sześć lat, gdy przyleciał gawron. Sześć! Ukształtowałeś w swoich dłoniach całe moje życie. Na kogo mogłabym wyrosnąć? Na jaką kobietę, na jaką prostą, szczęśliwą istotę? Gdybym nigdy nie została złamana na ptasim skrzydle. Gdybym nigdy nie ujrzała obnażonego świata. Chcę znów być sobą. Chcę mieć sześć lat. Chcę nie wiedzieć wszystkiego, co wiem. Iwan jest jak życie, które mi ukradłeś.

Car Życia ryknął boleśnie, kręcąc głową jak byk. Uderzył w ścianę pięścią, a z powstałego krateru posypał się czarny pył. Potem ugryzł swoją ukochaną w długą szyję, Maria jednak nie krwawiła. Jej skóra stwardniała, stała się mocna i nieprzenikniona. Jak wiele razy odgrywałeś tę scenę, starcze? Dla mnie to coś nowego i poruszającego, ale nie dla ciebie.

- Czy jeśli z nim odejdę, zamkniesz mnie w fabryce razem z Jelenami? - spytała niskim i drżącym głosem, bojąc się tych słów, ale czując, że musi je wypowiedzieć. Tak naprawdę prosiła o wybaczenie za swoją największą porażkę. Za to, że nic nie zrobiła dla Jelen, gdyż pochłonęła ją wojna. Zawiodła je, zdradziła i porzuciła, gdy jej przyjaciele zginęli, a jej dobroć legła w gruzach.

Kościej w milczeniu upuścił gałązkę i ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę Maria myślała, że płacze, ale nagle warknął, krzyknął i skoczył na nią z taką dzikością, jakby chciał ją przegryźć na pół. Zdarł z siebie ubranie, po czym rozchylił jej nogi, aż zatrzeszczały biodra, wchodząc w nią bezceremonialnie, jak król wchodzi do sali tronowej wroga. Wspiął się na jej ciało, szarpiąc je palcami, a Maria gwałtownie zadrżała z rozkoszy, bólu, lęku i uwielbienia.

- Tak! - ryknął. - Tak, zamknę cię tam i zgaszę blask w twoich oczach, a potem przez stulecia będę przychodził, żeby cię oglądać, ponieważ należysz do mnie, jesteś moim skarbem i nie mogę cię zachować ani wypuścić z rąk.

Pchał raz za razem, a jego ryki odbijały się echem od ścian. Na samym końcu, gdy rozpaczliwie krzyknął, Maria przez chwilę widziała, jak jego twarz staje się nieprawdopodobnie stara, niczym kamień, jego włosy bieleją, oczy zapadają się w głąb pojaśniałej czaszki, i pozostają tylko zęby, ostre, okrutne i gotowe.

## To, co jest między nami

Pewnego razu, dwa lata, dwa miesiące i dwa dni po swoim ślubie, po trzech pogrzebach z brązową, zieloną i białą trumną, po bitwie o Czarnoświatło, podczas której została ranna w lewe udo, a cała północna wieża zawałiła się, umarła i wyrosła srebrzyście jako własność Wija, Maria Moriewna odwiedziła fabrykę. Nocą przekradła się ulicami Bujanu, nie patrząc ani na martwych handlarzy rybami, którzy siedzieli na swojej potwornej werandzie, palili i pili pył z kryształowych kieliszków, ani na gospodę, którą kiedyś uwielbiała, teraz skąpaną w srebrze i pełną duchów śpiewających rewolucyjne pieśni. Oni wszyscy byli teraz częścią innego Bujanu, a Maria nie mogła ich słuchać, nawet jeśli czasami zdobywała się na odwagę, by zerknąć kątem oka w okna umarłego miasta.

Znała drogę. Trasa wypaliła się w jej pamięci, sycząc i strzelając jak fosfor. Teraz szło się jej znacznie łatwiej, z wyprostowanymi plecami wolnymi od ciężaru chichoczącego jeźdźca. Kościane drzwi, stukanie krosien dobiegające ze środka. Księżyc poruszał się po niebie jak wagon kolejowy, a młoda żona wślizgnęła się do budynku i stanęła na potężnym żelaznym balkonie, który dzieliła z Babą Jagą w innym życiu, gdy jeszcze nie знаła koloru krwi martwego człowieka. Zielone kule oświetlały wnętrze fabryki: szeroką posadzkę pokrytą płytkami, długie, wąskie okna oraz sterty gotowych materiałowych strzelców wyborowych, żołnierzy piechoty i kawalerzystów na organdyńowych koniach piętrzące się w kątach. Nawet pośród mętnej nocy jasność dotykała głowy każdej z tuzinów Jelen pochylonych nad przemykającymi czółenkami i pędzącymi krosnami. Maria zeszła po żelaznych schodach, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Nikt jej nie zauważył. Nikt nie podniósł wzroku. Nie widziała żadnego brygadzysty, chociaż co kilka chwil ciche oddechy przerywały stukot maszyn, gdy któraś z dziewcząt dmuchała w jednego z materiałowych żołnierzy, a on wydawał swoje pierwsze tchnienie, które tak naprawdę było tchnieniem biednej Jeleny trafiającym do jego ust przez mankiet.

Maria Moriewna przykucnęła przy jednej z kobiet. Jej włosy, brązowe jak dojrzałe orzechy włoskie, układały się w okrąg zapleciony na smukłym karku, a palce poruszały się tak przeraźliwie szybko! Utknęła już połowę tułowia dziewczyny, która zaciskała dłoń na karabinie snajperskim. Jelena - a może to była jedna z nielicznych Wasylis? Maria nie była

pewna - nawet się nie obejrzała. Miała oczy zasnutę mętym złotem, niewidoczne tęczęwki i w ogóle nie mrugała.

- Jeleno - szepnęła Maria. - Czy masz na imię Jeleno?

Dziewczyna nie przestała tkąć, a jej palce przemykały jak ryby pod powierzchnią wody. Maria dotknęła jej ręki. Poczowała ciepłą skórę.

- Jeleno?

Mętne złoto zasłona zawirowała i poruszyła się, ale dziewczyna nie odpowiedziała.

- Proszę, obudź się. Błagam! - Działając pod wpływem impulsu, nie mając pojęcia, dlaczego to robi, Maria nieco się uniosła i pocałowała dziewczynę w skroń. Dotknęła ustami jej ciepłej, miękkiej skóry i delikatnych puszystych kosmyków. Czyż nie tak budzi się śpiącą królową? - Proszę, obudź się - wyszeptała jeszcze raz.

Dziewczyna się nie ocknęła. Znieruchomiła, a nitki postrzępiły się i wyslizgnęły z tkanego wzoru. Złożyła dłonie na kolanach, ale nie podniosła wzroku ani się nie odezwała, a złota przesłona na jej oczach się nie rozrzedziła.

- Jeleno? Słyszysz mnie? Czy tam w środku ktoś pozostał? Tak bardzo się boję, Jeleno. Czy on cię kochał? Czy go zostawiłaś? Czy przykuwał cię do srebrnych gobelinów? Czy lubiłaś jego pocałunki? Byłaś tutaj szczęśliwa? Czy znałaś chłopca imieniem Iwan? Czy chcesz odejść do domu? Jak wiele czasu minęło między chwilą, gdy byłaś szczęśliwa, a chwilą, gdy zapragnęłaś go zabić? - Maria z trudem przełknęła ślinę. - Powiedział, że bym o was zapomniała, że bym była samolubna i okrutna, stała się demonem. Ale wciąż o was śnię, a w moich snach nosicie wodę dla Baby Jagi, trzymacie Żar-Ptaka w wiszącej złotej klatce, a Kościej kocha was tak bardzo jak mnie.

Dziewczyna wpatrywała się w swoje złożone dłonie.

- A gdybym powiedziała: „Idź, Jeleno, nie będę wszczynać alarmu. Biegnij, pędź, uciekaj!”.

Dziewczyna ani drgnęła.

- Jeleno, Jeleno, jesteście jedynymi istotami podobnymi do mnie na całym świecie. Co się ze mną stanie? Co się stało z tobą? Z wami wszystkimi? Jeleno, każdej wiosny wyruszam z tymi żołnierzami, a gdy dotykam ich ramion, myślę o tobie, o was wszystkich. Nic na to nie poradzę. Bardzo mnie to przeraża, ponieważ mam wrażenie, że widzę w ich utkanych oczach strach i niepewność, a przecież nie powinni być żywi. A jednak krzyczą, gdy ktoś ich postrzeli, a ja drzę. Odezwij się do mnie, Jeleno. A może Wasyliso... czy ty jesteś Wasylisą? Czuję, że coraz bardziej tracę serce, każdego dnia, w każdym kolejnym zimnym namiocie, z każdym pokonanym całem na wpeł umarłej ziemi, po której krew snuje się jak nitka. Tak

bardzo się lękam, Wasyliso. Boję się, że wojna nie toczy się po naszej myśli.

Ale tkaczka nie podnosiła wzroku, a wszędzie wokół terkotały obojętne maszyny. Maria otarła łzy i wstała. Jej kolano, uszkodzone podczas pierwszej bitwy o ulicę Skorohodną, wygranej z olbrzymim trudem, strzeliło i zatrzeszczało.

Tkaczka, Jelena albo Wasylisa, powoli odwróciła głowę, nie poruszając resztą ciała. Popatrzyła niewidzącym wzrokiem w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się twarz Marii, a gdzie teraz był jej brzuch.

- Wojna nigdy nie toczy się po naszej myśli - powiedziała dziewczyna, po czym ponownie podniosła czólenko.

Maria Moriewna szarpnęła ją za rękę. Ciągnęła z całych sił, ale równie dobrze mogłaby próbować poruszyć skałę. Przechodziła od dziewczyny do dziewczyny, prosząc i płacząc, a jej twarz płonęła ze wstydu. Na chwilę zapomniała o sobie, myśląc tylko o tym, że skoro jedna z nich przemówiła, to wszystkie muszą być żywe. Ale żadna z Jelen nawet nie drgnęła, żadna z Wasylis się nie odezwała i nikt nie chciał pójść z Marią, nawet gdy zwinęła się w kłębek na środku terkoczącej fabryki, zniechęcona i pokonana.

\* \* \*

- Czy on jest wampirem? - spytał Iwan Nikołajewicz, siedząc niewygodnie na czerwonym morzu jej łóżka, beztrosko nagi, ignorując czarną koszulę nocną, którą dał mu Kościej.

- Cóż za dziwne pytanie - odparła Maria, stojąc przy lustrze. Patrzyła na swoje odbicie, czesząc długie, zniszczone włosy długimi pociągnięciami szczotki z włosia dzika; zwykłej szczotki która nie wzywała dziwnych staruszek ani nie przynosiła pecha. Lśniące włosie przesuwano się we włosach Marii Moriewny. Lubiła swoje ciało, lubiła na nie patrzeć, nawet... albo zwłaszcza... gdy tygrysie paski opuchniętych szram przecinały jej ciężkie nagie piersi i brzuch. Już nie miała ciała dziewczęcia; jej biodra były biodrami lwicy, klatka piersiowa była silna i muskularna, a nogi wyćwiczone do skakania, biegania i padania na kolana pod ostrzałem. Blizny znaczyły jej skórę jak gwiazdozbiory, prowadząc w górę aż do najstarszego znaku otrzymanego od Żmija Gorynycza, odznaczającego się na jej policzku jak maźnięcie wykonane czarną farbą.

- Zlizał krew z twojej dłoni - odrzekł Iwan. - Poza tym jest stary, bledy i ma zęby jak kły zwierzęcia. Wiem, że wygląda młodo, ale taki nie jest. Siedzenie obok niego jest jak siedzenie obok jakiejś nieprawdopodobnie starej rzeźby w muzeum. Dlatego uważam, że to logiczne pytanie.

- On jest Carem Życia, a krew to życie. Tak jak zupa, wódka, kąpiel i pieprzenie. Ale

nie sędę, żeby był wampirem. Przynajmniej nie takim, którego zakopuje się do góry nogami na rozdrożach.

Iwan zmarszczył czoło i przecesał włosy szeroką brązową dłonią.

- Wciąż go tak nazywasz. Car Życia.

- Ponieważ nim jest. - „Czy więc ja jestem Carycą Życia?”, zapytała połowa jej serca. Druga połowa odpowiedziała: „Nigdy nie byłaś nawet królową”.

- Ale to specyficzny rodzaj życia, prawda? - Iwan pochylił się, a blask świecy odbił się od jego spalonej słońcem głowy. Wyglądał jak olbrzymi, krzepki pies, który znalazł kość. - Przypomina życie... grzybów. Białych, korzeniopodobnych, rosnących w ciemności. Założę się, że przez te wszystkie lata ani razu nie poczęstował cię świeżym jabłkiem. Wszystko, co kocha, jest zakonserwowane, zasolone... zamarynowane. Zapewne żywe, ale zarazem wiecznie podtrzymywane przy życiu w szklanym naczyniu. Podobnie jak on sam. Marynowany mąż, oto, co ci się trafiło.

Maria odwróciła się od lustra z wściekłym grymasem na twarzy.

- A ty jesteś świeży, nieprawdaż? Prosto z drzewa? Ale kiedyś zbrązowiejesz i pokryjesz się plamami, a potem zamieszkają w tobie robaki. Tymczasem Kościej nigdy nie osłabnie.

Iwan wstydlawie wzruszył ramionami.

- Nigdy bym się nie ośmielił tak twierdzić.

- Przecież już to robisz.

- Jesteś człowiekiem - rzekł cicho. - Twoje miejsce nie jest tutaj, pośród krwi i marynat. Ich solanka wsącza się w ciebie, odrobina po odrobinie. Już nawet potrafisz znikać tak jak oni. Kto wie, co jeszcze umiesz!

- Cóż. - Maria się roześmiała. - Tak naprawdę tego nie potrafię, nie tak jak oni. Nie jestem w tym dobra. Umieję to robić tylko w niektórych miejscach, gdzie granice są najcieńsze. Pamiętasz, że musieliśmy dojść do punktu, w którym się obróciłam i cię przeniosłam? Nie znam wielu takich miejsc. Zmiany terytoriów następują zbyt szybko, by nanosić je na mapy. Myślę, że ty także byłbyś do tego zdolny w tych najcieńszych miejscach, gdybyś trochę poćwiczył. To nie jest takie trudne.

- Nie chcę tego robić. - Iwan Nikołajewicz zaczął skręcać papierosa. Mimo że o to nie prosił, obok niego bezgłośnie pojawiła się taca z brązu, na której leżały elegancko poukładane bibułki oraz piętrzyły się chrupkie, poskręcane listki tytoniu. Iwan pomyślał, że to prezent od Marii, ale ona odgadła prawdę: Kościej wkroczył pomiędzy nich, mimo swojej nieobecności.

- Dlaczego? - Wzruszyła ramionami. - To bardzo przyjemne.

- Może dla ciebie. Dla mnie przyjemne jest przebywanie z tobą, blask słońca na polu jęczmienia, świeże masło i jaja oraz papierosy, które sam skręcam, tak jak lubię. Magia przypomina zdejmowanie skóry i ponowne jej wkładanie tyłem naprzód.

Maria odłożyła pędzelek, po czym wpełzła na łóżko, rozkoszując się uczuciem, że prześladuje go jak wygłodniała kotka. Że wie więcej od niego. Zgadywała, że właśnie tak czuje się Kościej. Przez cały czas.

- Cóż - zamruczała. - Ja też lubię te wszystkie rzeczy i nie chcę między nimi wybierać. Kościej nie każe mi tego robić.

- Właśnie, że każe - odparł cicho Iwan, głaszcząc ją po twarzy. - Tylko sprawia, że zdejmowanie skóry smakuje jak świeże masło i wygląda jak blask słońca na polu jęczmienia.

Maria zmarszczyła czoło. Gdyby ją poprosił, gdyby zachowywał się jak ptak, jak mężczyzna ubrany na czarno, byłoby jej znacznie łatwiej.

- Iwanie, nie rozumiesz nas. Małżeństwo to osobista sprawa. Rządzi się własnymi szalonymi prawami, ma własną tajemną historię, dochodzi w nim do dzikich czynów, a to, co się dzieje między małżonkami, jest niezrozumiałe dla ludzi z zewnątrz. Tobie wydajemy się straszliwi i surowi, widzisz, jak tryskamy krwią, ale ciężko zapracowaliśmy na to, co jest między nami, i sprawiliśmy, by wyglądało to tak, jak chcemy, by miało odpowiedni kolor i kształt.

Iwan ją pocałował, z wahaniem, słodko, jak chłopiec dziewczynę na szkolnym podwórku. Jej usta wypełniły się ciepłem.

- Tylko popatrz, jak mnie całujesz, Mario Moriewno, jednocześnie opowiadając mi, czym jest małżeństwo - szepnął.

- Trzymanie wszystkich dóbr dla siebie to samolubstwo, Iwanie Nikołajewiczu. A przecież możemy się dzielić, każdemu wedle potrzeb. Dlaczego nie miałabym mieć jednego i drugiego? Ciebie i Kościeja, Leningradu i Bujanu, marynowanego i świeżego, mężczyzny i ptaka?

Ponownie ją pocałował, tym razem głębiej, a Maria poczuła jego jasny smak, jaśniejszy od krwi.

- A co jest między nami, Maszo?

- Nic - westchnęła. Jak on śmie już teraz nazywać ją Maszą! - Jeszcze.

Chwyciła go za ramiona i pchnęła na pośłanie. Unieruchomiła jego wąskie biodra między swymi udami lwicy, po czym pocałowała go, tak kąśliwie i władczo, jak tylko potrafiła, wkładając w ten pocałunek wszystkie swoje siły. Jej włosy opadły na jego twarz jak czarna zasłona, usuwając wszelkie światło, bezpowrotnie ukrywając go przed światem.



Iwan złapał ją za kark i, jęcząc, poruszał się pod nią, wyginał plecy, by jeszcze mocniej do niej przywrzeć. Jego rzęsy w kolorze monet były długie jak u dziewczyny.

- Wróć ze mną do Leningradu - wyszeptał. - Wróć.

A więc jednak. Poprosił. A ja muszę wybrać. Przede mną wojna, a za mną kobieta, której nie znam, a którą mogłabym się stać: ludzka, spełniona i gorąca.

W głębi duszy Maria usłyszała, jak jej stary dom przy ulicy Grochowej, Komisarskiej, Dzierżyńskiego rozwija się, skrzypi i ją przyzywa, a Newa zielono bulgocze. Wspomnienia, na których obecność dotychczas nie pozwalała, płynęły z pocałunków Iwana, z jego skóry i nasienia. Czowała zapach morza. Ale do tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego już niedaleko, pomyślała rozpaczliwie, gdy jego ciepło napełniło jej wychłostany brzuch. Bardzo niedaleko.

Wtedy serce Iwana Nikołajewicza pękło w ciele Marii Moriewny, a jego kawałki wbiły się głęboko w jej kości; przez okno obserwowały ich gwiazdy.

\* \* \*

Później, gdy podzielili się wodą i kilkoma plastrami rubinowego mięsa, Maria zauważyła, że spod kurtki Iwana Nikołajewicza wystaje czerwony szalik, który zawiązał sobie wokół ręki. Nachyliła się i dotknęła jego końca, który sterczał jak język.

Iwan uśmiechnął się nieznacznie.

- To szalik Młodych Pionierów. Nie wiem, dlaczego wciąż go noszę. Chyba po prostu go lubię. Gdy byłem mały, sprawiał, że czułem się bezpieczny. Dzięki niemu miałem wrażenie, że nie może mnie spotkać nic złego, ponieważ jestem taki dobry i znalazłem swoje miejsce.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a jego ciepłe oczy w kolorze herbaty ciemniały w blasku świec, aż stały się niemal czarne, jak u Kościeja. Ale wzrok Iwana utrzymywał Marię w kręgu ciepła i cichych nocnych prawd. Milczała, wstrzymując oddech. I nagle to zrobił, a ona miała wrażenie, że jej ciało rozpadnie się na kawałki. Iwan Nikołajewicz odwiązał szalik i zawiesił go na nagiej szyi Marii Moriewny, układając jej długie włosy na materiale, tak że końce szala opadły na jej piersi, pokrywając je szkarłatem niczym krwawymi łzami.

\* \* \*

Przed świtem Maria obudziła się w bezdennej studni, gwałtownie otwierając oczy w ciemności. Usiadła na pościeli i poczuła obok siebie pozbawione czucia przyjemnie ciepłe ciało Iwana. Srebrzystobiała kobieta siedziała przed lustrem przy jej toalecie, kolejno dotykając słoiczków bladymi palcami. Miała na szyi kameę z idealnie wyrzeźbionym wizerunkiem kobiety z długimi białymi włosami i srebrną gwiazdę na piersi.

- Maszeńko, kochanie - westchnęła pani Liebidiewa. - Ależ za tobą tęsknię. Chciałabym, żebyś ze mną porozmawiała.

Wiła odwróciła się, a jej srebrne piętno rzuciło faliste cienie na sufit. Powieki miała pomalowane na najjaśniejszy kolor, jaki Maria kiedykolwiek widziała.

- Nie skrzywdzę cię - powiedziało cicho widmo. - Po tylu latach wciąż nie wierzysz, że nigdy nie pociągnęłabym cię za sobą. Nastąpiła ta straszliwa godzina, gdy można powiedzieć wszystko. Czekałam na nią. Powiedz tylko jedno słowo, Maszo. Zauważ moją obecność. Kocham cię. Kiedy umierasz, wstyd opada z ciebie jak stara koszula, a szczerść nic nie kosztuje. Kocham cię. Czy ty mnie nie kochasz?

Maria opuściła ciężkie powieki, po chwili jednak zmusiła się, by znów je otworzyć, po czym wbiła wzrok w przyjaciółkę. Z trudem patrzyła na jej twarz. Miała ochotę do niej podbiec i ją przytulić, ale wiedziała, że już nigdy tego nie zrobi. Nigdy. Może Liebidiewa nie ma zamiaru zabrać Marii, ale to i tak by się stało, jest nieuniknione jak grawitacja, jak upadek z dużej wysokości. Maria nie chciała się odzywać, czuła jednak przytłaczający ciężar lat, podczas których uparcie nie oglądała się za siebie i ignorowała srebrne kroki za plecami.

- Kocham cię, moja łabędzico - rzekła w końcu, po czym zapłakała, powoli, bezgłośnie i bez łez. Całkowicie wyschła.

- To nie takie złe, kochana. Bycie martwym. Jest tak samo jak za życia, tylko zimniej. Rzeczy mniej smakują. Mniej je czuję. Powoli zapominam, kim jestem. Nie ma zbyt wiele miłości, ale jest dużo wódki i wspomnień. Trochę jak na uczelnianym spotkaniu po latach, tylko że ciasta i tarty są upieczone z pyłu. No i ciągle toczy się wojna. Ale przecież wcześniej też stale nam towarzyszyła, czyż nie? Widok ciepłych rzeczy przyprawia mnie o wściekłość, o jaką siebie nie podejrzewałam. Widzisz, nie mam nic swojego, dlatego tak wszystkiego pożądam. Poza tym, coraz więcej zapominam, jakbym pogrążyła się w starości, choć przecież się nie starzeję. Ale cieszę się, że ze mną porozmawiałaś, póki cię pamiętam.

- Myślałam, że jeśli nie będę patrzeć na żadne z was, to odejdziecie i będę mogła zapomnieć.

- Pewnego dnia odejdziemy. A może zapomnimy, kim jesteś, lecz wciąż będziemy się siebie trzymać z przyzwyczajenia, wiedząc jedynie, że zawsze trwaliśmy przy tej czarnowłosej dziewczynie, kimkolwiek ona jest. - Pani Liebidiewa dotknęła lustro, patrząc na swoje odbicie, jakby była piękną nieznaną. W miejscu, w którym położyła palec, wilgotna, srebrna plama rozprzestrzeniła się po szkle jak szron.

- Czy to bolało? - wyszeptwała Maria. - Kiedy umarłaś?

- Nie pamiętam. Niosłam dla ciebie welon... jak mogłaś wyjść za mąż bez welonu,

Maszo? Wstyd. Niosłam go, i wtedy ktoś mnie zastrzelił. Przez chwilę myślałam, że się potknęłam, ale nagle mój zabójca wziął mnie w ramiona... och, jak on srebrzyście lśnił!... i przyłożył usta do mojej rany. Ssał ją jak niemowlę pierś, a ja pomyślałam: Nigdy nie będę nikogo karmiła... Po czym umarłam. To takie uczucie, jak wtedy, gdy lina, którą ciągniesz z całej siły, nagle się odczepia, a ty upadasz, ponieważ wkładałaś w to tyle siły, że nie możesz się utrzymać na nogach. Bardzo lubiłam swoje ciało, więc okryłam je kwiatami. Później, podczas bitwy o Czarnoświatło, pocisk fosforowy trafił w starą kawiarnię czarodziejów, więc teraz należy do naszej krainy i mogę w niej jadać, kiedy tylko zechcę. Zupa z pyłu, pierogi z pyłem, popiołowe ciasteczka. - Nagle Liebiediewa wycelowała w Marię palcem, a jej głos stał się ostrzejszy. - Powinnaś odejść z Iwanem, Maszo. Posłuchaj swojej przyjaciółki. Wciąż jestem czarodziejką. Wciąż sporo wiem.

- Wtedy złamię Kościejowi serce. - Maria postanowiła zostać. Postanowiła odejść. W śnie tysiąckrotnie zmieniała decyzję. Jej sny były podzielone na pół.

- Już wcześniej bywało złamane. Zresztą, to nie jest prawdziwe serce. Musisz zadbać o siebie. Wkrótce mój władca uzna, że ma dosyć twojej strzelby, i przyjdzie, żeby cię pożreć, niezależnie od traktatów. Dlaczego przedtem nie miałybyś zakosztować nieco spokoju? Leningrad w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku to takie ciche miejsce. Mogłabyś tam być szczęśliwa.

- Ledwie znam tego chłopca. - Maria chłonęła widok przyjaciółki, czując między pierściami wzbierający tępy ból. Musi przestać rozmawiać z Liebiediewą; musi przestać, ale nie potrafi.

- Kościeja także ledwie znałaś. Porwanie to świetny sposób na przełamanie lodów.

Maria Moriewna przesunęła dłonią przed oczami.

- Ale po co? Po co miałabym opuszczać Bujan? Tutaj jest mój dom.

- Ponieważ tak musi być. On właśnie tak umiera. Zawsze. Tylko w ten sposób może umrzeć. Śmierć stanowi część jego małżeństw, nie mniej istotną niż kochanie. Nie wiedziałaby, co począć, gdybyś go nie zabiła.

- Nigdy go nie zabiję! Nawet jeśli odejdę, jeśli go opuszczę, nie zabiję go!

- Przekonamy się. Ale odejdziesz. Ponieważ jesteś jeszcze młoda i potrzebujesz dotyku słońca na twarzy, silnego leningradzkiego słońca, od którego poczerwienieją ci policzki. Odejdź i śpij spokojnie. Nie myśl już więcej o tym, ilu ludzi dzisiaj umrze.

- Kościej mnie zatrzyma. - Czyżby? Może po prostu znajdzie inną dziewczynę. Może wszystko zacznie się od nowa, tylko bez Marii Moriewny, a jej uda się zaznać chwili wytchnienia.

- Jest na to zbyt dumny. Myślisz, że zatrzymywał pozostałe?

- Nie jestem taka jak one.

- Ależ Maszo, czy tego nie widzisz? Jesteś taka sama. A teraz przybył Iwan. „Wybiła północ. Czas do łóżka, maleńka”. Nie możesz mieć ich obu. W czasie wojny zawsze trzeba wybrać jedną ze stron. Srebro albo czerń. Człowiek albo demon. Jeśli będziesz próbowała być mostem łączącym obie strony, to rozerwą cię na pół.

Maria rozłożyła ręce; tylko Liebiediewa słyszała jej strach, rany, które ukrywała w ustach, w miejscu, z którego Kościej zabrał jej wolę.

- Jak mogę żyć w tamtym świecie? Już nie jestem człowiekiem. Byłam dzieckiem... jak mam odnaleźć dziewczynkę, którą byłam, zanim poznałam magię? Świat mnie nie pokocha. Będzie mnie kopał i policzkował na śniegu, odbierze mi szalik i zostawi zawstydzoną i krwawiącą.

- Będziesz żyła tak samo jak w każdym innym świecie - odparła pani Liebiediewa. Wyciągnęła dłoń, jakby chciała chwycić Marię za rękę albo dotknąć jej policzka, ale po chwili zacisnęła palce, jakby już trzymała dłoń przyjaciółki. - Z trudem i w smutku.

Powoli, z nieskończoną starannością kobiety ubierającej się do teatru, pani Liebiediewa wyciągnęła swoją długą, elegancką szyję... jak daleko, jak daleko!... jej piersi pokryły się piórami, a smukłe nogi złożyły się pod nią, i zmieniła się w łabędzia z czarną opaską na oczach. Wskoczyła na parapet, po czym odleciała, zanurzając się w bolesnej, surowej nocy.

## Trzy siostry

I tak o świcie Maria Moriewna porwała złotowłosego chłopca i pociągnęła go oblodzonymi, ciemnymi ulicami, wokół których donośnie rozbrzmiewały srebrne echa. Trzymali się lewej strony, ani razu się nie oglądając. Iwan Nikołajewicz jechał za nią na koniu o czerwonych uszach i niewielkich podkowach, który nie był potomkiem Wilczej Jagody, ale jego siostrzeńcem z lewej strony drzewa genealogicznego. Wierzchowiec nie zdradzał żadnych mechanicznych skłonności; był zwykłym zwierzakiem, który kochał swoją panią i dzięki głęboko zakorzenionym rodzinnym wspomnieniom uwielbiał, gdy wykorzystywano go do porwań. Czując lodowaty wiatr na zębach, Maria zastanawiała się, czy istnieje prawdziwa miłość bez nocnych gonitw, ucieczek, brnięcia w głąb mrocznych krain; bez strachu, że ktoś - matka, ojciec albo mąż - może w każdej chwili ściągnąć nas z powrotem, sięgając pełną smutku dłonią. Iwan obejmował ją w pasie, gdy ich koń mknął przez las, nie zwracając uwagi na gałęzie ani kamienie. Oboje się nie odzywali. Cóż można powiedzieć komuś, kogo się uprowadziło? Kości Marii pobrzękiwały w siodle. Jej kolano trzeszczało. Stara blizna pod okiem pulsowała.

Ale niczyja dłoń nie wysadziła ich z siodła. Żaden czarny strażnik nie przyleciał poprzez żółte modrzewie, by pochwycić ich za włosy. Czerwone poranne słońce świeciło na nich oskarżycielsko i praworządnie. Pod jego nieprzychylnym spojrzeniem jechali, aż ranek zmienił się w popołudnie, a popołudnie w wieczór. Gwiazdy rysowały mapę nieba w ciemnościach ponad ich głowami.

W końcu koń o czerwonych uszach parsknął, plunął i padł na kolana pośród śnieżnych cieni na leśnej polanie. Zatrzymali się przed olbrzymią posiadłością, w której każde kryształowe okno rozświetlał migotliwy blask ognia, na co w zimie mogli sobie pozwolić tylko najbardziej lekkomyślni bogacze. Z pewnością mieściły się tam stajnie z sianem. Koń dobrze ich poprowadził. Potężne szklane drzwi gościnnie stały otworem. Oczy Marii łzawiły od chłoszczącego wiatru i śniegu. Zajrzała do środka, obawiając się wejść, pewna, że to Kościej przygotował dla niej to wszystko, żeby wywołać w niej poczucie winy i przypomnieć przytulne, ciche chatki na drodze do Bujanu. Żeby wskoczyć do ich łóżka jak tytoń pojawiający się bezszelestnie na stole.

Ale byli sami. Koń spokojnie grzebał nosem w śniegu. Żaden dźwięk, nawet hukanie sów, nie zakłócał ciemności. Maria pomogła Iwanowi - obolałemu od siodła i drżącemu na dotkliwym mrozie - przekroczyć próg.

Przedpokój daczy rozlał się wokół nich malachitową posadzką upstrzoną brązowym jaspisem, nad którą wisiały żyrandole pełne rubinów i ametystów. Na środku błyszczącej podłogi stało potężne jajo pokryte błękitnym szkliwem, poprzecinane wzorami ze złotych listków i wysadzone brylantami jak główki gwoździ. Na szczycie jaja przycupnęła kobieta w średnim wieku, z jasnymi włosami spiętymi z tyłu głowy jak bela siana jesienią. Zerkiała ponad okularami na dwa srebrne druty, na których powoli dziergała karmazynową dziecięcą skarpetkę.

Serce Marii podskoczyło z zaskoczenia.

- Olgo! - wykrzyknęła. - Jak to możliwe? Co tutaj robisz, w samym środku lasu? Jak to się stało, że odnalazłam cię na tym ogromnym świecie? To ja, twoja siostra Masza! - Maria mogłaby zapłakać, ale jej łzy zamarzły, tak bardzo była zmęczona, zeszywniała oraz wystraszona, że to oszustwo, a Olga za chwilę ześlizgnie się z jaja, odbije od ziemi i zmieni w coś innego, strasznego i oskarżycielskiego.

Kobieta podniosła wzrok i jej twarz rozbłysła jak różowa porcelana. Widok siostry napęłnił ją radością, jak wino napęłnia bukłak. Schowała robótkę pod tłustą pachę, zeskoczyła z jaja i serdecznie wycalowała Marię, po czym odwróciła się do Iwana i cmoknęła go skromnie w oba policzki.

- Mario! Och, kochana siostrze! - zawołała. Pachniała tak samo jak Olga, więc to nie mogła być sztuczka. - Tak wiele czasu minęło! Popatrz tylko na siebie, wyrosłaś jak niedźwiedzica! Ach, kiedy przestałyśmy być dziećmi?

Maria zapragnęła, by Olga podniosła ją z ziemi i zawirowała z nią, tak jak robiły w dzieciństwie, gdy mieszkały w domu przy ulicy Grochowej.

- Olu, jesteś szczęśliwa? Dobrze się czujesz?

- Znakomicie! Wkrótce wydam na świat szóstą córkę! - Z uczuciem poklepała jajo wysadzone klejnotami. - Tak to bywa, gdy się wychodzi za mąż za ptaka. - Puściła oko. - Od początku wiedziałas, że on jest ptakiem, prawda? I o niczym mi nie powiedziałaś, wredoto. Ale co u ciebie? Jesteś szczęśliwa? Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona - odparła Maria Moriewna. - Olu, to jest Iwan Nikołajewicz. On nie jest ptakiem.

Iwan ukłonił się najstarszej siostrze Marii.

Olga delikatnie wsunęła okulary głębiej na nos.

- Och, wiem, kim jest. Myślisz, że pułkownicy nie gadają? W tych okolicach plotki są na wagę złota. Popatrzcie tylko na moją siostrę. Uciekiniarka i skandalistka, i to w jej wieku! Musisz wiedzieć, że jestem wierna Graczowi od chwili, gdy po raz pierwszy ujął mnie pod rękę, a na dowód mam czternaścioro ślicznych piskląt!

- Aż tyle? - Iwan zagwizdał.

Olga zmrużyła śliczne oczy.

- Nie słyszeliście, że toczy się wojna? - Skrzywiła się. - Wszyscy musimy spełnić swój obowiązek.

- Już mówiłem Marii, że zawarliśmy pakt z Niemcami. Wojna nawet nie śni o Rosji. Wasza siostra będzie bezpieczna w Leningradzie.

- Tfu! - splunęła Olga. - Tak się wam wydaje. - Odwróciła się do niego szerokimi plecami, po czym ponownie objęła Marię Moriewnę. - Musicie zostać na noc, pozwolić odpocząć temu biednemu koniowi... cóż za chudzina!... pożywić się i napić przy moim stole. Jesteś moją siostrą. Wszystko, co moje, należy do ciebie, nawet jeśli jesteś podstępna Dalilą z podwójnym przydziałem mężczyzn. Czymże są drobne występki, gdy chodzi o rodzinę?

Olga poprowadziła ich do długiego stołu z kości słoniowej, na którym leżały knedle, chleb, marynowana papryka i wędzona ryba, buraki w occie i kasza gryczana, grzyby i grube wołowe ozorki, a także bliny z małymi kopczykami kawioru i śmietany. Zimna wódka pociła się w kryształowej karafce. Gulasz z gęsi wrzał nad paleniskiem. U szczytu stołu siedział mężczyzna w eleganckim czarnym smokingu. Miał głowę gawrona o błyszczących piórach i złośliwie kłapał w stronę Marii, gdy wysunęła krzesło. Olga pocałowała go w dziób, po czym odciągnęła od stołu, gaworząc i świergocząc do niego w cichej, tajemnej mowie małżonków.

Gdy Maria i Iwan zostali sami, przez chwilę nie zabierali się do jedzenia. Marię bolała głowa. Czy to te same potrawy, które jadła tak dawno temu, jako dziecko, jako nikt, jako mała głodna wilczyca? Nie pamiętała. W końcu Iwan silną czerwoną dłonią sięgnął po wódkę.

- Zaczekaj... - szepnęła słabo. - Zaczekaj... *wolczik*. - To słowo ją oszołomiło, zsunęło się z jej języka jak coś zakazanego.

Iwan cofnął palce. Ufał jej i był posłuszny. Maria oblizwała wyschnięte usta. Kształty poruszały się w jej umyśle. Policzki zaczynały piec. Z trudem mogła mówić, tak wielkie słowa nosiła w sercu.

- Nie odzywaj się już dzisiaj, Iwanie Nikołajewiczu. Zamiast tego słuchaj i rób, co ci każę. - Iwan zamrugnął niepewnie i chciał zaprotestować, ale Maria położyła mu palec na

ustach. Po chwili odsunęła dłoń, a on milczał. Och, to coś wielkiego, pomyślała. Czuję wagę tego, co się dzieje. Wcześniej nie rozumiałam. - A teraz... - Jej głos lekko zadrżał, więc postarała się go uspokoić. - Zaczynaj od kawioru. - Ukroiła grubą pajdę chleba, posmarowała ją białym masłem, po czym nałożyła lśniąca czerwoną ikrę. Podała jedzenie Iwanowi, a on zjadł chleb z jej ręki jak dziecko. Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem, odległa jak królowa na tronie, a zarazem tak bliska, zespolona ze swoją porwaną pięknnością. - Teraz napij się wódki i zagryź paprykę. Czujesz, jak ocet i wódka ze sobą walczą? To coś wyjątkowego. Typowo zimowego. - Poczowała ucisk w gardle. Mówiła przez łyż. - W tej miksturze możesz poczuć lato, ugotowane i wymoczone w solance. Ponieważ to jest życie, Iwanie. Słoiki na półce, jaskrawe kolory pod szkłem, ocalone przed zimą, by ich użyć przeciwko głodowi.

Iwan ciężko westchnął i odstawił kieliszek.

- To głupie, Mario. Jestem głodny. Daj człowiekowi zjeść w spokoju.

Z zapalem zabrał się do ryby i czar hałaśliwie przysł u stóp Marii Moriewny. Patrzyła na niego, zaciskając zęby, mając wrażenie, że za chwilę popękają.

\* \* \*

Gdy świt rozświetlił olbrzymi dom, Maria i Iwan Nikołajewicz ponownie znaleźli Olgę na szczycie bogato zdobionego jaja. Druty w jej dłoniach poruszały się szybko jak skrzydełka kolibra, tak że nie nadążali za nimi wzrokiem.

- Maszo, moja najmłodsza siostrzyczko! - zawołała matrona. - Zabierz to ze sobą!

Odgryzła włóczkę i rzuciła czerwony kłębek Marii, która złapała go i ścisnęła jak owoc na targu. Włóczka była miększa od najlepszej wełny, fachowo utkana i gruba.

- Zawsze doprowadzi cię z powrotem do twojego kraju, do domu. Robię z niej skarpety dla wszystkich swoich dzieci, żeby potrafiły wrócić do matki. - Olga zesłała na podłogę po kobaltowej ścianie jaja i wyciągnęła ręce w stronę siostry. Gdy Maria się zbliżyła, podniosła ją i z nią zawirowała.

Maria mimowolnie jak zwykle się roześmiała.

- Kiedy dotrzesz do Leningradu, powiedz naszej matce, że ją Kocham - poprosiła Olga, po czym ucałowała siostrę w oba policzki. Pachniała monetami i macierzyństwem, a Maria Moriewna mocno się w nią wtuliła.

\* \* \*

Jechali dalej, aż ranek zmienił się w popołudnie, a potem w zmierzch i noc. Gwiazdy wyszywały złożone wzory na mrocznej obręczy ponad ich głowami. Jednakże żaden błady nóż nie błysnął pośród drzew, by przebić serce Marii lub ściąć głowę Iwana Nikołajewicza.

Wreszcie koń o czerwonych uszach padł na kolana na polanie pełnej spiczastych ziół,



które sterczały spod śniegu, otoczonej brzozaami przypominającymi kości. Mniejszy od poprzedniego dom stał na połaci twardego lodu i śniegu, które skrzypiały im pod butami. Połowę okien rozświetlał blask ognia; z połowy stajni unosiły się parujące oddechy koni. Potężne drewniane drzwi gościnnie stały otworem. Marię bolały oczy. Chciała zamknąć je na zawsze. Zamiast jednak to uczynić, pomogła przekroczyć próg Iwanowi, któremu trzęsły się kolana po długiej jeździe.

Przedpokój domu otoczył ich klonową posadzką upstrzoną eleganckimi jesionowymi kwadratami, nad którą wisiały żyrandole pełne kości i poroży, myśliwskich trofeów. Na środku błyszczącej podłogi stało potężne jajo, którego ciepłą skorupę pokrytą brązowymi cętkami przecinały wstążki w kolorze róż. Na szczycie jaja siedziała przebiegła rumiana kobieta, jej oczy błyskawicznie kierowały się na każdą nową fascynującą rzecz. Zerkając ponad okularami na koszyk jabłek trzymany na kolanach, krojąc każdy z owoców na siedem kawałków, szykując nadzienie do ciast, tart i pierogów.

Serce Marii podskoczyło z zaskoczenia. Sprawdziła, co na ten temat mówi jej żołądek: Czy to magia? Robota czartów? Nie potrafiła odpowiedzieć. Niczego nie czuła.

- Tatiano! - wykrzyknęła. - Jak to możliwe? Dlaczego mieszkasz tutaj, w samym środku pustkowia? Jak to się stało, że cię odnalazłam, po tym wszystkim, co się wydarzyło? To ja, twoja siostra Masza! - Maria mogłaby zapłakać, ale jej łzy wyschły ze znużenia, tak długo i szybko uciekała.

Kobieta podniosła wzrok i jej twarz rozbłysła na brązowo i karmazynowo. Widok siostry napełnił ją radością, jak gorące powietrze napełnia jedwabny balon. Schowała nóż pod silną pachę, zeskoczyła z jaja i serdecznie wycalowała Marię, po czym odwróciła się do Iwana i cmoknęła go, niezbyt skromnie, w oba policzki.

- Mario! Och, kochana siostro! - zawołała. - Tak wiele czasu minęło! Popatrz tylko na siebie, wyrosłaś jak koza! Ach, kiedy wszystkie oślepiłyśmy? - Tatiana postukała palcem w okulary siostry schowane w kieszonce na piersi, takie same jak jej własne.

Maria zapragnęła, by Tatiana zmierzwiła jej włosy, tak jak robiła w dzieciństwie, gdy mieszkały w domu przy ulicy Grochowej.

- Taniu, jesteś szczęśliwa? Dobrze się czujesz?

- Znakomicie! Wkrótce wydam na świat czwartego syna! - Z uczuciem poklepała brązowe jajo. - Jeśli wyjdiesz za mąż za ptaka, obudzisz się w gnieździe. - Puściła oko. - Od początku wiedziałas, że on jest ptakiem, prawda? I o niczym mi nie powiedziałaś, spryciuło. Ale co u ciebie? Jesteś szczęśliwa? Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona - odparła Maria Moriewna. - Taniu, to jest Iwan Nikołajewicz. On

nie jest ptakiem.

Iwan ukłonił się drugiej pod względem wieku siostrze Marii.

Olga z zakłopotaniem wsunęła okulary głębiej na nos.

- Och, wiem, kim jest. Myślisz, że pułkownicy nie wychodzą z domu? W tych okolicach plotki są jak szklanki cukru. Popatrzcie tylko na moją siostrę. Kobieta upadła i dręczycielka, i to w jej wieku! Jestem z ciebie taka dumna. Musisz wiedzieć, że odkąd Zujok pozbawił mnie dziewictwa, miałam dwa razy więcej kochanków od niego, a na dowód mam dziewięcioro sprytnych piskląt!

- Jak dużo! - Iwan zagwizdał.

Olga szerzej otworzyła oczy pełne życia.

- Nie słyszeliście? Obaliliśmy pełne wyzysku hierarchie starego świata. - Wyszczrzyła się. - Wszyscy musimy się przysłużyć nowoczesności.

- Myślę, że życie jest wystarczająco ciężkie bez nowoczesności. - Iwan westchnął.

- Tfu! - splunęła Olga. - Tak się wam tylko wydaje. - Odwróciła się do niego kształtnymi plecami, po czym ponownie objęła Marię Moriewną. - Oczywiście musicie zostać na noc, pozwolić odpocząć waszemu biednemu koniowi... cóż za lojalne zwierzę!... pożywić się i napić przy moim stole. Jesteś moją siostrą. Wszystko, co moje, należy do ciebie, nawet jeśli jesteś niepoprawnym flejtuchem. Jesteśmy rodziną; idziemy w swoje ślady!

Olga poprowadziła ich do długiego orzechowego stołu, na którym stał pieczony łabędź, pierogi nadziewane słodką wieprzowiną i jabłkami, marynowane melony oraz ciasta z bitą śmietaną. U szczytu stołu siedział mężczyzna w eleganckim brązowym smokingu. Miał głowę siewki o gęstych piórach i sugestywnie kłapał dziobem w stronę Marii, gdy wysunęła krzesło Iwana. Tatiana trzepnęła go w skrzydło, po czym odciągnęła od stołu, ćwierkając i kłaskając do niego w pogodnej, kłóliwej mowie dobrze dobranej pary.

Iwan pożarł słodką wieprzowinę i opił się czerwonym winem.

- Winnice, które dały nam to wino, zaopatrują także stół towarzysza Stalina - rzekła Maria z poważnym, obojętnym wyrazem twarzy. - Ktoś kiedyś mi powiedział, że gdy dzieci głodują dla szczytnych celów, ojcowie dalej popijają wino przy swoich stołach. - Sama także pociągnęła łyk. - Kiedy byłam młoda, wydawało mi się zdecydowanie za słodkie. Ceniłam gorzcy, przyprawę tych, którzy żyją długo i nieskromnie. Może ty także powinienes ją polubić. W końcu, gdy zniknie wszystko inne, tylko ona ci pozostanie. - Maria Moriewna wypła kielich do dna. - Teraz nawet kandyzowany syrop jest dla mnie gorzki - dodała z westchnieniem.

\* \* \*

Gdy świt uszczypnął brązowe policzki olbrzymiego domu, Maria i Iwan Nikołajewicz ponownie znaleźli Tatianę na szczycie ozdobionego wstążkami jaja, gdzie kroić ją jak drwał, a jej palce poruszały się tak szybko, że nie nadążali za nimi wzrokiem.

- Maszo, moja najmłodsza siostrzyczko! - zawołała żona siewki. - Zabierz to ze sobą!

Rzuciła Marii jedno z czerwonych jabłek, które zawirowało w powietrzu. Było twarde i błyszczało jak klejnot.

- Nieważne, ile zjesz, rankiem zawsze będzie całe, jeśli tylko zostawisz ogryzek. Przyrzadzam je na kolację dla wszystkich swoich dzieci, żeby wiedziały, że matka o nie dba i myśli o przyszłości. - Tatiana zeszła na podłogę po gładkiej ścianie jaja i wyciągnęła ręce w stronę siostry. Gdy Maria się zbliżyła, pogłaskała ją po głowie i zmierzwiła jej loki.

Maria mimowolnie jak zwykle się roześmiała.

- Kiedy dotrzesz do Leningradu, powiedz naszej matce, że ją kocham - poprosiła Tatiana, po czym ucałowała siostrę w oba policzki. Pachniała chlebem i miłością, a Maria Moriewna mocno się w nią wtuliła.

\* \* \*

Jechali dalej, aż nastał świt i popołudnie, przez dziewięć królestw i cały świat rozciągający się między Krainą Życia a Leningradem. Przez półmrok aż do północy. Gwiazdy wypisywały dziwne imiona na mrocznych papierach ponad ich głowami. Jednakże żaden utkany żołnierz nie pojawił się, by pochwycić Marię Moriewną lub zastrzelić Iwana Nikołajewicza z szorstkiego wełnianego karabinu.

Wreszcie koń o czerwonych uszach padł na kolana na kamienistej przełęczy pokrytej lodem, gdzie nie rosły żadne kwiaty ani drzewa. Skromna chatka stała w kręgu ostrych skał, chroniona ze wszystkich stron. Blask ognia rozświetlał jedno z okien; z jednej poczerniałej ze starości stajni unosiła się para z oddechu konia. Niewielkie żelazne drzwi stały otworem, bardziej prowokując niż zachęcając do wejścia. Palce Marii pulsowały bólem. Pomogła przekroczyć próg Iwanowi, który chrapliwie kaszłał, zaczerwieniony i rozpalony.

Pojedyncze pomieszczenie otoczyło ich twardym glinianym klepiskiem upstrzonym kawałkami lodu, nad którym stały łożowe świece, grube i długie jak ludzka ręka. Na środku ubitej podłogi stało potężne jajo o lśniącej stalowej skorupie nabijanej żelaznymi ćwiekami. Na szczycie jaja siedziała szczupła, delikatna młoda kobieta, a po jej twarzy rumieniec przemykał szybciej niż cień. Zerknęła ponad okularami na koszyk kluczy, który trzymała na kolanach, oddzielając klucze żelazne od miedzianych i mosiężnych, żeby je później przetopić.

Serce Marii zaśpiewało z zachwytu. Po poprzednich spotkaniach rozbudziła się w niej nadzieja.

- Anno! - wykrzyknęła. - Jak to możliwe? Dlaczego kryjesz się tutaj, tak wysoko w górach? To ja, twoja siostra Masza! - Po czym Maria zapłakała ciepłymi łzami, swobodnie i z ulgą.

Kobieta podniosła wzrok i jej twarz rozbłysła bielą. Widok siostry nappełnił ją radością, jak woda nappełnia wiadro. Schowała pęk kluczy pod wąż pache, zeskoczyła z jaja i serdecznie wycalowała Marię, po czym odwróciła się do Iwana i cmoknęła go zimno w oba policzki.

- Mario! Och, kochana siostrze! - zawołała. - Tak wiele czasu minęło! Popatrz tylko na siebie, wyrosłaś jak wilczyca! Ach, kiedy stałyśmy się takie poważne?

Maria zapragnęła, by Tatiana chwyciła ją w ramiona i zatańczyła z nią, tak jak robiła w dzieciństwie, gdy mieszkali w domu przy ulicy Grochowej.

- Anuszek, jesteś szczęśliwa? Dobrze się czujesz?

- Znakomicie! Wkrótce wydam na świat drugą córkę! - Z uczuciem poklepała stalowe jajo. - Mąż i żona muszą żyć w całkowitej zgodzie. - Puściła do Marii oko. - Od początku wiedziałaś, że on jest ptakiem, prawda? I o niczym mi nie powiedziałaś, zdrajczynie. Ale co u ciebie? Jesteś szczęśliwa? Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona - odparła Maria Moriewna. - Aniu, to jest Iwan Nikołajewicz. On nie jest ptakiem.

Iwan ukłonił się trzeciej pod względem wieku siostrze Marii.

Anna ze złością wsunęła okulary głębiej na nos.

- Och, wiem, kim jest. Myślisz, że pułkownicy na siebie nie donoszą? W tych okolicach plotki są jak kartki na żywność. Popatrzcie tylko na moją siostrę. Nielojalna kryminalistka, i to w jej wieku! Musisz wiedzieć, że odkąd Zujok pozbawił mnie sumienia, żyję w cnotce, a na dowód mam dwoje porządnych piskląt!

- Jak mało! - Iwan zagwizdał.

Anna zmrużyła pospolite oczy.

- Nie słyszeliście? To niegodne mieć więcej niż nasi sąsiedzi. - Wyszczrzyła się. - Wszyscy musimy się przysłużyć Partii.

- Oczywiście - odparł Iwan.

- Tfu! - splunęła Anna. - Tak się wam obojgu wydaje. - Odwróciła się do niego eleganckimi plecami, po czym ponownie objęła Marię Moriewną. - Musicie zostać na noc, pozwolić odpocząć waszemu biednemu koniowi... cóż za szczerze zwierzę! Ale twój jeniec wygląda na chorego. Zwróci wszystko, czym go nakarmisz. Jesteś moją siostrą. Wszystko, co moje, należy do ciebie, nawet jeśli jesteś wygnańcem. Jesteśmy rodziną. Tylko nie mów

nikomu, że cię przygarnęłam.

Anna wyprowadziła ich na dwór i powiodła po srebrzystym lodzie do małej łaźni, niewiele większej od jednej z szaf Olgi. Mężczyzna w wytartym szarym płaszczu wyszedł z budynku otoczony kłębami pary. Miał szczupłą głowę dzierzby i nie patrzył na Marię, gdy się mijali. Anna uśmiechnęła się do niego, a jej twarz rozpromieniła się jak lampa naftowa. Ujęła go za skrzydło i wróciła do domu, skrzecząc i kracząc do niego w przenikliwej, uporządkowanej mowie nieprzekupnych.

Maria Moriewna nie pozwoliła Iwanowi się odzywać. Tym razem była nieugięta, sprawdzając siłę swej woli. Iwan się jej podporządkował, a w jego poddaństwie kryła się wdzięczność. Jesteś rozpieszczony, pomyślała. Zjadłeś tyle wykwintnych potraw i wszystkie zachowałeś w żołądku, ciesząc się każdym kęsem. Ale teraz zachorowałeś i musisz ustąpić. Posadziła go w łaźni. Na obdrapanym stoliku stał kubek z wódką.

Maria stanęła nieruchomo. Miała wrażenie, że jest dwiema kobietami: starą i młodą, niewinną i doświadczoną, obcą, obojętną. Rozebrała Iwana Nikołajewicza, a jej ręce wykonywały każdy ruch dwukrotnie, najpierw odpinając jego, a następnie jej koszulę. Młodzieniec przewracał oczami i pot spływał po jego czerwonej skroni. Prawie wykrzyknął jej imię, ale przypomniał sobie, że ma milczeć, a ona go za to pocałowała. Masowała jego skórę długimi, twardymi palcami. Jej złocisty chłopiec niemal zasnął na siedząco, uspokojony jej dotykiem i cichym, smutnym śpiewem, na wpół zapomnianymi pieśniami o kąsających wilkach i nieostrożnych dziewczętach. Wkrótce po twarzy Marii spływał pot zmieszany ze łzami. Żałowała, że nie ma przy niej Kościeja, gdyż mógłby jej pokazać, jak opiekować się chorym człowiekiem, którego ciało w niewyjaśniony sposób stało się jej własnością. Ale to już przeszłość. Nie ma Kościeja. Pozostała tylko Maria.

- Pij, Iwanuszek. - Cmoknęła cicho jak matka i przystawiła mu kubek do ust. - Twoje płuca potrzebują wódki.

Posłusznie się napił, zakaszłał, po czym znów pociągnął łyk.

Maria Moriewna zanurzyła jego lepkie stopy w płytkiej wannie należącej do jej siostry. Uniosła dłoń z wodą do jego nosa i kazała mu powąchać. Zakrztusił się i zadławił, ale usłuchał, tak bardzo przyzwyczał się do jej głosu i rozkazów. Wreszcie kazała mu wstać. Sięgnęła do mglistego kąta łaźni, wiedząc, że znajdzie tam długą białą brzoźową gałązkę.

Iwan jednak odpłynął w gorączkę i zasnął zwinięty w kłębek na podłodze jak chart.

Maria powoli upuściła gałązkę. Patrzyła na niego w ciemności, nie wydając żadnego dźwięku.

\* \* \*

Gdy świt poderwał skromne domostwo do pracy, Maria i Iwan Nikołajewicz ponownie znaleźli Annę na szczycie stalowego jaja, gdzie segregowała klucze jak maszyna, a jej palce poruszały się tak szybko, że nie nadążali za nimi wzrokiem.

- Maszo, moja najmłodsza siostrzyczko! - zawołała żona dzierży. - Zabierz to ze sobą!

Rzuciła Marii jeden z kluczy z mosiężnymi zębami, który zalśnił matowo w blasku słońca.

- To klucz do naszego starego domu przy ulicy Grochowej, która teraz oczywiście nosi imię Dzierżyńskiego. Jedna z nas powinna znów tam zamieszkać. Jedna z nas powinna znów być młoda. - Anna zeszła na podłogę po szarej ścianie jaja i wyciągnęła rękę w stronę siostry. Gdy Maria się zbliżyła, przycisnęła twarz do jej piersi, wzięła ją za rękę i zaczęła z nią tańczyć, powoli krążąc po wnętrzu chatki.

Maria mimowolnie jak zwykle się roześmiała. Jak przez mgłę przypomniała sobie dawne radosne dni, całe wieki temu. Z pasją pocałowała Annę w czoło.

- Kiedy nasza matka umarła - powiedziała Anna - ministerstwo przysłało mi te klucze. Tylko mnie potrafili odnaleźć. Zawsze dbamy o aktualny meldunek. - Po czym ucałowała siostrę w oba policzki. Pachniała żelazem i siłą, a Maria Moriewna mocno się w nią wtuliła.

**Część czwarta**

**W Leningradzie nie ma Żar-Ptaków**

*Gdzieś w zimnie, co poprzedza wojnę,  
W lubieżnej i groźnej ciemności  
Żyła pobrzękująca przyszłość...  
Lecz głos jej cichy, przytłumiony,  
Zbyt słaby, by otępić duszę,  
Utonął w zaspach wzdłuż brzegów Newy.  
Niczym w zwierciadle strasznej nocy,  
Człowiek się rzuca niczym diabeł  
I nie chce sam siebie rozpoznać,  
Wzdłuż legendarnego nasypu  
Prawdziwy - nie kalendarzowy -  
Dwudziesty wiek już się przybliża.*

Anna Achmatowa



## Dwaj mężowie przybywają na ulicę Dzierżyńskiego

W długim, wąskim domu przy długiej, wąskiej ulicy kobieta w bladoniebieskiej sukience siedziała przy długim, wąskim oknie i czekała na karę.

Ale sroga i ognista kara nie nadchodziła, mimo że upłynął już rok, miesiąc i dzień. Nie nadchodziło także przebaczenie.

Późną wiosną Maria Moriewna wsunęła mosiężny klucz do zamka w drzwiach domu przy ulicy Dzierżyńskiego, czując, jak klucz jednocześnie wślizguje się między jej zębra i otwiera ją jak relikwiarz pełen starych, bezimiennych kości. Dom był opustoszały. Wszystkie zasłony - zielono-złotą, kobaltowosrebrną i biało-różową - zerwano z karniszy. Pajęczyny tworzyły palimpsest na ścianach, gdzie nieskończone pokolenia pajaków snuły swoje jedwabne opowieści. Wydawało się, że dom znacznie zmałał i pociemniał, jak stare, przygarbione zwierzę, które przestało być użyteczne. W dachu powstała dziura, przez którą deszcz i kwiaty śliwy wpadały do pokoju należącego kiedyś do Marii i jej rodziców. Piec na parterze stał cichy i zimny, pełen starego popiołu, którego nikt nie wybrał. Maria wędrowała kolejnymi pustymi pokojami.

- Tutaj mieszkali Diaczenkowie - powiedziała, sama nie wiedząc, do kogo. Pewnie do Iwana Nikołajewicza, który zaborczo trzymał dłoń na jej ramieniu. Wszystko było nie tak. Miała tutaj znaleźć ciepło, tak jak u Iwana. Życie i żyjących. - Mieli czterech synków, samych blondynów. Nie pamiętam ich imion. Ich ojciec każdego wieczoru jadał paskudną zupę ogórkową. Całe mieszkanie cuchnęło koprem. A tutaj... och, córeczki Błodników! Były takie piękne. Te włosy! Bardzo chciałam mieć takie same. Lśniące i proste jak drewno. Lubiły czytać. - Odwróciła się i popatrzyła na Iwana pustym wzrokiem. - Lubiły czytać żurnal. Każda z nich codziennie mogła go mieć dla siebie na godzinę. Zapamiętywały wzory spódniczek i palety kolorów. Małe Liebiediewe! A tam Małaszeńkowie wiązali pęki kwiatów na sprzedaż, a Swietłana Tichonowna szczotkowała włosy. Dlaczego nikt tutaj nie mieszka? To był dobry dom! Miałam tu dwanaście matek i dwunastu ojców. Jadałam słodkie ryby.

Maria Moriewna padła na kolana przed olbrzymim ceglany piecem w pustej kuchni. Nie płakała, ale jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona od powstrzymanych łez.

- Zwonok - wyszeptała w stronę podłogi. - Zwonok, wyjdź.

W końcu zwinęła się w kłębek na popękanych płytkach i zasnęła, jak potargana dzika kotka, która wreszcie znalazła schronienie przed deszczem.

\* \* \*

Tego wieczoru Iwan Nikołajewicz poszedł do ministerstwa prosić o usprawiedliwienie swojego zniknięcia z obozu, tłumacząc się długą chorobą i wzorową służbą w buriackich wioskach. Zanim zamknął drzwi, złożył na policzku Marii pocałunek, który wydał się jej równie obcy jak tatuaż pod okiem. Pocałunki ją miażdżyły, ścierały na proch, równały z ziemią, gryzły. Nie znikwały po krótkiej chwili. Zapach świeżych liści lipy oraz forsycji wpadł do domu, wypełniając przestrzeń. Maria Moriewna patrzyła, jak Iwan idzie ulicą. Wokół niego opadały szarfy rzucane przez błękitnolawendowy wieczór. Mijał młodych ludzi w czarnych czapkach, którzy grali na gitarach oparci o lipy. Maria zamknęła oczy. Gdy znów je otworzyła, gitary wciąż pobrzękiwały pod bladymi gwiazdami, a Iwan Nikołajewicz zniknął za rogiem. Nagle poczuła, że boi się opuścić dom. Cóż za straszliwe miejsce, gdzie fontanny tryskają martwą, mdłą wodą, a wysokie domy nie mają imion, skóry ani włosów. Ten dom dobrze знаła. Na zawsze pozostał w jej duszy, jako architektura jej dzieciństwa. Słoje drewna nasiąkły tłuszczami z jej skóry, a na oknach nadal znajdował się - od dawna niewidzialny - odcisk jej malutkiego nosa. Duch Marii nieznającej magii, dziewczynki, która jeszcze nie została złamana, nie była żołnierzem ani żoną. Ale Leningrad był jej obcy. Nawet nie nosił tej samej nazwy co miasto, w którym przyszła na świat.

Rury obudziły się ze skrzypieniem, z rozżaleniem plując do zlewu brązową chemią. Maria czekała, patrząc, jak złowrogi smoczy kran tryska jadem do odpływu. Wkrótce letnia woda pojaśniała do koloru słabej herbaty. Po chwili namysłu Maria Moriewna zdjęła buty i ustawiła je obok pieca, gdzie kiedyś skurczyła się do rozmiarów wałka do ciasta. Podwinęła nogawki czarnych spodni, po czym nabrała wody na złożone dłonie i chlapnęła nią na podłogę, gdyż nie miała wiadra, a następnie uklękła i zaczęła szorować posadzkę za pomocą tłustej szmaty i kilku starych gazet, które znalazła upchnięte w piecu. „Podli szpiedzy i zabójcy pod przykrywką lekarzy!” - głosił nagłówek, a Maria wgniotła go w podłogę, aż tusz spłynął razem z wodą i nieczystościami. Dokuczało jej trzeszczące kolano objijające się o płytki, ale w końcu odsłoniła pojedynczą pobielającą i wyblakłą różę, część wzoru, który pamiętała z niegdyś czystej kuchni. „Chcę zobaczyć różę!” - wrzeszczał papa Błodnik na swoje córki.

- Co bym dała, żeby córki Błodników mnie teraz ucałowały i pomogły mi rozpalić w piecu - wyszeptła Maria.

Szorowała podłogę, dopóki jej plecy nie zapłakały i nie poddały się, targane

konwulsjami. Kiedyś została pchnięta bagnetem obok nerki, tamtej nocy, gdy stracili dzielnicę producentów świec, a Kościej zawył na widok jej krwi, jak wilk, który chce, by inne wilki w lesie przyłączyły się do chóru. Maria leżała płasko na brzuchu, czekając, aż jej mięśnie rozkurczą się i pozwolą jej wstać. Chłodne płytki całowały jej twarz. Zza stłuczonej szyby okiennej dobiegał śmiech młodej dziewczyny. Miał kolor śmietany, był jak zmrożone truskawki. Jej kochanek śpiewał do niej: „Znów się spotkamy we Lwowie, kochana, a wtedy...”.

Nagle ktoś skarcił ją szorstko i dźwięcznie.

- Od niecałej godziny jesteście w Leningradzie, a już kazał ci szorować podłogę.

Maria uśmiechnęła się z twarzą przyciśniętą do mokrej posadzki. Zaciśnęła powieki, czując, jak ulga przesywa jej pierś.

- Zwonok, och Zwononia, myślałam, że odeszłaś.

Odwróciła głowę i zobaczyła domowicę o potarganych jasnych wąsach pełnych rozdwojonych końcówek, ubraną w kamizelę z pourywanymi guzikami i połatane spodnie w ceglastym kolorze.

- Nie mówię, że mi się to nie podoba - rzekła Zwonok. - Już od dawna nikt nie dbał o podłogę. Tyle lat upłynęło, odkąd ktokolwiek zawołał: „Zamknijcie drzwi, wchodzi zima!”, że nawet kot zdążyłby wybaczyć zniewagę. Ale zima już weszła, czyż nie? Właśnie tak, właśnie tak. - Domowicha pokiwała głową.

- Przecież to taki wspaniały dom. Dlaczego nikt w nim nie mieszka? I co z Komitetem Domowików, z twoimi przyjaciółmi?

- Odeszli ze swoimi rodzinami. Tylko ja zostałam. To mój dom. Poślubiłam tego starego drania i utknęłam tu na dobre. Niektóre dziewczęta nigdy nie mądrzeją. - Zwonok usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok nosa Marii. - Swietłana Tichonowna umarła. Fatalna sprawa. Jej synów nie miał kto nakarmić, więc pewnego dnia wyszli żebrac i nigdy nie wrócili. Tak się dzieje z najmłodszymi. Mam nadzieję, że te potwory powpadały do Newy. Zatykali mysie dziury swoimi starymi skarpetami. A ja potrzebowałam tych dziur! Potem bliźniaczki Abramowów coś złapały i wkrótce wszyscy się zarazili, a przed łazienką ustawiały się kolejki jak przed sklepem z kapustą. W końcu przestali sobie zawracać głowę łazienką. Wreszcie miejskie służby do spraw higieny zaczęły ich kolejno wynosić. Niektórzy byli martwi. Inni jeszcze nie. Twoja matka była jedną z ostatnich. Razem z nimi wypełzły ich domowiki, trzymając się kurczowo za brzuchy, szarpiąc się za wąsy. Nie możemy zachorować na czerwonkę, ale odczuwamy ból razem z naszą rodziną. - Zwonok pociągnęła się za wąsy i popatrzyła na czystą różę na podłodze. - Czuję, kiedy postrzelili cię w ramię i

kiedy przebili ci plecy bagnetem. Tak wiele dla ciebie wycierpiałam. Komitet Mieszkaniowy próbował zameldować tutaj nowych lokatorów, ale ja ich nie chciałam. - Domowicha splunęła, uważnie omijając czyste miejsce, które odsłoniła Maria. - Nic z tego! Leniwe grubasy, same lizusy i pijaki! Umieścili Bagirlisów, całą ósemkę, w twoim dawnym pokoju na piętrze. A potem pojawili się Grusowowie. Mąż i żona, szczur i szczurzyca! Złożyli donos na poprzednich gospodarzy, dzięki czemu dostali resztę domu dla siebie! Nawet nie mieli dzieci! Z pewnością maluch udusiłby się w łonie takiej wścibskiej suki. Cóż, Zwonok ma na ten temat własne zdanie, a brzmi ono następująco: do diabła z nimi wszystkimi. Rozbijałam ich rzeczy i grzechotałam krokwiemi, dopóki nie uciekli. Dziwne, że od tamtej pory nikt nie poprosił o przydział! Ha! - Chochliczka klepnęła się w kolano.

Maria Moriewna roześmiała się, chociaż od tego rozboleły ją plecy. - Och, Zwonok, stęskniłam się za tobą.

- Cóż, trudno powiedzieć, żebyś zawojowała świat. Widziałam tego nedorajdę, którego ze sobą przyprowadziłaś. Śmierdzi jak donosiciel. Jak Grusow.

- Nie sądzę. - Ale przecież go nie pytała. Zna tylko smak jego ust. Czego jeszcze o nim nie wie? Wszystkiego, wszystkiego.

- Założę się, że Papa Kościej nie kazał ci kłęzc na brudzie i szorować kuchni. Założę się, że miałaś kokosznik pełen szafirów i trzymałaś na kolanach pasiastego kota.

- Niezupełnie. - Ale rzeczywiście miała klejnoty i nie musiała się zadowalać cmoknięciami w policzek. Czyżby się pomyliła? Może postąpiła pochopnie. Jeszcze nie wolno jej tak myśleć; musi spróbować. W końcu, co tam na mnie czeka? Wojna, krew i srebrzyste plamy jak gwiazdy.

- Cóż, owszem, ale dopiero po przyjściu Wija. Ja też to czułam, mimo że byłam tak daleko od ciebie. Ale wcześniej było dobrze, prawda? Przepiórcze jaja każdego wieczoru? Miedziane wanny?

Maria znów się uśmiechnęła. Włosy ześlizgnęły się jej z karku.

- Tak, było dobrze, Zwoniu. Przed wojną.

- Coś ci powiem, Maszo, moja dziewczynko. Powinnaś była zostać z Kościejem. Rozumiem, że od czasu do czasu masz ochotę przejechać się na nowym koniu, w końcu sama także co sto albo dwieście lat oglądałam tapety w innych domach, ale nie warto zamieniać tygrysa na tłustego kociaka. On tylko zasika podłogę i będzie cię ignorował albo gryzł, żeby wymusić ryby, których nie masz.

- Kiedy go zobaczyłam, myślałam, że będę mogła zwinąć się w kłębek w jego wnętrzu i zasnąć na zawsze.

- Mężczyźni się do tego nie nadają, Maszo. Zawsze chcą cię zaprząć do pracy, jeśli akurat nie łagodzisz ich upadku na łóżko po ciężkim dniu.

- Chciałam znów poczuć, że żyję. Chciałam stać się kimś innym.

Zwonok wstała, otrzepując czerwone spodnie. Oparła dłonie na biodrach.

- Cóż, mam nadzieję, że leżenie na tej podłodze jak zбитy pies spełnia wszystkie twoje oczekiwania. - Wzruszyła ramionami, po czym podskoczyła na jednej nodze, obróciła się trzy razy, wzięła głęboki oddech... i znieruchomiła.

Przez chwilę patrzyła na Marię spod przymrużonych powiek, aż wreszcie wyjęła coś małego i białego z kieszeni kamizelki. Przedmiot zaczął rosnać, aż w końcu Zwonok nie mogła go już utrzymać. Dała mu upaść na płytki. To była porcelanowa filiżanka z wisienkami na uszku, popękana w wielu miejscach.

Zwonok przeskoczyła przez pętlę uszka i zniknęła.

\* \* \*

- Maszo! - Grzmiący głos Iwana Nikołajewicza pędził przez dom razem z podmuchami niosącymi zeszlóroczne liście.

Maria Moriewna ocknęła się. Wstała z kuchennej podłogi, a jej kości zatrzeszczały z niezadowoleniem. Mięśnie pleców wciąż nie odzyskały pełnej sprawności, ale straszliwy skurcz ustąpił. Otrzepała czarną kurtkę. Nadal było za zimno, żeby ją zdjąć, a nie miała innego stroju poza mundurem marszałkowskim, który Iwan zabronił jej nosić na ulicy.

- Mam dobre wieści, Maszo! - zawołał. Jego złocista głowa pojawiła się w drzwiach kuchni, a uśmiech, który wypłynął na jego twarz, gdy ją zobaczył, rozgrzał pomieszczenie jak piec.

Za nim wstydliwie kroczyła młoda kobieta z długim warkoczem niosąca na rękach śpiące niemowlę.

- Komitet Mieszkaniowy jest tak wdzięczny, że ktoś chce zamieszkać w tym starym przeklętym miejscu, że poprosili jedynie, abyśmy podzielili się domem z jedną rodziną. Czyż to nie cudowne? Tylko pomyśl o tej całej przestrzeni! Mario Moriewno, przedstawiam ci Ksenię Jefremownę Ozierną i jej córkę Sofię. Towarzyszka Ksenia uczy się w szkole pielęgniarstwa, więc na pewno będziemy z niej mieli dużo pożytku. Maszeńko, czyżbyś próbowała sama umyć podłogę? Bez mydła i wiadra? Widzisz, jaką mam pracowitą żonę, Kseniu? - paplał Iwan.

Widziała, że jest zdenerwowany. Przepelniał go lęk, że ludzie się o nich dowiedzą. Nie byli małżeństwem. Maria uznawała za żałosne, że tak mu zależy, by nikt tego nie odkrył. W końcu kogo to obchodzi? Pomyślała o Grusowach i zadrżała. Czego jeszcze o nim nie wie?

Ale nie dbała o to. Chciała jedynie, żeby znów zabrał ją do łóżka i rozgrzał, sprawił, by poczuła słońce wewnątrz swego ciała.

Ale powiedziała tylko:

- Dobry wieczór, towarzysko Ozierna.

- Dobry wieczór, Mario Moriewno - odpowiedziała młoda kobieta, a jej ciemne oczy napełniły się ciepłem i nadzieją.

Ależ ona musi być samotna, pomyślała Maria.

- Gdzie jest ojciec dziecka? - spytała z zaciekawieniem, choć nieco oziębło. Kierowała nią ciekawość, a nie poczucie moralności.

- Zmarł - odpowiedziała z goryczą kobieta. - Mężczyźni umierają. W zasadzie tylko do tego się nadają.

Iwan Nikołajewicz odchrząknął.

- Cóż, będziemy mieli mnóstwo czasu na opowieści o naszym życiu. Wolicie mieszkać na górze czy na dole, Kseniu Jefremowno?

- Proszę - pośpieszyła się Maria, zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć - zamieszkajcie na dole. To bliżej pieca. Ze względu na dziecko. - Poza tym, na górze jest mój dom, dodała w myślach.

- Dziękuję. Potrafimy się zdomowić wszędzie, gdzie rzuci nas los. Ale tak z pewnością będzie... lepiej. Często zażywam kąpieli.

Iwan się rozpromienił.

- Przepraszam na chwilę, towarzysko Ozierna. Chciałbym zamienić kilka słów z żoną.

- Oczywiście.

Maria cicho parsknęła. Dziwak z ciebie, Iwanuszek, skoro wyrzucasz ją z pokoju, który właśnie jej dałeś.

Ksenia Jefremowna zniknęła w salonie, gdzie córki Małaszeńków kiedyś kłóciły się o róż do policzków. Gdzie Swietłana Tichonowna wieszła wszystkie swoje teatralne afisze. „Córka Faraona”. „Giselle”. „Śpiąca królewna”.

Iwan Nikołajewicz szybko przycisnął Marię do siebie, po czym zanurzył twarz w jej włosach.

- Maszo - wydyszał - nie patrz na ten dom. Nie patrz na martwy piec, na dziurę w dachu. Dla ciebie odbuduję to miejsce, dom twojego dzieciństwa, a wtedy będziesz pewna, że dobrze wybrałaś. Zobacysz, jak ci służyć.

Maria Moriewna westchnęła, wsparta o jego ramię. Zaciągnęła się jego zapachem.

Właśnie tak. Mów dalej. Opowiadaj mi, dlaczego to był jedyny wybór.

- Zabierz mnie na górę - wyszeptała.

Tak zrobił. A gdy wychodzili z kuchni, Maria zauważyła kałużę wody, idealnie okrągłą i falującą, w miejscu, w którym stała dziewczyna z warkoczem i niemowlęciem.

\* \* \*

I tak to się toczyło. Komitet Mieszkaniowy wysłał robotników do naprawy dachu, a Iwan wyszczerzył się do Marii, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, ja też dowodzę ludźmi”. Za pomocą żrącego niebieskiego mydła i ługu wypalili cały brud i chorobę z kuchennej podłogi. Wszystkie róże ponownie rozkwitły na płytkach, chociaż już nie były różowe, tylko bladobrazowe. Iwan wynosił kolejne wiadra popiołu z pieca, a Maria rozplakała się, gdy zobaczyła wśród szarych węgli spalony narożnik żurnala, na którym widniał czubek kapelusza z piórami. Całą czwórką zgromadzili się w kuchni, żeby po raz pierwszy napalić w czystym piecu. Mała Sofia klaskała w pulchne dłonie i razem dmuchali na niewielki płomień, dopóki nie urósł. Sadza, dym oraz zapach trocin i sosnowych igieł wypełniły dom, ale zrobiło się ciepło. Tego wieczoru Ksenia ugotowała słodką uchę z solonej makreli, którą zachowywała na szczególną okazję, z wonnym zielonym koperkiem pochodzącym ze starego ogródka na parapecie, teraz zarośniętego i pełnego nowych pędów.

Przyznano im meble i kartki na jedzenie, ze względu na stanowisko, które Iwan Nikołajewicz zajmował w *Czeka*, Komisji Nadzwyczajnej. Maria roześmiała się, gdy powiedział jej o swojej posiadzie.

- Przecież to nic nie znaczy, Iwanuszek! Co jest w niej takiego nadzwyczajnego?

- To trochę jak praca milicjanta, Maszo. Szeryfa.

Nigdy nie potrafiła podchodzić do tego poważnie. Do tych wszystkich liter, akronimów, kodów, kolorów, które zmieniały się każdego tygodnia i miesiąca, jak podczas zabawy w komórki do wynajęcia. To były gry demonów. Nic dla niej nie znaczyły, najwyżej przypominały o miłych chwilach, gdy Nagania chciała się bawić w przesłuchanie, a pozostali woleli grać w szachy.

Iwan kupił jej trzy sukienki i dwa komplety ze spodniami, czarny i brązowy. Nigdy nie włożyła sukienek. Wisiały na pustym karniszu - czerwona, biała i żółta - nie wpuszczając słońca. Maria, Ksenia i mała Sofia często chodziły razem na targ, żeby kupić ziemniaki, chleb, kapustę i cebulę. Czasami udawało im się dostać rybę. Czasami nie. Jeśli gwiazdy im sprzyjały, pojawiała się wołowina, chociaż zawsze kończyła się, zanim dotarli do początku kolejki. Ksenia Jefremowna i Maria żartowały o bogactwach, które rozdrapywali ludzie stojący przed nimi.

- Ci, którzy przychodzą tutaj o trzeciej, kupują banany!

- Stara wdowa Ipatiewa pożera całą czekoladę. Dlatego ma takie brązowe zęby!

Maria myślała: Mówię jak rodowita mieszkanka Leningradu. Coś podobnego.

A w nocy, w wąskim łóżku w swoim dawnym pokoju, Maria Moriewna mocno trzymała Iwana w sobie, domagając się posłuszeństwa, domagając się, by wyrwał sobie duszę i opróżnił ją do jej wnętrza. Dopiero wtedy czuła się spełniona i zakorzeniona, chociaż i tak nigdy nie czuła się sobą. Siostrą Anny, Tatiany i Olgi. Córką dwunastu matek. Młodą Pionierką. Sześciolatką nieznającą ptaków.

Zaczęła wędrować po domu, tak jak przed laty, niespokojna i zakłopotana. Chodziła, a jednocześnie czytała, myślała, mówiła. Zasnęła nagle i tylko na krótką chwilę; nocami wyteżała wzrok jak sowa. Bała się śnić i wciąż nie miała odwagi opuścić domu. Za każdym razem, gdy patrzyła przez długie, wąskie okna na wiśnię, na której kiedyś przysiadali mężowie jej sióstr, myślała, że znów zobaczy Bujan - karmazynowy, kościany, świetlisty, kompletny, bez srebrnych śladów. Albo wręcz przeciwnie, zobaczy bezbarwną krainę Wija wsączającą się przez szwy do Leningradu. Nie była pewna, czy pragnie zobaczyć to wszystko, czy może się tego boi. Co chwila sztywniała, gotowa chwycić strzelbę (ukrytą pod łóżkiem, na którym leżał Iwan, zupełnie jakby on także mógł wypalić w jej dłoniach) i pobiec na czele armii utkanych mężczyzn w miękkich, bezgłośnych butach. Podrywała się, słysząc gwałtowne głosy chłopców i dziewcząt przechodzących pod jej oknami w drodze na Newski Prospekt, gdzie czekały lody, filmy i kawiarnie, gotowa skoczyć na nich i poprzegryzać im gardła.

Dom zdecydowanie się skurczył, tego była pewna. Odległość między nieobecną kobaltowosrebrną zasłoną a równie nieobecną zielonożółtą zasłoną, kiedyś oszacowana na pięć kroków, obecnie zmniejszyła się do trzech. A może to jej kroki się wydłużyły. Zostało nas tak niewiele, pomyślała i tej nocy zostawiła but dla domowichy. Iwan, wiecznie poirytowany jej nienasyconym apetytem na buty, nazwał ją szaloną wilczycą, a ona się skrzywiła. Tamtej nocy, gdy spał, nagle skoczyła na niego i wściekle ugryzła go w policzek. Już nie była szalona, nie była wilczycą. Popatrzył na nią zszokowany, zraniony i zaskoczony. Scałowała z niego krew, po czym przyciągnęła go do siebie, do swoich palców i ust. Protestował, chociaż jednocześnie wplątywał palce w jej włosy. „Rano muszę iść do pracy, Maszo!”.

„Myślisz, że przeżyłam światy żywych i umarłych po to, żeby być kochanką Partii? To wobec mnie masz być lojalny; ja jestem twoim komisarzem”.

A on jej uległ, jak zawsze.



\* \* \*

Dzięki bezsenności Maria Moriewna odkryła osobliwe zwyczaje Kseni Jefremowny. Pewnej długiej, nieprzeniknionej styczniowej nocy zamorska królowa cicho zeszła po schodach, by ogrzać lodowate stopy przy piecu. Starła się iść na paluszkach, aby nie obudzić sympatycznej adeptki pielęgniarstwa i jej maleństwa. Dziecko miało ciemną poskręcaną czuprynę i bez przerwy paplało, co jakiś czas wyraźniej wypowiadając słowa „mamoczka”, „Sofia”, „mleko” i „rybki!”. Właśnie nauczyła się chodzić i terroryzowała wszystkich, biegając na oślep korytarzami i w poprzek salonu. Jednakże Maria odkryła, że pomimo bezgwiezdnej nocy matka i dziecko nie śpią, tylko czekają, aż na ceglany piecu zagotuje się woda w olbrzymim czajniku.

- Dobry wieczór, Mario Moriewno! - szepnęła Ksenia. - Co się stało?

Dziecko bezmyślnie zamachało tłustymi rączkami.

- Nic, Kseniu, po prostu zmarzłam. Przez ten stary dach ciągle mamy przeciągi. Mogę usiąść przy piecu?

Ksenia Jefremowna zmarszczyła czoło.

- Oczywiście. Wszystko, co mam, należy też do innych.

Maria usłyszała także dalszy ciąg jej słów: „Chociaż bardzo tego żałuję”.

Maria usiadła zgarbiona przy ceglany piecu. Ciepło przenikało jej ciało, otepiając ją i usypiając. Włożyła palec w dłoń Sofii.

- Mocno ściska. Może wyrośnie na żołnierza.

Ksenia zmierzyła ją wzrokiem. Maria nigdy nie mówiła tego, co trzeba, zwłaszcza w obecności dziecka.

- Zaczęłaś ją uczyć słów? - spróbowała ponownie.

- Tak, jest bardzo mądra.

Jak na komendę, Sofia uniosła rączki i pisnęła:

- Woda! - Potem zanosła się chichotem.

- Tak, moja rybko! Czas na wodę. - Ksenia wykręciła dłonie. - Jesteśmy wstydlive - dodała niezręcznie.

- Odwróć wzrok, jeśli to wam pomoże. Nadal mi zimno. Ale po co kąpiecie się o tej porze? Pomrzecie we śnie.

Młoda pielęgniarka ciężko westchnęła, rozplatając długi warkocz i rozpuszczając ciemne, lekko wilgotne włosy.

- Mam taką... przypadłość. Moja córka również jest nią dotknięta. Chorujemy, kiedy nasza skóra i włosy wysychają. To szczególnie niebezpieczne w nocy. Poduszki wchłaniają

tak wiele wody. Dla siebie nawet nie wyciągałabym czajnika, ale moja mała rybka nie znosi wody z kranu.

Maria Moriewna przechyliła głowę, obserwując dziewczynę z zaciekawieniem, jak wrona. Z doświadczenia wiedziała, że tak zachowują się rusałki. Padają trupem, jeśli wyschną. W Bujanie rusałki miały do dyspozycji olbrzymi kompleks pływacki kryty przeszklonym dachem, pełen kryształowobłękitych basenów i gorących saun, dzięki czemu mogły zostawać w mieście na noc. W domu, w swoich jeziorach, nie musiały się niczym przejmować. Wystarczyła chwila spędzona w wodzie, a już lśniły, śpiewały oraz radośnie topiły całe tłumy swoich kochanków. Jednakże z daleka od zielonych, trawiastych górskich głębin padały ofiarą tajemniczych osobistych rytuałów, koniecznych, by utrzymać rusałkę przy życiu.

- Kiedyś znałam kogoś, kto był dotknięty podobną przypadłością - rzekła Maria powoli. Nie miała pewności, więc nie odważyła się na konfrontację.

Ksenia Jefremowna popatrzyła na nią niewzruszonym wzrokiem.

- Nie dziwi mnie to, towarzyszeko Moriewna.

W ciszy, którą zakłócał tylko odgłos osuwania się poczerńiałych kawałków drewna w piecu, Maria pomogła Kseni napełnić niewielką wannę i zanurzyć w niej długie włosy. Głaskała loki dziewczyny, upewniając się, że każde pasemko dokładnie się namoczyło. Pod wpływem impulsu pocałowała młodą kobietę w wilgotne czoło.

Rano nie wracały do tego tematu.

\* \* \*

Czy była szczęśliwa? Czy myślała o Kościeju? Miała wrażenie, że patrzy na siebie z dużej odległości i porusza się niczym w wodzie. Dopiero codzienne drobiazgi sprawiały, że wracała do rzeczywistości: zapach wiśni gnijących na ziemi pod jej oknem, trzeszczenie radia, co zawsze ją niepokoiło, ostra woń octu, którego Ksenia używała do konserwowania połówek jaj, grzybów i kapusty przynoszonych z targu. Ksenia lepiej od Marii radziła sobie z życiem. Maria akceptowała tę różnicę, chociaż każdego dnia o zmierzchu spoglądała ponad wilgotnym ramieniem przyjaciółki, spodziewając się, że w kącie ujrzy Naganię z niezadowolaniem postukującą szczęką. Ale nigdy niczego nie zobaczyła; nie podążyli za nią lub woleli pozostawać w ukryciu. Maria sama nie wiedziała, co woli. No i był jeszcze Iwan. Poruszał się wewnątrz jej ciała, dawał się zmusić do uległości, przynosił jej drobne przedmioty, takie jak grzebień czy szklanka wody. Kurczowo się go trzymała, gdyż wtedy opuszczenie Bujanu nabierało sensu. Nie opowiadał o swojej pracy, a ona nie pytała, co robi, gdy wychodzi z domu. Wydawało się, że Iwan Nikołajewicz nie ma pojęcia, co z nią począć,

skoro już przyjechała do Leningradu, tak jak prosił. „Mogę ci znaleźć pracę, Maszeńko. Nie chciałabyś pracować? Nie chciałabyś mieć towarzyszy?”. Ona tego nie pragnęła. Chciała jedynie odpoczywać i czytać swoje stare książki napuchnięte od deszczu, bardzo ostrożnie przewracając strony.

- Iwanuszek - odezwała się pewnego wieczoru, gdy pod oknem rozbrzmiewały dźwięczne odgłosy ulicy. - Czy wykonałbyś dla mnie jakieś zadanie, gdybym cię poprosiła?

- Co masz na myśli?

- Czy... zdobyłbyś dla mnie pióro Żar-Ptaka, wy dostał pierścionek z dna morza albo ukradł złoto smokowi?

Iwan zacisnął usta.

- To takie staroświeckie, Maszo. Takie czyny są częścią twojego dawnego życia i dawnego życia Rosji. Teraz już ich nie potrzebujemy. Rewolucja pozamiatała wszystkie mroczne kąty świata. Owszem, w najdalszych ostępach wciąż kryją się pozostałości takie jak Kościej czy kilka Gamajunów. Ale nie mają większego znaczenia. Dawny świat zostawił po sobie brudne, popsute zabawki, które wkrótce posprzątam. Poza tym, w Leningradzie nie ma Żar-Ptaków.

Maria Moriewna odwróciła się do niego plecami, a on pocałował ją w łopatki.

Najgorsze było otulające ją zmęczenie, a także ruina jej domu, która objawiała się jej jak klisza nałożona na inną kliszę. Patrzyła na ścianę i jednocześnie widziała stojącą przed nią Swietlanę Tichonownę kłócącą się z matką podczas prania, Ziemiojada drapiącego mur oraz skórzaną ścianę z dalekiego Bujanu. Wszystko widziała podwójnie albo potrójnie, a jej głowa ugiwała się pod ciężarem tych wizji. Wszystko działo się równocześnie i nakładało na siebie.

Czy była szczęśliwa? Czy myślała o Kościeju?

Myślała o grzybach, occie i starych ranach.

\* \* \*

Minął rok w domu przy ulicy Dzierżyńskiego. Maria siedziała na swoim łóżku przy długim, wąskim oknie i podnosiła wzrok na czerwoną sukienkę wiszącą nad łóżkiem. Sukienka miała głęboki dekolt i długie poły. Pasowała do młodej kobiety.

- Czymże są trzydzieści trzy lata? - powiedziała Maria do pustego domu. - Za wcześnie na kryptę.

Włożyła sukienkę i rozpuściła czarne włosy aż do pasa. Pożyczyła jedną ze szminek Kseni - dziewczyna nie będzie miała nic przeciwko, ma tyle zajęć w tym semestrze. Maria już umiała się malować, więc jej usta elegancko lśniły. Zeszła po schodach i położyła dłoń na gałce potężnych drzwi z wiśniowego drewna. Zamierzała zejść nad rzekę i zjeść loda, a potem

pozwolić, by ktoś zatańczył z nią w barze z pianistą, nawet nie znając jej imienia. Czują zapach akacji, które w tym roku wcześnie zakwitły. Na dworze panował długi, złotawy zmierzch, który w czerwcu w Leningradzie uchodził za noc. Niedaleko jakiś młodzieniec grał na skrzypcach i śpiewał pewnym głosem: „Znów się spotkamy we Lwowie, kochana, a wtedy...”.

Maria Moriewna przekręciła gałkę i otworzyła drzwi prowadzące do miasta. Gdy stanęła na progu w jaskrawoczerwonej sukience, z jej twarzy odpłynęła krew. Jakiś wysoki mężczyzna spoglądał na nią z góry. Miał na sobie czarny płaszcz, a ciepły wieczorny wiatr rozwiewał jego ciemne kręcone włosy przypominające baranie runo. Powoli, nie spuszczając wzroku z Marii, mężczyzna w czarnym płaszczu uklęknął.

- Przyszedłem po dziewczynę z okna - powiedział, a jego oczy napęłniły się łzami.

## W tym domu nie ma piwnicy

*Iwanuszeko, musisz mi coś obiecać.*

*Cokolwiek zechcesz, żono.*

Następnego dnia czyste światło spadło na ulicę Dzierżyńskiego jak lodowate ciosy młota. Minął poranek, ale ono nic nie utraciło ze swej mocy. Było woskowate, twarde, bezlitosne. Młoda kobieta z bladoniebieską wstążką na kapeluszu zapukała energicznie do potężnych drzwi z wiśniowego drewna. Nigdy nie była ptakiem - ani gawronem, ani dzierzbą, ani siewką, ani sową. Jej pełna życia twarz pasowała do bezlitosnego i ostrego poranka. Ponownie zapukała.

\* \* \*

*Iwanuszeko, nieważne, jak dziwne ci się to wyda, musisz być mi posłuszny.*

*Zawsze, żono.*

Mężczyzna w czarnym płaszczu wyciągnął w jej stronę dłoń, jakby nie mógł uwierzyć, że jest prawdziwa. - Kiedy na ciebie patrzę, Maszo, mam wrażenie, że piję lodowatą wodę. Kiedy na ciebie patrzę, czuję się tak, jakby mi podrzynano gardło.

- Podnieś się z kolan. - Coś zakłuło ją w piersi. Czowała się stara, a wiatr znad rzeki pachniał słodko, ale nieznośnie.

- Nie potrafię zaakceptować świata bez ciebie. Staralem się. Przez rok nazywałem każde czarne drzewo Marią Moriewną; szukałem twojej twarzy we wzorach na lodzie. W ciemności rozpamiętywałem twoje odejście jak utratę skarbu.

- Każdego spotykają ciężkie chwile. - Mnie na pewno. Nigdy nie miałam wielkiego wyboru, ponieważ jest mi trudno zarówno tutaj, jak i tam. Jest mi trudno wszędzie.

- Nie zgadzam się - wyszeptał.

- Nikt nie ma prawa do odmowy.

- Czy życie tutaj jest takie cudowne?

Maria Moriewna uklękła, a jej sukienka rozlała się po progu jak kałuża krwi. Przycisnęła czoło do czoła Kościeja.

- A co z wojną?
- Wojna toczy się nie po naszej myśli.

*Iwanuszeko, to mój dom, nieważne, co piszą w gazetach.*

*Tak.*

- Nazywam się Uszanka - powiedziała kobieta z niebieską wstążką na kapeluszu, siadając i wygładzając sztywną brązową spódnicę. - Wyszły na jaw pewne nieprawidłowości, które musicie wyjaśnić, towarzyszeko Moriewna. Odpowiedzcie na moje pytania, a będziecie miały wolne popołudnie. Przejdziecie się na spacer, upieczecie bułeczki.

Maria lekko usiadła na wytartym zielonym fotelu, żałując, że nie jest gdzie indziej. Pragnęła czmychnąć jak łania. Jednakże Iwan Nikołajewicz zapowiedział, że jeśli ktoś przyjdzie, żeby zadać jej kilka pytań, powinna na nie odpowiedzieć i nie jest to zależne od jej woli.

- Dobrze.
- Pracuję z waszym mężem. Czy o tym wiedziałyście?
- Nie. Nie rozmawiamy o jego pracy.
- Ach, jak wspaniale spotkać porządną obywatelkę. A jednak muszę wrócić do tych nieprawidłowości.
- Tak? - Maria zachowywała niewzruszone oblicze. Znacznie lepiej znała się na przesłuchaniach.

- Z pewnością musicie przyznać, że to dziwne, że człowiek pojawia się znikąd po długiej nieobecności na służbie i ma żonę, o której wcześniej nikt nie słyszał. - Uszanka uśmiechnęła się szeroko i szczerze, jakby były dobrymi przyjaciółkami.

Maria siłą woli powstrzymała nerwowe drżenie palców. Patrzyła prosto przed siebie.

- Z pewnością żołnierze często poznają kobiety w dalekich krajach.
- Zatem jesteście cudzoziemką? Znakomicie mówicie po rosyjsku. - Pióro kobiety skrobało po kartce notatnika.
- Ależ nie. Urodziłam się tutaj, w Leningradzie. Oczywiście przed Rewolucją.
- Oczywiście. Pozwólcie, że zadam oczywiste pytanie, towarzyszeko Moriewna. Przepraszam, jeśli obrażę waszą inteligencję, ale taką mam pracę. Czy jesteście żoną towarzysza Iwana Nikołajewicza Gierojewa?

*Iwanuszeko, złamanie tej przysięgi będzie jak rozbicie bardzo starego kryształowego kielicha. Nikt nie zdoła ponownie go poskładać.*

*Rozumiem.*

\* \* \*

- Wróć ze mną - nalegał Kościej. - Ukryj się we mnie, tak jak przedtem. Usypię na twoich kolanach sterty klejnotów, choćby Wij miał spalić ten świat. Czarnoświatło już do niego należy. Nad moim krajem łopocze srebrny sztandar. Chodź ze mną. Wydobędę swoją śmierć i rozbiję ją młotem, a Wij będzie mógł nas posiąść. W jego srebrnej krainie będę cię pieprzył aż do końca świata.

Maria potarła nosem jego nos. Byli jak dwoje zwierząt okazujących sobie czułość.

Kościej Nieśmiertelny zamknął ciemne oczy.

- Jeśli odmówisz, i tak mogę cię zabrać.

- Wiem, że możesz. - Czują jego słowa na samym dnie brzucha.

- Ale tego nie zrobię. Byłoby przyjemniej odpłacić mu tym samym.

- Nie chcę, żebyście przeciągali mnie między sobą jak psy walczące o kość. Obiecujecie to samo, ale żaden z was nie dotrzymuje słowa.

*Iwanuszeko, trudno ci będzie dotrzymać tej obietnicy. To będzie jak budowa wysokiego komina.*

*Powiedz mi, co mam zrobić.*

Uszanka nachyliła się, odkładając notatnik. Miała długi, bizantyjski nos z garbkiem na środku.

- My już wiemy, towarzyszeko Moriewno. Nie ukarzymy was, jeśli przyznacie się do tego, co już znajduje się w publicznych aktach. Dla Gierojewa jest już za późno, ale was nie musimy obwiniać za ten incydent.

Maria zamrugwała.

- A cóż takiego wiecie?

Uszanka elegancko wzruszyła ramionami.

- Któż to może stwierdzić? Może teraz wiem o czymś, o czym zapomnę, gdy stąd wyjdę. Wszystko zależy od was, towarzyszeko.

Zamorska królowa próbowała przypomnieć sobie, jak Nagania grała w tę grę. „Nie, nie, Maszo! Nie możesz unikać mojego wzroku! Domyślę się, że kłamiesz! Źle to robisz! A teraz powiedz mi, że jesteś niewinna, a ja udam, że wyrywam ci paznokiec”.

- Zapewniam was, że cokolwiek mi zarzucacie, nie jestem winna.

- Wiecie co? - Uszanka postukała niezapalonym papierosem w kolano. - Jestem pewna, że macie rację. Czy mogę?

Maria Moriewna pokręciła głową, ale młoda pani oficer i tak otworzyła zapalniczkę, wymachując końcówką papierosa.

- Właśnie dlatego możemy rozmawiać tak serdecznie. Po prostu ucinamy sobie popołudniową pogawędkę, jak mają w zwyczaju damy. Filiżankę kawy? Papierosa? Jesteśmy dla siebie uprzejme i nie kłamiemy. Towarzysz Gierojew poinformował, że spotkał was w okolicach Irkucka, niedaleko granicy z Mongolią. Czy to prawda?

- Na to wygląda. - Maria nie miała pojęcia. Geografia była zmienna, płynna, niepewna.

- Co was sprowadziło do tak odległego miasta, skoro przyszłyście na świat w Leningradzie, w tym domu? I dlaczego nie macie papierów podróжных ani żadnego dokumentu tożsamości? Widzicie, znam was, towarzysko Moriewna... a może Gierojewa? Zauważyłam, że nie odpowiedziałyście na moje poprzednie pytanie. Oczywiście, cisza także stanowi odpowiedź, a ja nie mam zamiaru dalej was upokarzać, więc nie będę się powtarzała. Widzicie, jak szybko czynimy postępy!

Maria uśmiechnęła się słabo.

- Coś was rozbawiło?

- Po prostu przypominacie mi moją przyjaciółkę.

\* \* \*

*Iwanuszek, wiem, że nie dotrzymasz tej obietnicy.*

*Nieprawda.*

- Weź je - westchnął Kościej.

Ciążyło jej w dłoni: czarne jajo zdobione wyłaczanymi srebrnymi wzorami, wysadzane zimnymi brylantami.

- Toczyłeś je po moich plecach, żeby wyciągnęło ze mnie koszmary. - Maria patrzyła, jak jajo lśni w świetle.

- To moja śmierć. Och, moja *wolczico*, nie rozumiesz? Od początku byłem w twojej mocy. Od początku byłem bezsilny.

- A co z rzeźnikiem w Taszkencie?

Kąciki ust Kościeja drgnęły.

- Przesyła pozdrowienia.



Maria obróciła jajo w dłoniach. Brylanty przebiły skórę; pojawiły się kropelki krwi. Gdzieś w jej mrocznym wnętrzu otworzyły się drzwi. Maria wstała, spoglądając władczo dziwnymi, niewidzącymi oczami, tak jak kiedyś on na nią patrzył. W końcu zrozumiała, czym powinna się stać.

- Chodź ze mną, Kościeju.

*Iwanuszeko, nigdy nie schodź do piwnicy.*

*Nie otwieraj drzwi. Nie zaglądam przez dziurkę od klucza.*

*To wszystko?*

- Towarzyszko Moriewna, pozwólcie, że odkryję karty. Gdy w życiu obywatela dzieje się coś niewłaściwego, równie dobrze mógłby chodzić w koszuli wywróconej na lewą stronę. Być może przypadkowy obserwator niczego nie zauważy, ale naturalny porządek rzeczy ulega zaburzeniu. Nawet jeśli taki ktoś ma na sobie płaszcz, nawet jeśli w oczach świata uchodzi za wzór człowieka, to nosi w sobie coś skrzywionego. Sądzę, że podczas swojej nieobecności towarzysz Gierojew związał się z wrogami rewolucji i kontynuuje ich pracę w samym środku Leningradu.

Maria roześmiała się na głos.

- Naprawdę tak uważacie?

- Chyba że to wy jesteście szpiegiem i przyczepiliście się jak minóg do tego dobrego człowieka, a przez cały czas ukrywacie... na strychu? w piwnicy?... wywrotowców, którymi bardzo interesujemy się ja i moi mocodawcy. Powiedzcie, towarzyszko, co bym znalazła, gdybym teraz zajrzała do waszej piwnicy?

Uszanka zgasiła papierosa na parapecie.

*Iwanuszeko, dla ciebie w tym domu nie ma piwnicy.*

*Obiecuję, żono.*

Piwnica domu przy ulicy Dzierżyńskiego cuchnęła cieniami i zaniedbaniem. Stare słoje z marynowaną cebulą pokryły się całunami pajęczyn. Obok nich stały zardzewiała maszyna do pisania, skrzynka z gwoździami, manekin krawiecki oraz trzy dzbanki z piwem domowej roboty. Trunek już dawno nadmiernie sfermentował i wybił z naczyń pianą, która uległa zwapnieniu. Kościej objął Marię w pasie długimi rękami, przyciskając policzek do jej

włosów. Jęknął, gdy ścisnęła w dłoni czarne jajo. Schowała jego śmierć pod sukienką, między piersiami, żeby dotykała jej serca.

- Stań pod ścianą, Kościeju.

Posłuchał jej bez słowa sprzeciwu. Pośród rupieci Maria Moriewna, jakby wiedziona magnetycznym przyciąganiem bądź przecuciem, znalazła to, czego potrzebowała: zwój zapleśniałej liny. Oparła się o Kościeja, który znacznie przewyższał ją wzrostem, i z przyzwyczajenia zaczęła ocierać się o niego biodrami. Podniosła jedną z jego dłoni, obwiązała ją liną, a drugi koniec przeciągnęła przez żelazny pierścień, na którym kiedyś wisiał hak do mięsa.

Kościej Nieśmiertelny przyjrzał się zadzierzgniętym węzłom.

- To mnie nie utrzyma. Wystarczy, że dmuchnę, a się rozsypią.

- Cóż to byłby za dowód, gdybyś nie mógł się uwolnić? - Maria pocałowała go w ciemności w blade usta, czując, jak znów zaczyna w niej wrzeć dawne dziecięce uwielbienie. Potrzebuję tego. Potrzebuję. Będziesz mi posłuszny. Ujęła go za drugą elegancką dłoń i również ją przywiązała, po czym pociągnęła za sznur, unosząc mu ręce nad głowę.

Zawisł, a lzy pociekły mu po twarzy.

- Kocham cię, Mario.

Położyła palec na jego ustach.

- Nie musisz się odzywać, Kostia. Liczy się tylko jedno pytanie: Kto będzie rządził? Nie da się na nie odpowiedzieć słowami. Nie ruszaj się. Nie próbuj poluzować więzów. Będziesz dla mnie cierpieć, tak jak ja cierpiałam dla ciebie. Wtedy zdobędę pewność, że całkowicie i szczerze mi się podporządkowałeś. Że jesteś mnie godzien. - Maria Moriewna ujęła twarz Kościeja w dłonie i dotknęła czołem jego czoła. - Razem dokonamy czegoś niezwykłego - wyszeptwała. - Pamiętasz, jak mi to powiedziałeś dawno temu? Wiesz co zrobimy? Powiem ci, żebyś później nie mógł mi wyrzucać, że cię oszukałam. Odbiorę ci moją wolę, a przy okazji twoją własną. Wydobędę ją z ucha igły, która kryje się w jajku, które kryje się w kurze, która kryje się w gęsi, która kryje się w jeleniu. Kiedy skończymy, ofiarujesz mi swoją wolę, a ja ją dla ciebie przechowam. - Uśmiechnęła się błogo z zamkniętymi oczami. - Nauczyłam się, jak oddawać swoją wolę kochankowi. Można powiedzieć, że jestem w tym geniuszem. Ale ty jesteś nowicjuszem. Nawet mniej niż nowicjuszem. I jak każdy grzeczny nowicjusz musisz zapomnieć o dumie.

Maria się odsunęła; jej oczy błyszczały, krew szybciej krążyła w żyłach. Potem odwróciła się i wspięła po schodach, szorując czerwoną sukienką po czarnych stopniach. Zamknęła za sobą drzwi i przekreśliła klucz w zamku.

\* \* \*

*Dziękuję, Iwanuszek. Jesteś dla mnie taki dobry.*

*Tylko tego pragnę na tym świecie, być dla Ciebie dobrym.*

W oczach Marii rozbłysło nagle zainteresowanie, a nawet radość.

- Czyż to nie świetna zabawa? - odezwała się, a uśmiech pojawił się najpierw po jednej stronie jej twarzy, po czym powoli przesunął na drugą. To zawsze jest gra. A kiedy już się znudzisz, po prostu przerywasz i idziesz zbierać grzyby o północy.

- Słucham? - Towarzyszka Uszanka się wzdrygnęła.

- Lubię gry. A ty tak dobrze sobie radzisz! Zupełnie jakby to było naprawdę. - Jakby te wszystkie akronimy, barwy i komitety były prawdziwe, choć oczywiście nie są. To tylko zabawki, początkowo śmieszne, ale w końcu męczące.

Uszanka parsknęła, kurczowo ściskając notatnik.

- Zapewniam was, towarzyszko...

- Przyjdź jutro, to też się pobawimy, dobrze? Tak bardzo się nudzę! Czuję, że już jesteśmy przyjaciółkami! Jak cudownie znów mieć przyjaciół. - „Wynoś się, wynoś się, wynoś się”, syczało ciało Marii, ale utrzymywała uśmiech na twarzy.

- Jeszcze nie skończyłam, towarzyszko Moriewna!

- Ależ Uszanoczko, już prawie pora obiadowa, a nic nie jest tak ważne, by nam przeszkadzać w obiedzie!

Uszanka się uspokoiła. Odłożyła pióro i notatnik. Przykryła je złączonymi dłońmi i wyszczerzyła się jak wilczyca.

- Tak, towarzyszko Moriewna - wyszeptała. - To świetna zabawa. - Spokojnie podeszła do drzwi i pewnym ruchem chwyciła gałkę.

\* \* \*

Kiedy kobieta wyszła, Maria złapała się za gardło, czując, że serce tłucze się jej w piersi, a krople potu łaskoczą w skronie. Patrzyła, jak Uszanka odchodzi długą, wąską ulicą. Z rąbka jej spódnicy zwisała luźna nitka lśniąca w słońcu.

## A wszyscy nieuchwytni

Maria Moriewna nosiła swoją tajemnicę pod sercem jak dziecko, a jej serce się na niej utuczyło, gdyż tajemnice to jego ulubiona strawa. Życie Marii złożyło się na pół, a łączem stała się podłoga w domu przy ulicy Dzierżyńskiego, która dzieliła jej świat na górę i dół, dzień i noc, Iwana i Kościeja, złoto i kość.

- Słowo daję, że w tym roku marzec przychodził już trzykrotnie, Kseniu Jefremowno - powiedziała Maria tego ranka, stawiając czajnik na ogniu, patrząc, jak herbata rozpuszcza się w wodzie niczym farba, uciszając Sofię i wrzucając pokrojoną parówkę do rondla. Położyła rękę na sercu, by przytrzymać swój sekret. Ksenia roześmiała się i odpowiedziała, że śnieg tak bardzo kocha Leningrad, że nigdy nie opuszcza go przed czerwcem. Rozmawiały jak młode kobiety doświadczające typowych codziennych trosk, a mała Sofia bębniła drewnianą łyżką o stół, wołając „mamoczka, mamoczka”, niczym pokrzykujący lelkowiec.

Kiedy Ksenia wychodziła na zajęcia, Maria Moriewna brała żelazne klucze i otwierała drzwi do piwnicy. Jej tajemnica, wirując, unosiła się ku niej z ciemności, a serce prowadziło ją w dół.

\* \* \*

- Dzisiaj wyglądasz starzej - wyszeptła, po czym przywarła całym ciałem do Kościeja Nieśmiertelnego przywiązanego do ściany.

- Zawsze byłem stary. Po prostu teraz chcesz to dostrzec.

- Czy znów byś odmłodził, gdybym cię pocałowała?

- Zawsze będę stary.

Pocałunki, które otrzymywała od Kościeja w wilgotnej, gnijącej piwnicy, były najśłodszymi w jej życiu, tak słodkimi, że bolały ją od nich zęby. Opierała się o niego, tłukła go pięściami i oskarżała o kradzież młodości albo swobodnie korzystała z jego ciała. Czasami gdy podnosiła na niego rękę, uśmiechał się tak błogo, że wyglądał, jakby umarł. Jednakże jego podniecenie przekonywało ją, że tak się nie stało, a w miejscach, w których jego nasienie spadło na podłogę piwnicy, wyrastały dziwne niebieskie rośliny. Gdy zakwitły, sączył się z nich pył, po czym ponownie umierały. Maria spytała, dlaczego tak się dzieje i dlaczego teraz Kościej ma zmarszczki, ostre zęby i długie, wystające kości.

- Najbardziej żywa czujesz się wtedy, gdy jesteś najbliższa śmierci, Mario - odpowiedział. - Właśnie tam żyję. Z tego składa się moje ciało.

A ona wsparła głowę na jego piersi, tak że jej długie czarne włosy okryły jego nagość jak sutanna, po czym wyszeptwała:

- Chyba wreszcie jesteśmy sobie poślubieni.

Gdy Iwan wracał z pracy, także wyglądał na starszego. Zjadał kotlety i chleb w milczeniu i z ponurą dzikością, po czym z taką samą dzikością otaczał Marię swoim ciałem, całował jej całą skórę i przeklinał ją za to, że nie ma jej więcej. Te pocałunki również były słodkie, tak słodkie, że kręciło się jej w głowie i pędziła między nimi jak tramwaj, w górę i w dół, w górę i w dół. Maria Moriewna nosiła uśmiech w kieszeni, blisko ciała, by nikt go nie ukraść. W myślach rozważała swój sekret, swój skarb, zupełnie jakby chodziło o złoto. Codziennie jak najszybciej wracała z targu, rozpinając zimowy płaszcz i bluzkę, po czym w piwnicy przywierała piersiami do ust Kościeja. Jeśli Iwan się spóźniał, chodziła po domu i tupała, żeby ją usłyszał i biegiem wrócił do domu, ale także po to, by Kościej wiedział, na kogo Maria czeka. W tych dniach jadała tylko najdelikatniejsze kąski.

- Podoba ci się, Kostia? To, że wisisz tutaj w ciemności i na mnie czekasz? - spytała pewnego dnia, gdy kwadrat światła z małego okna powoli przesunął się po posadzce.

- Tak - szepnął Kościej, po czym przewrócił oczami, gdy pocałowała go w szyję i pogłaskała po piersi jak ulubionego kota. - To coś nowego. - Przegranie wojny także jest nowością, nieprawdą?

- Wszystko jest nowe, *wotczico*. Nie wiesz, że nastąpiła rewolucja?

Iwanowi każdej nocy dawała dokładnie siedemdziesiąt pocałunków, z których każdy był inny.

- Pamiętasz, gdzie wcześniej mieszkałam? - spytała. - Że toczyliśmy wojnę? Że byłam żołnierzem?

Iwan ziewnął.

- Minęło już tyle czasu, Maszeńko. To było jak sen. Prawdę mówiąc, czasami mam wrażenie, że to rzeczywiście mi się przyśniło. Dziwne, że ty wszystko pamiętasz.

- Nie potrafię zapominać. Wspomnienia nie dają mi spokoju.

- A co nie daje ci spokoju dzisiaj w nocy?

- Myślę, że jeśli tutaj wybuchnie wojna, tam zapanuje pokój. Duchy wszystko pożrą, ponieważ ich brzuchy potrzebują całego świata, by choć trochę się napełnić.

Iwan przewrócił się na bok; jego długie i szerokie lwie ciało wyglądało na nasycone.

- Mówiłem ci. Ta wojna to tylko zagraniczne prężenie mięśni. Niemiecka sprawa,

która w ogóle nas nie dotyczy.

\* \* \*

W kwietniu odwilż utrzymywała się przez cały tydzień. Na rynku rozbrzmiewał gwar jarmarków, a Ksenia Jefremowna uparła się, żeby zabrać dziecko i Marię na pokaz balonów.

- Mamoczka! - wykrzyknęła Sofia. - Jak dużo! - Próbowała chwycić niebo małymi rączkami.

Wiosna rzeźbiła i dyszała na niebie, a one spacerowały bulwarami, zajadając smażone pierożki z krwawymi wiśniami.

- Co to jest? - spytała nagle Maria Moriewna. Miała na myśli czarny dom przy ulicy Dekabrystów, który wznosił się pomiędzy dwoma zwyczajnymi budynkami mieszkalnymi.

- To dom, w którym wymalowano różne postacie z baśni - odpowiedziała Ksenia Jefremowna. - Dzięki temu pięknie wygląda i ludzie przyprowadzają tam swoje dzieci, tak jak my dzisiaj przyprowadziłyśmy Sofię. Na drzwiach widać Żar-Ptaka, na kominie burego wilka, ponad ścianami przeskakuje Iwan Głupiec z Promienną Jelenią w ramionach, a za nimi biegnie Baba Jaga, wymachując łyżką. Tam leszy skrada się w ogrodzie, a wraz z nim wiła, wodnik i domowik w czerwonej czapeczce. Z kolei obok kuchennego okna namalowali rusałkę. - Ksenia odwróciła się w stronę Marii. - Jest tam także Kościej Nieśmiertelny, w pobliżu piwnicy. Możesz zobaczyć jego wizerunek na kamieniach węgielnych.

Maria położyła dłoń na sercu.

- Czyż to nie dziwne i cudowne, w co wierzą ludzie? - odezwała się pielęgniarka.

- Tak - odrzekła Maria niepewnym głosem, patrząc na barwny dom, na postacie, które namalowano w taki sposób, że wydawało się, że biegną, wечно się ścigają, a wszyscy nieuchwytni, ustawieni w długim kręgu. Łzy napłynęły jej do oczu. Gdzie jest mój wizerunek? Czy nigdy nie byłam częścią ich świata, tych opowieści i magii?

- Chcę przez to powiedzieć, że nie mam zamiaru schodzić do piwnicy - rzekła Ksenia cicho. - Nie musisz mnie prosić.

Przez dłuższą chwilę trwały w milczeniu. Artretyczne słońce rozprostowywało z trzaskiem kości na bezlistnych gałęziach lip. Maria znów chciała mieć przyjaciółkę i czasami czuła, że tak jest. Żyją przyjaciółkę z czerwonymi policzkami.

- Dlaczego chcesz zostać pielęgniarką, Kseniu Jefremowno?

- To lepsze niż bycie rusałką - odparła Ksenia, wruszając ramionami. Maria zdziwiła się, że dziewczyna z taką swobodą użyła tego słowa. - Dlaczego nie miałabym chcieć dla siebie czegoś lepszego? - ciągnęła. - Przecież wszyscy do tego dążą. Ty nie? Dawny porządek jest dobry dla starców. Rolnik chce, żeby jego syn obawiał się pięknych kobiet, dzięki czemu

nie odejdzie zbyt wcześnie z domu, dlatego opowiada historię o tym, jak jedna z takich kobiet utopiła przyjaciela kuzyna jego brata w jeziorze, nie dlatego, że był świnią, która na to zasłużyła, ale dlatego, że piękne kobiety są złe, no i są wiedźmami. Nieważne, że ona nie prosiła się o to, by być piękną, urodzić się w jeziorze, żyć wiecznie i nie wiedzieć, jak oddychają mężczyźni, dopóki któryś z nich nie przestanie tego robić. Nie chcę być piękna i nie chcę być kobietą ani niczym innym. Pragnę się dowiedzieć, jak oddychają mężczyźni. Pragnę, żeby moja córka wstąpiła do Młodych Pionierów i wyrosła na kogoś ważnego, na przykład pisarkę albo immunologa, żeby nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, czym jest rusałka, ponieważ wtedy będę wiedziała, że jej świat nie będzie przypominał świata, w którym rolnicy opowiadają swoim synom, jak złe są piękne kobiety.

- Sofa będzie dobla - uroczyście oznajmiło dziecko, klepiąc się po głowce.

\* \* \*

Tak się złożyło, że wkrótce przybył transport brzoskwiń z Gruzji. Iwan, Maria, Ksenia i Sofia siedzieli przy kuchennym stole w pobliżu ceglanego pieca, który wciąż trzaskał i świecił, ponieważ odwilż się nie utrzymała, ale oddała dziewictwo kolejnej burzy śnieżnej, a po niej następnej. Wszyscy wpatrywali się w nieco przejrzałe owoce, w ich meszek i zielone liście wciąż wyrastające z ogonków. Brzoskwinie przypominały im lato, blask słońca i deszcz.

- Mamy brzoskwinie jako pierwsi w Leningradzie, ponieważ aresztowałem człowieka, który okradał swoich pracowników - rzekł Iwan Nikołajewicz.

- Dlaczego dali je tobie? - spytała Maria Moriewna, obracając jeden z owoców w dłoniach.

- Bo znam się na aresztowaniach. To rodzaj sztuki. Najważniejsze, żeby aresztować ich, zanim zrobią coś złego. Tak jest najlepiej dla wszystkich.

Maria zerknęła na niego kątem oka. Ależ niepokojącą istotą jest mężczyzna.

- Zdziwiło mnie raczej, że dają ci brzoskwinie, chociaż prowadzą dochodzenie w twojej sprawie.

- Jakie dochodzenie? - spytał Iwan podniesionym głosem. - Czy ktoś pojawił się w domu?

- Towarzyszka Uszanka, która z tobą pracuje. Pytała, jak się poznaliśmy. - Już wcześniej odgadła, że Iwan o niczym nie wie. Towarzyszka Uszanka też miała tajemnicę, chociaż Maria nie wiedziała jaką. Swoją zawsze pozna swego.

Iwan się uspokoił i pokręcił głową, aż zachrząściły kości.

- Co za ulga. Mylisz się, Maszo. W moim biurze nie pracuje żadna Uszanka. Ani w

żadnym innym biurze w mieście. Moja praca wymaga, żebym wiedział takie rzeczy. Wydaje mi się, że twojemu mózgowi przydałoby się jakieś zajęcie. Może już masz dosyć bezczynności?

Ksenia wgrzyła się w brzoskwinie, aż sok trysnął słodkim strumieniem. Towarzyszący temu odgłos przeciął rozmowę na pół. Rzucili się na złociste owoce i błyskawicznie je pochłonęli. Zostawili pestki rozrzucone na stole jak twarde czerwone pociski.

Jednakże Maria Moriewna schowała jedną brzoskwinie w fałdach spódnicy. Zaniosiła ją Kościejowi, gdy dom pogrążył się we śnie. Pokazała mu piersi i dała jeden kawałek owocu za każde kłamstwo, które jej wyznał.

*Powiedziałem, że nie dbam o to, że pocałowałaś leszego.*

*Powiedziałem, że istnieje tarcza chroniąca cię przed Wijem.*

*Powiedziałem, że nie ma między nami żadnych reguł.*

*Powiedziałem, że twój świat różni się od mojego.*

*Powiedziałem, że nie mogę umrzeć.*

\* \* \*

Tego dnia, gdy Maria Moriewna wspinała się po schodach, wracając do swojego drugiego życia, kątem oka dostrzegła błysk srebra. Zaczęła grzebać w czarnym pyłe pokrywającym podłogę piwnicy, paznokciami odrywając kawałki ziemi, aż w końcu znalazła. To była stara szczotka Swietłany Tichonowny. Włosie dzika nie straciło sztywności, a srebro wyraźnie lśniło. Podniosła szczotkę palcami pokrytymi kruszącym się, na wpół zamrożonym błotem, a wtedy cienie wypełniające piwnicę połączyły się pod starym oknem i przed obliczem Marii stanęła wdowa Licho, taka sama jak dawniej, z czarnymi plecami zgiętymi pod sufitem. Roztarła kłykie długimi palcami i kpiąco popatrzyła na Kościeja.

- Bracie, przecież wiesz, że dziewczęta tylko przynoszą ci kłopoty - powiedziała, a jej głos jak zwykle powoli powlekł się po podłodze.

- Wiszę tutaj z własnej woli - odparł Kościej. - A ona sama mnie uwolni.

- Ja bym tego nie zrobiła. - Licho zachichotała. - Przenigdy.

- Czy nie powinnaś teraz być gdzie indziej, siostrze? Realizować mój program, wykonywać moje rozkazy? Przecież wydałem rozporządzenia na czas mojej nieobecności, także odnośnie do ciebie. - W oczach Kościeja rozbłysła nienawiść; powietrze między nimi uległo zakrzywieniu.

- Och, ależ musiałam przybyć i zobaczyć to na własne oczy! W końcu trudno o większego pecha. O gorsze wyczucie chwili. Phi! Akurat to miasto, Mario, akurat ten czas!



Moje stare oczy są pełne łez, a śledziona pęka z dumy. Poszłaś w ślady swojej nauczycielki.

Licho wyciągnęła długą, kościstą rękę i uszczypnęła Marię w policzek, a uśmiech rozciągnął się po jej całej twarzy. Maria się wzdrygnęła. Niczego nie rozumiała. Nie chciała rozumieć. Ktoś wtargnął do jej domu i wykraść tajemnicę, którą mieli znać tylko oni dwoje. Miała ochotę siłą zmusić Licho do zmiany w czarnego charta, a potem ją kopnąć.

Gdzieś daleko rozległ się dźwięk syreny przeciwlotniczej, rozlewając się ponad miastem, ulicą i piwnicą.

## Historia wojenna to czarna otchłań

Spójrzcie, unoszę obie dłonie, a między nimi znajduje się Leningrad. Unoszę dłonie, a między nimi znajduje się czarna otchłań, w której Maria Moriewna milczy. Chciałaby się odezwać, ponieważ uważa, że opowieść jest jak skarb i może należeć tylko do jednego smoka. Ale zmuszam ją, by się nią podzieliła; nie pozwolę, by zachowała wszystko dla siebie. Mam taką moc. Nie pozwolę jej mówić, ponieważ ją kocham, a kiedy kogoś kochasz, nie zmuszasz go do opowiadania wojennych historii. Historia wojenna to czarna otchłań. Po jednej stronie znajduje się to, co przedtem, po drugiej to, co potem, środek zaś należy do umarłych. Poza tym, wszystko, co wydarzyło się pomiędzy moimi uniesionymi dłońmi, zostało wciśnięte między karty książki umarłych, która jest zapisana na moich dłoniach, ponieważ umarłam w tej otchłani, w której milczy Maria Moriewna. A teraz już wszystko jasne, teraz rozumiecie.

Domowik nadaje się do opowiadania historii zdecydowanie lepiej od człowieka, ponieważ nigdy nie próbuje sprawić, by smutne wydarzenia wydały się mniej smutne, a chłopiec siedzący u babci na kolanach pokiwał głową i powiedział: „Wojna była straszna, prawda, babuszko? Ale to nic, bo część ludzi przeżyła, była dobra i miała dzieci”. Pluję na tego chłopca, ponieważ myśli tylko o swoich korzyściach, czyli o tym, że przyszedł na świat. Cóż można poradzić na cierpienie? Tylko przetrwać albo zginąć. Lepiej przeżyć, ale jeśli się nie da, to trudno. Dlatego teraz przerywam, gdyż nadszedł czas, żeby umarli porozmawiali z umarłymi, a głos zabiera Zwonok.

\* \* \*

Przez długi czas nic się nie zmieniło, poza tym, że Iwan Głupiec i Promienna Jelena wreszcie uciekli Babie Jadze, ponieważ czarny dom, na którym ich namalowano, został trafiony pociskiem i spłonął. To znakomita strategia ucieczki, być może jedyna, gdy jest się Głupcem. Chmury czerwonego dymu opadły jak zasłony na całe miasto, ale nie pochodziły z bajkowego domu, tylko ze spichlerzy, w których spaliło się tyle chleba i masła, że później babuszki przyrządzały ciasto ze spieczonej ziemi. Wszystko cuchnęło spalonym tłuszczem. Gdy czerwone chmury podniosły się jak kurtyna, Leningrad zaczął odgrywać przerażające przedstawienie, choć z początku nikt tego nie zauważył.

Baśniowy dom płonął przez cały dzień, a ludzie kolejno przychodzili na niego

popatrzeć.

Maria Moriewna nie brała w tym udziału. Wyglądała tylko przez okno, w czym miała dużą wprawę. Działa wydawały okropne dźwięki, jakby uderzały pięściami w niebo, a ja słyszałam, jak te odgłosy przenikają Marię i sprawiają, że płonie jak czarny dom. Wyglądała przez okno, ponieważ bała się, że Leningrad zacznie umierać tak jak Bujan, i miała rację, choć jednocześnie się myliła. Jak już mówiłam, na razie nic się nie zmieniło, poza tym, że wszyscy ciągle słyszeliśmy strzały - najpierw syreny, potem działa, aż wreszcie syreny milkły, ponieważ nie nadały za kanonadą.

Leningradzkie domy błyskawicznie przeprowadzały inwentaryzację. Pytały: „Jak długo?“, a spiżarnie odpowiadały piwnicom: „Krótko”.

Kartki spadały z nieba pomiędzy płatkami śniegu. Zatykały kominy, a młode dziewczęta podnosiły je z ulicy i zaczynały płakać, nie panując nad sobą, jakby ktoś bezpowrotnie zablokował w nich jakiś przełącznik. Na kartkach napisano: „Kobiety Leningradu, idźcie do łaźni. Włóżcie białe sukienki. Zjedzcie potrawy na stypę. Połóżcie się w trumnach i przygotujcie na śmierć. Sprawimy, że niebo stanie się niebieskie od bomb”.

Maria nigdy nie płakała. Ona również miała w sobie przełącznik, który został zablokowany.

Iwan Nikołajewicz ugniatał swoją wściekłość jak ciasto. Gdy w nim wyrosła, wrzeszczał przez cały dzień.

- Mario, nie masz żadnych dokumentów! Jak mogę zdobyć dla ciebie kartki na jedzenie? Co z ciebie za diablica, że nie masz dowodu tożsamości? Jestem głupcem, że przyjąłem cię do swojego domu. Zrobisz ze mnie przestępcę!

- To mój dom - odparła cicho Maria Moriewna.

Oboje się mylili. To jest mój dom. Ale pozwoliłam im się o to kłócić, ponieważ on jest głupcem, ona zaś czartem, jak ja, a czymże jest świat, jeśli nie ringiem bokserskim, na którym stają naprzeciwko siebie głupcy i diabły?

Kartka na jedzenie mówi: „Tyle życia ci przydzieliliśmy”. Mówi: „Tyle śmierci możemy utrzymać z dala od twoich drzwi. Ale nie więcej”. Mówi: „W Leningradzie nie ma zbyt wiele życia”. Mówi: „Jedynie, czego nam nie brakuje, to śmierć”.

Ale w końcu zdobył dla niej pełen zestaw dokumentów, prawda? I nie myślcie, że nie zauważyłam wśród nich aktu ślubu. Atrament wciąż był wilgotny, gdy przyniósł papiery do domu i cisnął je Marii w twarz. Kiedy mówiłam, że wybrałabym dla ciebie kogoś innego, nie jego miałam na myśli.

- Zrobiłaś ze mnie fałszerza - parsknął. - Zmusiłaś do nadużyć. Za każdym razem, gdy

jesz chleb, powinnaś myśleć: „Zawdzięczam to Iwanowi Nikołajewiczowi, który przymyka oko na moją podłość”.

Maria Moriewna słuchała go jednym uchem. „Zarówno w małżeństwie, jak i na wojnie trzeba słowa kroić jak tort i zjadać tylko to, co jesteśmy w stanie strawić” - powiedziała mi później. „No proszę, ale zmądrzałaś” - odrzekłam, a ona dodała: „Żeby mieć dwóch mężów, muszę być czterokrotnie sprytniejsza”.

Oczywiście wiedziałam o piwnicy. Nie może ujść mojej uwagi nic, co dzieje się w tych czterech ścianach. Skradam się tak jak zawsze, przez ściany i piętra, przez puste przestrzenie, w których spotykałam się z moimi towarzyszami i wznosiłam toasty najlepszym rozcieńczalnikiem za Rewolucję, naszą Rewolucję. Widziałam wszystkie pocałunki na każdym z pięter. Niektóre były dobre, inne takie sobie. Widziałam wiele pocałunków, więc potrafię to ocenić. Może wydaje się wam, że domowiki znają tylko swoje domy, ale miasto to po prostu olbrzymie zbiorowisko budynków, więc nie bądźcie ograniczeni.

Oto przykład. Maria Moriewna wychodziła z domu codziennie rano i wracała wyczerpana wieczorem. Towarzyszyły jej Ksenia i Sofia, która biegła obok nich jak włochaty prosiaczek, ubrana w za duży płaszczyk. Iwan wracał wściekły do ciemnego domu, w którym nie czekały na niego naleśniki, a jedynie nieco oślizgłej jałowcówki w brudnej szklance. Ale każdy z domów wiedział, dokąd chodzą kobiety, nie tylko te zamieszkałe u mnie. Brały wiadra wapna do bielenia i zamalowywały wszystkie numery, adresy i drogowskazy, które udało im się znaleźć. Leningrad już nie miał nazw, był niczym miasto-niemowlę, które nie wie, jak będzie wyglądało, gdy dorośnie. Robiły to na wypadek, gdyby Niemcy zakradli się do miasta, w czym są dobrzy, często bowiem zachowują się jak zwierzęta. Lepiej, żeby się wtedy zgubili. Pochwalałam to, w końcu labirynt to diabelski podstęp. Diabły znają tylko dobre sztuczki.

Przez jakiś czas chleb był chlebem, a masło masłem.

Sądzę, że to Maria Moriewna zobaczyła go pierwsza, ponieważ ma wzrok diablidy. Usłyszałam, jak krzyknęła lewą stroną ust, siedząc przy oknie, po czym wszyscy zobaczyliśmy, jak generał Mróz przekracza Newę. Wstrzymaliśmy oddech i strzeliliśmy palcami, żeby ochronić się przed jego spojrzeniem. Miał buty ze słomy i szmat oraz brodę pełną twardego śniegu. Nie nosił czapki, na głowie miał odmrożenia, a w potężnych czarnosinych dłoniach trzymał podwójny łańcuch, na którym prowadził swoje psy, Grudnia i Stycznia. Ależ one potrafią ugryźć! Stara Zwonok nie zmyśla, żeby was wystraszyć. Spytajcie, kogo chcecie, a powie wam, że generał Mróz to najwybitniejszy rosyjski żołnierz. Chłoczce naszych wrogów lodem, zamraża im broń w garści i posyła za nimi swoje psy. Na

jego piersi wisi więcej medali niż sopli. Jeśli samotność i pech sprawią, że ktoś z was zostanie żołnierzem w Rosji - niech was przed tym uchroni jakieś mało zapracowane bóstwo! - być może go spotkacie. Zasłońcie prawe oko lewą dłonią, włóżcie do ust bryłkę śniegu i przez całą noc czuwajcie przykucnięci w okopie, a niewykluczone, że zauważycie, jak wałęsa się pośród zasp, kładzie dłonie na głowach Niemców i zmienia ich hełmy w śmiertelne maski.

Jednakże, na naszą zgubę, generał Mróz w młodości stracił wzrok. Teraz staruszek przewiązuje bezużyteczne oczy tłustą szmatą i równie chętnie pożera dusze Rosjan, Hunów i wszystkich innych. Dla jego potężnego żołądka nie stanowi to różnicy. Stary bóg często się myli, a jego psy zrywają się ze smyczy i, wściekle ujadając, szaleją w ciemności.

Nikt nie mógł wychodzić. Nikt nie mógł wchodzić. Zimowe suki dobrały się do kartek na jedzenie i porozdzierały je na pół, by wkrótce to powtórzyć.

Pewnie spytacie: Co jada domowik? Przecież nie stoi w kolejce przed piekarnią, czekając na skórki podzielone na dwa miliony sposobów. Otóż żywię się popiołem, rozgrzanymi węglami i słodkim, gorącym wypełnieniem pieca. Gdy wszyscy wreszcie zasną, przyrządzam ciastka z popiołu i węglowe kotlety, po czym się nimi zajadam, brudząc sobie usta ogniem. Kiedy byłam młoda i dopiero zalecałam się do swoich pierwszych mieszkań, nie mogłam uwierzyć, że ludzie jadają paliwo, a nie ogień. Kogo obchodzą ciastka? Mięso było mi potrzebne tylko po to, by podtrzymać płomienie. Ale gdy jesteś stara i zameżna, uczysz się tolerować niezrównoważone obce zwyczaje. Dlatego z początku nie było mi aż tak źle. Kiedy skończył się chleb, wciąż miałam wystarczająco dużo popiołu. Myślałam sobie: Phi! Zwonok to przetrwa!

Ale kartki wciąż spadały, tworząc zaspę na ulicach. „Bić komisarzy. Proszą się o obicie gęby. Tylko zaczekajcie do pełni księżyca! Bagnety w ziemię. Poddajcie się”. Przynajmniej Niemcy potrafili pięknie pisać. Ale nikt już nie płakał nad tymi wiadomościami. Ludzie chwyтали kartki, zanim spadły na mokrą ziemię, i palili nimi w piecach.

\* \* \*

Przed Nowym Rokiem odbyłam trzy rozmowy, które tak naprawdę były tą samą rozmową. Opowiem wam o nich.

Najpierw spotkałam się z Ksenią Jefremowną, której nigdy nie udawało mi się wystraszyć, choćbym nie wiem jak się starała. Stałam na ceglany piecu i grzałam sobie stopy, a ona smażyła dla Sofii naleśniki z mąki na tranie. Dziś trudno uwierzyć, że na początku wciąż mieliśmy prawdziwą mąkę i tran!

„Dlaczego nie uciekniesz, rusałko”, spytałam Ksenię. „Po co tutaj siedzisz, jakbyś była jedną z nich? Maria także rzuca się do kotła razem z innymi, ale trudno odgadnąć

motywy wariatek. Natomiast ty mogłabyś wskoczyć do jeziora Ładoga i wszystko przeczekać”.

„To nie jest moje jezioro, towarzyszko Zwonok” - odpowiedziała Ksenia Jefremowna. „Odbiję się od powierzchni jak rzucony kamyk”.

„Więc wróć do swojego jeziora”, odparłam. Jestem mądrzejsza od nich wszystkich razem wziętych.

Ksenia Jefremowna nie odpowiedziała, tylko złapała gołymi palcami rozgrzany węgielek. Podniosła go do oka - jej mokre palce trzaskały i parowały - po czym mi go wręczyła.

Zaczęłam go żuć, patrząc, jak Sofia żuje swojego naleśnika. Na dworze padał śnieg, a węgielek skrzypiał mi w zębach.

„Już nie jestem rusałką”.

Splunęłam, żeby pokazać jej, co o tym myślę.

„Jestem mieszkanką Leningradu, podobnie jak Sofia. Przetrywamy, ponieważ jesteśmy silne, a nie dlatego, że kiedyś, przed wojną, byliśmy rusałkami. Dziś nikt nie jest tą samą osobą, którą był przed wojną”.

Do pieca z nią. Guzik mnie to obchodzi. Lokatorzy przychodzą i odchodzą. Równie dobrze mogłabym rozpaczać za serem.

Kiedy generał Mróz ustanowił swój przyczółek w każdym domu, rury pozamarzały jak kielbasa, a Maria Moriewna każdego ranka musiała wyrąbywać przerębę na rzece, żeby zaczerpnąć wody na zupę - a także po to, by móc w tajemnicy moczyć włosy Kseni i Sofii - zesłam do piwnicy, zirytowana bezmyślnością tego, co tam się dzieje. Nie chciałam widzieć swojego Papy Kościeja w takim stanie, zawieszzonego na zapleśniałej linie i ubranego w trzy warstwy płaszczy Iwana Nikołajewicza.

Papo, dlaczego się nie uwolnisz i nie zabierzesz ze sobą Marii Moriewny? Nawet źrenice jej oczu to tylko skóra i kości. Nie dostrzegasz tego?

„Dostrzegam, domowicho” - odpowiedział Papa.

A czy dostrzegasz, że twój brat Car Wody kroczy po ulicach i szczuje psami staruszki? Gdyż właśnie tak rodzina nazywa generała Mroza podczas oficjalnych spotkań.

„Owszem. Ale sam się spętałem. Użyłem jej jako łańcucha. Nie mogę się teraz uwolnić i uczynić jej kluczem”.

Cóż, strasznie leniwy z ciebie mąż, stary tępaku! Zwonok uczyła się śmiałości od czajnika i nie zawsze dobrze na tym wychodzi.

„Już nie jestem Kościejem Nieśmiertelnym”.

Splunęłam, żeby pokazać mu, co o tym myślę.

„Po miłości nikt nie jest tą samą osobą, którą był wcześniej”.

Kiedy chleb stał się tylko w połowie chlebem, ponieważ resztę stanowiła kora brzoźowa, a masło stało się tylko w połowie masłem, ponieważ resztę stanowił olej lniany, poszłam do Marii Moriewny, która każdego dnia wpatrywała się w broń pod swoim łóżkiem niczym w krzyż.

„Mogłabym pójść na front” - powiedziała do mnie moja dziewczynka. „Wtedy dostałabym podwójne racje żywnościowe. Ale co by się stało z moimi dwoma mężami?”.

Dlaczego wilk miałby się przejmować bezpieczeństwem owiec? Gdybym miała większe dłonie, sprawiłabym ci lanie. Chwytaj Kościeja za rogi i zapomnij o pozostałych!

„Nie mogę zostawić Iwana Nikołajewicza. Ani Kseni i małej Sofii. Ani ciebie”.

Jeśli chcesz się zabić, nie używaj nas jako noża.

„Wydaje mi się, że potrafiłabym upiec coś w rodzaju biszkoptu z farby, używając terpentyny do smażenia” - powiedziała Maria, po czym zdrapała paznokciem trochę farby ze ściany.

Splunęłam, żeby pokazać jej, co o tym myślę.

„W obliczu takiego głodu nawet nie pamiętasz, kim kiedyś byłaś” - wyszeptła. „Oraz kim mogłabyś być, gdyby nie głód”.

Tamtej nocy spaliła wszystkie książki z poddasza, żeby nas ogrzać. Znosiła je pojedynczo, ponieważ Grudzień pożarł jej siłę. Paliła nimi w piecu, a wszyscy zgromadzili się wokoło i wyciągali dłonie. Ostatnim tomem były wiersze Puszkina. Gdy strawił je ogień, Maria zapłakała, ale bez łez, gdyż nie można mieć łez bez chleba.

„Zapamiętam te książki dla ciebie” - rzekł Iwan Nikołajewicz, ponieważ ją kochał, choć jego miłość była głupia, szorstka i mdła. „Będę ci je recytował, kiedy tylko zechcesz”.

Zjadłam popioły, powoli, by starczyły na dłużej. Wyciągnęłam ręce w stronę pieca razem z pozostałymi. Na zewnątrz wciąż rozbrzmiewały odgłosy wiatru i wystrzałów.

Po rurach wysiadło światło, jak poderżnięte gardło. Czułam to w pieszczelach! Mój biedny dom z zamrzniętymi wnętrznościami i ledwie bijącym sercem! Zakaszłałam krwią, gdy wyłączono prąd.

\* \* \*

Maria Moriewna robiła coś w tajemnicy. Zaraz wam o tym opowiem. Każdego ranka, gdy mrok kłębił się za oknami, siadała przy stole i wyjmowała jabłko z kieszeni płaszcza. Przecinała je na pół. Jedną połowę dawała Iwanowi Nikołajewiczowi, zanim wyszedł do pracy w fabryce areztowań, a drugą Kseni Jefremownej, która z kolei dzieliła się nią z Sofią.

Każdego ranka jabłko płonęło świetliście w jej chudych białych dłoniach.

Było czerwiejsze niż czerwień. Zachowywała kilka kawałków rdzenia, jak kości z kurczaka, a zanim gwiazdy zdążyły wypełnić niebo, owoc znów nabierał kształtów i stawał się taki jak przedtem. Zwonok żałowała, że nie jada jabłek. Maria nigdy nic na ten temat nie mówiła. Zjadały jabłko podobnie, jak kiedyś ludzie spożywali komunię. Bez żucia, pozwalając, by rozpuściło się w ustach. Maria wyciągała dłonie z przekrojonym owocem przypominającym połówkę serca, a mała Sofia każdego ranka sięgała po swój kawałek, nawet gdy zaczęła zapominać słowa i na wpół oślepla w swojej zmrożonej kołysce.

Ale to nie była prawdziwa tajemnica. Dzielenie jabłka widywałam każdego dnia, a sekret Marii objawił mi się tylko raz. Po zjedzeniu jabłka, gdy wreszcie zostawili ją samą, Masza zeszła do piwnicy. Oczywiście, mój Papa także wychudł, ale z nas wszystkich on jeden nie mógł umrzeć od brzydoty i głodu. Popatrzył na nią, a gdyby jakiś dom kiedykolwiek obdarzył mnie takim spojrzeniem, nawet przywiązany do ściany jak domowe ptactwo, nigdy nie musiałabym się odzywać do żadnego człowieka. Maria zaczęła pociągać nosem i drzeć, a jej twarz rozpadła się na kawałki. Opuściła ramiona, jakby była małą dziewczynką, której matka właśnie chwyciła za pas. Płakała nie oczami, ale wygłodniałymi kośćmi.

Papa Kościej zamknął oczy. Na jego szyi otworzyła się rana jak pocałunek. Czerwiejsza niż czerwień. Powstała bez cięcia nożem. Pocięła z niej krew, a wtedy Maria Moriewna przywarła do niej ustami i zaczęła pić jak niemowlę, smarując sobie twarz na czerwono. Przez cały czas wstrząsająco szlochała.

\* \* \*

W końcu chleb przestał być chlebem, a masło masłem, a ich miejsce zajęły ciasto z oleju bawełnianego, papieru i kurzu oraz klej do tapet, a żeby dostać choć odrobinę, trzeba było okazać kartki na jedzenie. Ciastka i pieczywo z kurzu, które nawet nie wyrastały. Nikt nie miał niczego do spalania, ponieważ jeśli coś nadawało się do puszczenia z dymem, można było to zjeść, a ogień na nic się nie przyda trupowi. Dlatego skończyły się węgielki dla biednej domowicy, której dom zachorował. Mimo to, wciąż myślałam: Phi! Zwonok to przetrwa. Opowiem wam, jak w tamtych dniach przyrządzało się zupę. Należy trzymać kartkę na jedzenie nad garnkiem z wrzącą wodą przez pół godziny, tak aby cień kartki padał na wywar. Następnie zjada się zupę, pod żadnym pozorem nie marnując ani kropelki.

Pewnego dnia Iwan Nikołajewicz wrócił do domu w swoim skórzanym płaszczu. Ten strój oznaczał, że zajmował się aresztowaniami. Wszedł do pokoju na górze i znalazł Marię Moriewną w łóżku. Oboje wyglądali jak gałązki ze starego drzewa. Wziął ją w ramiona, a ich kości zastukały o siebie. Pogłaskał ją po włosach jak kotkę. Długie pasma zostały mu w dłoni.



Nie zamierzał jej powiedzieć, co się stało, ale ja o wszystkim wiedziałam, ponieważ przykładałam ucho do dachu i słyszałam, jak inne domy mówią: „Na targu można kupić mięso. Sprzedaje je tłusta staruszka. Jest ubrana w skórzany fartuch i czarny futrzany płaszcz. Jej wóz ma dziwaczne koła, jak pazury. Przywozi tuziny kotletów. Sprzedaje je za perły, zegarki, ruble i buty. Skąd je wzięła? Tylko głupiec kręci nosem nad dobrym mięsem”.

Poprosiłam znajomego domowika z Maklinowskiego Prospektu, żeby któryś z jego chłopców trochę mi przyniósł.

„Nie chcesz tego mięsa” - odpowiedział.

Odparłam, że Sofia musi dostać trochę mięsa, w przeciwnym razie umrze, a ten dom nie znieśnie ani jednej śmierci, gdyż wtedy wszyscy zaczniemy umierać.

Tak więc chłopiec przyniósł nam dwa kotlety, a ja zapłaciłam za nie naszyjnikami z brylantami, który przed laty zabrałam Swietłanie Tichonownej. Chłopcu wcale się to nie podobało, ale wziął naszyjnik i zostawił mięso. Ksenia Jefremowna pokręciła głową.

„Wiem, co to jest”.

Ja także. Ale nie jesteś człowiekiem, więc co za różnica?

Nie da się dyskutować ze zdrowym rozsądkiem. Usmażyła kotlety na patelni, a dom wypełnił się smakowitym zapachem. Sofia wszystko zjadła i odwdzięczyła się nam cichym śmiechem. Obie uznałyśmy, że to uczciwa wymiana, a mnie w udziale przypadł rozżarzony węgielek. Tamtego wieczoru Iwan Nikołajewicz wrócił w skórzanym płaszczu.

Co mogłam zrobić? Na cierpienie nie ma rady.

\* \* \*

Kiedy Sofia umarła, Ksenia Jefremowna i Maria Moriewna zawinęły ją w prześcieradło i ułożyły na jej żółtych saneczkach. Wyszły z nią na ulicę, zostawiając serca na progu. Wszędzie wokół ludzie ciągnęli za sobą sanki, których było więcej niż śniegu. Zdarzało się, że żona ciągnęła na cmentarz męża zamarznętego na kamień i po drodze sama umierała, więc chociaż nie dotarli do celu, w końcu i tak tam trafiali. Mróz tłumiał smród, a wszystkie sanki pokrywała warstwa śniegu przypominająca sierść. Wkrótce niewielki kopczyk utworzył się także na brzuszku Sofii. Wspólny dom zbliża ludzi, a oni byli moją rodziną. Ostatnią.

Nikt się nie odzywał. Wszyscy chuchali w szaliki i ciągnęli swoich bliskich. Ale było za mało ludzi, żeby grzebać umarłych, więc sanki zostawiano na stercie przed bramą cmentarza. Właśnie tam zostawiłyśmy Sofię, a Ksenia położyła się na niej jak kwiat, z włosami przysypanymi śniegiem. Odmówiłam za nich mszę domowików, ale nikt mnie nie usłyszał, ponieważ smutek jest głośniejszy od modlitwy.

Tego wieczoru, gdy siedziałyśmy przy oknie, Maria Moriewna oznajmiła: „Myślę, że w końcu znalazłam swój dom, ponieważ tutaj są wszyscy, których kocham”.

Zamknij głowę, mózg ci ucieka.

„Kościej jest pode mną, a Iwan nade mną. Pośród śniegów wszystko posrebrzało. Pani Liebiediewa przyrządza galaretkę ze szminki, Ziemojad opiekuje się lipami, a na rzece skutej lodem Nagania wlewa sobie do ust benzynę, żeby nie zamarł jej spust. No i jesteś ty, Ksenia Jefremowna i mała Sofia. Wreszcie jesteśmy razem”.

Wyjrzałam przez okno, w które wpatrywała się miesiącami, i na mrocznej ulicy ujrzałam lśniące srebrne rany w miejscach, przez które przesączał się inny Leningrad: inna Newa, inna ulica Dzierżyńskiego, wszystko oblane srebrem. Zobaczyłam kobietę z łabędzimi piórami we włosach, która zniknęła za rogiem, jakąś grubą istotę z martwymi liśćmi na głowie oraz kobietę przypominającą pistolet. Była tam także Ksenia z piersią splamioną migoczącym srebrem. Trzymała za rękę małą Sofię, która skakała i próbowała złapać srebrzyste balony unoszące się poza jej zasięgiem.

„Mamoczka!” - wołała. „Jak dużo!”.

A pomiędzy nimi wszystkimi, niczym komisarz, maszerował mężczyzna o powiekach tak długich, że odgarniał sobie nimi śnieg z drogi. Miał na sobie srebrne brokatowe ubranie i srebrną koronę. Gdy na niego patrzyłyśmy, Car Śmierci uniósł powieki jak poły spódnicy i zaczął tańczyć na ulicach Leningradu.

\* \* \*

Łopatki Marii Moriewny stykały się za jej plecami, a kolana Iwana Nikołajewicza zderzały się hałaśliwie przed jego brzuchem. W domu rosły sople. Razem zdarli tapetę, żeby dostać się do kleju, a potem ugotowali papier i upiekli z niego chleb. Składali się tylko z ust i kości, a ich spojrzenia zacinały się, gdy próbowali na siebie patrzeć. Zjedli chleb ze skórką pokrytą kwiatowymi wzorami, smarując go klejem jak masłem. Chleb nigdy nie był chlebem, a masło masłem. Nie pamiętali takich czasów.

- Niemcy wydrukowali zaproszenia na galę w hotelu Astoria - wyszeptał Iwan Nikołajewicz, jakby ktokolwiek poza mną mógł go podsłuchać. - Podadzą pieczone prosiaki, sto tysięcy ziemniaków i tort, który waży ponad dwieście kilogramów. Na własne oczy widziałem takie zaproszenie. Było wypisane złotym atramentem i obwiązane czerwoną kokardą. Mówią: „Leningrad jest pusty. Czekamy tylko, aż wrony oczyszczą go przed przyjęciem”.

„Nie wierzę ci” - odpowiedziała moja Maria. Jest taka uparta, że gdy jej serce chce zabić, za każdym razem klóci się o to z głową. Wiem o tym, w końcu ją wychowałam.

Gdy jesteś głodny, szept staje się krzykiem.

- Dziwko! Oddam cię w ich ręce, a oni upieką cię na rożnie razem z prosiakami. Co chowasz w piwnicy?

„Obiecałeś, Iwanuszko”.

- Pieprzyć obietnice. Wiem, że ukrywasz tam przede mną jedzenie. Diabelska suko. Śmierdząca kułaczko.

„Obiecałeś, Iwanuszko”.

- Obietnice składane diablicy się nie liczą! Żaden sąd ich nie uzna! Ukrywasz jedzenie, a w Irkucku rzuciłaś na mnie czar! Bo niby dlaczego chciałbym odejść z taką zdziwą?

Schowałam się za piecem. Małżeństwo nie lubi świadków.

„A więc zamierzasz złamać dane słowo. Rozumiem. Zakrywam uszy mojego serca, by cię nie znieawidzić”.

Gdy jesteś głodny, każdy krok nabiera rozmachu. Iwan dopadł do drzwi od piwnicy i zachował się jak głupiec. W końcu zawsze nim był. Nie można obwiniać głupca za jego tępą głowę. Przyszedł na świat tylko po to, by się mylić, wygłupiać i raz do roku rozbawić jakąś ciemnowłosą dziewczynę. Patrzcie, unoszę dłonie, a między nimi znajduje się stary, kochany dom przy ulicy Dzierżyńskiego, a w nim Maria Moriewna i jej mąż, oszalały z głodu jak krowa, oraz Kościej Nieśmiertelny zerkający z ciemności. Uśmiecha się tam w dole, a jego uśmiech ma dwa ostrza.

- Kto tam jest? - spytał Iwan, chociaż znał odpowiedź.

„Tak bardzo chce mi się pić, towarzyszu”.

- Kto? - Iwan zajrzał do piwnicy, szukając wzrokiem marynowanych jaj, przetworów z wiśni, dzbanka z piwem, tych wszystkich smakołyków, które zazwyczaj przechowuje się w piwnicach.

„Tak bardzo chce mi się jeść, towarzyszu”.

Iwan zszedł po schodach, ponieważ był głupcem i nie wierzył, że Maria ukrywa przed nim tylko Kościeja. Przez całą zimę dręczył się marzeniami o potrawach, które przed nim chowała, nie dopuszczał więc myśli, że ich tam nie ma, gdyż wtedy okazałby się kimś gorszym od głupca.

„Może dasz mi trochę wody, Iwanie Nikołajewiczu?” - odezwał się Kościej.

Wyschnięte ciało Iwana nie było zdolne do płaczu, zaczerpnął więc nieco łez z przyszlých dni, żeby Kościej zobaczył jego smutek i nie miał żadnych wątpliwości.

- Dlaczego nie możesz się od nas odczepić? Wynoś się, wynoś się, starcze; zostaw nas

w spokoju.

„Chętnie bym to zrobił, ale jestem taki słaby”. Nikt nie powinien ustępować tylko dlatego, że mój Papa się uśmiecha.

Głupiec jednak poluzował więzy Kościeja, po czym napił go wodą z brudnej, na wpół zamrożonej kałuży. Maria Moriewna patrzyła na to wszystko ze szczytu schodów, a jej czarne włosy zwisały wzdłuż ciała. Ja również tam byłam, więc widziałam, jak Papa rusza w jej stronę, i mogę wam zdradzić, że Maria popatrzyła na nich obu oczami wrony, po czym powiedziała: „Tak, Kostia. Weź mnie. Weź mnie”.

\* \* \*

I tak zostaliśmy sami, Iwan Nikołajewicz i ja, w zimnej, wilgotnej piwnicy.

Splunęłam, żeby pokazać mu, co o tym myślę.

\* \* \*

Stara Zwonok umarła, ponieważ umarł jej dom. Właśnie na tym polega małżeństwo.

Pozostali odeszli od nas już wcześniej, niektórzy nie jeden raz, ale nawet jeśli część domowików jest zdolna do łez, ja do nich nie należę. Cóż więcej można powiedzieć? Wszyscy umarli. Ksenia Jefremowna. Sofia Artiomowna. Nawet Iwan Nikołajewicz umarł, gdy nadeszła wiosna. Pozostała tylko Zwonok, a w końcu i ona zniknęła. Trafił w nas niemiecki pocisk, oszczędzając domy po prawej i lewej stronie. Oto, co spotyka rzeczy, które kochacie.

Teraz wędruję po drugim Leningradzie. Srebrzystym i zębatym. Tym, który Maria i ja zobaczyłyśmy przez okno w najzimniejszą noc tej zimy.

Tutaj, w drugim domu przy drugiej ulicy Dzierżyńskiego, Ksenia Jefremowna wciąż gotuje zupę z cienia kartki na jedzenie, ale teraz wywar ma intensywny i słodki smak szpiku. Piję go razem z pozostałymi i ścieka mi po wąsach zamiast do ust, ale moja dusza jest pijana i nasycona.

**Część piąta**  
**Ptaki radości i smutku**

*Czy nie powiesz mi jeszcze raz  
Tego słowa, co zwycięża śmierć  
i rozwiązuje zagadkę mego życia?*

Anna Achmatowa

## Dziewięć odcieni złota

Czarna księga leży otwarta na podłodze piwnicy, skąd zniknęła Maria. Pleśń bardzo powoli rośnie na grzbiecie tomu, rozpełzając się po kolejnych słowach, czytając je w miękkiej, zielonej ciszy.

*Pardwa składa cętkowane jajka w kobre herbaty; kokoszka pozostawia po sobie białe jajka nakrapiane czerwienią, która przypomina krew. Po jajku można rozpoznać ptaka.*

*Car Ptaków, mimo że jest Carem, a nie Carycą, również składa jajka. Wysadzane klejnotami, miedziane, żółtawozielone i turkusowe, pokryte gagatem, ozdobione malunkami przedstawiającymi tańczące dziewczęta i zachody słońca ponad kościołami. Na tej podstawie, moje dziecko, możesz odgadnąć, że Alkonost jest ptakiem niezwykle barwnym i ma duszę tak bogatą i płodną, że musi składać jaja. Wszystko, co przez niego przechodzi, zostaje naznaczone łaską. Alkonost chłostzcze i biczuje długim ogonem o piórach w kolorach indygo i fuksji oraz dziewięciu odcieniach złota. Jego szeroka puszysta pierś lśni sześcioma odcieniami bieli; jego szpony błyszczą na zielono, a pazury na perłowo. Ponad ptasim ciałem unosi się pozbawiona zarostu, wyjątkowej urody ludzka twarz, a włosy pod koroną są jasne jak monety. To wszystko dałoby się stwierdzić na podstawie jego jaja, gdyby ktoś je kiedyś zobaczył.*

*Pewnego dnia Alkonost wysiedział córkę. Nadał jej imię Gamajun. Tak samo jak ojciec, widziała przyszłe i przeszłe obrazy wyświetlane na jej powiekach jak dwa równocześnie odtwarzane filmy. Tak samo jak ojciec, lubiła samotność i wolała towarzystwo złożonych przez siebie jaj od towarzystwa dalszej rodziny. Ojciec i córka wyżej cenili medytację i spokój w przestworzach niż ziemskie troski. Wiedzieli, jak to wszystko się skończy.*

*Jako że ktoś tak barwny nie może mieć zatwardziałego serca, pewnego razu Alkonost wrzucił się nad losem swojego brata, Cara Życia.*

*- Jesteś taki delikatny, bracie, i często popadasz w rozpacz. W każdej chwili może cię zabrać Śmierć.*

*- Phi! - odparł Car Życia. - Takie jest życie.*

*Lazurowe pióra Alkonosta powiewały na wietrze, gdy objął swojego brata z*

*nieskończonym współczuciem i miłością, których nauczył się od obłoków, które z kolei nauczyły się ich od słońca. Otworzył połyskujące skrzydła ponad Carem Życia jak wrota kościoła, a gdy ponownie je złożył, okazało się, że bracia leżą w jego gnieździe, które znajduje się tak wysoko w górach, że powietrze zmienia się tam w światło, a światło w powietrze. Car Ptaków zbudował gniazdo z warkoczy pierworodnych córek, gdyż miękkość ich włosów nie ma sobie równych. Na tych splotach w kolorach złotym, czarnym, czerwonym i brązowym, olbrzymi ptak ułożył swojego brata i karmił go jak pisklaka, zwracając słodkie posiłki prosto do ust Cara Życia.*

*Upłynęło wiele dni wypełnionych tajemnicami, o których mogą rozmawiać tylko bracia. A przez cały ten czas Alkonost w sekrecie wysiadywał jajo, grzejąc je pod piórami, które okrywały jego kostki. Jajo poczęło się ze współczucia wobec Cara Życia i rosło z każdym kolejnym dniem, Car Życia zaś bez przerwy krzyczał z bólu, kurczowo trzymając się za pierś.*

*- Bracie, coś rozcina moje serce na pół - łkał. - Nie zniosę tego.*

*- Phi! - odpowiadał Car Ptaków. - Takie jest życie.*

*Gdy skorupka jaja była już bliska pęknięcia, Alkonost nie mógł go dłużej ukrywać. Było olbrzymie, wysadzone zimnymi, bezbarwnymi brylantami i lśniło czarno w świetle, które było powietrzem, i powietrzu, które było światłem. Alkonost go nie kochał, nie wzbudzało też głębszych uczuć u jego brata. Kiedy skorupka pękła, bracia popatrzyli ponad jej strzaskaną, gwiazdzistą krawędzią, by sprawdzić, co się kryje we wnętrzu rzeczy, którą wspólnie stworzyli. Gdy to zrobili, postanowili ponownie zapieczętować jajo i ukryć je pod swoimi sercami, by nikt nigdy go nie odnalazł. Pardwa nie potrafi zapieczętować pękniętego jaja. Alkonost to umie.*

*\* \* \**

*Car Ptaków ma tak słodki głos, że gdyby zechciał, każdy, kto go słyszy, zapomniałby całe swoje życie, a nawet własne imię. Oczywiście musiałby sam tego pragnąć. Ale gdyby Alkonost przemówił choćby z odrobiną serdeczności i miłosierdzia, bogactwo jego głosu usunęłoby wszelki smutek, w jego miejsce zaszczepiając idealny świat, który mógłby być prawdziwy, gdyby świat nie stworzył ludzkich serc. Dlatego niektórzy zatykają uszy woskiem, inni zaś przez całe życie szukają niebiańskiego ptaka, pragnąc się w nim pogrążyć. Jedni nie rozumieją, co kieruje drugimi. Jak można chcieć stracić siebie, swoją historię i imię? Jak można uciekać przed głosem Boga? Ale oczywiście żadne poszukiwania nie zbliżą cię do Alkonosta, tak jak żadna ucieczka nie pozwoli ci go uniknąć.*

*Takie jest życie.*



## Dezercja

Na końcu długiej wąskiej drogi leży wioska Jajiczka. Bładozłote modrzewie otaczają ją ciasno jak mur, a jesienią mgła dotyka ziemi tylko w niedziele. Kłęby aromatycznego dymu z dojrzałego, kruchego drewna unoszą się z solidnych kominów ku jasnym gwiazdom, które przypominają gwoździe w mocnym, czarnym dachu. Wilki wyją w lesie, ale nigdy się nie pokazują. Na każdym dachu leżą sterty grubej świeżej słomy, a zielony szczypiorek wyrasta z każdego kuchennego ogródka. Jajiczka posiada kilka pól, których gleba wybacza wszystkie przewinienia, a także cztery konie, dziesięć sztuk bydła, po dwie kury i koguta w każdej rodzinie, trzy owce (w tym jedną ciężarną), samotnego kozła, który uwielbia szczypiorek, oraz rzeczkę, która jest tak mała, że zapomniała, jaką nosi nazwę, a mimo to, pozwala, by w Jajicze działał młyn. Zamiłowanie do mięsa sprawia, że te liczby się nie zmieniają. Deszcz zaczyna padać dopiero wtedy, gdy wszyscy szczelnie pozamykają drzwi, a śnieg pojawia się, kiedy każdy z mieszkańców narąbie tyle drewna, ile potrzebuje.

Nikt nigdy nie opuszcza Jajiczki, bo niby czego miałby szukać? Nikt jej także nie odwiedza. W wiosce powiada się, że „Jajiczka posiadała wiele dóbr, ale za to las posiadał Jajiczkę”.

Wśród pozostałych dóbr należących do mieszkańców znajdujemy krótki, szeroki dom, w którym Maria Moriewna mieszka ze swoim mężem. Przebywa tam od zawsze, nigdy nie mieszkała w innym miejscu. Oprócz tego tajemną własnością Jajiczki jest widok nagiej Marii leżącej latem w lesie i suszącej czarne loki na słońcu. W czwartki i poniedziałki Maria muska dłonią kółko z żelaznymi kluczami wiszącymi nad paleniskiem, ale nie pamięta, co otwierają. Potem bierze jednego z czterech koni - swojego ulubionego nakrapianego siwka o imieniu Wilcza Jagoda - i galopuje do modrzewiowego lasu tak szybko, że jej serce wyrывa się z piersi i frunie przodem. Ze strzelbą na plecach i najlepszym czerwonym szalikiem na ramionach poluje pośród cieni, kucając, goniąc, strzelając, a potem wypełnia Jajiczkę śmiechem, który przypomina bicie w kościelne dzwony. Wraca z jeleniem albo królikami, bażantem albo gęsią, a czasem, o dziwo, z wilkiem przerzuconym przez szeroki grzbiet wierzchowca, jednym z tych, które wyją, ale ich nie widać. Maria Moriewna dzieli się mięsem ze swoją wioską. Nikt nie przepada za zupą z wilka, ale ludzie nie narzekają. Maria

także nie narzeka, gdy jej kury zapominają się nieść. Takie jest życie.

Mąż Marii Moriewny, Kościej Bezsmiertny, jest tak przystojny, że mógłby użyzyć szklankę piękna każdemu z mężczyzn w Jajicze i nadal zachować wdzięk, który zniewala nawet jego psy. Jęczmień pada mu do stóp w postaci gotowych bochenków, a także do stóp jego przyjaciół, dlatego cała Jajiczka przyjaźni się z Kościejem Bezsmiertnym. Gdy się schyla, by wrywać buraki z ziemi, śpiewa krótką piosenkę, która składa się z czterech linijek po pięć słów każda, a ostatnim z tych słów jest „żona”. Gdy jego krowa wydaje na świat młode, Kościej ofiarowuje cielę rodzinie, która ma najmniej krów, a mleko rodzinie, która ma najwięcej dzieci. O koźle nie wspomina, lecz pozwala mu swobodnie skubać szczypior. Czasami, w odpowiednim świetle, Maria widzi w nim kogoś, kogo znała dawno temu i nie do końca zapomniała: dostrzega złoty połysk na jego czarnych włosach i rozpoznaje śmiech, który brzmi jak ujadanie psa.

Pewnego dnia Maria obudziła się i zobaczyła, że ktoś pracuje w polu, mimo że Jajiczka jeszcze nie obmyła oczu ze snów. Ten ktoś miał na sobie jaskrawy, wielobarwny płaszcz i ścinał kłosa olbrzymimi nożycami.

- Kto to jest? - spytała męża.

- Nie patrz na niego, *wolczico* - odparł przystojny Kościej. - Niech weźmie, co mu się należy.

Maria Moriewna więcej o tym nie myślała, ucałowała męża w oba spalone słońcem policzki, po czym pojechała do lasu, by upolować dwa tłuste bobry o ogonach jak naleśniki. Gdy wieczorem wróciła do Kościeja Bezsmiertnego, w jego objęciach poczuła się jak w objęciach słońca. Razem rozkoszowali się bladym bogiem masła na chlebie.

\* \* \*

Na lewo od Marii mieszka Władimir Iljicz z żoną Nadią Konstantinową, której kury mają taką dobrą pamięć, że nigdy nie zapominają się nieść. Oblicze Nadii jest tak surowe, że nawet zima zostawia ją w spokoju. Władimir wyłysiał i potrzebuje okularów, ale już dawno złamał grzebień na kolanie i pojednał się z Bogiem. Kiedyś stary Wowa zasnął z nowymi okularami na nosie i nawiedził go sen, w którym pojawiły się armie czerwonych i białych mrówek. Pod jego wpływem wezwał do siebie czterech mieszkańców wioski, którzy posiadają konie, i przedstawił im system dzielenia się zwierzętami, dzięki któremu dziś Maria może polować, a wszystkie pola są zaorane.

W młodości mały Władimir spotkał piękną kawkę z czerwoną strzałką na piersi. Ptak wściekle kłapał na niego dziobem i chłopiec posiadał dar przekonywania ludzi do dziwnych pomysłów. Kiedyś oznajmił swoim sąsiadom, że wspaniałe wysokie róże, które wspinają się

na ściany jego domu, rosną niesprawiedliwie, gdyż otrzymują przydział deszczu należny lilakom. Orzekł, że róże są zdemoralizowane, a Aleksander Fiodorowicz i Grigorij Jewsiejewicz słuchali go ze zrozumieniem, popijając słodki miód. Nadia przyznała, że róże są złośliwe z natury, i skrzywiła się przy tym tak gwałtownie, że miód natychmiast się rozlał, by nie być posądzonym o współudział. Władimir Iljicz starał się zachęcić bzy, żeby również korzystały z deszczu, a nawet zawiesił pod dachem wiadra i sam rozprowadzał wodę, spryskując nią równomiernie wszystkie krzewy za pomocą swych długich, cienkich palców. Ale to nie wystarczyło.

- Co należy zrobić? - pytał ostro. - Co należy zrobić?

Aż pewnego ranka Jajiczka zbudziła się ze snu, a główki wszystkich róż Wowy leżały ścięte na ziemi.

Z Władimirem i Nadią mieszkają ich dwaj synowie, Józef i Lew. Mają typowe chłopięce marzenia: śnią o ojcowskiej fortunie, dziewczętach i zapuszczeniu bujnych wąsów. W Jajiczce żartuje się, że żaden z braci nigdy nie objął drugiego bez zaciśniętych pięści. Józef często przegania Lwa do lasu, czerwieniąc się przy tym z wściekłości i wrzeszcząc na brata, by ten nigdy nie wracał. Ale oczywiście w porze obiadu Lwa wślizguje się z powrotem do domu, a Józef go obejmuje, jakby nic się nie stało. Potem Lew krzywi się z gniewu w swoim pokoju i łamie zabawki, żeby pokazać im, kto jest ich panem. Po incydencie z różami ojca, Józef podeptał wszystkie kwiaty w ogrodzie - bzy, róże, piwonie, stokrotki, a nawet pozbawione kwiatów cząber, miętę, koper i tymianek swojej matki. Potem stanął pośrodku pobojuwiska, ciężko dysząc i wodząc wkoło dzikimi ciemnymi oczami jak rumak spięty ostrogami, domagając się pochwały od ojca.

- Jesteś moim ulubionym synem - rzekł Władimir Iljicz do Józefa, wiedząc, że na takie słowa czeka każdy chłopiec. - Dlatego wybaczam ci to, co zrobiłeś z kwiatami.

To wywołało uśmiech na twarzy dziecka, ale nie poprawiło mu nastroju. Pewnego wiosennego dnia chłopiec podszedł do jak zwykle serdecznego Siergieja Mironowicza i strzelił do niego z obu palców: pif, paf! Obaj przez chwilę wpatrywali się w siebie na błotnistej, aromatycznej drodze, jakby przypominali sobie coś, co wydarzyło się dawno temu.

- Lwa to zrobił! - wykrzyknął Józef, przerażony milczeniem Siergieja, po czym popędził do brata, by sprawić mu lanie. Tak to już jest z Józefem. W każdej wiosce mieszka ktoś taki.

Na prawo od Marii mieszka Georgij Konstantinowicz, który siada na schodkach swojego domu i gra na brzoźowych gęślach, tak ładnie, że księżyc mdleje z uwielbienia. Jego żona Galina Iwanowa jest skromna jak owieczka. Wszystko w domu Georgija odbywa się z

idealną precyzją. Nawet jajka gotują się, kiedy im rozkaże, ani chwili wcześniej. Pszczoły w jego ogrodzie zbierają nektar tylko z kwiatów, które najbardziej lubi. Gdy w lesie wyją wilki, Gieorgij budzi się, zakłada broń na ramię i staje na warcie w jednym szeregu ze swoimi córkami. Nie można wykluczyć, że właśnie dlatego wilki słychać, ale nigdy ich nie widać. Gieorgij jest jeszcze skromniejszy od swojej żony. Sam nigdy by nie powiedział, że każdej nocy ratuje Jajiczkę dzięki swej stanowczej antywilczej postawie, ale jego sąsiedzi mówią to za niego i gdy robi się zimno, przynoszą jemu i jego córkom gorącą herbatę oraz pokrojone ciasto zawinięte w muślin. Gieorgij zajmuje się także pasaniem krów, gdyż zawsze są mu posłuszne i wchodzą do zagrody równo i bez sprzeciwu.

Nieco dalej mieszkają Nikołaj Iwanow i jego długowłosa żona Aleksandra Fiodorowna. Przed ich otwartymi drzwiami bawią się ich cztery piękne córki - Olga, Tatiana, Maria i Anastazja - oraz chorowity synek Aleksiej, który przesiaduje w cieniu topoli i czyta, podczas gdy jego siostry kopią do siebie szyszki na trawie. Nikołaj jest niezbyt bystry i nieco roztargniony, ale ma gęste wąsy i dobre chęci, mimo że każdej zimy połowa jego ogrodu usycha z braku wody, a krowa często ryczy, bezskutecznie domagając się dojenia. Władimir Iljicz kiedyś próbował porozmawiać z nim o swojej doktrynie dotyczącej róż i bzów. Nikołaj poczęstował go kwasem chlebowym i uważnie wysłuchał, podczas gdy słońce kryło się za chmurą. Potem roześmiał się i odesłał Wowę do domu, gdyż sympatyzował z różami. Aleksandra, ubrana w haftowany fartuszek delikatny jak skrzydła ćmy i potężnie umięśniona dzięki pracy przy owcach, kiedyś powiedziała Marii Moriewnie, że jej mężowi również przyśniły się białe i czerwone mrówki i Nikołaj potem tygodniami płakał przez sen. Aleksandra całuje jego kłykcie, gdzie mieszkają senne marzenia, dopóki Nikołaj się nie uspokoi, ale wtedy sama nie może zasnąć i z ciepłego łóżka patrzy, jak gwiazdy literują słowa długiego wiersza.

Jeszcze wielu innych ludzi krząta się w Jajicdze, kłócąc się i zasłaniając uszy. Takie są wioski. Babcie przez cały dzień mogłyby snuć rozwlekłe historie o planach rozdawania przez Wowę nowo narodzonych owieczek, albo nieco bardziej niepokojących planach Józefa dotyczących kozła, a przecież muszą jeszcze poplotkować o romansie Aleksandry z pewnym mnichem oraz nadać imiona połowie mieszkańców Jajiczki. Takie są babcie. Krowy muczą na pastwisku, kury trzepoczą skrzydłami, gdy pojawia się kogut, ziemia staje się czarna i mokra pod pługiem, przez krótką chwilę wszystko lśni i nic się nie dzieje, nigdzie i nigdy.

Jajiczka zawsze znajdowała się właśnie tutaj. Zawsze mieszkali w niej ci sami ludzie, którzy posiadali cztery konie, dziesięć sztuk bydła, po dwie kury i koguta, trzy owce (w tym jedną ciężarną), samotnego kozła, który przestałby podjadać wszystkim szczypiorek, gdyby

wiedział, co jest dla niego dobre, niewielką rzeczkę bez nazwy, młyn, który należy do wszystkich i w którym wszyscy pracują według dwutygodniowego rozkładu ułożonego przez wiadomą osobę, oraz kilka pól, których głęboka, ciemna gleba wybacza wszystko, co się z nią robi.

## Jakie nadamy jej imię?

W domu Marii Moriewny nawet okna się śmieją. Ciała Marii i jej męża świecą jeszcze długo po tym, jak wygasa zimowe palenisko. Kościej jest tak pełen życia, że jego skóra smakuje jak jabłoń, pełna żywicy i soków. Jest taki ciepły, myśli ona. Taki ciepły!

- Och, *wolczico* - szepcze do niej z brzuchem pełnym zupy i dobrego chleba. - Ależ mam szczęście. Masło w beczce, dobry papieros po kolacji, a teraz ty, moja sznurowana dziewczyna, tak blisko mnie!

- Kiedy to powiedziałaś, miałam wrażenie, że jesteś kimś innym - wzdycha Maria. Ale Kościej zawsze jest sobą, idealny, kompletny i pełen blasku.

Potem opada na nią jak zachodzące słońce, a ona obnaża wszystkie zęby w uśmiechu. Każdego dnia patrzy na żelazne klucze wiszące obok drzwi i usiłuje sobie przypomnieć: „Gdzie ja je widziałam? Kiedy miałam coś, co trzeba było zamykać?”. Każdego dnia, chyba że akurat jest niedziela i opada mgła, a wszyscy mieszkańcy wioski zostają w domach, Maria kręci głową, by zebrać myśli, po czym rusza długą, wąską drogą. Każdego ranka ma wrażenie, że jeszcze nigdy nie była tak pełna, a każdego wieczoru czuje się jeszcze pełniejsza. Jej czarne loki lśnią, jakby znajdowały się pod wodą. W środy odwiedza ich Uszanka, przyjaciółka Marii, której babcie najwyraźniej zapomniwały nadać imię, ponieważ pokazuje tylko połowę twarzy. Nikt nie zna jej nazwiska, ale też nikomu to nie przeszkadza. W Jajicze nazwiska grzecznie pomija się milczeniem. Maria Moriewna dba o to, by zawsze mieć w domu królicze udka, świeże pieczywo i miseczkę miodu, a w środy dociera do niej srebrny samowar, który krąży między domami podobnie jak konie.

- Co słyhać u twojego męża? - pyta Uszanka, a piękna błękitna wstążka powiewa na ząbkowanym rondzie jej koronkowego kapelusza.

Uszanka plecie koronki jak pajęczycza i rozdaje swoje szale kobietom z Jajiczki. Nie dalej jak wczoraj delikatna Gałka owinęła sobie takim szalem ramiona, gdy poczuła przeciąg.

- Jest pewien, że nowy cielak okaże się jałowką i trafi do Aleksandra Fiodorowicza. Poza tym rozmawiałam z Nataszą o pomysłe na jałowcowy ser.

- To dla nas świetna wiadomość. A co u ciebie, Maszo? Dobrze się czujesz? Czy kobiety cię odwiedzają, gdy mnie nie ma? Czy mężczyźni pozwalają ci z nimi pijać, gdy

jesteś spragniona?

Maria Moriewna oparła podbródek na dłoniach.

- Mam wrażenie, że jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze, Uszanoczko. Moja szklanka napełnia się sama, zanim pomyślę o tym, że chce mi się pić. Oczywiście, wciąż jest mi smutno, gdy księżyc się zmniejsza. Wtedy przypominam sobie przyjaciół, którzy odeszli. Pamiętam, że jeden z nich malował sobie oczy tak, by kolorem pasowały do zupy, inny spał zwinięty w kłębek obok mnie, a jeszcze inny kiedyś pocałował mnie nad rzeką. Pamiętam kobietę z mokrymi włosami i jej dziecko. Chciałabym, żeby oni także mogli pić z pełnych szklanek i zobaczyć nowo narodzoną owieczkę. Ale gdy księżyc się powiększa, smutek wysycha. Takie jest życie.

- Oczywiście. - Uszanka kładzie rękę na dłoniach Marii, gdyż częściej dzieli się z nią herbatą niż łzami. Jej skóra w dotyku przypomina tkaninę. - Słodycz jest najwyraźniejsza, gdy zestawimy ją ze smutkiem, jak widelec z nożem. Ale moje zadanie polega na tym, by przesłuchać twoje szczęście i sprawdzić, czy mocno się trzyma. Gdy w twoim sercu rozgości się smutek, równie dobrze mogłabyś chodzić cały dzień w sukience włożonej tyłem naprzód, zwrócona guzikami w stronę lasu, a kołnierzykiem w stronę wioski. Być może inni uważają, że wszystko jest w porządku, ale ja jestem spostrzegawcza.

Maria Moriewna nalała miedzianej, parującej herbaty.

- Czasami pragnę mieć dziecko - wyznała. - Ale gdy rozmawiam o tym z Kościejem, nawet w chwilach, gdy mówi, że kocha mnie jak niedźwiedź, zawsze odpowiada: „Nie możemy jeszcze trochę poczekać? Tylko trochę?”. Czy to nie dziwne?

Uszanka pokazuje połowę twarzy, która wygląda na bardzo zamyśloną, ale nic nie mówi.

- Ponownie widziałam tamtego ptaka, gdy polowałam na króliki - mówi Maria pogodnie, wskazując lśniąca kość. - Był tak przeraźliwie jasny, jakby płonął! To chyba samiec. Jego pióra błyszczą złotem, brązem, szkarłatem i błękitem... cóż za płomienie!... a powietrze wokół niego staje się gęste i faluje. Jego śpiew rozbrzmiewa echem jak granie Georgija. To Żar-Ptak, jak w dawnych opowieściach. Złapię go, Uszanko, nawet gdybym miała przejechać na drugi koniec lasu.

- Jaki drugi koniec? - pyta Uszanka, pokazując drugą połowę twarzy. - Znów słuchałaś tych głupot, które opowiada Józef. Istnieje tylko Jajiczka, ty i ja, jałowcowy ser Saszy oraz królik z pieczywem w każdą środę.

\* \* \*

Tego popołudnia, gdy Jajiczka już otrząsnęła się z pyłu dnia, Maria Moriewna idzie

do studni i widzi, że ktoś pracuje w polu. Ten ktoś ma na sobie jaskrawy, wielobarwny kapelusz i ścina kłosa olbrzymimi nożycami.

- Kto to jest? - pyta Maria męża, który właśnie wrócił z zakrwawionymi rękami po porodzie nowego cielaka.

- Nie patrz na niego, *wolczico* - odpowiada przystojny Kościej. - Niech weźmie, co mu się należy.

\* \* \*

Aleksandra Fiodorowna - która powinna znać się na rzeczy, w końcu ma pięcioro potomstwa - kiedyś powiedziała Marii, że kobieta zawsze wie, kiedy noc pozostawia ją z dzieckiem.

- One się w tobie zaczepiają, Maszo. Jak korzenie.

- Och, nie wierzę ci, Saszo! Jak można poczuć coś tak malutkiego?

Piękna Aleksandra wzruszyła ramionami.

- Kiedy się skaleczysz, czujesz ból, mimo że ranka jest niewielka. Właśnie czymś takim jest dziecko, raną w twoim wnętrzu.

Ale gdy nieprzyzwoity księżyc gapi się przez okno, szpiegując spoza zasłony, Maria niczego nie czuje, w odróżnieniu od jej przystojnego męża. Kościej Bezsmiertny splata się z nią czerwonymi kończynami, młody jak sama młodość, po czym pęka w jej wnętrzu, a drzazgi krążą w jej ciele, aż w końcu jedna z nich, ostra, okrutna i uparta, wbija się i nie ma zamiaru wyjść. W gasnącym blasku pieca mąż kładzie głowę na brzuchu żony.

- Śmierć nie będzie miała nad nią zwierzchnictwa - szepcze, po czym całuje ją w pepek.

- Cóż za słowa! - Maria przeczesuje palcami jego potargane włosy. - Ktoś inny powiedział je do mnie, tak dawno, że prawie o tym zapomniałam. Czasami wydaje mi się, że jesteś dwoma mężczyznami w jednym ciele: moim Kostią i kimś innym, kogo nie pamiętam.

Kościej podnosi na nią wzrok, błyskając białkami.

- Nic nie chce umrzeć - mówi słabo, a Maria Moriewna nie rozumie, ponieważ widziała niewiele mrocznych zdarzeń.

- Jakie nadamy jej imię? - pyta Kościej, a na jego twarzy pojawia się wyjątkowo udany wyuczony uśmiech, tak złocisty i gorący, że Maria myśli o leśnym ptaku, który wciąż jej umyka, zmieniając powietrze w gęsty olej.

- Komu?

- Naszej córce, która już cię zna.

Kościej Bezsmiertny nie będzie spał przez dziewięć miesięcy. Odda cały sen swojej



córcie, która na niego zasługuje.

\* \* \*

Czy magia jest jedną z rzeczy, które można znaleźć w Jajicdze, obok rzeki bez nazwy i ciężarnej owcy? Pewnego dnia stary Grigorij Jefimowicz postanowił raz na zawsze to ustalić. Rozповіда dzieciom, że kiedyś był księdzem, ale wszyscy wiedzą, że nie ma niczego przed ani po Jajicdze, jak również obok niej ani pod nią, nad nią zaś są tylko gwiazdy, dlatego stary Grisza wydaje się taki tajemniczy i mądry. Wszyscy mieszkańcy chętnie go goszczą, gdyż opowiada cudowne historie, potrafi odebrać poród i ciągnie się za brodę, gdy kłamie, dzięki czemu można na nim całkowicie polegać, dopóki trzyma ręce z dala od zarostu.

- Widziałam gwiazdę w jego włosach - wyszeptła mała Olga Nikołajewna, córka Aleksandry, a wszyscy jej uwierzyli.

Żeby rozstrzygnąć kwestię magii w Jajicdze, Grisza zabrał Aleksandrę Fiodorownę, która ma włosy jak złote druty, w miejsce, gdzie modrzewiowy las graniczy z leczniczym ogródkiem Siergieja Mironowicza. Stał jednym butem w lesie, a drugim w wiosce - czarownicy znają wagę takich pól, a Grisza z pewnością zdaje sobie sprawę, jak ważna jest świadomość tego, co powinien wiedzieć czarownik.

- A teraz, Saszo, popatrz, jak zjadam tego grzyba ze srebrnymi plamkami, którego ty i twoje dzieci znacie jako straszliwą truciznę.

Aleksandra uważnie się przyglądała. Grigorij Jefimowicz przeżuł grzyba, ale nic złego mu się nie stało. Nie dostał skurczu kończyn, a jego język nie stał się fioletowy.

- Widzisz? - spytał Grisza.

- Widzę - odpowiedziała Sasza.

- A teraz popatrz, jak wieszam się na modrzewiu. Daj mi swój fartuch, żebym mógł się udusić.

Aleksandra uważnie się przyglądała. Grigorij owinął sobie szyję fartuchem, po czym powiesił się na drzewie, ale nic złego mu się nie stało. Uśmiechnął się przyjemnie i przez chwilę bujał na gałęzi. Oczy nie wyszły mu z orbit i nie wykrztusił ostatniej spowiedzi, tracąc dech.

- Widzisz? - spytał Grisza.

- Widzę - odpowiedziała Sasza.

- A teraz musisz mnie zastrzelić, żeby otrzymać ostateczny dowód. - Po czym stary udawany ksiądz wyjął niewielki pistolet, co było najbardziej czarodziejskim wydarzeniem tego popołudnia, gdyż nikt w Jajicdze nigdy nie posiadał pistoletu.

Aleksandra starannie wymierzyła i strzeliła. Kula trafiła prosto w serce, o czym marzy

każdy pocisk. Krew zabarwiła koszulę Griszy, którą dostał od Galiny Iwanowej w zamian za opowieść o wielkim wojowniku, który obronił miasto przed żołnierzami o szcurzych pyskach. Galinie przez tydzień śniły się koszmary, więc uznała, że to uczciwa wymiana. Grigorij Jefimowicz uśmiechnął się i pokazał Aleksandrze, że jego pierś jest cała i nadal porastają ją te same zaniedbane włosy. Odebrał kobiecie pistolet, którego nikt więcej nie widział. Sasza nie zdradziła nikomu, że Grisza go ma, oraz że sama wystrzeliła z niego z taką samą swobodą, z jaką wałkuje ciasto na pierogi.

- Powiem ci, na czym polega magia w Jajicdze, Saszo. Śmierć zapomniała o naszej wiosce.

- Z pewnością się mylisz. Wszystko umiera. Krowy, owce. Maria zabija jelenie na polowaniu.

- A czy pamiętasz, kiedy ostatnio umarł jakiś człowiek?

Aleksandra długo milczała. Niebo stało się błękitne i pozbawione głębi.

- Owszem, czuję to w swoim sercu. W tej jego części, która jest zamknięta za najgłębszą i najmniejszą komnatą. Tam znajduje się miejsce z ziemną posadzką, w którym zawsze panuje zima. Tam mam wrażenie, że ktoś umarł i nikt mu nie pomógł. Wtedy płacę tak gorzko, że z moich łez wyrastają straszliwe kwiaty.

Grigorij Jefimowicz objął Aleksandrę Fiodorownę długimi, szorstkimi rękami, ponieważ kochał się w niej potajemnie od młodości. Oczywiście o tym wiedziała, a ponieważ oboje zdawali sobie z tego sprawę, traktowali się nawzajem z najczulszą serdecznością.

- Nie przejmuj się, Saszo - rzekł Grisza. - To tylko sztuczka. Nie płacz.

\* \* \*

W piątki Maria Moriewna wychodzi na pole, żeby kosić zboże, które w Jajicdze zawsze się tego domaga. Choć robi to już od pół roku, wciąż nie wymiguje się od pracy, tylko ochoczo bierze sierp o rękojeści zużytej przez dłonie wszystkich mieszkańców wioski, przez ich tłuszcz i skórę. Słońce poleruje wierzchołki drzew i barwi czarne włosy Marii na niebiesko. Maria unosi i opuszcza sierp, a ostrze przewraca złote kłosa. Samotny kozioł meczy ekstatycznie, gdy odkrywa kępę dzikiego szczypioru, który może pożreć bezkarnie. Sierp znów się unosi i opada, śliczna mała Anastazja Nikołajewna gubi oczko w swojej robótce na drutach, a nakrapiany siwek Wilcza Jagoda rozmyślnie zrzuca podkowę, by Maria musiała się nim zająć, ponieważ taką ma naturę. Zboże tworzy kopczyk, a sześć myszy, o których obecności nie wie nikt w wiosce, myje sobie nawzajem uszy różowymi jęczycznkami. Maria unosi i opuszcza ostrze, a kobiety z Jajiczki, same nie wiedząc dlaczego, idą w miejsce, gdzie żyzne pole, które wszystko wybacza, styka się z grządką rzodkiewek Nadii

Konstantinowny, i patrzą na Marię, nie rozumiejąc, po co przyszły oglądać ciężarną kobietę z brzuchem jak łuk, która unosi sierp jak miecz i tnie raz za razem z włosami mokrymi od potu, podczas gdy słońce śpiewa piosenkę złożoną z czterech linijek po pięć słów każda, a ostatnim słowem jest „śmierć”.

\* \* \*

Jest czwartek i Maria ma zbyt duży brzuch, by pojechać na grzbiecie Wilczej Jagody do modrzewiowego lasu. Wybiera się więc tam piechotą. Jej długa czerwona sukienka wlecze się po ziemi, czarne włosy niemal dorównują jej długością, a strzelba wisi przypięta do pleców. Liście wyglądają, jakby zaraz miały spaść, ale tego nie robią. Malutkie ptaszki przypominające skrawki kory wznoszą się spiralnymi stadami za Marią. Zapach lasu szczypie ją w policzki, rozjaśniając je i całując. Maria trzyma się za brzuch prawą dłonią - jest pewna, że nawet Mars ze wszystkimi swoimi górami nie jest tak potężny jak ona.

- Gdybym mogła z tobą porozmawiać, córko, powiedziałabym: „Stworzyliśmy cię, gdy nasze oczy były najciemniejsze, samotny kozioł był pełen cebuli, a księżyc wyglądał jak jajko”. Spytałabym: „Kim będziesz, kiedy dorośniesz?”. Spytałabym: „Jakie nadamy ci imię?”.

Coś szeleści za zagajnikiem złożonym z siedmiu brzoź. Liście chrzęszczą i iskrzą pod stopami tej istoty, a w powietrze wznosi się smuga dymu. Spomiędzy pni wygląda coś pomarańczowego, a Maria nie może uciec, tylko stoi niewzruszenie jak dom. Córka porusza się w jej wnętrzu, napierając malutką dłonią na matkę i malutką stopą na skorupę świata. „Chcę go” - mówi rączka. „Piękny ptaszek” - mówi nóżka. Jeden krok naprzód poprzez liście, potem kolejny i oto lśni: niezwykle długi ogon, który zawstydza każdego pawia, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat, ciągnący się po leśnym poszyciu jak czerwona płonąca suknia.

Maria Moriewna unosi strzelbę. Uwielbia ją. Wie, że ktoś dał jej tę broń w prezencie, ale nie pamięta kto i kiedy. Strzelba nagrzała się od jej dłoni. Ptak prostuje się i bije skrzydłami, posyłając w powietrze iskry i dym. Płonie, tak biały i złocisty, że Maria widzi przed oczami tańczące plamki. Jej córka wyciąga malutkie ręce wewnątrz jej brzucha. „Mamo, jak jasno!” - mówią rączki. Gdy Maria strzela, dziecko rzuca się w dół, jakby chciało się urodzić już w tej chwili.

W całej Jajicze nikt nie może się równać z Marią Moriewną pod względem celności. Pocisk zderza się z Żar-Ptakiem jak dziecko skaczące w objęcia ojca, gdy ten wraca z długiej podróży. Ptak zatacza się na brzozy, uwięziony przez ich pnie. Unosi oczy ku niebu, a Maria chwyta się za brzuch. Z oczu Żar-Ptaka ciekną łzy jak nafta, a z jego gardła wydobywa się

pieśń niczym krew. Ten dźwięk rani kobietę, przyciąga ją i szarpie jej żebra jak struny gęśli. Czubki skrzydeł ptaka płoną jak niebieskie lampy gazowe. „Allee, allai!” - zawodzi, jakby wzywał na modlitwę. „Allee, allai!”.

„Mamo, jak jasno!”. Maria wchodzi w krąg płomieni Żar-Ptaka. Nie parzą jej ani nie ranią, tak jak pistolet Saszy nie zranił Griszy. Oczy ptaka rosną, czerwienieją i zaczynają wirować, skrzydła otaczają Marię, przyciągając ją bliżej, łzy kapią na jej głowę jak wosk, ale ptak jej nie spala, tak jak ona go nie zabiła. Razem padają na leśne poszycie. - „Allee, allai!”.

- Co to znaczy? - szepcze Maria w objęciach Żar-Ptaka, który pachnie palonym chlebem, masłem i cukrem mieszającymi się z ziemią.

- To znaczy, że ci przebaczam - śpiewa ptak - za ostatni raz, gdy mnie zabiłaś, a także za dzisiaj i za wszystko co się wydarzy, aż do śmierci.

Córka Marii Moriewny uspokaja się i słucha powolnego bicia niesamowitego, olbrzymiego serca Żar-Ptaka, które brzmi zupełnie jak serce matki i jej własne.

Maria Moriewna wraca do Jajiczki z pustymi rękami, ale to nic. Wstyd to domena innych wiosek, innych kobiet. Ona ma tak wiele, nawet bez zupy z Żar-Ptaka. Nie wspomina ani słowem o ptaku i nikt jej o nic nie pyta. W poniedziałek Maria Moriewna złapała dwa bobry (i ich ogony) oraz młodego dzika ze złamanym kłem. Wieczorem, przy pomocy swojego przystojnego męża oraz Nikołaja Aleksandrowicza (któremu ładnie pocą się wąsy), wyciąga wielki weselny stół na środek wioski, gdzie już krążą czerwone jesienne liście, jasne i ostre jak gwiazdy. Gotuje zupę z cebuli, ziemniaków i grzybów z lśnącymi kawałkami płaskich ogonów unoszącymi się w wywarze. Piecze prosiaka nad potężnym ogniskiem. Gieorgij Konstantinowicz przynosi ryby, które złowił poprzedniego dnia dzięki czujności i starannemu planowaniu. Grigorij Jewsiejewicz przynosi koszyk jabłek czerwiejszych od liści. Władimir i Nadia Konstantinowna dostarczają zapas miodu, w którym wyczuwa się delikatny aromat ich dawno ściętych róż. Nikołaj przynosi wódkę z własnej gorzelnii, czystą jak deszcz. Dzieci biegają wokół stołu, obrzucając się liśćmi, a ich śmiech unosi się w niebo jak dym. Mała Anastazja i Aleksiej tańczą razem przy dźwiękach gęśli Gieorgija, a Józef złośliwie podszczypuje wszystkich pod blatem.

Wokół wielkiego stołu mieszkańcy Jajiczki wstają i unoszą kieliszki.

- Na zdrowie! - wołają Gieorgij i Aleksandr, Grigorij i Siergiej, Józef i Lew, Kościej Bezsmiertny, cztery piękne córki Aleksandry i ich brat, Grisza i Sasza, Nikołaj i Władimir. Zachodzące słońce prześwietla ich kieliszki.

- Za życie - mówią i stukają się szkłem, śmiejąc się, podczas gdy wilki wyją daleko w lesie, ale się nie pokazują.

Maria także głośno krzyczy. Trzyma się kurczowo za ogromny brzuch, a córka buntuje się przeciwko polowaniu, przeciąganiu stołu i picciu bez jej udziału. Wierci się, gotowa przyjść na świat choćby w tej chwili. Maria Moriewna pada na kolana, otoczona burzą włosów, tak czarnych, jakby się spaliły.

## Odgłos pamięci

W Jajicdze powiadają, że dziecko swój pierwszy oddech bierze przez uszy, drugi przez oczy, a trzeci przez usta. Właśnie dlatego malec czasami nie od razu zaczyna płakać. Pierwszy oddech jest dla matki, drugi dla Boga, a trzeci dla ojca. Oddech przez usta przynosi najwięcej przyjemności, więc od razu zapominamy, że kiedykolwiek potrafiliśmy inaczej oddychać. Gdy dziecko w Jajicdze płacze, matka bierze je na ręce, sadza sobie na biodrze i mówi ze śmiechem: „Tylko popatrzcie na moje małe niedźwiedziątko. Znów oddycha oczami!”. A dziecko przestaje płakać, ponieważ lubi, gdy się je nazywa niedźwiedziątkiem.

Córka Marii i Kościeja bierze pierwszy oddech przez uszy, tak jak wszystkie dzieci. Oddechowi towarzyszy cichy gwizdzący dźwięk, zbyt wysoki, by usłyszały go nawet psy.

Potem dorasta.

To dzieje się tak szybko, że nawet szafki oglądają się ze zdziwieniem. Maria Moriewna przystawia dziecko do piersi. Mała ssie idealnie jak wszystkie niemowlęta, po czym jednym długim łykiem wypija całe mleko swej młodości i wstaje: siedemnastoletnia, naga, z czarnymi włosami wciąż lepkiemi od krwi matki.

Kościej Bezsmiertny uśmiecha się tak smutno, że Maria kładzie dłoń na sercu, jakby trafił ją tam pocisk.

- Przecież jesteś tutaj szczęśliwa - mówi cicho. - Jesteś szczęśliwa ze mną?

- Kostia, dlaczego jesteś taki smutny? - pyta Maria, zbita z tropu, ale nie zdenerwowana. Córka, która tak szybko dorosła, to rzecz dziwna i nieco tragiczna, ale nie dziwniejsza od Żar-Ptaka. - Pomóż mi nadać imię naszej dziewczynce!

Kościej długo patrzy na swoje dziecko, które bierze drugi oddech, przez oczy, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

- Ona już ma imię, *wolczico*, moja ukochana, straszliwa wilczyco. Jest moją śmiercią. A ja kocham ją pokornie, jak przystało na ojca.

Śmierć, ich córka, która nigdy nie nauczy się mówić i nigdy nie będzie potrzebowała mowy, wyciąga zakrwawione ręce umazane białym i srebrnym płynem.

- Zawsze w końcu umieram - szepcze Kościej, a dłonie drżą mu ze strachu. - To zawsze tak wygląda i nigdy nie jest łatwe.

Na żelaznych kluczach wiszących na ścianie pojawiają się kropelki krwi jak pot. Maria wyciąga ręce i staje się odbiciem córki, ale nie wie, kogo chce pochwycić, czuje tylko, że musi kogoś złapać, kogokolwiek, by znaleźć oparcie i więź, nie być porzuconą.

Kościej Nieśmiertelny obejmuje córkę, delikatnie, czule i z dumą, głaszcząc ją po wilgotnych włosach, po czym całuje ją w czoło, jak najlepszy ojciec. Dziewczyna otwiera usta i bierze trzeci, najgłębszy oddech, wciągając powietrze ustami, a ostatnie krople wody z łona matki spływają z jej warg. Siła tego trzeciego oddechu ciągnie powieki ojca w dół, aż padają na podłogę jak rozwijające się zwoje, i Kościej zmienia się w swojego brata, Cara Śmierci, na krótką srebrzystą chwilę stając się mały jak czubek szpilki. Podnosi powieki jedną ręką, by po raz ostatni zobaczyć Marię Moriewnę, unosząc je ponad ramionami córki, a pod powiekami i rzęsami jest tylko światło, które się z niego wylewa, bezkresne i srebrne jak woda. Nagle oboje znikają i w pomieszczeniu pojawia się ptak, który przypomina, a zarazem nie przypomina Żar-Ptaka, a brzuch Marii jest płaski i twardy, jakby nigdy nie nosiła w nim córki. Maria nie leży w łóżku, tylko stoi w kącie swojego domu w Jajicze, w ciemności, a wszystko jest szare i zimne, poza ptakiem, który kieruje ku niej ludzkie oblicze.

- Usiądź, Mario Moriewno - mówi ptak, a jego głos brzmi jak gęśle Gieorgija. - Opowiem ci o wszystkim, co ci się przytrafiło. No dalej, zegnij kolana.

Maria siada, nie wiedząc, czy stoi za nią krzesło. Ale oczywiście tak jest, w końcu to Jajiczka, gdzie nie może upaść. Jej twarz staje się chuda i pusta, gdy wpatruje się w ptaka o piórach w kolorach indygo i fuksji oraz dziewięciu odcieniach złota, tak jasnych w zimnym czarnym domu, obok jej wyczerpanego ciała.

- Wiesz, gdzie jesteś, Maszeńko? - Ptak przekrzywia głowę; jego przepiękna twarz jest pełna czułości, a smutne oczy przypominają ikonę.

Maria Moriewna tępo patrzy w okno. Mróz muska czubki ździebeł trawy.

- Pamiętasz, jak Kościej dał ci jajo? Pamiętasz, jakie było czarne i srebrzyste?

Maria Moriewna kryje twarz w dłoniach. Marszczą się jej włosy. Łzy delikatnie zamarzają, po czym cicho rozbijają się o podłogę.

Car Ptaków potrząsa miedzianozielonymi piórami na piersi. Spod skrzydeł wyciąga ludzkie ręce o smukłych palcach, idealnych i miękkich jak puch. Unosi policzki Marii i ją całuje. Jego usta mają kolor krwi, a jej kolor popiołu. Pod wpływem pocałunku z ust kobiety wydobywa się chrapliwe łkanie, które wstrząsa całym jej ciałem, a kości rozciągają się, by zrobić więcej miejsca dla ciemności. Usta obnażają szczękające zęby i chociaż nawet one są w żałobie, Car i tak całuje Marię, aż ta zaczyna krzyczeć.

- Pamiętam, pamiętam - szlocha Maria, a Alkonost otacza ją nieskazitelnymi rękami i

turkusowozłotymi skrzydłami. W ciemności kobieta znika w jego opalizujących objęciach.

- To ja złożyłem to jajo, moja biedna mała Maszo. Każde jajo musi zostać złożone, w przeciwnym razie nie może żyć. Dawno temu złożyłem jajo Kościeja, daleko stąd, wysoko w powietrzu, a gdy zobaczyliśmy, co się w nim kryje, obiecaliśmy sobie, że nigdy więcej go nie otworzymy. Bracia są jednak stworzeni do łamania obietnic. Wiesz, co się w nim znajdowało?

- Jego śmierć.

Alkonost głaszcząc ją po włosach ludzką ręką.

- Oczywiście, że tak. Ale każde jajo pochodzi od koguta i kury, tak jak dziecko, które dziedziczy imponujący nos po matce, a skośne oczy po ojcu. Można przez całe życie wpatrywać się w kogoś i wskazywać, które elementy urody zawdzięcza mamie, a które tacie. Nasze jajo otrzymało od niego śmierć, piękną, zwartą, idealną i straszliwą, a ode mnie Jajiczkę. Przez cały ten czas żyłaś wewnątrz mojego jaja, Mario, wewnątrz mojego świata. Och, wiem, że trudno ci w to uwierzyć. Tylu ludzi, tyle pór roku, las i Żar-Ptak przemykający między brzozami! Nawet ja początkowo tego nie rozumiałem. Jestem ptakiem proroczym, ale żadna z przyszłości, które widziałem, nie zawiera Jajiczki unoszącej się w niej jak klejnot. Problem z każdym proroczym polega na tym, że jest żywe. Jak niedźwiadek. Może być rozszoszczone, sfrustrowane, głodne. Może lizać, gryźć i drapać, może być przymilne albo złośliwe. Tak naprawdę nikt nie prorokuje, można najwyżej dążyć do prorocztwa. Może więc moje niedźwiedziątko mnie przechytryło? Rozmyślałem nad tym jeszcze długo po tym, jak mój brat opuścił mnie w poszukiwaniu wojny i dziewcząt, które stanowią jego szczególną obsesję. Rozmyślałem i starałem się zrozumieć, co Kościej i ja razem stworzyliśmy. Czy wiesz, Mario, jak pojawia się objawienie? Tak samo jak śmierć. Nagle, choć od początku wiesz, że musi nadejść. Objawienie zawsze stanowi jakiś koniec. Może nawet stać się powodem do smutku.

Car Ptaków całuje Marię w czoło, cmokając nad nią jak matka.

- Powiedziałaś mu, żeby cię zabrał, pamiętasz?

W jej sercu Leningrad otwiera się z jednego, niemal nieistniejącego punktu i rośnie, coraz większy, zimniejszy i bielszy, a w Marii budzi się głód, prawie zapomniany, który drąży ją jak robak i nie daje się zaspokoić. Wsparta o Alkonosta, stęka ciężko jak zgniatane żelazo. Ciepło jego serca promieniuje w jej objęciach niczym gwiazda.

- Tak, oto odgłos pamięci. - Alkonost wzdycha, a jego pióra jarzą się fioletowo. - Kościej cię do mnie przyprowadził. Byłaś tak bliska śmierci, że tłoczyły się wokół ciebie duchy płaczące srebrnymi łzami, czekające na ciebie z uśmiechem. Ktokolwiek zbudował



ludzi, niewątpliwie zaszczerpił w was ironię. Czasami, gdy ktoś jest na granicy śmierci głodowej, nakarmienie go sprawia mu jeszcze więcej bólu i ostatecznie wpycha do grobu. Mój brat chciał ponownie pokazać ci swoje domy, karmić cię słodkościami i włożyć ci do bladych ust grubą kromkę chleba, na której kawior lśni jak rubiny. Chciał cię zanurzyć w parującej wodzie, wyszczotkować ci włosy i sprawić, żebyś znów się dobrze poczuła. Ale nie potrafił. Byłaś już zbyt daleko. Dlatego razem cię trzymaliśmy, a ja karmiłem cię jak pisklaka. Żułem obłoki, światło gwiazd i skórę księżyca, po czym zwracałem je do twojego wnętrza, ofiarowując ci najwspanialsze jedzenie, jakie znaleźliśmy od młodości świata; nie mogło wyrządzić ci krzywdy. A gdy otworzyłaś oczy, jak głupiec zacząłem cię tulić i szeptać ci do ucha bzdury, jakich uwielbiają słuchać pisklęta. „Allee allai!”. Powinienem być się domyślić, ale proroctwo było tego dnia wyjątkowo niegrzecznym niedźwiadkiem. Odezwałem się, a mój głos opróżnił twoje serce i zniknął, jak przeskakujące nagranie, a na twoim miejscu pojawiło się jajo. Duchy zawodziły, oplakując tę stratę, podobnie jak mój brat. Paznokciami otworzył skorupę i wpełzł do środka za tobą, a ja nagle zostałem sam w gnieździe, gdyż wszyscy mnie opuścili. Wtedy doznałem objawienia, które było jak śmierć. Miejsce, które znajduje się wewnątrz jaja, Jajiczka, jest bardzo złożone, a jego zadaniem jest ukrycie śmierci przed jej właścicielem, a także doprowadzenie go do niej. To idealny świat, który nie mógłby przetrwać na zewnątrz wysadzanego klejnotami jaja Alkonosta i Kościeja, niezależnie od tego, jak wiele wersji miałyby ta opowieść. (Na pewno zdajesz sobie sprawę, że świat wciąż na nowo próbuje odgrywać tę historię, mając nadzieję, że w końcu potoczy się inaczej, starając się uczynić ją idealną jak jajo). Świat, który pozostaje, gdy zapominasz, jak wyglądają smutek i śmierć. Proroczy świat, który nigdy nie może się ziścić.

Car Ptaków ociera łzy Marii, ale w ich miejsce pojawiają się nowe, a jego pióra ciemnieją od soli.

- Maszeńko, jego śmierć była ukryta w otchłaniach Jajiczki, a ty do niej prowadziłaś, gdyż życie zawsze wiedzie ku śmierci. Tutaj on mógł należeć do ciebie, mógł być całością, Kościejem i Iwanem, diabłem i człowiekiem, potężnym i słabym, ciemnym i złotym. Ty byłaś dziewczyną, którą mogłabyś się stać, gdybyś nigdy nie ujrzała ptaków. Gdyby nigdy nie ukradziono ci szalika. A jeśli Kościej nie chciał umrzeć, wystarczyło, by cię nie dotykał, nie dał ci dziecka, którego nie może mieć w prawdziwym świecie, gdyż jest Carem Życia, a śmierć zawsze wygląda jak dziecko, koniec i jedyny cel istnienia zwierzęcego ciała. Ale oczywiście wszystko skończyło się tak jak zawsze. Takie jest życie. Któż w idealnym świecie nie pragnie szczęścia dla swojego kochanka? Och, Mario Moriewno! Czy wiesz, jak ludzie chodzący do kościoła nazywają mnie i moją córkę Gamajun, gdy malują nas na swoich

sufitach? Nazywają nas archaniołami i twierdzą, że mieszkamy w niebie, gdzie nie rośnie winorośl smutku ani pamięci. Oto, dokąd cię posłałem. Nie do nieba... phi, nic mi o nim nie wiadomo... ale do miejsca, które jest jak sufit kościoła.

- Dlaczego on nie zabrał mnie ponownie do Bujanu, gdzie mógł wciąż być nieśmiertelny?

Alkonost westchnął, a jego oddech poruszył pasmami jej włosów jak zimowy wiatr.

- Bujanu już nie ma, Mario. Nie wiedziałaś? Wojna się skończyła.

- Czy dlatego żelazny klucz krwawi? - szepnęła Maria, ukrywając twarz w piórach. Gdyby tylko mogła zostać pod jego skrzydłami i znów zapomnieć. Zapominać wciąż na nowo.

- Nie, dziecko. To klucze do twojego domu, a krwawią dlatego, że Iwan tam umiera i jest całkiem sam.

## Zobaczyłem gawrona pośród zgliszczy

Maria Moriewna zawirowwała jak szpulka; miała dziwne wrażenie, że jakaś olbrzymia dłoń naciska od góry jej głowę, a żebra się uginają, tak jak dawno temu, gdy jeden z domowików pokazał jej świat za piecem. Poczwała, że się kurczy i składa, a złociste światło Jajiczki gaśnie w niej jak łuczyna, rozpalony węgielek na czubku sosnowej igły, którego używa się, gdy nie można znaleźć świecy. Jej nogi znów stały się cieńsze od patyków, ręce obwisły, słabe i lekkie, a język potwornie opuchł od pragnienia. Przestraszyła się, że już nigdy nie będzie duża, najedzona ani ciepła. Wisiała w ciemności, mała, koścista i potargana. Naparła na mrok ramieniem, pchając, pchając, pchając tak samo jak podczas narodzin śmierci Kościeja.

„Mamo, jak jasno!”.

Ciemność ustąpiła i Maria Moriewna wyszła zza starego pieca w kuchni. Śnieg posypał się z cegieł - pocisk rozbił połowę dachu, a płatki opadały z roztrzaskanych krokwi. Płytki z różami leżały porozbijane na podłodze jak kawałki potłuczonych naczyń. Lód pokrywał błękitem żelazne patelnie; rury popękały i wszystko było mokre - szafki, stół, krzeselko, na którym siadywała Sofia. Pod Marią ugięły się kolana, gdy przypomniała sobie Sofię. Stół nadal był zastawiony. Śnieg wypełniał wszystkie miski jak zupa.

- Iwanie? - zawołała cicho Maria. Miała wrażenie, że od lat nie używała głosu. Jak zmierzyć czas spędzony w jajku? - Iwanuszko?

Odpowiedział jej wiatr, który wiał czernią przez pokoje. Dom był zapieczętowany ciszą. Maria wspięła się po schodach, bojąc się, że znajdzie szkielet, który wciąż zastanawia się, dokąd odeszła jego żona.

- Och, Iwanuszko, gdzie jesteś?

Dach na górze wytrzymał, ale łóżko pokrywał srebrzysty szron i puszysty lód. Pościel leżała w porzuconych kopczykach i stertach. W końcu Maria wyszeptwała:

- Zwonok?

Po chwili domowicha pociągnęła ją za spodnie. Maria spojrzała w dół, a czarne włosy rozlały się po jej ramieniu jak osobliwy cień. Jej przyjaciółka stała przygięta niemal do ziemi. Jej piękne złociste włosy potargały się i posiwiały, wąsy niemal wypadły, ubrania podarły się i wytarły. Nie miała butów, a na jej palcach u nóg widać było rany i odmrożenia. Policzki

sterczały jak noże, a wygłodzone, dzikie oczy lśniły na żółto.

- Jest tam - warknęła Zwonok chrapliwie i brzydko, gdyż od dawna się nie odzywała. Maria wiedziała, że jej własny głos brzmi podobnie. Domowicha wskazała zamarzniete łóżko, a Maria zobaczyła, że kocyki pościeli mają kształt człowieka.

- Zwonok, co się z tobą stało?

- Dom jest chory, więc ja także. Wszystkie domy są chore. Wszyscy umierają. Zima nigdy się nie skończy.

Maria zamknęła oczy.

- Który to rok? Jak długo mnie nie było?

- Tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi. Luty. Gdyby coś takiego jeszcze istniało, mielibyśmy koniec Wielkiego Postu. Ale oczywiście to już przeszłość, mimo że tego roku mocno pościliśmy. Można by nas omyłkowo uznać za pobożnych. Zabawne, prawda? W zeszłym tygodniu pewien mężczyzna grał koncert w Sali Glinki. Przez cały czas śnieg wpadał przez rozbity dach, piętząc się na głowie oboisty. Rozbrzmiewały także syreny przeciwlotnicze. Wszyscy słuchaliśmy, siedząc na dachach jak koty. Ale w Leningradzie już nie ma kotów. Iwan powiedział: „Gdybyśmy tylko potrafili żywić się melodiami skrzypków”. Pocałowałam go w kciuk, a on powiedział, że jest ze mnie zadowolony. Potem wpełzł do łóżka i nie wiem, czy jeszcze żyje, ale ja zapewne wkrótce umrę. Ciekawe, jak sobie radzi towarzysz Czajnik? Albo stary przewodniczący Wienik? Może wciąż są grubi. Pamiętam, jakie to było uczucie. Cudowne. Można ich było turlać jak kulki. Chciałabym móc zjeść tamte dni, ale wspomnianie jest jak jedzenie, nie uważasz? Pożera się przeszłość, żeby się ogrzać. Mam nadzieję, że tam, dokąd odeszłaś, było ciepło.

Maria Moriewna położyła się na zmrożonej podłodze domu przy ulicy Dzierżyńskiego, domu przy ulicy Grochowej. Zwonok wpełzła w zgięcie jej szyi, obok ucha, gdzie krew płynie tuż pod skórą, a ciepło utrzymuje się, nawet gdy zniknęło z innych części ciała. Pocałowała tam Marię i szeroko rozłożyła ręce, by objąć całą jej twarz.

- Gdzie byłaś? - szepnęła domowicha. - Dokąd odeszłaś?

Po czym zniknęła z rozpostartymi ramionami, rozwiewając się jak dym.

Maria wstała, spodziewając się, że jej młode, pełne i silne ciało z Jajiczki od razu jej posłucha. Jednakże odezwało się tylko jej skrzypiące, wysuszone i kruche ciało z Leningradu. Pokuśtykała do łóżka, nie chcąc zobaczyć, co leży pod oszronionymi narzutami, nie chcąc ściągnąć koców i przekonać się, że przybyła za późno i okazała się bezużyteczna dla obu swoich mężów.

- Iwanuszek, żyjesz? Śpisz?

Spod pościeli dobiegł jęk, który zmienił się w grzechoczący oddech, a potem kaszel.

- Zostaw mnie w spokoju, Zwonok. Nie dzisiaj. Nie udawaj, że nią jesteś.

- To ja, Iwanuszko, to ja. Wyjdź i zobacz.

Z łóżka podniosła się dłoń: poczerniała wokół paznokci, z palcami skurczonymi jak szpony o olbrzymich kłykciach, szarymi jak szron. Nie mogła należeć do Iwana, który zawsze był taki ciepły i potężny. Zerknął na nią zapadniętymi i starymi oczami, w których tlił się ten sam wygłodzony, dziki płomień, co u domowichy. Był taki wychudzony, że Maria nie wiedziała, jakim cudem wciąż żyje. A jednak czuła, że oto po raz pierwszy widzi go nago, dostrzega intymność kości prześwitujących przez skórę i jego bezsilność. Wciąż był piękny. Miała wrażenie, że patrzy na niego z daleka, jak przez teleskop albo na dno studni. Odbij się, pomyślała. Odbij się i znów stań się Iwanem.

- Och - wycharczał. - Och.

- Nie wiem, czy powinnam cię przeprosić - rzekła Maria, delikatnie kładąc dłoń na jego zmierzwionych włosach. - Wydaje mi się, że to za mało.

- W takim razie ja to zrobię - wyszeptał Iwan. - Byłem dla ciebie zbyt ostry. Nie uczyniłaś mnie przestępcą. Nie powinienem był tak mówić. Kiedy podrobiłem nasz akt ślubu, byłem szczęśliwy, że mogę napisać twoje imię obok mojego, że trzymam w dłoniach dowód naszej miłości, coś, co należy do nas obojga, fałszywy dokument, który, choć kłamie, mówi prawdę. Przepraszam, Maszo. Nie powinienem był powiedzieć połowy tego, co powiedziałem.

- Cicho, Iwanuszko. To bez znaczenia. - Rzeczywiście. Maria mówiła okrutne słowa w obu swoich małżeństwach i nigdy ich nie szczędziła Iwanowi. Wzięła go na ręce; był taki lekki, a jej mięśnie, chociaż skurczyły się i osłabły, nadal pamiętały Jajiczkę, gdzie były silne. Skryła swojego szarego chłopca w szarych objęciach. Na ulicach bezgłośnie padał śnieg, nikt nie rozmawiał ani nie grał na gitarze i nikt nie pukał do drzwi, szukając dziewczyny z okna. Leningrad był pusty jak stare łóżko.

- Maszo, tak bardzo się starałem cię odnaleźć! - Iwan zakaszłał, a Maria otarła mu usta, ale jej dłoń tylko otworzyła różowe rany.

- Nic nie mów, ukochany. Nie warto tak się męczyć. - A ja nie mogę słuchać, jaki byłeś lojalny. Nie mów mi o tym.

Iwan zacharczał; powietrze w jego krtani grzechotało jak kamienie w słoju.

- Tylko mówienie mi pozostało! Nie mogę wziąć cię w ramiona, pocałować cię ani się z tobą kochać, jak powinien uczynić mąż, gdy jego żona wraca z dalekiej podróży. Nie potrafię cię przekonać, że ci przebaczyłem i że wiem, że kochałaś nas obu, tak jak matka

kocha dwóch synów. Nikogo nie wolno osądzać za to, że kocha za dużo, jedynie za to, że kocha za mało, a właśnie na tym polegała moja zbrodnia. W końcu to ja mu cię odebrałem, więc nie mogę mieć pretensji, że porwał cię z powrotem... - Maria Moriewna chciała zaprotestować, rozgrzeszyć jego, siebie albo ich oboje. Jednakże Iwan popatrzył na nią bezbarwnymi oczami i lekko unióśł dłoń, by ją uciszyć. - Nie przerywaj mi, Maszo! Jeśli teraz umilknę, więcej się nie odezwę. Dobrze wiem, że wcale mu cię nie zabrałem, tak jak i on mi cię nie zabrał. Długo tak uważałem, ale dziś rozumiem, że to ty nas wybrałaś, najpierw mnie, a potem jego. Wybory to trudna sprawa, gdyż nigdy nie poprzestajemy na jednym. Od Gamajun usłyszałem, że to wszystko jest opowieścią, a ja muszę być pewny swej miłości do ciebie, w przeciwnym razie nic nie potoczy się tak, jak powinno. Niepotrzebnie się przejmował: między jednym a drugim uderzeniem serca pokochałem cię i byłem stracony, jak jeden z martwych utkanych żołnierzy. Miałem mnóstwo czasu, by to przemyśleć, Mario! Mnóstwo czasu, by leżeć w piwnicy pośród lin, które go przytrzymały, żałując, że to nie ja byłem nimi skrupowany, ponieważ to by oznaczało, że pragnęłaś mnie na tyle, by trzymać mnie w tajemnicy, tak jak ja czyniłem z tobą. - Iwan położył bladą dłoń na jej ramieniu. Była taka sucha i lekka. Maria czuła jego kości, tak jak kiedyś czuła kości kryjące się pod skórą Kościeja. - Ale kiedy zniknęłaś... zupełnie zapomniałem, że to potrafisz... a oni znów zmniejszyli racje żywnościowe, by wkrótce zrobić to ponownie, pomyślałem: Dlaczego została tutaj tak długo? Ta myśl podniosła mnie na duchu, ponieważ wiedziałem, że zostałaś dla mnie. Nie odpowiadaj. Nie chcę usłyszeć, że się mylę. Ale czy wiesz, że cię szukałem? Przeczesałem całe miasto, po trzykroć dziewięć dzielnic, po trzykroć dziewięć ulic. Pytałem wszystkich, czy czegoś o tobie nie słyszeli. Poszedłem na Maklinowski Prospekt, na ulicę Dekabrystów, gdzie kiedyś stał dom, który ci się podobał, ten pełen malowideł. Czy wiesz, że się spalił?

- Tak, wiem.

- Zwonok rozplakała się, gdy to zobaczyła. Ale ja poszedłem do tego domu i zobaczyłem pośród gruzów fragmenty malowideł, złocistych jak włosy dziewczyny, czerwonych jak Żar-Ptak, zielonych jak płaszcz Iwana Głupca. Zacząłem się śmiać, ponieważ zrozumiałem, że to ja jestem Iwanem Głupcem, gdyż tylko głupiec jest tak niewinny, że próbuje się mierzyć z pierwszą miłością kobiety, próbuje się mierzyć z nieśmiertelnym. To tak jak z zabójstwem cara. Może Rosja też miała dwóch mężów, jednego bogatego, a drugiego biednego, jednego starego, a drugiego młodego. W końcu biedny mąż postrzelił bogatego w pierś i zabił wszystkie jego córki. Był odważniejszy ode mnie.

Iwan zamknął oczy. Zmarszczył czoło, jakby chciał się rozplakać, ale nie miał tyle

siły.

- Poszedłem do domu przy ulicy Dekabrystów i zobaczyłem gawrona pośród zgliszczy, tak czarnego, jakby on też się spalił. Popatrzyłem na niego, a on na mnie. Pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem takiego wielkiego ptaka, tak grubego i lśniącego, niczym księżę wśród gawronów. Nawet zanim zjedliśmy wszystkie ptaki, które udało nam się zastrzelić, nigdy nie spotkałem ptaka o takim przenikliwym spojrzeniu. Mój żołądek powiedział: „Dopadnę go”. Ale moje serce odparło: „W tym mieście pozostało zbyt mało tłustych i pięknych rzeczy”. Nie znalazłem cię w gruzach ani w śniegu. Ruszyłem do domu, ale gawron podążał za mną, skacząc z tarasu na taras, lecąc wzdłuż popsutych linii wysokiego napięcia, a jego ostry wzrok odbijał się od dachówek i spadał na mnie. Gdy skręciłem w ulicę Dzierżyńskiego i dotknąłem drzwi naszego domu, gawron zatrzepotał skrzydłami i odezwał się do mnie z gałęzi wiśni. „Daj mi coś, co do niej należało”, zaskrzeczał. „Wtedy ci pomogę”. Przyszła mi do głowy tylko czerwona sukienka, którą kupiłem ci dawno temu. Wisiała w szafie i wciąż utrzymywała kształt twojej sylwetki. Zanurzyłem w niej twarz, ale twój zapach już wyparował. Powoli wysunąłem ją za okno, a gawron pochwycił ją zakrzywionym dziobem. „Zapomnij o niej na zawsze, oto moja rada”, zaskrzeczał. „Ale jeśli nie potrafisz, pozwól mi zatrzymać sukienkę. Maria to moja krewna. Sukienka będzie mi o niej przypominać. Nie pierwszy raz coś dobrego wyniknie ze wspomnień”. Nie chciałem tego robić, Maszo, ale dałem mu sukienkę. Uniósł czarną gardziel ku niebu, a łopoczący czerwony materiał zniknął w jego dziobie. Potem gawron odleciał.

Iwan z namysłem pogłaskał Marię po rękę. Miał szorstką skórę. Oboje byli wycieńczeni. Wreszcie do siebie pasowali.

- A jednak nadal cię szukałem. Przeczesałem całe miasto, po trzykroć dziewięć dzielnic, po trzykroć dziewięć ulic. Wypytywałem nawet trupy. Poszedłem na targ, gdzie pojawiła się ta okropna kobieta sprzedająca kotlety, pamiętasz? Już jej nie ma. Teraz inni ludzie sprzedają takie samo paskudne różowe mięso, a ich twarze są grube i syte... a przynajmniej bardziej grube i syte niż moja... ale nie powiem ci, czy coś od nich kupiłem. Nie pytaj. W każdym razie poszedłem na targ i zobaczyłem sprzedawców kotletów, butów i chleba. Żądali sześciuset rubli za kawałek pieczywa, które w większości składało się z trocin. Dzisiaj pewnie żądają tysiąca. A jednak chciałem mieć ten chleb z trocin. Moje usta poruszały się, jakbym już go jadł. Kilka miesięcy temu naganiacze wydzielali się na targu, a ludzie przynosili sznury pereł, żeby wymienić je na chleb. Dziś wszyscy stoją nieruchomo i w milczeniu pozwalają, by śnieg zasypywał im ramiona. Albo możesz sobie na coś pozwolić, albo nie. Nikt nie ma siły się targować. Tam na rynku zobaczyłem siewkę, brązową, jakby też

upieczono ją z trocin. Popatrzyłem na nią, a ona na mnie. Pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem takiego wielkiego ptaka, tak grubego, o lśniącej białej piersi, niczym baron wśród siewek. Nawet zanim zjedliśmy wszystkie ptaki, które udało nam się złapać, nigdy nie spotkałem ptaka o takim przenikliwym spojrzeniu. Mój żołądek powiedział: „Dopadnę go”. Ale moje serce odparło: „W tym mieście pozostało zbyt mało przenikliwych i lśniących rzeczy”. Nie znalazłem cię na targu ani w lodzie. Ruszyłem do domu, ale siewka podążała za mną, skacząc z tarasu na taras, lecąc wzdłuż popsutych linii wysokiego napięcia, a jej przenikliwy wzrok odbijał się od dachówek i spadał na mnie. Gdy skręciłem w ulicę Dzierżyńskiego i dotknąłem drzwi naszego domu, siewka zatrzepotała skrzydłami i odezwała się do mnie z gałęzi wiśni. „Daj mi coś, co do niej należało” - zaskrzeczała. „Wtedy ci pomogę”. Przyszła mi do głowy tylko srebrna szczotka, którą dawno temu tak uwielbiałaś. Leżała w szufladzie twojej toaletki i wciąż było na niej kilka twoich uroczych czarnych włosów. Przeczesałem nią swoją fryzurę, aby nasze loki nawzajem się pocieszyły. Potem wysunąłem ją za okno, a siewka pochwyciła ją krótkim dziobem. Prawie przewróciła się pod jej ciężarem. „Zapomnij o niej na zawsze, oto moja rada” - zaskrzeczała. „Ale jeśli nie potrafisz, pozwól mi zatrzymać szczotkę. Maria to moja krewna. Szczotka przywoła ją do moich snów. Nie pierwszy raz coś dobrego wyniknie z sennych marzeń”. Nie chciałem tego robić, Maszo, ale dałem jej szczotkę. Uniosła białą gardziel ku niebu i szeroko rozwarła dziób, a rzeźbiona rączka w nim zniknęła. Potem siewka odleciała.

Iwan powiódł wzrokiem po twarzy Marii, starając się ją zapamiętać, a ona również zapamiętała jego twarz, zarówno dawną, jak i obecną, ponieważ chciała być uczciwa w swych wspomnieniach.

- A jednak nadal cię szukałem. Przeczesałem całe miasto, po trzykroć dziewięć dzielnic, po trzykroć dziewięć ulic. Wypytywałem nawet zabłąkane działa, które stały na ulicach, potężne, szare i uparte. Poszedłem do Ermitażu, gdzie posagi olbrzymów podtrzymują dach, pamiętasz? Ich łokcie są teraz podziurawione kulami, a mimo to, wyglądają potężnie i pięknie, stojąc w śniegu z zamrzniętymi kłykciami, dźwigając swoje brzemie. Podziwiam ich. Pomyślałem: Gdybym tylko mógł być taki jak oni. Na palcu nogi jednego z posągów zobaczyłem dzierzbę o policzkach tak czerwonych, jakby ktoś ją postrzelił. Popatrzyłem na nią, a ona na mnie. Pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem takiego wielkiego ptaka, tak grubego, o lśniących czarnych skrzydłach, niczym księżę wśród dzierzb. Nawet zanim zjedliśmy wszystkie ptaki, które udało nam się zastrzelić, nigdy nie spotkałem ptaka o takim żarliwym spojrzeniu. Mój żołądek powiedział: „Dopadnę go”. Ale moje serce odparło: „W tym mieście pozostało zbyt mało żarliwych rzeczy”. Nie znalazłem



cię pod posągami ani w ciemności. Ruszyłem do domu, ale dzierzba podążała za mną, skacząc z tarasu na taras, lecąc wzdłuż popsutych linii wysokiego napięcia, a jej żarliwy wzrok spadał na mnie razem ze śniegiem. Gdy skręciłem w ulicę Dzierżyńskiego i dotknąłem drzwi naszego domu, dzierzba zatrzepotała skrzydłami i odezwała się do mnie z gałęzi wiśni. „Daj mi coś, co do niej należało” - zaskrzeczała. „Wtedy ci pomogę”. Przyszła mi do głowy tylko twoja strzelba. Wybacz mi. Leżała tam, gdzie ją zostawiłeś, pod naszym łóżkiem. Wciąż były na niej ślady twoich dłoni, a kość zbrązowiła w miejscu, w którym tak często i pewnie ją trzymałeś. Wyobraziłem sobie siebie w młodości, jak radośnie strzelasz do zwierząt, nie dlatego, że jesteś głodna, ale dlatego, że możesz. Kołysałem strzelbę w dłoniach. „To wszystko, co mi po niej zostało” - powiedziałem. „Gdy to stracę, ona bezpowrotnie odejdzie”. Dierzba nic nie odpowiedziała. Co miałem zrobić? Wysunąłem broń za okno, a dzierzba pochwyliła ją ostrym dziobem. Prawie spadła z gałęzi pod jej ciężarem. „Zapomnij o niej na zawsze, oto moja rada” - zaskrzeczała. „Ale jeśli nie potrafisz, pozwól mi zatrzymać strzelbę. Maria to moja krewna. Strzelba pozwoli mi ją opłakiwać. Nie pierwszy raz coś dobrego wyniknie z żałoby”. Nie chciałem tego robić, Maszo, ale nie miałem nic innego, co mógłbym jej oddać. Uniosła czerwoną gardziel ku niebu i szeroko rozwarła dziób, a rękojeść w nim zniknęła. Potem dzierzba odleciała. Siedziałem w mrocznym domu bez ciebie, bez Kseni Jefremowny, bez małej Sofii paplającej o rybkach i balonach. Tego dnia tak bardzo płakałem, że bałem się, że pęknie mi kręgosłup. A potem Zwonok się do mnie przysiadła i poklepała po kolanie. Mała domowicha powiedziała, że znała cię przez całe twoje życie, że jesteś podła i też ją porzuciłeś, ale zapewne wrócisz. „Podłe istoty nigdy nie znikają na długo”. Zaczęliśmy wychodzić na dach, by obserwować Niemców i donosić o wszelkich przemieszczeniach sił. Robiliśmy, co było w naszej mocy, chociaż dach naszego domu to najzimniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem. Pewnego dnia, gdy skończyliśmy obserwację, domowicha do mnie przyszła. Urosła i miała czarne włosy. „Po co niepotrzebnie cierpieć?” - spytała, po czym mnie pocałowała i... nie chcę teraz o tym mówić. Nie pytaj. Ty mnie zostawiłeś, ona została. Jednakże następnego dnia, gdy siedziałem na dachu, wyęzając wzrok, obserwując krańce miasta, na rynnie wylądował gawron, gruby i czarny jak deszczowa chmura. „Sukienka straciła kolor” - zaskrzeczał. „W Marii Moriewnie narasta ból”. Po czym zakaszłał, zakrzusił się i z jego dzioba wysunęła się sukienka, bezbarwna, nawet nie szara, przypominająca ślinę. Wypluł ją na dach, po czym skoczył z powrotem w śnieżne powietrze. Jestem pewien, że odgadniesz, co było dalej, Maszo. Następnego dnia pojawiła się siewka, brązowa jak chleb, tak że mógłbym ją zjeść bez wyrzutów sumienia. „Szczołka zmatowiała” - zaskrzeczała. „W Marii Moriewnie narasta smutek”. Po czym zakaszłała, zakrzusiła się i z jej

dzioba wysunęła się szczotka, czarna, bez choćby odrobiny srebra. Siewka wypluła ją na dach, po czym skoczyła z powrotem w śnieżne powietrze. Oczywiście wiesz, co teraz powiem, Maruszo. Wiesz, że to opowieść, i rozumiesz, jakie nią rządzą zasady. Jako ostatnia pojawiła się dzierzba, tak bardzo czerwona. Gdzieś z oddali dobiegała muzyka grana na skrzypcach i obojach. Ale to szaleństwo, kto grałby na skrzypcach w Leningradzie? Komu by się chciało? „Strzelba sama wystrzeliła i zabiła przelatującą sowę” - zaskrzeczała dzierzba. „W Marii Moriewnie narasta śmierć”. Po czym zakaszła, zakrzuszyła się i z jej dzioba wysunęło się coś obrzydliwego. Z trzaskiem uderzyło o dach, ale złapałem to, zanim z niego spadło. Dierzba popatrzyła na mnie ze współczuciem, po czym skoczyła z powrotem w powietrze, rozkładając skrzydła pokryte śniegiem. A potem pojawiłaś się ty. Jesteś przy mnie. Moja Maria, cała i zdrowa, wróciła po mnie. Włożyłem w tę opowieść całą swoją duszę. Ale mam twoją sukienkę, szczotkę i strzelbę. Są tam, gdzie je zostawiłaś, w szafie, toaletce i pod łóżkiem. Gdzie twój ból, Mario Moriewno? Gdzie twój smutek? Gdzie twoja śmierć?

Maria mocno go przytuliła i owinęła włosami, żeby nie zmarł. Potem opowiedziała mu wszystko, co przyszło jej do głowy: o Jajicdze, o polowaniu na Żar-Ptaka, o tym, jak urodziła dziecko zwane śmiercią, o świetlistym ptaku, który ją obejmował, tak jak ona teraz obejmuje Iwana Nikołajewicza.

- Żałuję, że zatrzymałaś szczotkę - westchnęła.

- Z ptakami są same kłopoty - odrzekł Iwan i przez chwilę wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć. Ale tylko zakaszła i zadrżała.

Łzy popłynęły z oczu Marii i skapnęły na jego policzki.

- Gdyby to naprawdę była opowieść, Iwanuszek, mogłabym cię uzdrowić Wodą Życia, a ty byś wstał i ze mną zatańczył. Potem znaleźlibyśmy zastawiony stół pełen jedzenia, a miasto obudziłoby się z niekończącego się snu i wszędzie rozległyby się okrzyki oraz śpiewy unoszące się ponad ulicami jak para!

- Phi! - chrząknął Iwan, a pod wpływem kaszlu z jego ust wysunęły się nitki śliny i flegmy. - Życie takie nie jest.

- Nie przejmuj się - szepnęła Maria, całując go w czoło. - Moje stare kości wkrótce podążą za twoimi.

- Żono, nawet gdybyś posiadała jęczmień na bruku ulicy Dzierżyńskiego, a gdy wyrosnie, skosiła go, wymłóciła, zmieliła na mąkę i upiekła z niej chleb, po czym zjadła go i rozdzieliła między ludzi, i tak byś mnie nie doścignęła.

Po czym Iwan umarł w jej ramionach, a jego ostatni oddech wzleciał pod sufit jak spirala dymu z papierosa.

\* \* \*

Maria Moriewna włożyła bezbarwną sukienkę i wyciągnęła strzelbę spod małżeńskiego łóżka. To dla dwóch mężów, którym przyniosłam śmierć z kobiecą twarzą, pomyślała, po czym chwiejnie wyszła na pokrytą mokrym śniegiem i lodem ulicę Dzierżyńskiego. Obok przebiegła grupa mężczyzn w płaszczach podszytych futrem, a ich buty odcisnęły na śniegu ślady w kształcie elips. Maria patrzyła na nie w milczeniu, a jej łyzy zamarzały.

- Hej, staruszko! - zawołał jeden z mężczyzn, który niósł na ramieniu czarny karabin. - Potrafisz strzelać?

Maria drgnęła i popatrzyła mu w oczy. Wskazał piękną kościaną strzelbę, którą trzymała w dłoniach.

- No jak? - spytał ostro.

- Tak - odpowiedziała w końcu, a jej oddech pokruszył się na kawałki i uniósł go wiatr.

**Część szósta**  
**Ktoś powinien**

*Rozległ się głos. Uspokajał:  
„Chodź do mnie,  
Porzuć swój głuchy i grzeszny kraj.  
Porzuć Rosję na zawsze.  
Obmyję twe dłonie z krwi,  
Uwolnię twe serce od czarnego wstydu,  
Złagodzę ból porażek i zniewag  
Balsamem nowego imienia”.  
Lecz ja spokojnie, z zimną krwią  
Zakryłam uszy pięściami...*

Anna Achmatowa

## A każdy wypisany na twoim brzuchu

Generał dywizji patrzyła, jak Tkaczuk, kaleki chłopiec, ucieka przez pole skoszonego jęczmienia w Michajłówce, potykając się i kulejąc. Sierżant sztabowa westchnęła u jej boku.

- Zawsze puszczaacie ich wolno. W takim razie, po co ich aresztujemy?

- A co mi po martwym dziecku, towarzyszek Uszanko? - spytała Maria Moriewna, przesuując dłonią po twarzy. Ostatnio była taka zmęczona. Nawet jej krew nie miała siły być czerwona. Miała zbyt dużo pracy.

- Nie służę waszym osobistym interesom, Moriewna. Służę Ludowi, a Lud domaga się, by winni popełnionych przeciw niemu zbrodni zostali ukarani. Walczyłyście w Leningradzie. Ja także. Dlaczego on miałby się wywinąć?

- Ktoś powinien. - I to nie będę ja. Przetrwalam, ale się nie wywinęłam.

Maria wsunęła dłoń do kieszeni munduru i wyjęła, swobodnie jak chustkę, kłębek czerwonej wełny. Nie wiedziała, dlaczego tak długo z tym zwlekała. Może wcześniej ból był zbyt silny. Może myślała, że zostając, okaże lojalność i zasłuży na przebaczenie.

Położyła wełnę na piaszczystej ziemi, skoszonym jęczmieniu i drobinkach popiołu, po czym delikatnie ją popchnęła. Kłębek zakołysał się w tył i w przód, a następnie szybko potoczył na wchód, znacząc szlak między karłowatymi drzewami i wyschniętymi pnączami. Kobiety schowały ławę sądową do długiego czarnego samochodu, który nie miał kurzych nóżek ani pustego miejsca dla kierowcy, tylko był zwykłym autem z kapryśnym silnikiem i flegmatycznym tłumikiem. Maria Moriewna wrzuciła bieg i pojechała w ślad za kłębkim, który rozwijał się ku zmierzchowi.

W ten sposób pokonały po trzykroć dziewięć królestw, z których składa się cały świat. Uszanka nalegała, żeby zatrzymywały się w wyznaczonych miejscach, mimo że Maria nie miała ochoty oglądać wygłodzonych dezertów, których miały rozstrzeliwać. Zresztą, kim była, by ich osądzać?

- Sama jestem dezertką - wyznała swojej sierżant pewnej nocy w koszarach niedaleko Irkucka. - W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku uciekłam z Leningradu. Tak jak mi przepowiedział pewien stary przyjaciel. Gdyby wasze drogocenne archiwa były coś warte, już byście o tym wiedzieli.

- Wiem o tym, Moriewna - wyszeptła Uszanka ze swojego długiego, wąskiego posłania. - Ale wróciłyście. Może wydaje się wam, że mam serce szczone, ale wierzę, że przez wasz powrót wystarczająco odpokutowałyście winy.

Pojechały dalej. Podążały śladem czerwonej włóczki, a Maria dziwiła się, że Uszanka nigdy nie zgłosiła obiekcji wobec takiego dziwactwa. Nic nie wiedziała o swojej towarzysze, która już nie nosiła błękitnej wstążki, ale miała pewne podejrzenia. „Rozstrzelaliśmy wszystkie kolory podczas wojny”, lubiła żartować sierżant, ale Maria się nie śmiała. Tak naprawdę nigdy się nie śmiała, a zwłaszcza z żartów Uszanki. Obie kobiety łączyło niewiele poza wzajemną podejrzliwością. Nigdy nie rozmawiały o tym, jak dziwnym trafem poznały się przed wojną. Jednakże przypadek i tak zajmował miejsce przy ich stole, spożywał swój przydział chleba oraz wina i szczyrzył się, widząc zakłopotanie Marii.

Włóczka wciąż się rozwijała.

Pewnego lipcowego dnia wjechały w płataninę zarośli, między kolce jeżyn, połamane gałęzie modrzewi i paprocie jak stare wiosła. Wsiadły z samochodu, żeby oczyścić drogę, ponieważ włóczka potoczyła się dalej pod roślinnością. Maria pocila się pod czapką, szarpiąc konary i łodygi, gdy nagle zauważyła kilka wyblakłych, ogołconych przez słońce czaszek jakichś małych stworzeń, może nornic, jeży albo królików, a także stertę rogów. Coś w tym widoku zaniepokoiło Marię i sprawiło, że włoski zjeżyły się jej na karku. Zmarszczyła czoło, po czym zamknęła się w samochodzie, kurczowo zaciskając dłonie na kierownicy. Uszanka usiadła obok niej, wycierając ręce w spódnicę i uśmiechając się tajemniczo.

Za ścianą gruzów leżała wioska. Niezbyt okazała, lecz to samo można powiedzieć o wszystkich wioskach. O Michajłówce, Szerokiej, Barbórcie albo o tym żalonym miejscu, jakkolwiek się nazywało. Przez jej środek biegła szeroka droga oddzielająca dwa rzędy domów. Maria zobaczyła gospodę; w takich miejscach zawsze jest gospoda. Sklep rzeźnika, zakład krawiecki. Wydawało się, że droga prowadzi do dużego budynku stojącego w oddali, pomalowanego na czarno, na wpół zniszczonego przez burze i upływ czasu. Może była to stara fabryka amunicji albo jakaś odzyskana posiadłość pochodząca z czasów, gdy jeszcze opłacało się utrzymywać posiadłości.

Czerwony kłębek wreszcie rozwinął się do końca. Postrzępiona końcówka spoczęła u stóp Marii, oblepiona pyłem. Wskazywała na zrujnowany czarny budynek. Serce Marii poderwało się jak stary wilk, węsząc w poszukiwaniu znajomej woni.

- Napijcie się ze mną, towarzysko Uszanko? Chce mi się pić - powiedziała w końcu. Czuła się tutaj dziwnie swobodnie. Wioska nie dawała jej spokoju, jak drapanie w gardle. Chciała się napić, odpocząć i opóźnić kolejny proces, który Uszanka zamierzała

przeprowadzić. Oficer przytaknęła z miną równie surową jak zawsze.

\* \* \*

Gospoda była opustoszała; na stołach i krzesłach zgromadziła się warstwa kurzu. Słońce odbijało się w trzech butelkach niezidentyfikowanego trunku stojących za barem, a stary plakat, wyblakły i poplamiony, ostrzegał: „Wybierajcie radzieckich robotników! Nie wybierajcie szamanów ani bogaczy!”. Maria go dotknęła, a światło na jej dłoni o czymś jej przypomniało, ale nie potrafiła powiedzieć, o czym. Wszystkie aspekty jej dawnego życia były trudne do uchwycenia, jak przepływające ryby - tak niezwykle szybko!

- Czym mogę służyć, towarzyszeko?! - ryknął barman przyjacielsko.

Był niezwykle niski i gruby, ledwie wystawał zza baru. Wyglądało na to, że od lat się nie cesał, gdyż włosy opadały mu wokół uszu ciemnymi splątanymi kosmykami, a potężna broda pokrywała jego policzki jak mech porastający kamień.

- Ziemiojad! - wykrzyknęła Maria. Jej pamięć rzuciła się do lodowatej wody i pochwyliła rybę. Maria położyła sobie dłoń na sercu, żeby przytrzymać je w piersi. To działa, działa! Och, Olgo, dziękuję za włóczkę, nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć! - Ziemio, to ja, Maria. Nie zginąłeś jednak i ja także! Na naszych piersiach nie ma srebrnych plam. Chodź i mnie ucałuj!

- Obawiam się, że z kimś mnie pomyliłyście. - Człowieczek się roześmiał. - Rzeczywiście, tak mam na imię, ale nigdy w życiu nie spotkałem ani was, ani waszej przyjaciółki.

„Nie, nie. Żadnych czarów, żadnych brzydkich przekleństw”.

- Ależ, Ziemio, znamy się całe życie.

- Nie sędzę! Ale mogę was przedstawić dobrej wódce i zostawić na osobności, byście się lepiej poznały. Nie gniewam się... moja twarz od zawsze wzbudza sympatię. Tylko nie mówcie o całowaniu przy mojej żonie.

- Żonie?

- Mojej słodkiej, wysokiej Naganii. Tak bardzo ją kocham! Jak broń kocha pociski, ot co. Jest na wpół ślepa bez okularów i uwielbia przeklinać, ale należy do mnie, a ja należę do niej. Tylko ona pamięta, od jak dawna jesteśmy sobie poślubieni. - Szczodrze napełnił kieliszki swoim gościom.

- Od piętnastu lat, Ziem, a każdy rok nosisz wypisany na brzuchu. - Przez pomieszczenie popłynął głos jak muzyka fletu. Maria i Uszanka popatrzyły w stronę, z której dobiegł, jakby zwracały twarze ku słońcu. Smukła, bladowłosa kobieta o głębokich, eleganckich rysach położyła rękawiczki na barze. Oczy pomalowała tak, by pasowały do



wina, którego sobie naląa. To była krawcowa z zakładu, który migotał za oknami. Jej ciało okrywała idealnie skrojona biała sukienka, a na biodrze sterczał wachlarz z nieco przybrudzonych, ale wciąż cudownych łabędzich piór. - Postaraj się dziś wieczorem szybko wrócić. Nasza jest bardzo niecierpliwa, chociaż próbowałam ją tego oduczyc.

- Liebiediewa! - Maria westchnęła, a łzy popłynęły jej z oczu na podbródek, jakby wciąż była małą dziewczynką i nigdy nie głodowała aż do skurczenia żołądka. - Moja łabędzico, tak bardzo za tobą tęskniłam! Ale już jestem, już wszystko w porządku.

Krawcowa włożyła do ust cygarniczkę z kości słoniowej.

- Bardzo się spoufalacie, towarzyszeko oficer. Czy my się znamy?

Maria straciła panowanie nad sobą; już nie dbała o to, czy Uszanka pozna jej tajemnice.

- Oczywiście, że się znamy! Uczyłaś mnie, jak korzystać z kosmetyków i czarować, tamtego dnia jadłyśmy razem zupę ogórkową w restauracji!

- Obawiam się, że zaszkodził wam upał. Nie znoszę ogórków, a także innych zielonych rzeczy. - Bładowłosa kobieta upiła łyk oleistego czerwonego wina. - Chciałabym, żebyś kiedyś sprowadził jakiś dobry trunek zamiast tych gruzińskich popłuczyn.

Ziemiojad przymilnie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Pijemy to, co pijemy”.

- Może powinniście porozmawiać z rzeźnikiem, towarzyszeko oficer. On zna wszystkich w miasteczku. Z pewnością pomoże wam znaleźć... - krawcowa znacząco zawiesiła głos, a może Marii tylko się tak wydawało - ...tego, kogo szukacie. Ja mogę was tylko zapewnić, że nie chodzi o mnie. - Pani Liebiediewa postukała paznokciami w kieliszek, zręcznie odwracając uwagę od Marii i Uszanki. - Nasza przyrządziła na kolację królicze serca w cieście. - Radośnie zmieniła temat. - Powiedziała, że mogę się przyłączyć, jeśli przyniosę grzyby.

\* \* \*

Cały wystrój sklepu rzeźnika składał się z kamienia do krojenia oraz pozbawionej szyby gabloty, w której leżał okazały rubinowy stek poprzerastany tłuszczem. Reszta pomieszczenia rozpadała się wokół nich, na tyle powoli, że wciąż sprawiała solidne wrażenie. Klepki podłogowe były niedopasowane, a samotny wiatrak bez jednej łopatki wirował chwiejnie pod lampą na suficie.

Uszanka beczelnie zadzwięczała dzwonkiem, ale w oczach Marii wszystko, co robiła, było beczelne. Nikt się nie pojawił.

- Proszę wyjść, w przeciwnym razie zarekwiruję karkówkę! - wrzasnęła sierżant. Nic

się nie poruszało w bursztynowych popołudniowych cieniach na zapleczu.

- Nikogo tu nie ma, towarzyszeko Uszanka. - Maria przeciągnęła dłonią po gablocie. Jej palce poczerniały od starego kurzu. Wciąż była roztrzęsiona po spotkaniu z przyjaciółmi. To byli oni, niemożliwe, by się pomyliła. Jej serce skryło się głęboko wewnątrz brzucha. Kim będzie rzeźnik?

- Nie mamy żadnego zadania do wykonania w tym miasteczku, towarzyszeko generał. Jeśli macie ochotę na kawałek wołowiny, to proszę bardzo, potem ruszamy dalej. - Sierżant sztabowa klepnęła muchę na blacie i przykryła ją dłonią, słuchając jej bezcelowego bzyczenia. Za ladą pojawiła się młoda kobieta o rumianych policzkach i bladych kręconych włosach otaczających słodką, okrągłą twarz. Jej różowe usta ułożyły się w kształt małego serca, wyrażający skruchę i zaskoczenie.

- Przepraszam, że kazałam towarzyszkom tak długo czekać! Czasami dopada mnie drzemka i nie mogę się od niej uwolnić.

- Lenistwo to wróg przemysłu. - Uszanka pociągnęła nosem.

Maria subtelnie, ale zdecydowanie stanęła przed swoją podwładną.

- Jak macie na imię? - spytała.

Dziewczyna zaczerwieniła się bez wyraźnej przyczyny.

- Jelena - odpowiedziała z nerwowym śmiechem.

Maria starała się zachować spokojne oblicze, chociaż jej umysł wywracał się do góry nogami. Ach te Jeleny o straszliwych bursztynowych oczach! Czy znała tę, która teraz przed nią stoi? Nie pamiętała. Jest wolna i potrafi mówić... coś się stało i wszystko jest dobrze. Ta kobieta oznacza, że wszystko jest w porządku, prawda?

- Skąd pochodzicie, Jeleno?

- Stąd. No, niezupełnie stąd. Mam niezbyt dobrą pamięć! Ale długo mieszkałam w żeńskim kołchozie na północnym skraju miasteczka. - Maria domyślała się, że budynek kołchozu ma drzwi z końskich kości i żelazny balkon.

Uszanka zmrużyła oczy.

- Nie podobało się wam życie w kolektywie?

- Ależ nie, to nie tak. Razem prowadziłyśmy zakład tekstylny, który zaspokajał wszystkie nasze potrzeby. Dzieliłyśmy się chlebem i wodą. Żyłyśmy jak siostry, jak rodzina pozbawiona władzy, spajana samą miłością. - Uszanka powoli zamrużyła. Jej twarz pociemniała. Maria przypatrywała się jej, podczas gdy Jelena kontynuowała. - Czy wiecie, że niezwykłym zbiegiem okoliczności wszystkie nosiłyśmy imię Jelena? Ten świat ma do opowiedzenia tyle dziwnych historii! Moje siostry wciąż zajmują się tkaniem w fabryce za

wzgórzem, a ja w Święto Rewolucji przynoszę im cukierki i duszone pomidory. Niektóre z nich są stare, jak babuszki z wodnistymi oczami, owinięte błękitnymi szalami. Nawet nie pamiętają, ile mają lat ani gdzie się urodziły. Myję im włosy, kiedy nie muszą stać za ladą. Wciąż bym tam mieszkała, ale się zakochałam i wyszłam za męża. Zdarza się. - Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Maria zmarszczyła czoło. Czy to może być jedna z Jelen, które znała? Za kogo wyszła za męża?

- Jak długo mieszkaliście w kołchozie?

- Całe życie. - Jelena ponownie wzruszyła ramionami, a na jej różanych policzkach pojawiły się dołeczki.

- Z pewnością się tam nie urodziłyście. Według ludowej mądrości do tego potrzebny jest mężczyzna - zakpiła Uszanka.

Jelena zmarszczyła ładne piegowate czoło, po czym pociągnęła się za kręcone włosy.

- Cóż... Nie potrafię sobie przypomnieć! Po prostu... od zawsze tam mieszkałam. Od zawsze. Dopóki nie poznałam swojego męża. Z pewnością macie rację, towarzysko oficer... nie mam zamiaru się wam sprzeciwiać. Zapewne przyszłam na świat gdzie indziej. Ale byłam malutka. Nie pamiętam. Kto pamięta swoje narodziny?

- Nikt na tej ziemi - odparła Uszanka lodowato.

Jelena wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. Jej duże brązowe oczy były pełne niepewności.

- Nie chcę was obrazić! Proszę, weźcie trochę karkówki i cieszcie się słońcem. Ale jeśli macie ochotę na coś innego niż karkówka, to musicie porozmawiać z moim mężem. Nastaly takie czasy, że wszyscy mocniej zaciskamy pasa.

- Zaciskamy pasa i zaciągamy sznurówki - szepnęła sierżant sztabowa z trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

Maria Moriewna odchrząknęła. Ta rozmowa prowadziła donikąd.

- Mam wrażenie, że moja towarzyska źle się czuje w tym zaduchu - powiedziała. Co mogło się stać Uszance? - Powiedzcie nam, gdzie szukać waszego męża, a damy wam spokój.

- Z pewnością jest już u Cioci. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - To jego siostra. Wszyscy nazywamy ją Ciocią. Prowadzi stołówkę przy tej samej ulicy. Podaje niesamowite zupy, słowo daję! Jak płynne złoto. Musicie spróbować jej uchy. Na pewno jeszcze nigdy czegoś takiego nie jadłyście.

Maria podziękowała Jelenie. To Bujan, pomyślała. Wiem, że tak jest. Czuję to. Włóczka mnie tutaj doprowadziła. Co się stało? Jestem człowiekiem, moja pamięć się

zestarzała i potrzebuje laski. Ale oni? Powinni mnie znać. Dlaczego zapomnieli?

- Powiedźcie - odezwała się Maria Moriewna, opierając dłoń o klamkę i zatrzymując zardzewiały dzwonek w połowie dźwięku. - Jak ma na imię wasz mąż?

- Kościej Bezsmiertny - odpowiedziała dziewczyna z dumą kwoki siedzącej na jajkach. - Jestem pewna, że chętnie się z wami zobaczy.

## Kraina Śmierci

Szły długą, wąską ulicą, która musiała być ulicą Skorohodną - a jednak Maria była pewna, że gdyby ją o to spytały, gdyby mogły uderzeniem bata i klątwą zmusić ją, by usiadła i otworzyła zakurzone, kamieniste usta, ta stwierdziłaby, że nie pamięta, by kiedykolwiek nosiła taką nazwę. Wieczny półmrok typowy dla letnich nocy w północnych krainach oblewał ulicę złotym i różnym blaskiem.

- Towarzyszko sierżant, co się z wami dzieje? - spytała Maria. Wolałaby, żeby ta paskudna kobieta zniknęła. Wszyscy pozostali to zrobili, dlaczego Maria musi się męczyć z jedyną duszą, która odmówiła jej tej uprzejmości?

Uszanka kopnęła piaszczystą drogę.

- Myślałam, że jesteście genialnym żołnierzem. Myślałam, że znajdziecie rozwiązanie. Mam już dosyć włóczenia się między tymi gównianymi budynkami, podczas gdy wy obżeracie się jak durna krowa! Zapewniono mnie o waszym geniuszu, więc się go od was domagam!

Maria rozmasowała skronie, które oddała w posiadanie Uszance i które bolały ją za każdym razem, gdy jej podwładna się odzywała.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Uszanka zatrzymała się na środku ulicy. Słońce lśniło na jej mosiężnych guzikach i orderach. Zdjęła czapkę, po czym zaczęła długim zagiętym palcem o kącik ust. Mocno szarpnęła i Maria skrzywiła się, słysząc ostry odgłos rozdzieranej skóry. Ale Uszanka tylko się roześmiała, rozrywając sobie twarz, obnażając białe zęby. Nie popłynęła, nie kapnęła ani nie wysączyła się ani kropla krwi. Zamiast tego poluzowały się nitki, pękły szwy, łączenie na twarzy puściło, a materiał policzków zmienił się w obwisłe strzępy.

- Żadna dusza na tej ziemi nie pamięta własnych narodzin. - Uszanka się wyszczerzyła. - Ale ja pamiętam, jak przybyłam po ciebie do Leningradu. Przejście przez góry zajęło mi mnóstwo czasu, ale w końcu tego dokonałam. Żeby cię obserwować. Przesłuchać. Pamiętam, jak cię zgubiłam, gdy weszłaś do tego przekłętą jaja, a potem znalazłam półżywą na barykadach. Nie miałaś tyle szczęścia, co ja, krew uciekała z ciebie jak pierze z rozprutej poduszki. Pamiętam, jak walczyłaś w korpusie strzelców wyborowych i

nikt nie domyślił się, że jesteś kimś więcej niż zwykłą głodującą mieszkanką Leningradu. Zaciągnęłam się do twojego oddziału i całkiem dobrze sobie radziłam jak na ciuch uszyty przez cholerną Jelenę! Wykonywałam rozkazy. Obserwowałam cię, a potem sprowadziłam tutaj. Potrzebowałam więcej czasu, niż przypuszczałam, żeby doprowadzić cię do takiej rozpacz, żebyś zechciała skorzystać z włóczki. Zrobiła mnie tamta suka od rzeźnika, albo jedna z jej sióstr, to bez znaczenia. Zrobiła mnie dla ciebie.

Maria miała mętlik w głowie. Wiedziała, że Uszanka się myli i jest roztrzęsiona, ale ktoś dzisiaj był cały i zdrowy?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tamtego dnia w salonie? Mogłyśmy zostać przyjaciółkami. Dawać sobie nawzajem pociechę.

Uszanka wzruszyła ramionami.

- Nie kazali mi ciebie pocieszać. - Znów ruszyła w stronę stołówki. - Wiesz, co on zrobił, gdy odeszłaś? Zatrzymał fabrykę z Jelenami. Wyciągnął je wszystkie, usadził w jednej z komnat w Czarnoświele jak uczennice, a następnie wywlekl Licho z nory, w której się schowała, by umrzeć, i rozkazał jej, żeby je nauczyla. Jak stara chuda belferka w czarnym wełnianym stroju i z kredą w garści. A wiesz, czego chciał je nauczyć? Jak zmienić Jelenę w Marię. Kazał im czytać tę twoją okropną czarną księgę, przyjaźnić się z leszymi, gwintowniczkami i włłami oraz strzelać do Żar-Ptaków. Raz za razem robić to wszystko, co ty, w nadziei, że któraś z nich wykaże się talentem i zostanie jego gwiazdą. Ale Jeleny nie potrafiły w mgnieniu oka zrezygnować z tkania, więc cały czas poruszały rękami, jakby wciąż pracowały na krosnach. W końcu się poddał. Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałam, żeby jakiś mąż zrobił coś gorszego, ale to tylko dowodzi, do czego jest zdolne ciało w żałobie. Moim zdaniem, lepiej się sprawdza organdyna, len i jedwab. Jedwab nie kocha, a len nie opłakuje.

Uszanka z hukiem otworzyła drzwi stołówki, po czym zuchwale opadła na krzesło przy stoliku, który miał jedną krótszą nogę. Wydawało się, że rozdarła twarz w ogóle jej nie martwi. Maria miała ochotę dusić Uszankę, póki ta nie powie jej wszystkiego, co wie. Nikt się nie pojawił, by spytać, co chciałyby zjeść albo wypić. Były same, a blask słońca wlewał się do pomieszczenia jak po nalocie.

Maria syknęła na swoją towarzyszkę.

- Dlaczego tak się złościysz? To ja po powrocie do domu odkryłam, że moi zmarli przyjaciele nie wiedzą, kim jestem, a wszystko wygląda inaczej niż chciałam.

- A kogo obchodzi, czego chciałaś? Jestem golemem, Mario Moriewno. Golemem, który już nie ma pana. Co mam teraz robić? Moje zadanie dobiegło końca i mogę się pochwalić tylko głupią matką w sklepie rzeźnika, która nawet nie pamięta, że mnie stworzyła.

Maria chwyciła Uszanę za rękę i wbiła w nią paznokcie, ale nie mogła jej zrobić krzywdy, gdyż organdyne nie czuje bólu.

- Gdzie jesteśmy? - syknęła. - To nie jest, a zarazem jest Bujan.

I wtedy się domyśliła. Zrozumiała. Objawienie poruszyło się w niej jak śmierć. Ale było zbyt potężne, żeby mogła je utrzymać. Puściła lnianą dłoń sierżant sztabowej.

- To kraina Wija, prawda? - wyszeptała, bojąc się tych słów. - Wojna się skończyła. Przegraliśmy. Niemcy oraz wąsaty czarodziej z Moskwy, o którym opowiadałam przed laty, pożarli nas żywcem. Umarli nas przewyciężyli. Gdy my liczyliśmy kartki na jedzenie, Bujan, Leningrad, Moskwa i cała reszta kurczyły się i rozwiewały. - Jej serce wyrecytowało fragment czarnej księgi, tak jak w dzieciństwie recytowało Puszkina: „Wij postarał się jak najbardziej upodobnić swoją krainę do świata żyjących. Nawet wybudował kina, w których na srebrnym ekranie wyświetlano obrazy nakręcone na wojennym froncie, żeby umarli byli wdzięczni, że nie muszą wracać do życia”.

Maria położyła dłoń na sercu, które bolało ją tak, jakby ktoś je z niej wycinał. Uszanka pokiwała głową, a jej twarz po raz pierwszy posmutniała i zwiotczała, jak stara sprana sukienka.

- To już koniec, Mario. Kraina Kościeja zniknęła z powierzchni ziemi. Na ulicach już nie widać srebra, ponieważ nie ma ulic. Wszystko jest srebrem. Wszystko umarło. Gdy wiosną niemieckie czołgi utknęły i popsuły się w błocie, nikt nie pomyślał: To na pewno wodnik powstaje, by bronić swej ojczyzny i walczyć u naszego boku. Uznali, że sprzyja im pogoda.

I mieli rację. Przyszłość należy do umarłych i ich stwórców. Do ludzi takich jak Wij, którzy są ślepi na uczynki własnych rąk i sięgają po dusze innych. Tacy jak my są ich własnością. Błąkamy się zagubieni i nawet nie dostrzegamy srebrnych plam na naszej piersi, ponieważ cały ludzki świat zmienił się w Krainę Śmierci i trafił do niewoli, a my w końcu staliśmy się tacy sami jak pozostali. Wszyscy jesteśmy martwi. Równi. Złamani i pozbawieni celu, wciąż wierzymy, że żyjemy. Oto Rosja w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Jak inaczej nazwałabyś piekło?

Ale oni wszyscy są tutaj, pomyślała Maria, a jej głowa stała się ciężka i gorąca. Są tutaj wszyscy, których kocham. Poza Iwanem, chociaż kto wie, czy on także gdzieś tutaj nie mieszka: jako szeryf, milicjant, wytwórca papierosów, ktoś równie mało ważny jak pozostali. A czy w którymś szpitalu pracuje pielęgniarka Ksenia, która ma śliczną córeczkę? Mogłabym ich odnaleźć i sprawić, by mnie rozpoznali.

Ktoś poruszył się w kuchni, brzękając garnkami.

- Jak myślisz, kim jest ciotka Kościeja? - ciągnęła Uszanka. - To kuchnia Baby Jagi. Zajrzyj pod werandę, a zobaczysz sękatę i poskręcane słupy, trochę jak kurze nóżki, czyż nie? We wszystkich kotłach bulgocze zupa. Koniecznie musisz spróbować uchy! - Uszanka z radością nurzała się w cierpieniu Marii. Skakała w nim, kręcąc salta. - Cóż za miejsce, w którym Caryca Nocy prowadzi stołówkę i podkrada kawałki marchwi z własnego garnka.

Maria miała ochotę zwymiotować. Było jej gorąco i niedobrze. Jej ciało chciało na to wszystko jakoś zareagować, jakoś się bronić. Niepewnie zerknęła w stronę kuchni.

- Zatem on także tutaj jest. Odwiedza siostrę. Omawia tygodniowe przydziały mięsa, zbiory ziemniaków, jadłospis na następny dzień.

Uśmiech Uszanki zbladł jak plama. Popatrzyła na Marię ze współczuciem.

- Kościej umarł. Cóż, on zawsze umiera, a potem wraca. Nie na darmo nazywa się Nieśmiertelnym. Umiera i wciąż na nowo odgrywa tę samą opowieść. Ile osób ci o tym mówiło? Kraina Śmierci bardzo przypomina Krainę Życia. Dlatego on teraz żyje pod rządami Wij, ma żonę, którą porwał z rodzinnego domu, i myśli, że jest człowiekiem. Zawsze pragnął nim być. To doskonały żart, jeśli ktoś ma odpowiednie poczucie humoru. Nie pamięta cię, jest na to za słaby. Wij zawsze był od niego lepszy. Nieuchronny. Takie jest życie, a śmierć je zabiera. Taka już jej rola. Po to wciąż opowiada się tę historię. Nie ma innej. On na ciebie popatrzy i pomyśli, że jesteś kobietą z wyższych sfer, po czym poczęstuje cię kwasem chlebowym. - Uszanka z powrotem wsunęła palce w dłoń Marii, dotykając jej pufale i ze współczuciem. - Mario - westchnęła. - Nikt nie jest tym samym człowiekiem, jakim był przed wojną. Nie da się odzyskać tego, co straciliśmy.

Kuchenna podłoga zaskrzypiała i w pomieszczeniu pojawiła się staruszka. Miała na sobie zakrwawiony skórzany fartuch poprzecinany smugami wołowej i rybiej krwi, tworzącymi wzory na jej piersi. Białe włosy spięła w piekielnie ciasny kok. Popatrzyła prosto na Marię Moriewnę z błyskiem w oku, jakby spodziewała się czegoś wyjątkowo zabawnego.

- Czym mogę służyć? - Jej wysuszone usta zatrzeszczały, gdy szeroko się uśmiechnęła.

Uszanka poprawiła materiał na policzku.

- Ja niczego nie chcę - odpowiedziała oschle. - Zrobiłam to, o co mnie poproszono. Nie sprawiło mi to radości, ale wykonałam zadanie. Chcę tylko odpocząć. - Przez chwilę się nie ruszała, wbijając wzrok w podłogę z uporem, który Maria dobrze знаła, tak jak matka zna wściekłe tupanie swojego dziecka. Potem Uszanka wstała i wyszła ze stołówki na pogrążoną w półmroku ulicę. Gdy tak szła wyprostowana, z jej stopy zaczęła się wysnuwać długa złota nitka, coraz szybciej i szybciej, prując łydkę i udo, pozostawiając za sobą drobne klaczki.



Zanim dotarła na środek niegdysiejszej, a być może także obecnej ulicy Skorohodnej, zaczęły się pruć jej włosy i głowa, a wiatr rozwiewał nitki, niosąc je w stronę gór.

Staruszka odwróciła się do Marii Moriewny.

- Ale pani z pewnością mogę jakoś pomóc - dodała niespeszona.

Maria Moriewna podniosła wzrok i poczuła się potwornie stara i wycieńczona, a zarazem niezwykle młoda i żywa jak rana. „Niech to się skończy” - błagała w myślach. „Niech to wszystko nigdy się nie wydarzy. Chcę znów być młoda i dopiero zaczynać tę opowieść”. Zerknęła na ściany, na wyblakłe partyjne plakaty, z których każdy pokazywał mężczyznę, kobietę albo dziecko o wąskiej, wygłodniałej twarzy, zakrywających usta palcem, wzywających do milczenia i spokoju jakąś odległą duszę. Na plakatach nie widniały żadne hasła; żadna moralna dyrektywa nie informowała Marii, jak ma się zachowywać i kim być. Była zatem sobą, zgorzkniałą i kwaśną jak marynowana cebula.

- A kiedy ty komukolwiek pomogłaś? - odburknęła. Nie potrafiła udawać, że Baba Jaga jest jakąś absurdalną sprzedawczynią.

- Och, ależ pomagam - odparła Caryca Nocy, a jej głos rozwinął się jak baranie runo. - Czasami. To zależy od opowieści. Ale pomagam. Gdy dziewczyna udowodni swoją wartość. Gdy zaopiekuje się moimi końmi, pozamiata podłogę albo własnoręcznie podniesie mój kocioł. Albo kiedy jestem dumna z jej przewrotności. Jak się miewa kobieta, którą mogłaś zostać?

- Wiesz, kim jestem? - Ta myśl pojawiła się w niej jak nadjeżdżający pociąg. Maria Moriewna, ubrana na czarno, tutaj i teraz, jest punktem, w którym spotykają się wszystkie kobiety, którymi kiedykolwiek była: mieszkanka Jajiczki i Leningradu, czarica dziewica, dziewczynka, która ujrzała ptaki, i ta, która nigdy ich nie widziała, kobieta, którą się stała, którą mogła się stać i którą zawsze będzie, wiecznie krzyżując się i zderzając, jak tysiąc ptaków bez przerwy spadających z tysiąca dębów.

Staruszka obszernie wzruszyła ramionami, jakby chciała zaprotestować. „Któż może powiedzieć, co wiem?”.

A Maria Moriewna przypomniała sobie raskownika, czarne złoto i mózdzierz z tłuczkiem, który się pod nią poruszał. Te wspomnienia były jak igły boleśnie wbijające się w jej pierś i palce. Plakaty uciszały ją ze ścian, a w jej pamięci otwierał się pomarańczowy kwiat usiany białymi kolcami.

Baba Jaga nachyliła się, tak że ich twarze znalazły się blisko siebie jak tajemnice.

- Posłuchaj, spóźniona zupo. W ciemności znajduje się pokój. Zawaliły się w nim sufit i podłoga, a pozostała tylko dziura prowadząca w głąb ziemi, do piwnicy. Gobeliny z pawiami

wpadły w cienie, zakurzone i płonące. Leży tam połamany stół oraz olbrzymie kościane krzesło. Powinnaś tam pójść. Nocą, gdy nikt cię nie zobaczy. Nie mam pojęcia, co możesz znaleźć pośród zmarzniętego błota i strzaskanych ścian. Dziś nie mam skłonności do hazardu. Ale wiesz, że naprawdę możesz być sobą tylko w piwnicy, w mroku, na samym dnie, gdzie nikt cię nie odnajdzie.

Stara blizna pod okiem Marii trzykrotnie zapulsowała.

- Czy to dlatego, że jesteś pod władzą Wija? Czy dlatego nie wypowiadasz mojego imienia? Boisz się go, tak samo jak wąsatego czarodzieja? Dlaczego plakaty pouczają: „Cicho, cicho, ani słowa”? Ponieważ jeśli cały świat mieszka w Krainie Umarłych, to ja też nie powinnam pamiętać, a jednak jest inaczej, mimo że to boli jak głódówka.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Nigdy nie zaangażowałabym się w podziemne, antyrewolucyjne działania - zamruczała starucha. - Po prostu proponuję ci zobaczenie pewnego miejsca, jak przystało na starszą panią z obolałym plecami i obskurną kawiarenką, do której miasteczka przybywają turyści. Niczego nie mówię, niczego nie wiem i z pewnością niczego nie pamiętam. - Oparła wysuszoną dłoń, plamistą jak bok lamparta, na mostku Marii, pomiędzy jej piersiami. Maria poczuła, jak rośnie w niej coś ciężkiego i gorącego, jak pocisk. - Nigdy nie brałabym udziału w spotkaniach w wilgotnych, zapleśniałych piwnicach. Nigdy nie naprzykrzałabym się twojej koleżance, która opowiada historie, jakich chcą słuchać najpotężniejsze uszy. Nigdy nie udawałabym życia pełnego krawiectwa, małżeństw i sukcesów w handlu mięsem tylko po to, by nie dać się przyłapać na zbrodni pamiętania, że coś istniało przed tym nowym, praworządnym reżimem. Znacznie łatwiej jest mówić: „Nigdy nie istniał żaden stary świat. Teraz już zawsze wszystko będzie nowe”. Boli mnie, że podejrzewasz o takie przestępcze skłonności miłą babuszkę, której zależy tylko na twoim powodzeniu. - Pocisk płonął w sercu Marii Moriewny, wyciągając z niej ciepło i nie dając niczego w zamian. - I nigdy w życiu nie sugerowałabym, że opowieści nie da się zapomnieć, nawet jeśli brat, czarodziej, albo karabin twierdzą, że nie wolno ci pamiętać i istnieje tylko ten świat, taki jak teraz, a inny nigdy nie istniał i nie może zaistnieć.

- Babuszko - odezwała się Maria, na samym końcu decydując się na całkowitą szczerłość. - Jestem taka zmęczona. Mam wszystkiego dosyć. Jak mogę tutaj żyć? Chcę paść w ramiona wszystkich, których kochałam, i usłyszeć, że mi wybaczą i wszystko będzie dobrze.

- Phi! Śmierć taka nie jest. Redystrybucja światów sprawiła, że wszystko jest sobie równe: magia, stołówki, Jeleny, piwnice, chleb i srebrne światło. Równie martwe, równie spętane. Będziesz żyła tak, jak gdziekolwiek indziej. Z trudem i w smutku. Owszem, umarłaś.

Tak samo jak ja, moja rodzina i wszyscy inni, na zawsze. Jesteśmy martwi jak skały. Ale jakie to ma znaczenie? I tak rano musisz iść do pracy. Wciąż musisz żyć. - Starucha zabrała dłoń z piersi Marii. Nie trzymała w niej pocisku, gorącego i ciężkiego, tylko czerwony szalik, zwinięty i powiązany w supły. Zatknęła go za klapę munduru Marii, przy samej skórze. Potem na jej ściągniętej i pomarszczonej twarzy ponownie zagościł ponury grymas oraz wystudiowane przymilne spojrzenie.

Maria Moriewna głęboko odetchnęła. Z jej obojętnego oblicza nie dało się wyczytać żadnych emocji. Popatrzyła na swoją babuszkę, jakby ta była kimś nieznanym, być może interesującym, zwłaszcza z taką twarzą, ale całkowicie obcym. W końcu Maria знаła się na grach. Wstała i wyszła ze stołówki, po czym ruszyła długą, wąską ulicą ku ruinom jakiegoś czarnego pałacu, który zawalił się pod upartym ostrzałem. Kurz pod jej stopami błyszczał w wieczornym świetle. Nie zbaczła z drogi, zmierzając do miejsca położonego pod ziemią, w miłosierdnym mroku, w piwnicy, gdzie mężczyzna z czarnymi lokami naznaczonymi srebrnymi gwiazdami miał wypowiedzieć jej imię, jakby wyznawał winy. W miejscu zetknięcia ich dłoni Maria Moriewna już widziała puchnące, ciężarne diamenty i czarne szklisko oraz żółtko sączące się z ich skóry jak światło.

# Podziękowania

Zanim zacznę wymieniać wszystkich, którzy przyczynili się do powstania tej książki, muszę wspomnieć, że mój mąż Dimitrij oraz jego rodzina pięć lat temu wpuścili mnie do swojego życia i rozpoczęli niebezpieczną praktykę opowiadania pisarce swoich baśni i historii, za co jestem im niewyobrażalnie wdzięczna. Słuchanie ich opowieści i żartów oraz stawanie się częścią ich świata jest jednym z najbardziej niezwykłych doświadczeń w moim życiu. Ta książka wyrosła na owym żyznym gruncie, zwłaszcza dzięki mojemu mężowi, który nie tylko pełni funkcję żywego słownika angielsko-rosyjskiego i jest źródłem bezcennych detali, ale też jako pierwszy przeczytał mi baśń o Marii Moriewnie i Kościeju Nieśmiertelnym, co doprowadziło do nieuniknionego pytania: „Zaraz, co takiego? Dlaczego on jest przykuty do ściany w jej piwnicy?”.

Dziękuję kobietom z Muzeum Blokad Leningradu w Petersburgu, które zawstydzają każdego siłą swej pamięci i które były na tyle uprzejme, by porozmawiać z młodą Amerykanką, a także, pośmiertnie, Annie Achmatowej, patronce Leningradu, której twórczość przenika i porywa moją duszę, jak również Harrisonowi Salisbury’emu, którego wpływowa praca „900 dni” odegrała kluczową rolę w moich badaniach i dostarczyła mi wielu szczegółów dotyczących Leningradu w czasie wojny. Dziękuję także Annie Wasilewskiej, której muzyka towarzyszyła mi podczas długich wieczorów wypełnionych pisaniem.

Dziękuję wszystkim, którzy służyli wsparciem, dobrą radą i zachętą niezaprzeczalnie marudnej pisarce, a zwłaszcza Tiffinowi Staibowi, Michaelowi Broughtonowi, Ferretowskiemu Steinmetzowi, Gini Judd, Amalowi El-Mohtarowi, Lee Harringtonowi i Claire Cooney, którzy przeczytali wstępną wersję tekstu.

Dziękuję mojemu agentowi Howardowi Morhaimowi i mojej agentce Liz Gorinsky, a także mojej asystentce Deb Castellano i niezmordowanej Evelyn Kriete.

Jak zwykle, dziękuję S. J. Tucker, mojej siostrze carewnie, która rozświetla mój świat, uczy mnie autentyczności i czarów oraz sprawia, że moje książki są pełne niezwykłej magii, a także jej partnerowi, Kevinowi Wilejowi, bogowi logistyki i serdecznemu przyjacielowi.

I wreszcie dziękuję Rose Fox, *il miglior fabbro*.

## O autorce

Pierwszą powieść Catherynne M. Valente, „Opowieści sieroty”, wydano jesienią 2006 roku, gdy Cat miała dwadzieścia siedem lat. Pierwszy tom, „W ogrodzie nocy” uhonorowano nagrodą Jamesa Tiptree’ego i nominowano do nagrody World Fantasy. Cała seria w 2008 roku zdobyła nagrodę Mythopoetic w kategorii literatura dla dorosłych. Powieść „Palimpsest” była nominowana do nagrody Hugo, a książka dla dzieci „The Girl Who Circumnavigated Fairyland in a Ship of Her Own Making” w 2009 roku zdobyła nagrodę Andre Norton. Catherynne mieszka na niewielkiej wyspie u wybrzeży Maine ze swoim partnerem, dwoma psami i kotem.